

MARGUERITE YOURCENAR

Pamiętniki Hadriana

(Przełożyła: Hanna Szumańska-Grossowa)

*Animula vagula, blandula,
Hospes comesque corporis,
Quae nunc abibis in loca
Pallidula, rigida, nudula,
Nec, ut soles, dabis iocos...¹*

P. Aelius Hadnanus. Imp.

1 Duszczyko moja tkliwa i ruchliwa.

Gościu ty ciała mojego i družko.

Co pójdiesz teraz w krainy ciemności.

Twarde i nagie, i pełne bladości,

A żartów zwykłych stroić już nie będziesz.

P. Aelius Hadnanus. Imp.

ANIMULA VAGULA BLANDULA

Drogi Marku,

Udałem się dziś rano do mego lekarza Hermogenesa, który niedawno powrócił do Willi z dosyć długiej podróży po Azji. Badanie miało się odbyć na czczo: umówiliśmy się na wczesną godzinę poranną. Położyłem się na łóżku, zdjęwszy płaszcz i tunikę. Oszczędzę ci szczegółów, które byłyby ci tak samo jak i mnie niemiłe, i opisu ciała mężczyzny, który się posuwa w latach i oswaja z myślą o śmierci na puchlinę serca. Powiedzmy tylko, że kaszlał, oddychał i wstrzymywał oddech, podług wskazówek Hermogenesa, zaniepokojonego jednak tak szybkimi postępami choroby i gotowego obarczyć odpowiedzialnością za to młodego Iollasa, który mnie podczas jego nieobecności leczył. Trudno jest pozostać cesarzem w obecności lekarza, trudno jest też zachować swoje człowieczeństwo. Oko praktyka widziało we mnie tylko zbiorowisko humorów, smutny amalgamat limfy i krwi. Tego ranka po raz pierwszy nawiedziła mnie myśl, że moje ciało, ten wierny towarzysz, ten przyjaciel pewniejszy i lepiej mi znany niż moja dusza, jest tylko przyczajonym potworem, który w końcu pożre swego pana. Pokój... Lubię moje ciało; służyło mi dobrze i na wszelkie sposoby, i nie skąpię mu potrzebnych starań. Ale już nie liczę, jak wydaje się jeszcze czynić Hermogenes, na cudotwórcze właściwości ziół, ściśle dozowanie mineralnych soli, po które jeździł na Wschód. Ten człowiek, tak przecież rozumny, potraktował mnie ogólnikowymi formułkami otuchy, zbyt banalnymi, by kogokolwiek oszukać; wie, jak wstrętne jest mi tego rodzaju oszustwo, ale nie można bezkarnie zajmować się medycyną przez lat przeszło trzydzieści. Wybaczam zatem słudze to usiłowanie ukrycia przede mną mojej śmierci. Hermogenes jest uczony; jest nawet mądry; jego uczciwość o wiele przewyższa zwykłą uczciwość pospolitego dworskiego lekarza. Będę dzięki temu najlepiej pielęgowanym chorym. Ale nikt nie może przeskoczyć naznaczonych granic; moje spuchnięte nogi już mnie nie dźwigają podczas długich ceremonii rzymskich; duszę się; i mam sześćdziesiąt lat.

Nie wyciągaj stąd fałszywych wniosków: nie jestem jeszcze dosyć słaby, żeby się poddać urojeniom strachu, niemal tak samo jak urojenia nadziei niedorzecznym, a na pewno o wiele przykrzejszym. Gdyby się trzeba było ludzi, wolałbym się ludzi ufając; nie straciłbym na tym więcej, a mniej bym cierpiał. Ten termin, taki już bliski, nie musi być bezzwłoczny; jeszcze się kładę co noc z nadzieją doczekania ranka. Wewnątrz nieprzekraczalnych granic, o których przed chwilą mówiłem, mogę bronić mego stanowiska, piędź za piędzią, a nawet i odzyskiwać kilka cali z terenu, którym utracił. Wszelako doszedłem do wieku, w którym życie dla każdego człowieka jest dobrowolnie przyjętą klęską. Rzecz, że moje dni są policzone, nic nie znaczy; zawsze tak było; i jest tak dla nas wszystkich. Ale niepewność miejsca, pory i sposobu, która nie pozwala nam widzieć wyraźnie tego celu, ku któremu

zblizamy się bez ustanku, zmniejsza się dla mnie w miarę postępów mojej śmiertelnej choroby. Każdy w każdej chwili może umrzeć; ale chory wie, że za dziesięć lat nie będzie żyć. Mój margines niepewności rozciąga się już nie na lata, ale na miesiące. Moje szansę, że zginę od pchnięcia sztyletem w serce albo od upadku z konia stają się już całkiem znikome; dzuma wydaje się nieprawdopodobna; trąd i rak ostatecznie prześcignięte. Już mi nie grozi ryzyko, że polegnę na granicy od kaledońskiej siekiery albo przeszyty partyjską strzałą; burze nie umiały skorzystać z dawanych im okazji i widocznie miał słuszość wieszczek, który przepowiedział mi, że nie utonę. Umrę w Tiburze, w Rzymie albo, najdalej, w Neapolu i dokona tego dzieła atak duszności. Czy zabierze mnie dziesiąty atak, czy setny? Oto całe pytanie. Jak podróżnik żeglujący między wyspami Archipelagu, który widzi świetlistą mgłę wznoszącą się pod wieczór i odkrywa powoli zarys brzegów, zaczynam dostrzegać profil mojej śmierci.

Niektóre dziedziny mego życia już są podobne do opróżnionych ze sprzętów komnat zbyt wielkiego pałacu, którego zbiedniały właściciel nie jest w stanie zamieszkiwać w całości. Już nie poluję: gdybym tylko ja jeden zakłócał im przeżuwanie paszy i zabawy, kozice w górach Etrurii żyłyby w spokoju. Zawsze utrzymywałem z leśną Dianą zmienne i namiętne stosunki mężczyzny z przedmiotem ukochania: kiedy byłem młodzieńcem, łowy na dzika dały mi pierwsze szansę zetknięcia się z dowodzeniem i niebezpieczeństwem; oddawałem się im z pasją; Trajan łąał mnie za moje w tej dziedzinie wybryki. Polowanie z nagonką na polanie w Hiszpanii było moim najdawniejszym doświadczeniem śmierci, odwagi, litości dla stworzeń i tragicznej uciechy przyglądania się, jak cierpią. Jako dojrzałemu mężczyźnie, łowy dawały mi wytchnienie po tylu walkach, jakie staczałem skrycie z przeciwnikami nazbyt przebiegłymi albo nazbyt tępyimi, nazbyt słabymi albo nazbyt silnymi dla mnie. Ta uczciwa walka między inteligencją człowieka i czujną zwinnością dzikich zwierząt wydawała mi się dziwnie czysta w porównaniu z ludzką przebiegłością. Jako cesarzowi, moje łowy w Toskanii pozwalały mi oceniać odwagę albo pomysłowość wysokich urzędników, wyeliminowałem lub wybrałem podczas łowów niejednego męża stanu. Później w Bitynii, w Kapadocji, wielkie polowania z nagonką były mi pretekstem do uroczystego świętowania, jesiennego triumfu w lasach Azji. Ale towarzysz moich ostatnich łowów umarł młodo i moje zamiłowanie do tych gwałtownych uciech bardzo osłabło po jego odejściu. Jednak nawet tu, w Tiburze, nagle parsknięcie jelenia pod liśćmi wystarcza, by drgnął we mnie instynkt starszy od wszystkich, dzięki któremu czuję się tyleż gepardem co i cesarzem. Kto wie? Może tak oszczędzałem krew ludzką dlatego jedynie, że przelał tyle krwi dzikich zwierząt, które niekiedy, potajemnie, wołałem od ludzi. Przyznam, że obraz dzikich zwierząt nurtuje mnie

ciągle i z trudem się powstrzymuję od nie kończących się myśliwskich opowieści, które mogłyby na nie lada próbę wystawić cierpliwość moich wieczornych gości. Przecież wspomnienie dnia, w którym po raz pierwszy zostałem myśliwym, ma swój urok, historia zaś o lwach zabitych w Mauretanii też jest niezła.

Wyrzeczenie się konia było ofiarą jeszcze przykrzejszą: zwierzyzna jest tylko przeciwnikiem, koń był zawsze przyjacielem. Gdyby mi pozwolono samemu sobie wybrać kształt i stan, zostałbym centaurem. Stosunki między Borystenese i mną były matematycznie ściśle: słuchał mnie jak swego mózgu, a nie jak swego pana. Czym uzyskał kiedy, by tak postępował człowiek? Władza tak całkowita mieści w sobie, jak i każda inna, ryzyko omyłki dla człowieka, który ją sprawuje, ale rozkosz porywania się na niemożliwość w dziedzinie skoków przez przeszkody była zbyt wielka, by żałować zwichniętego ramienia czy złamanego żebra. Mój koń tysiączne pojęcia dotyczące tytułu, funkcji, nazwiska, które komplikują przyjaźń ludzką, zastępował jedną jedyną a dokładną znajomością mego ludzkiego ciężaru. W moich porywach brał udział pospołu ze mną; wyczuwał, może lepiej niż ja, moment, w którym moja wola brała rozbrat z moją siłą. Ale już nie obczuję następcy Borystenesa ciężarem człowieka chorego, o zwiotczających mięśniach, zbyt słabego, by się wdrapać o własnych siłach na grzbiet wierzchowca. Mój adiutant Celer ujeżdża go w tej chwili na trakcie do Preneste; moje wszystkie minione doświadczenia z szybkością pozwalają mi dzielić uciechę jeźdźca i uciechę konia, ocenić doznania człowieka, który mknie galopem w słoneczny i wietrzny dzień. Kiedy Celer z konia zeskakuje, razem z nim znów staję na ziemi. Tak samo jest z pływaniem: wyrzekłem się pływania, ale jeszcze odczuwam rozkosz pływaka pieszczzonego przez wodę. Biec, nawet po najkrótszym szlaku, byłoby mi dziś tak samo trudno jak ciężkiemu posągowi, jakiemuś cesarowi z kamienia, ale pamiętam, jak biegałem, będąc dzieckiem, po wyschłych wzgórzach Hiszpanii, pamiętam tę grę ze sobą, w której dochodzi się aż do kresu tchu, mając pewność, że doskonałe serce, nietknięte płuca przywrócą równowagę; i z byle atletą, ćwiczącym się w bieganiu na długi dystans, łączy mnie nic porozumienia, jakiego nie dałaby sama inteligencja. W ten sposób z każdej umiejętności uprawianej w swoim czasie czerpię wiedzę, która mi po części rekompensuje utraczone uciechy. Wierzyłem, i w dobrych chwilach jeszcze wierzę, że można by dzielić -w ten sposób istnienie wszystkich i że to powinowactwo byłoby jednym z najmniej wątpliwych rodzajów nieśmiertelności. Zdarzały się chwile, w których owo współrozumienie usiłowało przekroczyć to, co ludzkie, przesunąć się z pływaka na falę. Ale tu, nie wspomagany żadnym ścisłym poznaniem, wkraczam w dziedzinę metamorfoz snu.

Obzarstwo to wada rzymska, lecz dla mnie rozkoszą była wstrzemięźliwość.

Hermogenes niczego nie musiał zmieniać w mojej diecie, może tylko tę niecierpliwość, która mi kazała jeść byle gdzie, o byle jakiej porze, pierwszą, jaka popadła, potrawę, jakby po to, by za jednym zamachem zaspokoić wymagania głodu. I jest to oczywiste, że człowiek bogaty, który tylko z własnej woli zaznawał niedostatku albo doświadczał go jedynie przejściowo, jako jednego z bardziej lub mniej podniecających składników wojny i podróży, robiłby złe wrażenie chełpiąc się, że się nie obżera. Obżarstwo w pewne uroczyste dni było zawsze naturalną ambicją, radością i dumą biedaków. Lubilem woń pieczonego mięsiva i brzęk kotłów radośnie opróżnianych przez wojsko, lubilem, kiedy ucztę obozową (albo to, co w obozie jest ucztą) były tym, czym powinny być, wesołą i rubaszną przeciwwagą codziennych prywacyj; znosiłem całkiem nieźle woń frytur na publicznych placach w czasie Saturnaliów. Ale rzymskie festyny wywoływały we mnie tyle wstrętu i nudy, że jeśli przypuszczałem czasami, iż może i zginę podczas jakiejś wyprawy badawczej albo wojennej, mówiłem sobie na pokrzepienie ducha, że przynajmniej nie będę już bywał na obiadach. Nie uwłaczaj mi, proszę, biorąc mnie za pospolitego abnegata: czynność, która odbywa się dwa albo trzy razy dziennie i której celem jest zasilanie życia, na pewno zasługuje na nasze wszelkie staranie. Jeść owoc to wchłaniać w siebie piękny przedmiot, żywy, obcy, wykarmiony i troskliwie wyhodowany, jak i my. przez ziemię; to spożywać ofiarę, w której siebie przekładamy ponad rzecz. Ilekroć miałem w ustach kęs żołnierskiego chleba, zawsze zachwycało mnie, że rzecz ciężko i pospolicie trawiona przez żołądkowe soki potrafi się zamienić w krew, w ciepło, w odwagę być może. Ach, dlaczego mój umysł, w swoje najlepsze dni, posiada zaledwie część asymilacyjnych mocy ciała?

Właśnie w Rzymie, podczas długich oficjalnych bankietów, zdarzało mi się rozmyślać o początkach, niedawnych stosunkowo, naszego zbytku, o tym ludzie skrzętnych rolników i wstrzeźliwych żołnierzy, żywiących się czosnkiem i jęczmieniem, którzy, przez podbój, nagle dorwawszy się do kuchen Azji, zaczęli pochłaniać te skomplikowane pokarmy z nieokrzesaniem wieśniaków czujących wilczy głód. Nasi Rzymianie dławią się ortolanami, zalewają sosami i trują korzeniami. Apicjusz pyszni się kolejnością podawanych potraw, następstwem dań kwaśnych i słodkich, ciężkich i lekkich, które składają się na piękny porządek jego uczt; jeszcze pół biedy, gdyby każde z tych dań było podawane osobno, przyswajane na czczo, uczenie kosztowane przez smakosza mającego wszystkie brodawki smakowe nietknięte. Podawane jedno po drugim, w spowszedniałej i codziennej obfitości, tworzą na podniebieniu i w żołądku jedzącego człowieka paskudną mieszaninę, w której wonie, smaki, substancje tracą właściwą sobie wartość i zachwycającą tożsamość. Ten biedak Lucjusz zabawiał się niegdyś w przyrządzanie dla mnie rzadkich potraw; jego pasztety z

bażantów, w których w sposób iście naukowy dozowano szynkę i korzenie, były świadectwem sztuki tak ścisłej jak sztuka muzyka i malarza; a przecież wołałbym czyste mięso tego pięknego ptaka. Grecja lepiej się na tym rozumiała; jej wino zaprawione żywicą, jej chleb posypany sezamem, ryby opiekane na ruszcie, na brzegu morza, nierówno przypalone ogniem i doprawione tu i ówdzie zgrzytliwym ziarnkiem piasku, w czysty sposób syciły apetyt nie otaczając nadmiarem komplikacji najprostszej z naszych radości. W spelunkach Eginy i Faleronu kosztowałem pokarmów tak świeżych, że pozostawały bosko czyste mimo brudnych palców podającego chłopca, tak skromnych, ale tak obfitych, jakby zawierały w sobie w najbardziej skondensowanej postaci jakąś esencję nieśmiertelności. Mięso pieczone wieczorami podczas polowań miało także tę jakość nieledwie sakralną, kazało się nam cofnąć głębiej aż do dzikich plemiennych początków. Wino wtajemnicza nas w wulkaniczne sekrety gleby, w ukryte mineralne bogactwa: puchar wina z Samos, wypity w południe w słońcu albo, przeciwnie, wypity zimowym wieczorem, w stanie zmęczenia, które pozwala od razu uczuć we wgłębieniu przepony ciepłe przepływanie napoju, jego pewne i rozgrzewające rozchodzenie się po naszych żyłach, jest doznaniem prawie świętym, często za silnym dla ludzkiej głowy; nie odnajduję go w takiej czystości w winie pochodzącym z numerowanych piwnic Rzymu i niecierpliwie mnie pedantyzm wielkich znawców gatunków win. Woda pita z dłoni albo wprost ze źródła jeszcze bogobojniej wlewa w nas naj-sekretniejszą sól ziemi i niebiański deszcz. Ale nawet woda jest rozkoszą, której choremu, jakim jestem, wolno używać tylko umiarkowanie. Trudno: będę się starał czuć na wargach jej nikłą w smaku świeżość, nawet i w agonii, zmieszaną z goryczą ostatnich leków.

Przez krótki czas powstrzymałem się od spożywania mięsa, w szkołach filozoficznych, gdzie godzi się wypróbować raz każdą metodę postępowania; później, w Azji, widziałem gimnosofistów indyjskich odwracających głowy od dymiących jagniąt i ćwiartek gazeli podawanych pod namiotem Osroesa. Ale ta praktyka, w której znajduje urok twój młodzieńczy ascetyzm, wymaga jeszcze bardziej skomplikowanych zabiegów niż obżarstwo; za bardzo nas oddziela od ogółu ludzi w funkcji prawie zawsze publicznej, której najczęściej patronują wystawność albo przyjaźń. Wolę przez całe życie żywić się tuczonymi gęśmi i perliczkami niż się narażać przy każdym posiłku na to, że mnie współbiesiadnicy pomawiać będą o popisywanie się ascetyzmem. I tak nie bez trudu, przy pomocy suszonych owoców i powolutku wysączonej szklanki, udawało mi się ukrywać przed moimi gośćmi, że przygotowane na mój stół przez moich kuchmistrzów potrawy były bardziej dla nich niż dla mnie albo że moja ciekawość tych dań kończyła się wcześniej niż ich. Panującemu nie dostaje tu swobody, jakiej zażywa filozof: nie może sobie pozwolić na to, by być odmiennym w

nażbyt wielu punktach równocześnie, a wiedzą bogowie, że moje punkty odmienne były już aż nażbyt liczne, choć pochlebiałem sobie, że wielu z nich nie widać. Zaś religijne skrupuły gimnosofisty, jego wstręt na widok krwawiącego mięsa, przejęłyby mnie bardziej, gdyby mi się nie zdarzało zastanawiać, na czym polega istotna różnica między cierpieniem ścinanej trawy i cierpieniem zarzynanych baranów, i czy nasza zgroza na widok mordowanych zwierząt nie polega przede wszystkim na tym, że nasza wrażliwość przynależy do tego samego królestwa istot żywych. Wszelako w pewnych chwilach życia, w okresach obrzędowego postu na przykład albo podczas religijnych wtajemniczeń, poznałem, jakie wynikają korzyści i niebezpieczeństwa dla ducha z różnych form ścisłej wstrzemięźliwości czy nawet dobrowolnego wycieńczenia, z tych stanów bliskich szału, kiedy ciało, wyzbywszy się po części swego balastu, wchodzi w świat, do którego nie zostało stworzone, a który jest prefiguracją chłodnej lekkości śmierci. W innych chwilach te doświadczenia pozwoliły mi igrać z myślą o stopniowym samobójstwie, śmierci przez kolejne wtajemniczenia, jak się to zdarza niektórym filozofom, czymś na kształt odwróconej rozpusty, w której dochodzi się aż do wyczerpania ludzkiej substancji. Ale nigdy bym nie miał ochoty włączyć się całkowicie w jakiś system i nie chciałbym, żeby skrupuł odebrał mi prawo do najedzenia się wędliną, jeślibym przypadkiem miał chęć albo jeśliby to było jedyne łatwo dostępne pożywienie.

Cynicy i moralisci zgodnie kładą rozkosze miłości między uciechy zwane pospolitymi, między przyjemności picia i jedzenia, uznając je przy tym - ponieważ twierdzą, że się można obyć bez nich - za mniej od tych drugich nieodzowne. Po moraliscie spodziewam się wszystkiego, ale dziwi mnie, że cynik się tak myli. Przypuśćmy, że jedni i drudzy boją się swoich demonów, ulegają im bądź też im się opierają, i usiłują zlekceważyć dawaną przez nich rozkosz, żeby jej jakoś odjąć tę niemal straszliwą moc, pod którą muszą się ugiąć, i dziwną tajemniczość, w której się czują zabląkani. Uwierzę w utożsamienie miłości z radościami czysto fizycznymi (jeśli przypuścimy, że takie w ogóle istnieją) w dzień, w którym zobaczę, jak smakosz szłocha z rozkoszy przed ulubioną potrawą niczym kochanek na młodym ramieniu. Ze wszystkich gier i uciech jest to jedyna mogąca wstrząsnąć duszą i jedyna, w której gracz musi poddać się oszołomieniu doznawanemu przez ciało. Nie jest nieodzowne, by pijący wyrzekł się rozsądku, ale kochanek, który rozsądek zachowuje, nie jest do końca posłuszny swojemu bóstwu. Wyrzeczenie się albo nadużycie wszędzie indziej wciąga tylko człowieka samego: wyjąwszy przypadek Diogenesa, którego ograniczenia i charakter rozsądnego poprzestania na gorszym określają się same przez się, każdy zabieg zmysłowy stawia nas wobec Drugiego Człowieka, wplątuje w wymagania i konieczności wyboru. Nie znam dziedziny, w której człowiek decydowałby się dla powodów prostszych i

bardziej nieuchronnych, w której wybrany przedmiot ważony by był ściśle podług swego właściwego ciężaru rozkoszy, w której amator prawd miałby więcej szans na osądzenie istoty nagiej. Poczynając od chwili tego wyzucia ze wszystkiego, równego wyzuciu śmierci, pokory większej niż pokora klęski i modlitwy, za każdym razem zdumiewam się i zachwycam widząc, jak się formuje od nowa zawilość odmów, odpowiedzialności, wkładów, rzewnych wyznań, kruchych kłamstw, namiętnych kompromisów, między moimi uciechami i uciechami tej Osoby Drugiej, tyle więzów niemożliwych do rozerwania, a przecież rozplątywanych tak szybko. Ta tajemnicza gra, zmierzająca od miłości ciała do miłości osoby, wydawała mi się wystarczająco piękna, by poświęcić jej część mojego życia. Słowa mylą, gdyż słowo "rozkosz" przykrywa rzeczywistości sprzeczne, mieści w sobie zarazem pojęcia ciepła, łagodności, bliskiej zażyłości ciał i pojęcia przemocy, agonii i krzyku. Sprośne zdanko Poseidoniosa o pocieraniu się dwóch części naskórka, które, widziałem, wypisywałeś ze starannością grzecznego dziecka w twoich szkolnych zeszytach, tyleż określa fenomen miłości, ile struna dotknięta palcem daje pojęcie o cudzie dźwięków. Ubliza nie tyle rozkoszy, ile samemu ciału, temu instrumentowi z mięśni, krwi i naskórka, tej czerwonej chmurze, której błyskawicą jest dusza.

I wyznaję, że rozum staje w pomieszeniu wobec samego cudu miłości, dziwnej obsesji, która sprawia, że ta sama materia cielesna, którą zajmujemy się tak mało, kiedy stanowi nasze własne ciało, o którą troszczymy się po to tylko, by ją umyć, nakarmić i, jeżeli można, nie dać jej cierpieć - może w nas wzbudzić tak namiętną potrzebę pieśczoły jedynie dlatego, że jest ożywiona osobowością odmienną od naszej i że, układając się w rysy twarzy, przedstawia jakieś piękno, co do którego zresztą i najlepsi sędziowie nie są w zgodzie. Tu ludzka logika pozostaje na zewnątrz jak w objawieniach misteriów. Nie omyliła się w tym względzie ludowa tradycja, która zawsze widziała w miłości formę wtajemniczenia, punkt, w którym spotyka się to, co sekretne i sakralne. Doświadczenie zmysłowe da się porównać z misteriami także i w tym, że pierwsze zbliżenie wydaje się niewtajemniczonemu rytuałem mniej lub bardziej przerażającym, gorsząco dalekim od znanych mu na co dzień czynności spania, picia i jedzenia, przedmiotem kpiny, wstydu albo zgrozy. Właśnie tak, jak taniec menad albo szal korybantów, nasza miłość pociąga nas w świat odmienny, w który kiedy indziej nie wolno nam wchodzić i w którym przestajemy poruszać się swobodnie, kiedy gaśnie zapał albo kończy się rozkosz. Przybity do kochanego ciała jak ukrzyżowany do swojego krzyża, dowiedziałem się o życiu kilku sekretów, które już mi w pamięci blakną, podlegając temu samemu prawu, które czyni, że ozdrowieniec przestaje się orientować w tajemniczych prawdach swojej choroby, że wypuszczony na wolność więzień zapomina o

męce, a otrzeźwiały triumfator o chwale.

Marzyło mi się czasem opracowanie systemu ludzkiego poznania opartego na erotyce, teorii kontaktu, w której tajemnica i godność Istoty Drugiej polegałaby właśnie na dawaniu memu Ja tego punktu oparcia z innego świata. Rozkosz zmysłowa byłaby w tej filozofii formą pełniejszą, a zarazem bardziej samoistną tego zbliżenia z Drugą Istotą, jeszcze jedną umiejętnością oddaną w służbę poznawania tego, co nie jest nami. Nawet w zbliżeniach najmniej zmysłowych to właśnie poprzez kontakt cielesny wzruszenie zamiera albo się rodzi: nieco odrażająca ręka tej staruszki, która mi podaje prośbę, wilgotne czoło mego konającego ojca, obmyta rana rannego. Nawet stosunki najbardziej intelektualne albo najbardziej obojętne dokonują się poprzez ten system sygnałów ciała: nagle rozjaśnione spojrzenie trybuna, któremu tłumaczysz manewr w ranek przed bitwą, bezosobowy ukłon podwładnego, któremu nasze pojawienie się każe zastygnąć w postawie posłuszeństwa, przyjazne spojrzenie niewolnika, któremu dziękuję za przyniesienie tacy, albo mina starego przyjaciela na widok greckiej kamei, którą mu daję, świadcząca o należyтым oszacowaniu jej wartości. Wobec większości istot najlżejsze, najbardziej powierzchowne kontakty czynią zadość naszej chęci, a nawet już przewyższają ją. Jeśli się uporczywie mnożą wokół istoty jedynej, póki jej nie otoczą całkowicie, jeśli każda cząstka czyjegoś ciała przyobleka się dla nas w tyleż wstrząsających znaczeń co i rysy twarzy; jeśli jedno stworzenie miast wzbudzać w nas co najwyżej rozdrażnienie, przyjemność albo nudę prześladowuje nas jak muzyka i nęka jak matematyczne zadanie; jeśli przejdzie z peryferyj naszego świata w jego centrum, stanie się nam, nareszcie, bardziej nieodzowne niż nasze własne Ja - to znaczy, że zadziwiający cud stał się, cud, w którym widzę w o wiele większym stopniu o władnięcie ciała duchem niż zwykłą igraszkę ciała.

Takie zapatrywania na miłość mogłyby prowadzić do kariery uwodziciela. Jeśli ja nie zrobił, to dlatego zapewne, że robił coś innego, coś lepszego może. W braku geniuszu taka kariera wymaga starań, nawet i podstępów, do których nie bardzo się czułem uzdolniony. To zastawianie wciąż tych samych sideł, ta rutyna poprzestająca na wiecznym przybliżaniu się, które samo zwycięstwo ogranicza, wszystko to mnie znużyło. Technika wielkiego uwodziciela wymaga w przechodzeniu z przedmiotu na przedmiot łatwości, obojętności, których wobec nich nie mam: w każdym razie częściej one mnie rzucały niż ja je; nigdy nie rozumiałem, jak można się jakąś istotą nasycić. Chęć dokładnego obliczenia bogactw, jakie nam każda nowa miłość przynosi, chęć patrzenia, jak się zmieniają, jak się, być może, starzeją, nie idzie w parze z mnogością zdobyczy. Niegdyś przypuszczałem, że niejaki zamiłowanie do piękna zastąpi mi cnotę, potrafi mnie uodpornić na nazbyt pospolite zabiegi.

Alem się omylił. Miłośnik piękna kończy na odnajdywaniu go wszędzie, złotej żyłki w najpodlejszych żyłach; na doznawaniu, kiedy bierze do ręki te arcydzieła szczątkowe, pobrudzone albo potłuczone, przyjemności znawcy, który jeden jedyny kolekcjonuje wyroby garncarskie uznawane za pospolite. Poważniejszą dla człowieka mającego dobry smak przeszkodą jest wybitna pozycja w układzie spraw ludzkich i owo ryzyko pochlebstwa albo kłamstwa, jakie w sobie mieści niemal absolutna potęga. Myśl, że ktoś, choćby w najmniejszej mierze, sztucznie zmienia się w mojej obecności, jest zdolna sprawić, bym go żałował, gardził nim albo go zniechęcił. Cierpiałem od tych niedogodności mojej szczęśliwej doli jak ubogi od niedogodności swojej nędzy. Jeszcze krok, a byłbym uległ fikcji, która polega na przypuszczeniu, że czarujesz, wówczas gdy wiesz, że się narzucasz. Zaś tam zacząć się może obrzydzenie, a nawet i głupota.

I, nareszcie, od zwietrzałych podstępów oczarowywania wolałoby się całkiem proste prawdy rozpusty, gdyby tam także nie władało kłamstwo. W zasadzie jestem gotów zgodzić się, że prostytutka jest sztuką jak masaż albo czesanie, ale już mi trudno znaleźć upodobanie w bytności u fryzjera czy u masażysty. Nic tak grubiańskiego jak współnicy. Spojrzenie spod oka oberżysty, który dla mnie chowa najlepsze wino, a przez to samo pozbawia go kogoś innego, wystarczało w czasach mojej młodości, by mi zbrzydzić rozrywki Rzymu. Niemilo mi, kiedy jakiś stwór sądzi, iż jest w stanie dyskutować moje pragnienie, przewidzieć je, mechanicznie dostosować się do tego, co uważa za mój wybór. To głupie i zniekształcone odbicie mnie samego, jakie pokazuje mi w takich chwilach ludzki mózg, mogłoby sprawić, że już wolałbym smutne skutki ascetyzmu. Jeśli legenda nie wyolbrzymia obłąkańczych wyskoków Nerona, kunsztownych doświadczeń Tyberiusza, ci wielcy konsumenci rozkoszy musieli widać mieć zmysły mocno niemrawe, jeśli się wysilali na tak skomplikowane przedsięwzięcia, i musieli niezwykle gardzić ludźmi, by ścierpieć, że wyszydzą i wykorzystują ich. Wszelako, żem się prawie że wyrzekł tych zbyt machinalnych form rozkoszy albo żem w nich nie zaszedł za daleko, zawdzięczam raczej memu szczęściu niż cnotcie, niezdolnej się czemukolwiek oprzeć. Mógłbym w to popaść na starość jak i w każdy inny rodzaj zmęczenia albo nieładu. Choroba i stosunkowo bliska śmierć ocalały mnie od monotonnego powtarzania tych samych gestów, podobnego do wydawania lekcji za dobrze wyuczonej na pamięć. Ze wszystkich radości, jakie mnie powoli opuszczają, sen jest jedną z najcenniejszych, a też i najpowszechniejszych. Człowiek, który źle i mało sypia, oparty na licznych poduszkach, ma kiedy medytować o tej osobliwej rozkoszy. Przyznaję, że sen najdoskonalszy jest niemal koniecznym dodatkiem do miłości: rozważny odpoczynek odzwierciedlający się w dwóch ciałach. Ale tu interesuje mnie specyficzna tajemnica snu

zażywanego dla samego spania, nieuniknione nurkowanie, na jakie się odważa co wieczora człowiek nagi, sam i bezbronny, w oceanie, w którym się wszystko zmienia, barwy, gęstości, nawet rytm oddechu, i w którym spotykamy zmarłych. Uspokaja nas co do snu to, że się z niego wychodzi i że się wychodzi nie zmienionym, ponieważ przedziwny zakaz nie pozwala nam zabierać ze sobą całej pozostałości naszych marzeń sennych. Uspokaja nas i to także, że sen leczy ze zmęczenia, ale leczy nas z niego na pewien czas, metodą najradykałniejszą, urządzając się tak, żeby nas nie było. Tu, jak i wszędzie, przyjemność i sztuka polegają na świadomym poddaniu się tej błogosławionej nieświadomości, na zgodzie na to, by być tak subtelnie słabszym, cięższym, lżejszym, bardziej zatartym, niż się jest. Później pomówię jeszcze o zadziwiającym pleminiu sennych marzeń. Teraz wolę mówić o pewnych doświadczeniach czystego spania, czystego budzenia się, które graniczą ze śmiercią i ze zmartwychwstaniem. Postaram się odtworzyć dokładne wrażenie porażających jak grom snów młodości, kiedy człowiek zasypiał nad książkami, w ubraniu, i zostawał nagle przeniesiony z matematyki i prawa do wnętrza snu mocnego i pełnego, tak wypełnionego nie użytą energią, że się w nim kosztowało, by tak rzec, czystej esencji bytu poprzez zamknięte powieki. Wspominam nagle uśnięcie na gołej ziemi, w lesie, po męczącym dniu łowów; budziło mnie szczekanie psów albo ich łapy postawione na mojej piersi. Tak całkowite było odejście, że za każdym razem mógłbym się obudzić kim innym, i dziwiłem się, a czasem bywało mi smutno, że to bezbłędnie działające urządzenie sprowadzało mnie z tak daleka do tej ciasnej działki ludzkości, jaką jestem ja sam. Czymże były te cechy szczególne, na których nam najbardziej zależy, jeśli liczyły się tak mało dla swobodnego śpiącego i jeśli na sekundę przed powrotem z żalem w skórę Hadriana udało mi się rozkoszować nieledwie ze świadomie tym człowiekiem pustym, tym istnieniem bez przeszłości?

Skądinąd choroba, wiek też mają swoje cudowności i otrzymują od snu inne formy błogosławieństwa. Przed rokiem mniej więcej, po dniu szczególnie nużącym, w Rzymie, zaznałem wytchnienia, w którym wyczerpanie sił zdziało te same cuda - albo raczej inne cuda niż niegdyś niewyczerpane tych sił zasoby. Rzadko teraz bywam w mieście; starałem się załatwić tam najwięcej, ile da się. Dzień był niezwykle wypełniony: po posiedzeniu w Senacie posiedzenie w trybunale, potem arcydługa dyskusja z jednym z kwestorów; po czym uroczystość religijna, której nie można skrócić i w czasie której padał deszcz. Ja sam zebrałem, sam skleciłem w całość te wszystkie różne zajęcia, żeby zostawić między nimi możliwie najmniej czasu niepotrzebnym natrętom i pochlebcom. Powrót konno był jedną z moich ostatnich takich jazd. Wróciłem do Willi z niesmakiem, chory, zziębnięty, jak się ziębnie, kiedy krew wzdraga się i już nie działa w naszych żyłach. Celer i Chabrias krzatali

się przy mnie, ale troskliwość może być męcząca, nawet kiedy jest szczerą. W mojej sypialni przełknąłem kilka łyżek gorącego kleiku, który gotowałem sam nie przez podejrzliwość, jak wyobrażano sobie, ale dlatego że w ten sposób fundowałem sobie luksus samotności. Położyłem się; sen wydawał się tak ode mnie daleki jak zdrowie, jak młodość, jak siła. Usnąłem. Piasek w klepsydrze mi dowiódł, że spałem ledwie godzinę. Krótka chwila całkowitego uśpienia w moim wieku staje się ekwiwalentem spania, które niegdyś trwało przez całe pół obiegu gwiazd; mój czas mierzy się teraz w dużo mniejszych jednostkach. Ale jedna godzina starczyła, by dokonać skromnego i zadziwiającego cudu: ciepło krwi grzało mi ręce; serce, płuca znów pracowały z czymś na kształt dobrej woli; życie ciekło jak źródło niezbyt obfite, ale wierne. Sen w tak krótkim czasie naprawił skutki mojej cnoty z taką samą bezstronnością, z jaką naprawiałby skutki wybryków moich występków. Bowiem boskość wielkiego odnowiciela na tym polega, że "jego dobrodziejstwa dokonują się na śpiącym, nie bacząc, kim on jest, tak jak woda mająca właściwości lecznicze nie dba o to, kto pije z jej źródła.

Myślimy zaś tak mało o zjawisku, które wchłania najmniej trzecią część całego życia, dlatego że potrzebna jest pewna skromność, by jego łaski ocenić. Uśpieni, Kajus Kaligula i sprawiedliwy Arystydes są tyleż samo warci; odkładam moje próżne i ważne przywileje; nie różnię się od czarnego wartownika, który śpi w poprzek mego progu. Czymże jest nasza bezsenność, jeśli nie maniackim uporem naszej inteligencji w fabrykowaniu myśli, ciągów rozumowania, sylogizmów i definicji jej tylko właściwych, jeśli nie jej odmową zrzeczenia się władzy na korzyść boskiej głupoty zamkniętych oczu albo rozumnego szaleństwa snów? Człowiek, który nie śpi, a od kilku miesięcy mam aż za wiele okazji sprawdzenia tego na sobie, wzbrania się bardziej lub mniej świadomie zaufać płynącemu potokowi dziejących się rzeczy. Brat Śmierci... Isokrates omylił się i jego określenie jest tylko retoryczną amplifikacją. Zaczynam poznawać śmierć; ma inne sekrety, jeszcze dziwniejsze dla naszej obecnej ludzkiej kondycji. A jednak tak zwikłane, tak głębokie są te tajemnice nieobecności i częściowego zapomnienia, że czujemy, iż gdzieś spływają się w jedno źródło białe i źródło czarne. Nigdy nie patrzyłem chętnie, jak śpią ci, których kochałem; odpoczywali ode mnie, to wiem; a także wymykali mi się. I każdy człowiek wstydzi się swojej twarzy splamionej snem. Ileż to razy, wstawszy bardzo wcześnie, żeby się uczyć albo czytać, sam poprawiałem te zmięte poduszki, te rozrzucone przykrycia, ślady nieledwie sprośne naszych spotkań z nicością, dowody, że każdej nocy nas tu już nie ma...

Powoli, powoli ten list po to zaczęty, by ci donieść o postępach mojej choroby, stał się wytchnieniem dla człowieka, który już nie ma energii potrzebnej do zajmowania się przez czas dłuższy sprawami państwa, pisaną medytacją chorego, który słucha swoich wspomnień. Mam teraz zamiar zrobić coś więcej: postanowiłem opowiedzieć ci moje życie. Racja, ułożyłem w zeszłym roku oficjalne sprawozdanie z moich postępów, w którego nagłówku umieścił swoje nazwisko mój sekretarz Flegon. Kłamałem tam, ile się dało najmniej. Dobro publiczne i przyzwoitość zmusiły mnie wszelako do zmieniania układu pewnych faktów. Prawda, którą chcę tutaj pokazać, nie jest szczególnie skandaliczna albo jest nią tylko w tym stopniu, w jakim każda prawda jest skandalem. Nie spodziewam się, że twoje siedemnaście lat coś z tego zrozumieją. Chcę cię jednak pouczyć, może i urazić. Twoi preceptorzy, których sam wybrałem, dali ci edukację surową, kontrolowaną, za bardzo może chronioną, po której się w sumie spodziewam dużo dobrego dla ciebie i dla państwa. Daję ci tu, jako korektywę, opowieść pozbawioną z góry powziętych myśli i abstrakcyjnych zasad, wyciągniętą z doświadczenia jednego człowieka, którym jestem ja sam. Nie wiem, do jakich wniosków doprowadzi mnie to opowiadanie. Liczę na to badanie faktów, żeby się samemu określić, może i osądzić, a przynajmniej, żeby się samemu poznać lepiej przed śmiercią.

Jak wszyscy, mam na swe usługi tylko trzy sposoby oceny ludzkiej egzystencji: badanie siebie, najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą, ale też i najpłodniejszą z metod; obserwację ludzi, którzy tak postępują najczęściej, by ukryć przed nami swe sekrety albo kazać nam wierzyć, że je mają; oraz książki, z osobliwymi błędami perspektywy, które rodzą się między wierszami. Przeczytałem mniej więcej wszystko, co nasi historycy, nasi poeci, a nawet i nasi noweliści napisali, choć ci ostatni mają reputację frywolnych, i zawdzięczam im, być może, więcej informacji, niżli im zebrał w rozmaitych sytuacjach własnego życia. Litera pisana nauczyła mnie słuchać ludzkiego głosu, jak i wielkie nieruchome posągi w zastygłym ruchu nauczyły mnie cenić gest. I w następstwie, odwrotnie, życie wyjaśniało mi książki.

Ale one kłamią, nawet i najszczerze. Najmniej zręczni, w braku słów i zdań, w których mogliby je zamknąć, biorą z życia obraz płaski i ubogi; inni, jak Lukan, obciążają je i oszpecają uroczystą powagą, jakiej życie nie ma. Inni, jak Petroniusz, przeciwnie, odciążają je, robią z niego piłkę skaczącą i pustą, łatwą do złapania i rzucenia we wszechświat pozbawiony ciężaru. Poeci przenoszą nas w świat szerszy albo piękniejszy, płomienniejszy albo łagodniejszy niż ten, który jest nam dany, a przez to samo odmienny i w praktyce niemal nie do zamieszkania. Filozofowie poddają rzeczywistość, chcąc móc ją badać czystą, niemal takim samym przekształceniom, jakim ogień albo stępor poddają ciała: ze stworzenia czy z

faktu, takich, jakie znaleźliśmy, nic chyba nie zostaje w tych kryształach czy w tym popiele. Historycy proponują nam zbyt całkowite systemy przeszłości, serie przyczyn i skutków zbyt ścisłych i zbyt jasnych, by mogły być rzeczywiście prawdziwe; porządkują tę cierpliwą martwą materię i wiem, że nawet Plutarchowi zawsze się wymknie Aleksander. Noweliści, autorzy opowieści milezyjskich, niczym rzeźnicy wiatraków tylko kawałeczki mięsa, które bardzo sobie cenią muchy. Bardzo źle czułbym się w świecie bez książek, ale rzeczywistości w książkach nie ma, bo się w nich w całości nie mieści.

Bezpośrednia obserwacja ludzi jest metodą jeszcze mniej kompletną, ograniczającą się najczęściej do dość przyziemnych stwierdzeń, jakimi się karmi ludzka niezyczliwość. Ranga, pozycja, nasze wszystkie przypadki zacieśniają pole widzenia znawcy ludzi: mój niewolnik, żeby mnie obserwować, ma całkiem inne możliwości od tych, jakie ja mam, żeby obserwować jego; są one tak samo ulotne jak moje. Stary Euforion podaje mi od dwudziestu lat flakon z oliwą i gąbkę, ale moja znajomość jego zatrzymuje się na jego służbie, jego zaś znajomość mnie - na mojej kąpieli, i wszelkie usiłowanie dowiedzenia się czegoś więcej szybko robi wrażenie niedyskrecji tak na cesarzu, jak i na niewolniku. Niemal wszystko, co wiemy o innych, jest z drugiej ręki. Jeśli przypadkiem człowiek spowiada się, broni swojej sprawy; jego własna apologia jest już gotowa. Jeśli go obserwujemy, nie jest sam. Zarzucano mi, że lubię czytać raporty rzymskiej policji; znajduję tam nieustannie powody do zdziwienia; przyjaciele czy podejrzani, nieznajomi czy znajomi z dawna, ludzie ci mnie zadziwiają; ich szaleństwa służą moim za usprawiedliwienie. Nieznużenie porównuje człowieka odzianego z człowiekiem nagim. Ale te raporty, tak naiwne w szczegółach, powiększają stosy moich akt bynajmniej nie pomagając mi w wydaniu końcowego werdyktu. To, że jakiś urzędnik, z pozoru tak surowy, popełnił zbrodnię, bynajmniej nie pozwala mi go poznać lepiej. Zostaję z taką chwilą postawiony wobec dwu zjawisk zamiast jednego, pozoru urzędnika i jego zbrodni.

Jeśli zaś idzie o obserwowanie siebie, zmuszam się do tego choćby po to, by dojść do ładu z osobnikiem, przy którym będę musiał żyć aż do końca, ale nawet blisko sześćdziesięcioletnia zażyłość jeszcze kryje w sobie duże możliwości omyłki. W znaczeniu najgłębszym - moja znajomość siebie jest niejasna, zewnętrzna, niesformułowana, okryta tajemnicą jak współnictwo w zbrodni. W znaczeniu najbardziej bezosobowym - jest tak chłodna jak teorie cyfr, które wypracować byłbym w stanie: zużywam moją całą inteligencję na oglądanie - z położonego najdalej i najwyżej punktu - mego życia, które staje się wówczas życiem cudzym. Ale te dwie metody poznawania są trudne i wymagają jedna - zejścia w siebie, druga - wyjścia poza siebie. Przez bezwład staram się, jak wszyscy, zastąpić je

środkami najczystszej rutyny, ideą mego życia częściowo zmodyfikowaną przez ten jego obraz, jaki sobie tworzy ogół, przez sądy gotowe, czyli źle przykrojone jak gotowy patron, do którego niezdarny krawiec pracowicie przypasowuje materiał będący naszą własnością. Ekwipunek nierównej wartości; narzędzia bardziej albo mniej stępione; ale innych nie mam: to nimi obrabiam sobie, jak mogę, koncepcję mego ludzkiego przeznaczenia.

Kiedy się przypatruję memu życiu, jestem przerażony znajdując je niekształtnym. Egzystencja bohaterów, jak z opowieści wynika, jest prosta; zmierza wprost do celu, jak strzała. I przeważnie ludzie lubią streszczać swoje życie w jednej formule, czasem w przechwałce albo w skardze, prawie zawsze we wzajemnym oskarżeniu; ich pamięć fabrykuje im usłudnie egzystencję wytłumaczalną i jasną. Moje życie ma mniej wyraźne kontury. Jak się często zdarza, to, czym nie byłem, być może określa je z większą ścisłością: dobry żołnierz, ale bynajmniej nie wielki bojownik, amator sztuk, ale bynajmniej nie ów artysta, którym Neron czuł się w chwili śmierci, zdolny do zbrodni, ale nie obciążony zbrodniami. Zdarza mi się myśleć, że ludzi wielkich znamionuje właśnie ich pozycja najdalej wysunięta, gdzie utrzymywanie się przez całe życie jest ich heroizmem. Są naszymi biegunami albo antypodami. Zajmowałem kolejno wszystkie pozycje najdalej wysunięte, ale na nich nie utrzymałem; życie zawsze sprawiało, że z nich ześliznąłem. Choć nie mogę również, jak cnotliwy oracz albo tragarz, chęłpić się egzystencją, której miejsce przypadło pośrodku.

Krajobraz moich dni wydaje się składać, jak okolice górskie, z różnych materiałów porozrzucanych bezładnie. Spotykam tam moją naturę, już też złożoną, uformowaną w równej mierze z instynktu i kultury. Tu i ówdzie sterczą granity nieuniknione; wszędzie zwaliska przypadku. Wysiłam się, by jeszcze raz przemierzyć moje życie po to, żeby w nim odnaleźć jego ośnowę, wyśledzić żyłę ołowiu czy złota albo nurt podziemnej rzeki, ale ta ośnowa, całkowicie sztuczna, jest tylko optycznym złudzeniem wspomnienia. Od czasu do czasu w spotkaniu, wróżbie, określonym następstwie wydarzeń poznaję, zdaje mi się, zrządzenie losu, ale zbyt wiele dróg wiedzie donikąd, zbyt wiele sum nie da się do siebie dodać. Owszem, dostrzegam w tej różnorodności, w tym nieładzie obecność osoby, ale jej kształt wydaje się prawie zawsze uzależniony od splotu okoliczności; jej rysy mącą się jak obraz odbity w wodzie. Nie należę do tych, którzy mówią, że ich czyny nie są do nich podobne; muszą być podobne, skoro są moją jedyną miarą i jedynym sposobem wrycia się w pamięć ludzi, a nawet i w moją własną pamięć; skoro, być może, właśnie niemożliwość dalszego wyrażania i zmieniania siebie przez działanie stanowi różnicę między stanem umarłego i stanem żyjącego. Ale między mną i tymi czynami, z których jestem uczyniony, jest jakiś nieokreślony rozdział. Czego dowodem, że ustawicznie czuję potrzebę ważenia ich,

tłumaczenia, zdawania z nich sprawy samemu sobie. Niektóre prace, trwające krótko, na pewno można zlekceważyć, ale zajęcia rozciągające się na całe życie znaczą nieraz nie więcej. Na przykład w chwili, w której to piszę, wydaje mi się mało istotne, że byłem cesarzem. Trzy czwarte mego życia wymykają się zresztą określeniu przez czyny: masa moich zachcianek, pragnień, moich projektów nawet pozostaje tak mglista i niepochwytana, jak widmo. Reszta, część dotykalna, bardziej lub mniej uwiarygodniona przez fakty, jest ledwie że trochę wyraźniejsza, sekwencja zaś wydarzeń jest tak mętna jak sekwencja snów. Mam swoją własną chronologię, niemożliwą do uzgodnienia z tą, która opiera się na założeniu Rzymu, albo z erą Olimpiad. Piętnaście lat w wojsku trwały krócej niż jeden ranek w Atenach; są ludzie, u których bywałem przez całe życie i których nie poznam w Hadesie. Plany przestrzeni też zachodzą na siebie: Egipt i dolina Tempe są bardzo sobie bliskie i nie zawsze jestem w Tiburze, kiedy tam jestem. Niekiedy moje życie wydaje mi się banalne do tego stopnia, że niewarte nie tylko opisania, ale nawet i dłuższej kontemplacji, wcale nie ważniejsze, nawet dla mnie, niż życie byle przechodnia. Niekiedy wydaje mi się wyjątkowe, jedyne, a przez to samo bez wartości, niepotrzebne, bo nie dające się zredukować do doświadczenia ogółu ludzi. Nic mnie nie tłumaczy: moje wady i cnoty nie wystarczają na to żadną miarą; moje szczęście już bardziej, ale z przerwami, nie ciągle, a zwłaszcza bez godziwej przyczyny. Ale umysł ludzki wzdraga się przed przyjęciem siebie z rąk przypadku, przed uznaniem się tylko za przemijający przedmiot zbiegów okoliczności, którymi nie kieruje żaden bóg, a zwłaszcza nie on sam. Część każdego życia, i to nawet każdego życia bardzo mało godnego oglądania, upływa na poszukiwaniu racji istnienia, punktów wyjścia, źródeł. Właśnie moja bezsilność w ich wykrywaniu kazała mi się czasem skłaniać ku wytłumaczeniom magicznym, szukać w majaczeniach okultyzmu tego, czego mi prosty rozsądek nie dawał. Kiedy wszystkie skomplikowane rachunki okazują się fałszywe, kiedy sami filozofowie nic już nam nie mają do powiedzenia, wolno przecież zwrócić się do przypadkowego szczebiotania ptaków albo do dalekiej przeciwwagi gwiazd.

VARIUS MULTIPLEX MULTIFORMIS

Marullinus, mój dziadek, wierzył w gwiazdy. Ten wysoki starzec, wyschły i poźółkły wskutek wieku, w takim samym stopniu okazywał mi przywiązanie - bez czułości, bez oznak zewnętrznych, niemal bez słów - co zwierzętom w swojej posiadłości, swojej ziemi, swojej kolekcji kamieni spadłych z nieba. Pochodził z długiej linii przodków osiadłych w Hiszpanii od czasów Scypionów. Był z rangi senatorem, trzecim tego imienia; aż do tamtej pory nasza rodzina należała do stanu ekwitów. Brał udział, zresztą skromny, w sprawach publicznych za Tytusa. Ten prowincjusz nie znał greki i mówił po łacinie z chrypliwym hiszpańskim akcentem, który mi przekazał i który później budził śmiech. Jego umysł nie był wszakże całkiem nieokrzesany; znaleziono u niego, po jego śmierci, kufer pełen matematycznych przyrządów i książek, których nie tykał od dwudziestu lat. Miał swoje wiadomości, półnaukowe, półchłopskie, mieszaninę ciasnych przesądów i starej mądrości, co charakteryzowało i starego Katona. Ale Katon był przez całe swoje życie człowiekiem rzymskiego Senatu i wojny kartagińskiej, doskonałym przedstawicielem twardego Rzymu republikańskiego. Twardość bez mała nieprzenikalna Marullinusa brała się z odleglejszych źródeł, z epok bardziej starożytnych. Był to człowiek plemienia, inkarnacja świata świętego i niemal przerażającego, którego szczątki znajdowałem czasami w naszych etruskich nekromantach. Chodził zawsze z gołą głową, co i ja czyniłem, mimo krytyk; jego zrogowaciałe stopy obydwały się bez sandałów. Jego odzież na dnię powszednie ledwie odróżniała się od odzieży starych żebraków czy poważnych dzierżawców wysiadujących w kucki na słońcu. Mówiono, że jest czarownikiem, i wieśniacy starali się unikać jego spojrzenia. Ale miał niezwykłą władzę nad zwierzętami. Widywałem, jak jego stara głowa zbliżała się ostrożnie, przyjaźnie do gniazda żmij, jak jego sękate palce wykonywały przed jaszczurką coś na kształt tańca. Zabierał mnie podczas letnich nocy na obserwowanie nieba ze szczytu jałowego wzgórza. Zasypiałem w bruździe, zmęczony liczeniem meteorów. On siedział, ze wzniesioną głową, obracającą się nieznacznie razem z gwiazdami. Musiał znać systemy Fijolaosa i Hipparcha, i system Arystarcha z Samos, który mnie później bardziej przypadł do przekonania, ale te spekulacje już go nie interesowały. Gwiazdy były dla niego płonącymi punkcikami, przedmiotami jak kamienie i niemrawe owady, z których również wyczytywał przepowiednie, składowymi częściami magicznego wszechświata, który mieścił w sobie także postanowienia bogów, wpływ demonów i cząstkę zachowaną dla ludzi. Zestawił horoskop mego wielkiego przeznaczenia. Pewnej nocy podszedł do mnie, potrząsnął mną, żeby mnie zbudzić, i oznajmił mi, z taką samą burkliwą lakonicznością, z jaką przepowiedziałby bogate plony ludziom z folwarku, że będę panował nad światem. Po czym, tknięty niedowierzaniem, wziął z małego ogniska, które palił, żeby nas grzało podczas

zimnych godzin, płonąca gałązkę winorośli, zbliżył ją do mojej ręki i wyczytał z pulchnej dłoni jedenastoletniego dziecka nie wiem jakie potwierdzenie linii zapisanych na niebie. Świat był dla niego jedną całością; ręka potwierdzała gwiazdy. Jego nowina wstrząsnęła mną mniej, niżby można przypuścić: dla dziecka wszystko jest możliwe. Później, myślę, zapomniał o własnym proroctwie, uległ obojętności na zdarzenia obecne i przyszłe, właściwej wiekowi sędziwemu. Znalaziono go pewnego ranka w kasztanowym lesie, na krańcach posiadłości, już zimnego i podziobanego przez drapieżne ptaki. Przed śmiercią próbował nauczyć mnie swojej sztuki. Bez powodzenia; moja naturalna ciekawość przeskakiwała od razu do wniosków, nie przekopując się uciążliwie przez zawile i nieco odrażające szczegóły jego wiedzy. Ale zamiłowanie do pewnych niebezpiecznych doświadczeń aż za bardzo mi zostało.

Mój ojciec, Eliusz Afer Hadrian, był człowiekiem przytłoczonym cnotami. Jego życie minęło na nie dającym sławy urzędowaniu; jego głos nigdy się nie liczył w Senacie. Odwrotnie, niż się to zwykle zdarza, zarządzanie Afryką nie wzbogaciło go. U nas, w naszym hiszpańskim municypium Italice, marnował siły na porządkowanie miejscowych konfliktów. Był bez ambicji, bez radości i, jak wielu ludzi, którzy z roku na rok coraz bardziej schodzą na ubocze, doszedł do maniackiej skrupulatności w drobiazgach, do których się ograniczył. Ja sam też poznałem te szacowne pokusy dokładności i skrupulatności. Doświadczenie rozwinęło w moim ojcu wobec wszystkich stworzeń niezwykle sceptycyzm, w który włączył i mnie, już jako małe dziecko. Moje sukcesy, gdyby był ich świadkiem, bynajmniej by go nie olśniły; rodowa pycha była tak potężna, że nie uznano by, iż ja mogę coś jeszcze dodać do tej chwały. Miałem dwanaście lat, kiedy ten przepracowany człowiek odszedł od nas. Moja matka zamknęła się na całe życie w surowym wdowieństwie; nie widziałem jej więcej od dnia, w którym, wezwany przez mego opiekuna, wyjechałem do Rzymu. Po jej podłużnej twarzy hiszpańskiej, na której malowała się nieco melancholijna słodycz, zachowałem wspomnienie wspomóżone przez woskowe popiersie ze ściany przodków. Z cór Kadyksu miała małe stopy w wąskich sandałach, a w postaci tej młodej, nieskazitelnej matrony można było odnaleźć miękkie kołysanie się bioder tancerek z tej okolicy.

Często rozmyślałem, jaką popełniamy omyłkę przypuszczając, że człowiek, rodzina nieuchronnie biorą udział w poglądach albo wydarzeniach czasów, w jakich im wypadło żyć. Oddźwięki rzymskich intryg niemal nie dobiegały do moich rodziców w tym zakątku Hiszpanii, chociaż w okresie buntu przeciwko Neronowi dziadek udzielił na jedną noc gościny Galbie. Żył się wspomnieniem niejakiego Fabiusza Hadriana, spalonego żywcem przez Kartagińczyków podczas oblężenia Utyki, i drugiego Fabiusza, pechowego żołnierza,

który ścigał Mitrydatesa po drogach Azji Mniejszej, nieznanego bohatera z prywatnych archiwów chwały. Pisarzy współczesnych mój ojciec nie znał prawie wcale: Lukan i Seneka byli mu obcy, choć jak my wywodzili się z Hiszpanii. Mój stryjeczny dziad Eliusz, który był wykształcony, poprzestawał w swych lekturach na autorach najbardziej znanych ze stulecia Augusta. Ta wzdarda dla współczesnych mód oszczędziła im wielu omyłek smaku; jej zawdzięczali uniknięcie wszelkiej emfazy. Hellenizm i Wschód były nieznanne albo przypatrywano się im z daleka, surowo marszcząc brwi; na całym półwyspie nie było, zdaje mi się, ani jednego dobrego greckiego posągu. Oszczędność szła w parze z zamożnością; pewne prostactwo z powagą nieledwie pompatyczną. Moja siostra Paulina była poważna, milcząca, ponura i wyszła za mąż młodo za starca. Surowo przestrzegano prawości, ale wobec niewolników było się twardym. Nikt nie był niczego ciekaw; pilnowano się, by myśleć o wszystkim to, co przystało obywatelowi rzymskiemu. Tylu cnót, jeśli są to oczywiście cnoty, ja będę marnotrawcą.

Oficjalny konwenans wymaga, żeby cesarz rzymski urodził się w Rzymie, ale ja urodziłem się w Italice; to ponad ten kraj, suchy, a przecież żyzny, przekładałem później tyle okolic świata. Konwenans głupi nie jest: dowodzi, że postanowienia umysłu i woli mają przewagę nad okolicznościami. Prawdziwym miejscem urodzenia jest to, w którym się po raz pierwszy rozumnie spojrzano na siebie: moimi pierwszymi ojczyznami były książki. W mniejszym stopniu - szkoły. Na szkołach hiszpańskich zaważyły skutki prowincjonalnej swobody. Szkoła Terencjusza Skaurusa w Rzymie miernie uczyła filozofów i poetów, ale przygotowywała nieźle do zmiennych kolei ludzkiej egzystencji: nauczyciele stosowali wobec uczniów tyranie, jaką wstydzilibym się narzucić ludziom; każdy, zamknięty w wąskich granicach swojej wiedzy, gardził kolegami, którzy, w równie ograniczony sposób, umieli coś innego. Ci pedanci chrypli w słownych dysputach. Kłótnie o pierwszeństwo, intrygi, potwarze oswoiły mnie z tym, co miałem później spotykać we wszystkich społecznościach, w jakich żyłem, a dochodziła jeszcze do tego dziecięca brutalność. A jednak kochałem moich niektórych nauczycieli i te stosunki, tak dziwnie intymne i dziwnie wykrętne, jakie istnieją między profesorem i uczniem, i Syreny, których śpiew odzywa się nagle w osłabłym już głosie, po raz pierwszy odkrywającym wam arcydzieło albo odsłaniającym nową myśl. Największy uwodziciel to w końcu nie Alcybiades, to Sokrates.

Metody gramatyków i retorów są, być może, mniej niedorzeczne, niż to myślałem w epoce, w której musiałem się im podporządkować. Gramatyka, połączenie logicznej reguły i dowolnego obyczaju, daje młodemu umysłowi przedsmak tego, czym dlań będą później nauki o ludzkim postępowaniu, prawo czy moralność, wszystkie systemy, w których człowiek

skodyfikował swoje instynktowne doświadczenie. Zaś ćwiczenia z retoryki, kiedy bywaliśmy kolejno Kserksesem i Temistoklesem, Oktawianem i Markiem Antoniuszem, upajały mnie; czułem się niczym Proteusz. Nauczyły mnie wchodzić po kolei w myśl każdego człowieka, rozumieć, że każdy decyduje, żyje i umiera podług swoich własnych praw. Lektura poetów miała skutki jeszcze bardziej wstrząsające; nie jestem pewny, czy odkrycie miłości koniecznie musi być rozkoszniejsze niż odkrycie poezji. Poezja przemieniła mnie: wtajemniczenie w śmierć nie wprowadzi mnie dalej w świat inny niż któryś zmierzch Wergiliusza. Później wolałem szorstkość Eniusza, tak bliskiego świętym początkom ludzkiego plemienia, albo mądrą gorycz Lukrecjusza, albo, od szlachetnej swobody Homera, pokorną oszczędność Hezjoda. Najwięcej lubiłem poetów najbardziej zawiłych i najbardziej niejasnych, którzy zmuszają moją myśl do najtrudniejszej gimnastyki, najnowszych albo najdawniejszych, tych, którzy mi torują drogi całkiem nowe albo pomagają odnaleźć zaginione szlaki. Ale w tamtym czasie lubiłem, zwłaszcza w sztuce układania wierszy, to, co najbezpośredniej podpada pod zmysły: polerowany metal Horacego, Owidiusza i jego cielesną miękkość. Skaurus wtrącił mnie w rozpacz dowodząc mi, że będę zawsze tylko bardzo przeciętnym poetą: niedostawało daru i pilności. Długo sądziłem, że się mylił: mam gdzieś pod kluczem jeden czy dwa tomiki miłosnych wierszy, najczęściej naśladowanych z Katulla. Ale teraz mało dbam o to, czy moje własne utwory są okropne, czy nie. Będę aż po kres moich dni wdzięczny Skaurusowi za to, że wcześniej kazał mi się uczyć greckiego. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy po raz pierwszy próbowałem pisać rylcem litery nieznanego alfabetu: zaczęły się moje wielkie wyobcowanie i moje wielkie podróże, i uczucie wyboru tak umyślnego i tak mimowolnego jak miłość. Polubiłem ten język za jego giętkość doskonale zdrowego ciała, za bogactwo słownika, gdzie każde słowo potwierdza bezpośrednia i różnorodna styczność z rzeczami, i dlatego że bez mała wszystko, co ludzie powiedzieli najlepszego, zostało powiedziane po grecku. Są inne języki, wiem: są skamieniałe albo dopiero mają się narodzić. Kapłani egipscy pokazywali mi swoje starożytne symbole, bardziej znaki niż słowa, bardzo dawne usiłowania klasyfikacji świata i rzeczy, grobowcową mowę umarłego plemienia. Podczas wojny żydowskiej Rabbi Jozua tłumaczył mi dosłownie niektóre teksty w tym języku sekciarzy, tak opętanych przez swojego boga, że zapomnieli o tym, co ludzkie. Oswoiłem się w wojsku z językiem celtyckich żołnierzy; zapamiętałem zwłaszcza niektóre pieśni... Ale wartość tych barbarzyńskich narzeczy polega najwyżej na rezerwach, jakie dla ludzkiego słowa stanowią, i na tym, co bez wątplenia wyrażą w przyszłości. Grecki, przeciwnie, ma już za sobą skarby doświadczenia, doświadczenia człowieka i doświadczenia państwa. Od jońskich tyranów po ateńskich demagogów, od czystej surowości Agesilaosa po szaleństwo Dionizjosa czy

Demetriosą, od zdrady Demarata po wierność Filopojmena, wszystko, co każdy z nas może przedsięwziąć, żeby zaszkodzić swoim bliźnim albo pomóc im, było, co najmniej raz, zrobione przez Greka. Tak samo jest z naszym osobistym wyborem: od cynizmu po idealizm, od sceptycyzmu Pyrrona po święte marzenia Pitagorasa, nasze odmowy i nasze zgody już kiedyś były; nasze wady i nasze cnoty mają wzory greckie. Nic nie dorówna pięknocią łacińskiej inskrypcji wotywniej czy nagrobnej: te kilka słów wyrytych w kamieniu streszcza w bezosobowym majestacie wszystko, co światu trzeba o nas wiedzieć. To po łacinie administrowałem cesarstwem; moje epitafium będzie wypisane po łacinie na ścianach mojego mauzoleum na brzegu Tybru, ale myślałem i żyłem po grecku.

Miałem szesnaście lat: wróciłem ze służby wojskowej w Siódmej Legii obozującej w tamtych czasach w samych Pirenejach w dzikiej części Hiszpanii Bliższej (bardzo różnej od południowej części półwyspu, gdzie wyrosłem). Acilius Attianus, mój opiekun, uznał, że dobrze będzie zrównoważyć nauką te kilka miesięcy twardego, surowego życia i dzikich łowów. Rozumnie pozwolił się przekonać Skaurusowi i wysłał mnie do Aten, do sofisty Isajosa, człowieka błyskotliwego, obdarzonego zwłaszcza rzadkim talentem improwizowania. Ateny od razu mnie zachwyciły; trochę niezdarny uczeń, młodzieniaszek z sercem nieufnym, po raz pierwszy poznał smak tego odświeżającego powietrza, szybkich rozmów, przechadzek w długie różowe wieczory, tej nigdzie nie spotykanej swobody w dyskusji i w rozkoszy. Zajmowały mnie kolejno matematyka i sztuka, badania podobne; miałem też okazję bywać w Atenach na wykładach medycyny Leotychidesa. Podobały mi się zawód lekarza; jego duch nie różni się w swej istocie od ducha, w jakim starałem się ujmować moje rzemiosło cesarza. Pasjonowała mnie ta nauka, zbyt bliska nas, żeby nie być chwiejną, podlegającą zaślepieniu i omyłce, ale wciąż naprowadzana na właściwy trop kontaktem z tym, co bezpośrednio dane i nagie. Leotychides ujmował te sprawy z najbardziej rzeczowego punktu widzenia: opracował cudowny system nastawiania złamanych kości. Chodziliśmy wieczorami po morskim brzegu: ten uniwersalny człowiek interesował się strukturą muszli i składem morskich osadów. Brak mu było środków do eksperymentowania; żałował laboratoriów i sal sekcji z Muzeum w Aleksandrii, gdzie w młodości bywał, zderzeń odmiennych zdań, pomysłowego współzawodnictwa ludzi. Umysł suchy, nauczył mnie przekładać rzeczy nad słowa, nie ufać formułom, raczej obserwować niż sądzić. Ten gorzki Grek nauczył mnie metody.

Wbrew otaczającym mnie legendom nie bardzo kochałem młodość, moją własną mniej niż czyjąkolwiek inną. Rozpatrywana sama w sobie, ta tak wychwalana młodość staje mi w oczach najczęściej jako nieociosana epoka istnienia, okres nieprzejrzysty i bezkształtny, wymykający się i kruchy. Rzecz oczywista, że spotkałem pewną liczbę rozkosznych

wyjątków od tej reguły, zaś dwa albo trzy cudowne, z których ty, Marku, byłbyś chyba najczystszy. Jeśli o mnie idzie, byłem mając dwadzieścia lat mniej więcej tym, czym jestem dziś, ale byłem tym bez trwałej spoistości. Wszystko we mnie nie było złe, ale wszystko mogło stać się złe: dobre albo lepsze wspierało najgorsze. Nie mogę myśleć bez rumieńca o mojej nieznajomości świata, który tak świetnie znałem we własnym mniemaniu, o mojej niecierpliwości, o tej jakiejś niepoważnej ambicji i pospolitej łapczywości. Czy mam to wyznać? Wśród poświęconego nauce życia w Atenach, gdzie każda uciecha znajdowała swoje dobrze odmierzone miejsce, żałowałem nie Rzymu, ale atmosfery miejsca, w którym zawiązują się i rozwiązują sprawy świata, zgiełku śrub i transmisyjnych kół maszyny władzy. Panowanie Domicjana kończyło się; mój krewniak Trajan, który się okrył chwałą na granicach nad Renem, stawał się popularnym wielkim człowiekiem; szczep hiszpański zakorzeniał się w Rzymie. Porównana z tym światem bezpośredniego działania, ukochana prowincja grecka zdawała mi się drzemać pod kurzem idei, którymi kiedyś, dawno temu, oddychano; polityczna bierność Hellenów wydawała mi się dosyć niską formą rezygnacji. Moja żądza potęgi, pieniędzy, która u nas jest często pierwszą formą tamtej, i sławy, żeby nazwać tym pięknym, namiętym imieniem świerzbiącą nas potrzebę, by o nas mówiono, była niewątpliwa. Dołączało się do niej niejasne poczucie, że Rzym, stojący pod tyłoma względami niżej, zyskiwał przewagę przez oswojenie z wielkimi publicznymi sprawami, jakiego wymagał od swoich obywateli, tych przynajmniej, co należeli do stanu senatorskiego czy ekwitów. Doszedłem do punktu, w którym czułem, że najzwyczajniejsza dyskusja na temat importu zboża z Egiptu nauczyłaby mnie o Państwie więcej niż całe Państwo Platona. Już przed kilkoma laty młody Rzymianin, otrząskany z wojskową dyscypliną, zacząłem jakby spostrzegać, że lepiej niż moi nauczyciele rozumiem żołnierzy Leonidasa i atletów Pindara. Opuściłem suche i jasne Ateny dla miasta, w którym ludzie opatuleni w ciężkie togi walczą z lutowym wiatrem, w którym przepych i rozpusta są pozbawione uroku, ale w którym najdrobniejsze powzięte decyzje dotyczą losu całej części świata i w którym młody prowincjusz, chciwy, ale nie najlepszy, kierujący się z początku, jak sądził, tylko dość pospolitymi ambicjami, miał je powoli tracić urzeczywistniając je, uczyć się, mierzyć z ludźmi i rzeczami, rozkazywać i, co nareszcie jest może nieco mniej czcze, służyć.

W tym dochodzeniu do władzy tej cnotliwej klasy średniej, która umacniała się pod osłoną zbliżającej się zmiany panowania, nie wszystko było piękne: polityczna uczciwość wygrywała przy pomocy dosyć nieczystych podstępów. Senat, oddając stopniowo całą administrację w ręce swoich protegowanych, dopełniał osaczenia Domicjana, który ledwie zipał; nowi ludzie, z którymi łączyły mnie wszystkie rodzinne związki, nie byli może tacy

znowu bardzo inni od tych, których miejsce mieli zająć; byli przede wszystkim mniej zbrukani władzą. Krewniacy i siostrzeńcy z prowincji spodziewali się przynajmniej podrzędnych posad; a jeszcze wymagano od nich, żeby się na tych posadach wykazali nieskazitelną rzetelnością. Dostałem posadę i ja: zostałem mianowany sędzią w trybunale rozsądzającym sporne sprawy spadkowe. To z tego skromnego stanowiska przyglądałem się ostatnim rundom pojedynku między Domicjanem i Rzymem. Cesarz stracił grunt w mieście, gdzie utrzymywał się tylko przez egzekucje, które przyspieszały jego koniec; całe wojsko spiskowało, szykując mu śmierć. Niewiele rozumiałem z tej walki, jeszcze bardziej zgubnej niż walka na arenie; kontentowałem się odczuwaniem cokolwiek aroganckiej pogardy ucznia filozofów dla dogorywającego tyrana. Posłuszny dobrym radom Attianusa, robiłem, co na moim urzędzie należało, nie zajmując się za bardzo polityką.

Ten rok pracy nie wiele się różnił od lat nauki: nie znałem prawa; szczęśliwy traf dał mi za kolegę w trybunale Neratiusa Priscusa, który zechciał mnie wykształcić i który aż do dnia swojej śmierci pozostał moim doradcą prawnym i przyjacielem. Jego umysłowość była z tak rzadkiego typu tych, które posiadłszy do gruntu jakąś specjalność, widząc ją, by tak rzec, od wewnątrz i z punktu widzenia niedostępnego dla laików, zachowują przecież poczucie jej względnej wartości w całym porządku rzeczy, mierzą ją miarą ludzką. Bardziej niż ktokolwiek ze współczesnych mu biegły w stosowaniu ustaw, nigdy się nie wahał wobec pożytecznych innowacji. To dzięki niemu udało mi się później wprowadzić niektóre reformy. Wypadło mi zająć się i czymś więcej jeszcze. Zachowałem mój prowincjonalny akcent; moja pierwsza mowa w trybunale wywoływała wybuchy śmiechu. Wykorzystałem znajomości z aktorami, które tak gorszyły moją rodzinę: lekcje wymowy były przez długie miesiące najtrudniejszym, ale i najmiłym z moich zadań i najdoskonalej w moim życiu ustrzeżoną tajemnicą. Nawet i rozpusta stawała się nauką podczas tych trudnych lat: starałem się uchwycić ton złotej młodzieży Rzymu; nigdy mi się to całkowicie nie udało. Przez tchórzostwo właściwe temu wiekowi, którego całkiem fizyczna śmiałość gdzie indziej ma ujście, tylko połowicznie odważałem się zaufać sobie; w nadziei upodobnienia się do innych przytępiałem albo wyostrzałem moją naturę.

Nie bardzo mnie lubiano. Bez żadnej zresztą po temu racji. Pewne cechy, na przykład zamiłowanie do sztuk, które u ateńskiego ucznia były nie zauważone i które miały być mniej lub bardziej powszechnie tolerowane u cesarza, uchodziły za nie-przystojne dla oficera i urzędnika na pierwszych szczeblach władzy. Mój hellenizm wywoływał uśmiech, tym bardziej żem się nim raz popisywał, raz znów niezdarnie z nim krył. Nazywano mnie w Senacie greckim studentem. Już zaczynałem mieć swoją legendę, to migotliwe odbicie,

cudażne, złożone w połowie z naszych czynów, a w połowie z tego, co pospolity ogół o nich myśli. Bezwstydni obrońcy nasylali mi swoje żony, jeśli wiedzieli o moim romansie z małżonką któregoś z senatorów, czy jego syna, jeśli afiszowałem się jak szaleniec z namiętnością do jakiegoś młodego mima. Najbardziej godni politowania byli jeszcze ci, którzy, żeby przypodobać mi się, rozmawiali ze mną o literaturze. Technika, jaką sobie musiałem wypracować na tych podrzędnych stanowiskach, przydała mi się później podczas moich cesarskich audiencji. Być wyłącznie i całkowicie dla każdego przez krótki czas trwania audiencji, zrobić ze świata pustynię, na której, na chwilę, istniał tylko ten bankier, ten weteran, ta wdowa; poświęcić tym osobom tak różnym, choć w naturalny sposób zamkniętym w wąskich granicach jakiegoś gatunku, całą uprzejmą uwagę, jaką w najlepszych momentach poświęca się samemu sobie, i oglądać niemal niechybnie, jak korzystają z tej przystępności, żeby nadymać się niczym żaba z bajki; nareszcie pomyśleć poważnie przez kilka chwil o ich kłopotach czy sprawie. Był to znów gabinet lekarza. Oglądałem tam w ich nagości straszliwe zadawnione nienawiści, trąd kłamstw. Mężowie przeciwko żonom, ojcowie przeciwko dzieciom, krewni z bocznej linii przeciwko wszystkim: znikomy szacunek, jaki miałem dla instytucji rodziny, przepadł tam do reszty.

Nie pogardzam ludźmi. Gdybym nimi pogardzał, nie miałbym żadnego prawa, żadnej racji, by próbować nimi rządzić. Wiem, że są próżni, ciemni, chciwi, niespokojni, zdolni do prawie wszystkiego, żeby zdobyć powodzenie, żeby się kazać cenić albo - po prostu - żeby uniknąć cierpień. Wiem to: jestem jak oni, przynajmniej chwilami, albo mógłbym być. Różnice, jakie widzę między mną i drugim człowiekiem, są zbyt błahe, by się liczyć w ostatecznym obrachunku. Staram się więc ze wszystkich sił, by moja postawa była równie daleka od chłodnej wyższości filozofa, co i od arogancji cesarza. I w najbardziej nieprzezroczystych ludziach tli się jakieś światełko: ten morderca ślicznie gra na flecie; ten dozorca kaleczący batem plecy niewolników jest może dobrym synem; ten idiota podzieliłby się ze mną ostatnim kawałkiem chleba. I niewielu jest takich, których nie można by czegoś przyzwoicie nauczyć. Nasz wielki błąd polega na tym, że próbujemy uzyskać od każdego w szczególności cnoty, jakich nie ma, i zaniedbujemy hodowanie tych, jakie ma. Zastosowałbym tu do poszukiwania tych ułamkowych cnót to, co mówiłem wyżej tak namiętnie o poszukiwaniu piękna. Znałem ludzi nieskończenie szlachetniejszych, doskonalszych niż ja, jak twój ojciec Antoninus; odwiedzałem wielu bohaterów, a nawet kilku mędrców. Spotkałem u większości ludzi mało wytrwałości w dobrym, ale nie więcej w złym; ich nieufność, ich obojętność mniej lub bardziej wroga ustępowała niemalże za szybko, niemalże ze wstydem, zmieniała się niemalże za łatwo we wdzięczność, w szacunek, też

zresztą na pewno tak samo nietrwale: nawet ich egoizm mógł być skierowany na cele użyteczne. Zawsze się dziwię, że tak niewielu mnie nienawidziło; miałem zaledwie kilku zażartych wrogów, czemu byłem, jak zwykle, w części sam winien. Niektórzy mnie kochali: ci dali mi o wiele więcej, niżbym miał prawo wymagać czy choćby spodziewać się od nich, swoją śmierć, czasami swoje życie. A bóg, jakiego w sobie noszą, często ujawnia się dopiero, kiedy umierają.

Tylko w jednym punkcie czuję, że góruję nad ogółem ludzi: jestem zarazem bardziej wolny i bardziej podległy, niż oni odważają się być. Niemal wszyscy nie znają jednakowo i swojej rzeczywistej wolności, i swojej prawdziwej niewoli. Przeklinają swoje kajdany; niekiedy jakby się nimi chełpili. Z drugiej strony, tracą czas na daremne swawole; nie umieją upleść samym sobie najłżejszego jarzma. Ja szukałem bardziej wolności niż potęgi, zaś potęgi tylko dlatego, że po części sprzyja ona wolności. Interesowała mnie nie filozofia człowieka wolnego (wszyscy, którzy w tej dziedzinie próbowali swoich sił, znudzili mnie), ale technika: chciałem znaleźć sprzęgło, w którym nasza wola jest spojona z losem, w którym dyscyplina wspomaga naturę miast ją hamować. Zrozum dobrze, że nie chodzi tu o twardą wolę stoika, której moc przeceniasz, ani też o nie wiem jaki abstrakcyjny wybór albo odmowę, która urąga warunkom naszego świata pełnego, ciągłego, utworzonego z przedmiotów i ciał. Marzyłem o sekretniejszym przyzwoleniu albo bardziej giętkiej dobrej woli. Życie było dla mnie koniem, którego ruchom poddaję się, ale po ujeżdżeniu go możliwie najlepiej. Ponieważ w sumie wszystko było decyzją umysłu, ale powolną, ale niedostrzegalną i w następstwie pociągającą za sobą także i zgodę ciała, starałem się osiągnąć stopniowo ten stan wolności albo poddania, w kształcie nieledwie czystym. Służyła mi do tego gimnastyka; dialektyka nie szkodziła temu. Z początku szukałem zwykłej swobody wakacji, wolnych chwil. Każde dobrze uregulowane życie ma takie chwile i kto ich nie potrafi stworzyć, ten nie potrafi żyć. Potem posunąłem się dalej; wymyśliłem wolność jednoczesności, gdzie byłyby jednocześnie możliwe dwie czynności, dwa stany; nauczyłem się, na przykład, wzorując się na Cezarze, dyktować kilka tekstów naraz, mówić nie przerywając czytania. Wymyśliłem sposób życia, w którym najcięższe zadanie mogło być wykonane bez angażowania się w nie bez reszty; żeby wyznać prawdę, niekiedy próbowałem zuchwale eliminować nawet samą świadomość fizycznego zmęczenia. Kiedy indziej ćwiczyłem się w stosowaniu na przemian różnego rodzaju wolności: wzruszenia, myśli, prace powinny być móc być w każdej chwili przerwane, po czym podjęte na nowo; i pewność, że je można odprawić albo wezwać, jak niewolników, im odejmowała wszelką tyrańską moc, a mnie wszelkie uczucie zależności. Próbowałem i lepszych sposobów: cały dzień podporządkowywałem jednej wybranej myśli, od której nie

odrywałem się; wszystko, co mogłoby mnie zniechęcić czy odwieść od niej, zamiary i prace innego rodzaju, słowa bez znaczenia, tysiące codziennych wydarzeń - wszystko się wspierało na niej, jak motyw winorośli pnący się spiralnie po trzonie kolumny. Kiedy indziej, przeciwnie, w nieskończoność dzieliłem: każda myśl, każdy fakt były dla mnie poszatkowane, podzielone na mnóstwo myśli i faktów jeszcze mniejszych, jeszcze łatwiejszych do wzięcia w garść. Trudne do powzięcia postanowienia rozkruszały się na proszek decyzji drobniutkich, zapadających jedna po drugiej, prowadzących jedna do drugiej, które tym sposobem stawały się nieuniknione i łatwe.

Ale najgorliwiej, najpilniej uczyłem się wolności wyboru, ze wszystkich najtrudniejszej. Chciałem tego stanu, jaki miałem; w moich latach zależności moja podległość traciła to, co w niej było gorzkie albo i podłe, jeśli się godził uznać ją za pożyteczne ćwiczenie. Wybierałem to, co miałem, zmuszając się tylko, żeby to mieć całkowicie i możliwie najbardziej w tym gustować. Najuciążliwsze prace szły mi bez trudu, byle mi się chciało do nich zapalić. Ilekroć jakiś przedmiot był mi wstrętny, robiłem sobie z niego temat badań; zmuszałem się zręcznie, by wydobyć stąd powód do radości. Wobec nieprzewidzianego i niemal beznadziejnego przypadku, zasadzki czy burzy na morzu, zarządziwszy wszystkie środki ostrożności dotyczące innych, starałem się przywitać go radośnie, cieszyć się niespodzianką, jaką mi przyniósł, i zasadzka czy burza wcielały się gładko w moje plany albo marzenia. Nawet wśród mej największej klęski ujrzałem chwilę, w której wyczerpanie odjęło tej klęsce część jej potworności, w której wziąłem ją na własność, godząc się na nią przystać. Jeśli przyjdzie mi jeszcze zaznać fizycznej męczarni, a choroba na pewno nie oszczędzi mnie, nie jestem pewny, czy zdobędę się przez dłuższy czas na obojętność Trazei, ale przynajmniej będę mógł się poddać moim skargom. I w ten to sposób, łącząc ostrożność i odwagę, poddanie i bunt, zestrojone starannie, największe wymagania i pozorne ustępstwa, ostatecznie pogodziłem się z samym sobą.

Gdyby to życie w Rzymie trwało dłużej, na pewno by skwasilo mnie, zepsulo albo zuzylo. Ocalil mnie powrot do wojska. Wyjazd do wojska znaczył podróż: wyjechałem pijany radością. Promowano mnie na trybuna w Drugiej Legii Pomocniczej: spędziłem na brzegach Górnego Dunaju kilka miesięcy dżdżystej jesieni, za jedynego towarzysza mając tom Plutarcha, który się właśnie ukazał. W listopadzie przeniesiono mnie do Piątej Legii Macedońskiej, obozującej w tamtych czasach (jest tam i dziś) u ujścia tej samej rzeki, na granicach Dolnej Mezji. Śnieg tarasujący drogi nie pozwolił mi podróżować lądem. W Poli wsiałem na okręt; po drodze ledwie znalazłem czas, by zajrzeć do Aten, gdzie później miałem jeszcze długo mieszkać. Wieść o zamordowaniu Domicjana, oznajmiona w kilka dni po moim przybyciu do obozu, nie zdziwiła nikogo i uradowała wszystkich. Trajan został wkrótce usynowiony przez Nerwę; ze względu na podeszły wiek nowego władcy sukcesja była kwestią co najwyżej miesięcy: polityka podbojów, jaką, jak wiadomo, mój krewniak miał zamiar prowadzić w Rzymie, przegrupowania wojsk, jakie się już zaczynały, stopniowe wzmacnianie dyscypliny utrzymywały armię w stanie podniecenia i oczekiwania. Te nad-dunajskie legie działały z precyzją świeżo naoliwionej maszyny wojennej; w niczym nie były podobne do sennych garnizonów, jakie poznałem w Hiszpanii; co ważniejsze, uwaga armii przestała się skupiać na pałacowych walkach i przeniosła się na zewnętrzne sprawy cesarstwa; nasze wojska nie były już tylko bandą liktorów gotowych obwoływać czy mordować byle kogo, bez różnicy. Najinteligentniejsi oficerowie starali się dopatrzeć ogólnego planu w przegrupowaniach, w których brali udział, przewidzieć przyszłość, i to nie tylko swoją własną. O tych wydarzeniach w pierwszym stadium swojego rozwoju kursowało zresztą niemało niedorzecznych komentarzy, i, wieczorami, zasmarowywano stoły planami strategicznymi, które były tyleż z palca wyssane co i głupie. Rzymski patriotyzm, niezachwiana wiara w dobrodziejstwa naszej władzy i misję Rzymu w sprawowaniu rządów nad ludami przybierały u tych zawodowych żołnierzy formy brutalne, do jakich jeszcze nie przywykłem. Na granicach, gdzie właśnie potrzebna by była zręczność, przynajmniej w tamtej chwili, żeby skaptować sobie niektórych koczowniczych wodzów, żołnierz całkowicie odsuwał w cień męza stanu; przymusowe roboty i rekwizycje w naturze dawały pole do nadużyć, które nikogo nie dziwiły. Dzięki temu, że barbarzyńcy byli wieczyście między sobą skłócenii, sytuacja na północnym wschodzie była, wszystko razem wzięwszy, tak jak nigdy już nie będzie mogła być, korzystna: wątpię nawet, czy wojny, jakie później przysły, w czymkolwiek ją poprawiły. W pogranicznych utarczkach mieliśmy straty nieduże, niepokojące dlatego tylko, że były ciągłe; i trzeba przyznać, że ten stan stałego pogotowia sprzyjał przynajmniej wyostrzeniu wojskowego ducha. Wszelako byłem przekonany, że i

tańszym kosztem, choć zmuszając mózg do nieco intensywniejszej pracy, można było niektórych wodzów ujarzmić, innych skaptować, i postanowiłem poświęcić się przede wszystkim temu ostatniemu zadaniu, o które nie dbał nikt.

Popchnęło mnie w tym kierunku moje zamiłowanie do tego, co obce: lubiłem obcować z barbarzyńcami. Ta wielka kraina, położona między ujściem Dunaju i ujściem Dniepru, trójkąt, którego poznałem co najmniej dwa boki, należy do najbardziej zadziwiających okolic świata, dla nas przynajmniej, ludzi urodzonych na wybrzeżach Morza Śródziemnego, przyzwyczajonych do czystych i suchych krajobrazów południa, do pagórków i półwyspów. Zdarzało mi się wielbić tam boginię Ziemię, jak tu wielbimy boginię Romeę, i mówię nie tyle o Cererze, ile o bożyszczu starszym, wcześniejszym nawet niż wynalazek żniw. Nasza ziemia grecka czy łacińska, wszędzie podtrzymywana kośćcem skał, ma zwięzły wykuint męskiego ciała; ziemia scytyjska miała trochę ciężką obfitość ciała leżącej kobiety. Równina kończyła się aż w niebie. Z niesłabnącym zachwytem oglądałem cud rzek: ta rozległa, pusta ziemia była dla nich tylko stokiem i łóżem. Nasze rzeki są krótkie; nigdzie nie czujesz się daleko od źródła. Zaś olbrzymia płynąca woda, która kończyła się tu w rozgałęzieniu mielizn, niosła muł z nieznanego kontynentu, śniegi z nie zamieszkanym kręgiem świata. Mróz w hiszpańskich górach nie ustępuje żadnemu mrozowi, ale tu po raz pierwszy poznałem prawdziwą zimę, która do naszego kraju tylko zagląda, na krótko czy na dłużej, tam zaś sadowi się na długie miesiące i można odgadnąć, że jeszcze dalej, na północy, jest nieruchoma, bez początku i końca. W wieczór mego przybycia do obozu Dunaj był ogromnym traktem z lodu, czerwonym, później niebieskim, pociętym przez wewnętrzne prądy śladami tak głębokimi jak koleiny wozów. Chroniliśmy się w futra przed zimnem. Obecność tego wroga bezosobowego, nieledwie abstrakcyjnego, wywoływała podniecenie nie do opisanego, poczucie wzmożonej energii. Walczono, żeby zachować ciepło, jak gdzie indziej walczy się dla zachowania odwagi. W niektóre dni śnieg zasypywał na stepie wszystkie drogi i tak mało widoczne; galopowało się w świetle czystej przestrzeni i czystych atomów. Rzeczom najzwyczajszym, najwiotszym mróz nadawał przejrzystość i jakąś niebiańską twardość. Złamane źdźbło trzciny stawało się kryształowym fletem. Assar, mój kaukaski przewodnik, rąbał o zmierzchu lód, żeby napoić nasze konie. Te zwierzęta były również bardzo pożyteczne przy nawiązywaniu kontaktu z barbarzyńcami: coś na kształt przyjaźni powstawało z targów, nie kończących się dyskusji i szacunku, jaki odczuwano dla siebie nawzajem z powodu jakiegoś jeździeckiego wyczynu. Wieczorem obozowe ogniska oświetlały przedziwne skoki szczupłych w talii tancerek i ich cudaczne złote bransolety.

Wiele razy na wiosnę, kiedy topniejące śniegi pozwalały mi zapuszczać się dalej we

wnętrze tego kraju, zdarzało mi się odwracać plecami do południowego widnokregu, który mieścił w sobie znane morza i wyspy, i od zachodniego, strony, w której gdzieś tam hen słońce zachodziło nad Rzymem, i marzyć o wyprawie w głąb tych stepów albo za zbocza Kaukazu, na północ albo do najdalszej Azji. Jakie klimaty, jakie zwierzęta, jakie rasy ludzkie odkryłbym, jakie cesarstwa, nie wiedzące o nas, jak my o nich nie wiemy, albo znające nas tylko z jakiejś jadalnej przyprawy, przekazanej im przez długi łańcuch kupców i tak rzadkiej dla nich jak dla nas pieprz indyjski czy ziarenko bursztynu z krain nadbałtyckich? W Odessos kupiec wracający z trwającej kilka lat podróży dał mi w upominku zielony kamień, półprzeźroczysty, substancję świętą podobno w ogromnym królestwie, o którego krańce ledwie się otarł i którego obyczajów ani bogów ten człowiek stępiejący w chciwej gonitwie za zyskiem nie zauważył. Ta dziwaczna gemma wydała mi się niby kamień spadły z nieba, meteor z innego świata. Dostyc źle jeszcze znamy ukształtowanie ziemi. Nie potrafię zrozumieć tych, co się godzą z tą niewiedzą. Zazdroszczę tym, którym się uda przebyć obwód dwustu pięćdziesięciu tysięcy greckich stadionów, wyliczony tak dobrze przez Eratostenesa, i którego obejście doprowadzi nas do punktu wyjścia. Wyobrażałem sobie, że wchodzę po prostu na wątlą ścieżkę, która odtąd ma mi zastąpić nasze drogi. Igrałem z tą myślą... Jestem sam, bez żadnych dóbr, bez nazwiska, bez żadnego z dobrodziejstw kultury, wśród nowych ludzi i wśród po raz pierwszy spotykanych przypadków... Oczywiście było to tylko marzenie, i to trwające ze wszystkich najkrócej. Ta wolność, jaką wymyśliłem sobie, istniała tylko na odległość; bardzo szybko odtworzylibym wszystko, czego bym się był wyrzekł. Co więcej, wszędzie byłbym tylko nieobecnym Rzymianinem. Coś na kształt pępowiny łączyło mnie z Miastem. Być może, w tamtym czasie, na tym stanowisku trybuna, czułem się jeszcze ściślej związany z cesarstwem, niż jestem jako cesarz, z tej samej przyczyny, dla której kość nadgarstka jest mniej swobodna niż mózg. Wszelako śniłem ten monstualny sen, od którego zdrzeliiby nasi przodkowie roztropnie trzymający się swojej ziemi w Lacjum, i to, że go przez chwilę śnił, odróżnia mnie od nich na zawsze.

Trajan dowodził właśnie wojskami w Dolnej Germanii; armia naddunajska posłała mnie tam z powinszowaniami do nowego spadkobiercy cesarstwa. Byłem o trzy dni drogi od Kolonii, w sercu Galii, kiedy na wieczornym popasie oznajmiono mi wieść o śmierci Nerwy. Postanowiłem wyprzedzić cesarską pocztę i osobiście przywieźć memu krewnemu nowinę o objęciu władzy przez niego. Ruszyłem galopem i jechałem nie zatrzymując się nigdzie, wyjąwszy w Trewirze, gdzie mój szwagier Serwianus rezydował jako wielkorządca. Spożyliśmy razem wieczerzę. Słaba głowa Serwianusa była pełna dymnych rojeń o cesarstwie. Ten krętacz, starając się mi zaszkodzić albo przynajmniej przeszkodzić, bym się przypodobał, postanowił uprzedzić mnie i pchnąć własnego gońca do Trajana. W dwie godziny później napadnięto na mnie przy brodzie na rzece; napastnicy zranili mego ordynansa i zabili nasze konie. Udało się nam wszakże pochwycić jednego złoczyńcę, dawnego niewolnika mego szwagra: wszystko wyznał. Serwianus powinien był sobie zdawać sprawę, że człowiekowi zdecydowanemu nie jest łatwo przeszkodzić w dojściu do celu, że trzeba by się posunąć do morderstwa, przed czym się jego tchórzostwo cofnęło. Musiałem przejść piechotą ze dwanaście mil, pókim nie spotkał wieśniaka, który mi sprzedał swego konia. Tegoż jeszcze wieczoru stanąłem w Kolonii wyprzedzając o kilka długości gońca mego szwagra. Ta przygoda stała się sławna. Zostałem przyjęty przez wojsko tym lepiej. Cesarz zatrzymał mnie przy sobie jako trybuna Drugiej Legii Wiernej.

Wieść o swym dojściu do władzy przyjął z podziwu godną równowagą ducha. Spodziewał się tego od dawna; jego zamiarów w niczym też nie zmieniło. Pozostał tym, czym był zawsze i czym miał być aż do swojej śmierci: wodzem armii; ale jego wielkość na tym polegała, że dzięki całkiem wojskowemu rozumieniu dyscypliny wyrobił sobie pogląd na to, czym ma być porządek w państwie. Wszystko było podporządkowane tej idei, przynajmniej z początku, nawet i jego plany wojenne, i projekty podbojów. Cesarz-żołnierz, ale zgoła nie żołnierz-cesarz. W niczym nie zmienił swego trybu życia; jego skromność nie miała w sobie ani afektacji, ani pychy. Kiedy wojsko cieszyło się, on przyjął swoje nowe zadanie jako jeszcze jedną część codziennej pracy i bliskim przyjaciółom z prostotą okazywał swoje zadowolenie.

Wzbudzałem w nim bardzo mało zaufania. Był moim krewnym, starszym o dwadzieścia cztery lata i od śmierci mego ojca współopiekunem. Wykonywał swoje rodzinne obowiązki z prowincjonalną powagą; był gotów uczynić wszystko, żebym awansował, jeśli bym się tego okazał godny, ale, jeśli bym się okazał do niczego, potraktowałby mnie surowiej niż każdego innego człowieka. Moje młodzieńcze szaleństwa wzbudzały w nim zgorszenie, nie tak znowu całkiem nieusprawiedliwione, ale takie, jakie odczuwać mogą tylko

krewni; moje długie gorszyły go zresztą o wiele bardziej niż wybryki. Inne cechy we mnie niepokoiły go: dosyć mało wykształcony, miał dla filozofów i literatów wzruszający szacunek, ale czym innym jest podziwiać z daleka wielkich filozofów, a czym innym obcować z młodym porucznikiem nadmiernie literaturą przesiąkniętym. Nie wiedząc, gdzie się mieszczą moje zasady, moje hamulce, podejrzewał, że ich w ogóle nie mam, że nie potrafię władać sobą. Ale przynajmniej nigdy nie popełnił tego błędu, by się zaniedbać w służbie. Moja oficerska reputacja uspokajała Trajana, ale byłem dla niego tylko młodym trybunem z dużą przyszłością i którego należało dobrze pilnować.

Zdarzenie z życia prywatnego omal mnie nie zgubiło. Zachwyciła mnie piękna twarz. Przywiązałem się namiętnie do młodzieńca, którego zauważył i cesarz. Przygoda była niebezpieczna, to zaostriżyło jej smak. Niejaki Gallus, sekretarz Trajana, który już od dawna uważał za swój obowiązek szczegółowe informowanie go o moich długach, doniósł o nas cesarzowi. Jego gniew był wielki; był to trudny moment mego życia. Przyjaciele, między innymi Acilius Attianus, zrobili, co mogli, by się nie dać cesarzowi zapiec w dosyć śmiesznej urazie. W końcu ustąpił wobec ich nalegań i ta zgoda, z początku z obu stron niezbyt szczerą, była dla mnie bardziej upokarzająca niż przedtem wybuchy gniewu. Wyznam, że zachowałem dla Gallusa z niczym się nie dającą porównać nienawiść. W wiele lat później dowiedziono mu fałszerstwa urzędowych dokumentów i poczułem się poniszczony.

Pierwsza wyprawa przeciwko Dakom rozpoczęła się w następnym roku. Z zamiłowania i z przyczyn politycznych, zawsze byłem przeciwnikiem stronnictwa wojny, ale musiałbym być czymś więcej albo mniej niż człowiekiem, gdyby mnie nie upoiły i nie oszołomiły te wielkie przedsięwzięcia Trajana. Oglądane w całości i na odległość, te lata wojny liczą się do moich szczęśliwych lat. Ich początek był ciężki albo wydał mi się taki. Zrazu zajmowałem tylko stanowiska podrzędne, nie odzyskawszy jeszcze całkowicie życzliwości Trajana. Ale znałem kraj; wiedziałem, że jestem pożyteczny. Niemal bezwiednie, zima po zimie, obozowanie po obozowaniu, bitwa po bitwie, czułem, jak rosną we mnie zastrzeżenia wobec polityki cesarza; nie miałem w tamtych czasach ani obowiązku, ani prawa mówić o nich głośno; zresztą, nikt by mnie nie słuchał. Trzymany bardziej lub mniej na boku, w piątym albo dziesiątym rzędzie, tym lepiej znałem nasze wojska, tym bardziej dzieliłem ich życie. Miałem jeszcze pewną swobodę działania albo raczej pewną obojętność wobec działania w ogóle, na jaką trudno jest sobie pozwolić raz doszedłszy do władzy i skończywszy lat trzydzieści. Miałem osobiste, mnie tylko właściwe, mocne punkty: miłość do tego surowego kraju, namiętność do wszystkich dobrowolnych i zresztą nieciąglych form ubóstwa i umartwienia. Byłem może jedynym młodym oficerem, który nie żałował Rzymu. Im dalej

lata wojny brnęły w błoto i śnieg, tym jawniej dobywały na światło dzienne moje zalety.

Przeżyłem tam całą epokę niezwyklej egzaltacji, którą po części zawdzięczam niewielkiej gromadce otaczających mnie poruczników, co przywieźli dziwnych bogów z dalekich garnizonów Azji. Kult Mitry, nie tak rozpowszechniony wówczas jak po naszych wyprawach do Fartów, na pewien czas porwał mnie wymaganiami swego trudnego ascetyzmu, który napinał łuk woli do ostateczności obsesją śmierci, żelaza i krwi, która podnosiła do rzędu sensu istnienia zwyczajną twardość naszego żołnierskiego życia. Nic nie mogłoby być dalsze od poglądów, jakie już zaczynałem mieć na wojnę, ale te barbarzyńskie obrzędy, stwarzające między wtajemniczonymi związki na śmierć i życie, mile łechtały najskrytsze marzenia młodzieńca zniecierpliwionego terażniejszością, niepewnego przyszłości i właśnie przez to łatwej zdobyczy dla wszelkich bogów. Dostałem wtajemniczenia w baszcie zbudowanej z drewna i trzciny na brzegu Dunaju, zaś poręczył za mnie Marcjusz Turbo, mój towarzysz broni. Pamiętam, że pod ciężarem dogorywającego byka mało się nie zawałiła ażurowa podłoga, pod którą stałem, żeby otrzymać chrzest z krwi. Zastanawiałem się później nad niebezpieczeństwami, na jakie te stowarzyszenia, niemal tajne, mogą narazić państwo mające słabego władcę i, na koniec, rozprawiałem się z nimi surowo, ale wyznam, że wobec wroga dają one swym adeptom siłę bez mała boską. Każdy z nas wierzył, że wydostaje się z wąskich granic swojej ludzkiej kondycji, czuł się równocześnie i sobą, i wrogiem, zespolony z bogiem, o którym już właściwie nie wiadomo było, czy umiera w kształcie zwierzęcym, czy zabija w kształcie ludzkim. Te cudaczne urojenia, które dziś mnie czasem przerażają, nie są zresztą tak znów bardzo różne od teorii Heraklita o identyczności łuku i celu. Wtedy pomagały mi znosić życie. Zwycięstwo i klęska, różne promienie tego samego słonecznego światła, były złączone, zmieszane. Tych dackich piechurów, których miażdżyłem kopytami mego konia, tych jeźdźców sarmackich zabijanych później w walce wręcz, kiedy nasze wierzchowce stając dęba gryzły się wzajemnie w piersi, uderzałem tym łatwiej, że się utożsamiałem z nimi. Porzucone na polu bitwy moje ciało, odarte z odzienia, nie bardzo by się różniło od ich ciał. Wstrząs od ostatniego ciosu miecza byłby taki sam. Wyznamę ci tu myśli niezwykle, należące w moim życiu do najsekretniejszych, wyznaję, że przeżywałem wtedy jakieś niebywałe upojenie, jakiego już nigdy więcej w dokładnie tym samym kształcie nie przeżyłem.

Pewna ilość świetnych czynów, których może by nie zauważono, gdyby ich dokonał zwykły żołnierz, zyskała mi rozgłos w Rzymie i coś na kształt sławy w armii. Większość z moich domniemanych dokazań była to zresztą tylko niepotrzebna brawura; odnajduję w nich dziś, nie bez zawstydenia, obok niemal świętej egzaltacji, o której ci mówiłem przed chwilą,

moją niską chęć podobania się za każdą cenę i zwrócenia na siebie uwagi. Tak właśnie w jakiś jesienny dzień przepравиłem się konno, w ciężkim ekwipunku batawskich żołnierzy przez Dunaj wezbrany po deszczach. W tym świetnym czynie zbrojnym, jeśli można go zaliczyć do takich, mój koń miał więcej zasługi niż ja. Ale ten okres bohaterskich szaleństw nauczył mnie rozróżniać rozmaite rodzaje odwagi. Ten, jaki zawsze mieć chciałyby, byłby chłodny, obojętny, wolny od wszelkiego fizycznego podniecenia, niewzruszony jak bezstronność boga. Nie pochlebiam sobie, bym go kiedykolwiek osiągnął. Falsyfikat, jakim się posługiwałem później, był podczas moich złych dni tylko cyniczną beztróską w stosunku do życia, podczas dni dobrych - tylko poczuciem obowiązku, którego się czepiałem. Ale bardzo szybko, jeśli niebezpieczeństwo trwało dłużej, w miejsce cynizmu czy obowiązku zjawiał się szal nieustraszoneści, coś na kształt dziwnego orgazmu mężczyzny zespolonego ze swoim losem. W wieku, w którym wówczas byłem, ta pijana odwaga trwała nieustannie. Istota upojona życiem nie przewiduje śmierci; śmierci nie ma; zaprzecza śmierci każdym swoim gestem. Jeżeli śmierć znajduje, to zapewne nie wiedząc o tym; śmierć jest dla niej tylko szokiem albo tylko spazmem. Gorzko się uśmiecham uświadamiając sobie, że dziś z dwu moich myśli jedna dotyczy mego własnego końca, jakby potrzeba było aż tylu ceregieli, by skłonić to zużyte ciało do nieuniknionego. W tamtej epoce, odwrotnie, młodzieniec, który dużo by stracił gdyby nie żył o kilka lat dłużej, co dzień z lekkim sercem ryzykował własną przyszłość.

Łatwo byłoby ułożyć z tego, co powiedziano powyżej, historię nazbyt odczytanego żołnierza, który stara się, by mu wybaczone jego książki. Ale takie uproszczone perspektywy są fałszywe. Panowały we mnie po kolei istoty różne, żadna długo, ale obalony tyran szybko znów wracał do władzy. Mieszkał więc we mnie skrupulatny oficer, fanatyk dyscypliny, ale wesoło dzielący ze swymi ludźmi prywatną wojnę; melancholik rozmyślający o bogach; kochanek gotowy na wszystko dla chwili oszołomienia; młody, wyniosły porucznik, co przesiaduje sam w swoim namiocie, studiuje swoje mapy w świetle lampy i nie ukrywa przyjacielom swej pogardy dla sposobu, w jaki toczy się świat; przyszły mąż stanu. Ale nie zapominajmy też i o marnym pochlebcy, który, żeby nie wyjść z łask, zgadzał się upijać przy cesarskim stole; o żółtodziobie, który rozstrzygał z wysoka wszystkie zagadnienia z komiczną pewnością siebie; o niepoważnym wymownym młodzieniaszku, gotowym dla dobrego dowcipu stracić dobrego przyjaciela; o żołnierzu spełniającym z mechaniczną dokładnością podle roboty gladiatora. A wymieńmy jeszcze i tę osobę wakującą, bez imienia, bez miejsca w dziejach, ale będącą tak samo mną jak i wszystkie inne, zwykłą igraszką rzeczy, nie więcej i nie mniej niż ciało leżące na swym polowym posłaniu, zachwycone zapachem,

zaabsorbowane owiewającym je tchnieniem, po swojemu wsłuchane uważnie w jakieś odwieczne brzęczenie pszczół. Ale stopniowo zaczynał sprawować swoje czynności nowy przybysz, dyrektor trupy, reżyser. Znałem imię moich aktorów; ułatwiałem im wejścia i wyjścia; wykreślałem niepotrzebne repliki; coraz skuteczniej unikałem pospolitych efektów. Nauczyłem się nareszcie nie nadużywać monologu. Powoli moje postęпки kształtowały mnie.

Moje wojskowe sukcesy mogłyby mi zjednać zażyłość człowieka mniej wielkiego niż Trajan. Ale odwaga była to jedyna mowa, którą rozumiał natychmiast i której słowa docierały do jego serca. W końcu zobaczył we mnie drugiego siebie, niemal syna, i nic z tego, co nadeszło później, nie zdołało nas całkowicie rozdzielić. Z mojej strony niektóre z rodzących się zastrzeżeń w stosunku do jego zamiarów zostały, przynajmniej chwilowo, ciśnięte w kąt, zapomniane wobec cudownego geniuszu, jaki wykazywał dowodząc wojskiem. Zawsze lubiłem przypatrywać się robocie dobrego specjalisty. Cesarz, w swojej dziedzinie, miał nieporównaną zręczność i pewność ręki. Zostałem dowódcą Legii Minerwy, najsłynniejszej ze wszystkich, i mnie przypadło zadanie zniszczenia ostatnich umocnień wroga w okolicy Żelaznych Wrót. Po otoczeniu twierdzy Sarmizegetuzy wszedłem tuż za cesarzem do podziemnej sali, gdzie doradcy króla Decebala dopiero co otruli się podczas ostatniej uczty; cesarz polecił mi podpalić ten stos martwych ludzi. Tegoż wieczoru, na urwisku nad polem bitwy, włożył mi na palec diamentowy pierścień, który miał od Nerwy i który był jakby rękojmią otrzymania w dziedzictwie władzy. Tej nocy zasnąłem zadowolony.

Moja zaczynająca się popularność zaprawiła mój drugi pobyt w Rzymie odrobiną tego uczucia euforii, jakiego później podczas moich szczęśliwych lat miałem doznawać w natężeniu o wiele większym. Trajan dał mi dwa miliony sestercji na szczodroblivość dla ludu, co nie wystarczyło naturalnie, ale już zawiadywałem własnym majątkiem, który był znaczny, i nie miewałem pieniężnych trosk. W dużej części wyzbyłem się podłego strachu przed niepodobaniem się. Blizna na brodzie dała mi pretekst do zapuszczenia krótkiej bródki, jaką nosili greccy filozofowie. Odziewałem się z prostotą, której później, w okresie cesarskim, przestrzegałem w sposób jeszcze bardziej przesadny: mój czas bransolet i pachnideł minął. Nie miało większego znaczenia, że ta prostota była jeszcze pozą. Powoli przyzwyczajałem się do unikania ozdób i do kontrastu, jaki był mi później tak miły, między kolekcją drogocennych gemm i gołymi rękami kolekcjonera. Skoro już mowa o ubraniu, podczas roku, przez który byłem trybunem ludu, zdarzył mi się wypadek uznany za omen. Pewnego dnia, kiedy miałem publicznie przemawiać w paskudną pogodę, zgubiłem mój chroniący od deszczu płaszcz z grubej galijskiej wełny. Zmuszony do wygłoszenia mowy w todzie, w której fałdach woda zbierała się niczym w rynnach, wciąż ścierałem ręką z czoła deszcz zalewający mi oczy. Katar jest w Rzymie przywilejem cesarza, bowiem w żadną pogodę cesarzowi nie wolno nosić nic prócz togi: począwszy od tamtego dnia handlarka z rogu i sprzedawca kawonów uwierzyli w moje przeznaczenie.

Często mówi się o snach młodości. Zbyt chętnie się zapomina o jej rachubach. Są to też sny, i nie mniej niż tamte szalone. Nie ja jeden je snulem podczas tego okresu rzymskich uroczystości: całe wojsko ścigało się w biegu do zaszczytów. Wszedłem dosyć wesoło w tę rolę człowieka ambitnego, której nigdy nie grałem długo z przekonaniem i bez potrzeby nieustającej pomocy suflera. Godziłem się wykonywać z najstateczniejszą skrupulatnością nudną funkcję kuratora aktów Senatu; umiałem oddawać wszelkie pożyteczne usługi. Lakoniczny styl cesarza, doskonały w wojsku, był niewystarczający w Rzymie; cesarzowa, której literackie gusty były pokrewne moim, przekonała go, żeby mnie pozwalał układać sobie mowy. Była to pierwsza z dobrych usług Plotyny. Udawało mi się tym lepiej, że miałem wprawę w świadczeniu tego rodzaju grzeczności. Podczas moich trudnych początków-redagowałem dla senatorów, którym niedostało konceptu albo umiejętności wysławiania się, przemowy, uważane przez nich w końcu za ich własne. Pracując w ten sposób dla Trajana, znajdowałem przyjemność dokładnie tę samą, jaką mi dawały w szkole ćwiczenia z retoryki; sam w moim pokoju, wygłaszając moje mowy przed lustrem, czułem się cesarzem. W rzeczywistości uczyłem się nim być; zuchwalstwa, do jakich sam nie czułbym się zdolny, stawały się łatwe, kiedy miał się w nie ubrać ktoś inny. Prosta, lecz nie wyrażona dobitnie, a

przez to niejasna myśl cesarza stała mi się bliska, powszednia; pochlebiałem sobie, że znam ją nieco lepiej niż on sam. Lubilem małpować wojskowy styl mojego zwierzchnika, słyszeć, jak wygłasza w Senacie zdania, które się wydawały dla niego typowe, a za które ja byłem odpowiedzialny. W inne dni, kiedy Trajan zostawał w domu, mnie zlecał odczytywać te mowy, z którymi nawet się nie zapoznawał, i moja wymowa, teraz już bezbłędna, przynosiła zaszczyt lekcjom aktora, tragika Olimpusa.

Tym funkcjom, niemal tajnym, zawdzięczałem zażyłość z cesarzem, a nawet jego zaufanie, ale stara niechęć wciąż trwała. Znikła na pewien czas wobec miłej uciechy, jakiej doświadcza postarzały władca widząc, że młodzieniec z jego krwi zaczyna karierę, która, jak to sobie trochę naiwnie wyobraża, ma się stać przedłużeniem jego własnej. Ale ten entuzjazm wytrysnął, być może, tak wysoko na pobojowisku pod Sarmizegetuzą tylko dlatego, że się musiał przebić przez tyle nawarstwionych pokładów nieufności. Sądzę także, że było tam i coś więcej niż niechęć nie do wykorzenia, wyrosła z niesnasek zażegnanych z wielkim trudem, z różnicy temperamentów albo po prostu z umysłowych nawyków starzejącego się człowieka. Cesarz instynktownie nienawidził podwładnych, którzy mu byli nieodzowni. Łatwiej by mógł mnie zrozumieć znajdując we mnie zapal połączone z opuszczaniem się czasem w służbie; wydawałem mu się prawie że podejrzany przez to, że technicznie byłem bez zarzutu. Ujawniło się to wyraźnie, kiedy cesarzowa, chcąc mi pomóc w karierze, postanowiła mnie ożenić z młodziutką siostrzenicą Trajana. Sprzeciwiał się temu projektowi uparcie, twierdząc, że mi niedostaje rodzinnych cnót, że dziewczyna jest za młoda, wyciągając nawet stare historie moich długów. Cesarzowa uparła się; ja też się dałem skusić; Sabina w tej najwcześniejszej młodości nie była całkiem bez wdzięku. To małżeństwo, łagodzone przez nieomal ciągłe rozstanie, stało się dla mnie później takim źródłem irytacji i nudy, że trudno mi przypomnieć sobie, iż było triumfem dla ambitnego dwudziestośmiolatka.

Stałem się jeszcze bardziej członkiem rodziny; poniekąd musiałem w niej żyć. Ale wszystko mnie mierziło w tym środowisku, z wyjątkiem pięknej twarzy Plotyny. Przy cesarskim stole pełno było różnych hiszpańskich figur, prowincjonalnych krewniaków, tych samych, których spotykałem później na obiadach u mojej żony podczas mych rzadkich pobytów w Rzymie, i nie powiedziałbym nawet, że się przez ten czas postarzeliby, bo ci wszyscy ludzie zawsze wyglądali na stuletnich. Zionęło od nich zawieszonym rozsądkiem, jakąś zjęłczałą przezornością. Niemal całe życie cesarz spędził w wojsku; znał Rzym o wiele gorzej niż ja. Wykazywał rzeczywiście najlepsze chęci, by otaczać się tym, co mu Miasto mogło dać najlepszego albo co mu za najlepsze przedstawiono. Oficjalne otoczenie składało

się z ludzi wręcz cudownie przyzwoitych i czcigodnych, ale umysłowo przyciężkich, których filozofia, dość miękka, nie docierała do sedna rzeczy. Nigdy nie gustowałem za bardzo w wymuszonej uprzejmości Pliniusza; a za wyniosłą sztywnością Tacyta moim zdaniem kryły się poglądy na świat zacofanego republikanina, nie posuwające się naprzód od czasów śmierci Cezara. Otoczenie zaś nieoficjalne było odpychająco grubiańskie, co mi chwilowo zaoszczędziło narażania się na nowe niebezpieczeństwa. Jednakowoż wszystkich tych ludzi, tak różnych, potrafiłem traktować z nieodzowną uprzejmością. Jednym okazywałem szacunek, wobec innych byłem swobodny, w potrzebie wulgarny, zręczny i nie za bardzo zręczny. Moja zręczność była mi potrzebna; byłem wieloraki przez wyrachowanie, niestały przez grę. Chodziłem po napiętym sznurze. Potrzebna by mi była nauka nie tylko u aktora, ale i u akrobaty.

Miano mi za złe w tamtej epoce moje romanse, raptem kilka, z żonami patrycjuszów. Dwa, może trzy z tych związków, tak krytykowanych, przetrwały mniej więcej aż do początków mego pryncypatu. Rzym, dość pobłażliwy dla rozpusty, nigdy nie cenił zbyt wysoko miłości u tych, którzy rządzą. Marek Antoniusz i Tytus mogli się o tym przekonać. Moje przygody były skromniejsze, ale doprawdy nie wiem, jak w naszej obyczajowości mężczyzna, który do prostytutki zawsze czuł wstręt i któremu małżeństwo już zbrzydło, mógłby się oswoić inaczej z różnorodnym światem kobiet. Moi wrogowie, którym przewodził groźny Serwianus, mój leciwy szwagier, co mu trzydzieści lat, o jakie był starszy ode mnie, dawały tytuł do otoczenia mojej osoby troskliwością zarazem pedagoga i szpiega, utrzymywali, że więcej było ambicji i ciekawości w tych miłoszkach niż miłości samej, że zażyłość z żonami wprowadzała mnie powoli w polityczne sekrety mężów i że zwierzenia moich kochanek miały dla mnie tę samą wartość co policyjne raporty, którymi się delectowałem w czasach późniejszych. To prawda, że każdy nieco dłuższy romans zjednywał mi prawie nieuchronnie przyjaźń tłustego albo chuderlawego, pompatycznego albo nieśmiałego, a prawie zawsze ślepego męża, ale dawało mi to zwykle mało przyjemności i jeszcze mniej korzyści. Muszę nawet wyznać, że niektóre niedyskretne zwierzenia moich kochanek, robione w alkwie, w końcu budziły we mnie sympatię dla tych tak wykpiwanych i tak mało rozumianych mężów. Te związki, przyjemne, kiedy kobiety były zręczne, stawały się wzruszające, kiedy kobiety były piękne. Studiowałem sztukę i oswajałem się z posągami; uczyłem się znać lepiej Wenus z Knidos i Ledę drżącą pod ciężarem łabędzia. Był to świat Tibullusa i Propercjusza: melancholia, namiętność trochę sztuczna, ale odurzająca jak melodia we frygijskiej tonacji, pocałunki na sekretnych schodach, powiewne zasłony na piersiach, odejścia o świcie i wieńce z kwiatów zostawiane na progach.

Nie wiedziałem o tych kobietach nic bez mała; część ich życia mnie dawana mieściła się w ledwie uchylonych drzwiach; ich miłość, o której mówiły bez przerwy, wydawała mi się czasem tak lekka, jak którykolwiek z ich wieńców, jak modny klejnot, ozdoba kosztowna i krucha; i podejrzewałem, że nakładają swą namiętność razem z różem i naszyjnikiem. Moje własne życie dla nich było nie mniej tajemnicze; wcale nie pragnęły go poznać, wołały je wymarzyć sobie, najfałszywiej. Na koniec zrozumiałem, że sama istota gry wymagała tych nieustannych przebrań, tej przesady w wyznaniach i skargach, tej rozkoszy to udawanej, to znów ukrywanej, tych spotkań układanych niby figury tańca. Nawet w sprzeczce spodziewano się ode mnie repliki przewidzianej zawczasu i płacząca piękność załamywała ręce jak na scenie.

Nieraz myślałem, że namiętne kochankowie kobiet przywiązują się do świątyni i

akcesoriów kultu co najmniej tyleż samo co i do samej bogini: delektują się palcami uróżowanymi henną, pachnidłami wtartymi w skórę, tysiącem podstępów, które podnoszą tę piękność, a niekiedy fabrykują w całości. Te kruche bóstwa były we wszystkim różne od wielkich barbarzyńskich samic i naszych ciężkich i poważnych wieśniaczek; powstawały ze złożonych wolut wielkich miast, z kadzi farbiarza albo z wilgotnej pary łaźni, jak Wenus z piany greckich fal. Ledwie że można je było oddzielić od gorączkowego ciepła niektórych wieczorów w Antiochii, od podniecenia rzymskich ranków, od sławnych imion, jakie nosiły, od zbytku, wśród którego ich najbardziej wyrafinowanym sekretem było, że się ukazywały nagie, ale nigdy bez ozdób. Pragnąłbym czegoś więcej: ludzkiej istoty ze wszystkiego wyzutej, samej wobec siebie, jaką przecież musiała niekiedy bywać, w chorobie albo po śmierci pierwszego dziecka, albo kiedy zmarszczka pokazała się w zwierciadle. Człowiek, który czyta albo który myśli, albo liczy, przynależy do gatunku, nie do płci. Ale moje kochanki upatrywały chyba swą chlubę w tym, by myśleć tylko po kobiecemu: umysł albo dusza, których szukałem, znów bywały jedynie zapachem.

Musiało tkwić w tym coś innego: ukryty za kotarą, niby postać z komedii czekająca na chwilę wejścia, podsłuchiwałem ciekawie odgłosy nieznanego wnętrza, osobliwy ton kobiecych rozmów, głośniejsze wybuchy gniewu albo śmiechu, zażyłe domowe szepty, wszystko, co ustawało, skoro dowiedziano się, że jestem. Dzieci, nieustanne myślenie o strojach, kłopoty pieniężne - w mojej nieobecności znów odzyskiwały znaczenie, jakie ukrywano przede mną; nawet i mąż, tak wykpiwany, stawał się najważniejszy, może i kochany. Porównywałem moje kochanki z ponurymi twarzami kobiet z mojej rodziny, oszczędnymi i ambitnymi, zajętymi nieustannie sprawdzaniem domowych rachunków albo pilnowaniem przystrajania popiersi przodków; zastanawiałem się, czy te oziębłe matrony też ścisnęły kochanka w ogrodowej altanie i czy moje przystępne piękności nie czekały tylko na moje odejście, żeby znów się pogrążyć w kłótni z zarządzającą domem. Próbowałem jakoś spoić w jedną całość te dwie strony kobiecego świata.

Minionego roku, wkrótce po spisku, w którym Serwianus w końcu stracił życie, jedna z moich dawnych kochanek dotarła aż do Willi, żeby mi złożyć donos na swojego zięcia. Zlekceważyłem oskarżenie, które mogło wziąć się z nienawiści teściowej równie dobrze, co i z chęci przysłużenia mi się. Ale rozmowa była dla mnie ciekawa: była tu mowa, jak niegdyś w trybunale spadkowym, tylko o testamentach, ciemnych machinacjach między bliskimi krewnymi, małżeństwach niespodziewanych albo niefortunnych. Odnalazłem ciasny widnokrąg kobiet, ich twardy zmysł praktyczny i ich niebo, szare, skoro miłość już na nim nie błyska. Akcenty rozgoryczenia, pewien rodzaj cierpkiej lojalności przypomniały mi moją

nieznośną Sabinę. Rysy mego gościa wydawały się spłaszczone, roztopione, jak gdyby ręka czasu przesunęła się brutalnie po masce z miękkiego wosku; to, co na chwilę zgodziłem się uznać za urodę, było tylko kruchym kwiatem młodości. Ale sztuczność przetrwała: ta pomarszczona twarz jeszcze niezdarnie igrała uśmiechem. Rozkoszne wspomnienia, jeśli w ogóle były, zatarły się już całkowicie; została wymiana uprzejmych zdań z istotą naznaczoną, jak i ja, chorobą czy też wiekiem, ta sama trochę rozdrażniona dobra wola, jaką miałbym dla nie widzianej od lat kuzynki z Hiszpanii, dla dalekiej krewnej przybyłej z Narbony.

Staram się ze wszystkich sił, by na chwilę pochwycić kręte pasma dymu, bańki tęczującego powietrza z dziecinnej zabawy. Ale łatwo jest zapomnieć... Tyle się zdarzyło od czasu tych ulotnych miłości, że już z pewnością zapomniałem, jaki był ich smak; przede wszystkim miło mi jest nie przyznawać, bym kiedykolwiek przez nie cierpiał. A przecież wśród tych kochanek jest przynajmniej jedna, którą kochałem najczulej. Była równocześnie subtelniejsza i silniejsza, czulsza i twardsza niż inne: ten szczupły, toczony tors przywodził myśl o trzcinie. Zawsze lubiłem piękno włosów, tej jedwabistej i falującej części ludzkiego ciała; otóż włosy większości naszych kobiet są to wieże, labirynty, łodzie albo kłębowiska żmij. Jej włosy były po prostu tym, czym lubiłem, żeby były: gronem wina w porze winobrania albo skrzydłem. Leżąc na wznak, opierając o mnie swoją małą, dumną główkę, mówiła mi z cudownym bezwstydem o swoich miłościach. Lubiałem jej zaciekłość i egoizm w rozkoszy, jej trudne do zaspokojenia upodobania i nagle przyпіływy rozpaczliwej szczerości. Wiedziałem, że miała kochanków na tuziny; sama zgubiła ich rachunek; ja byłem tym partnerem, który nie wymagał wierności. Zakochała się w tancerzu imieniem Batyllos, tak pięknym, że wszystkie szaleństwa były z góry usprawiedliwione. Wyszłochiwała jego imię w moich ramionach; moja aprobata dodawała jej odwagi. W innych chwilach dużośmy się śmieli razem. Umarła młodo, na niezdrowej wyspie, gdzie ją wygnała jej rodzina po rozwodzie, który stał się skandalem. Cieszę się z tego dla niej, bo się bała starości, ale jest to uczucie, jakiego nie odczuwamy nigdy wobec tych, których rzeczywiście kochaliśmy. Wciąż potrzebowała pieniędzy. Któregoś dnia poprosiła, żebym jej pożyczył sto tysięcy sestercji. Przyniosłem je nazajutrz. Usiadła na ziemi, mała, zwięzła figurka grającej w kości, wysypała zawartość worka na płyty posadzki i zaczęła układać w słupki błyszczące monety. Wiedziałem, że dla niej, jak dla wszystkich nas, ludzi rozrzutnych, te sztuki złota nie były monetami pełnej wagi z wybitą na nich głową cezara, ale magiczną materią, monetą osobistą, naznaczoną wizerunkiem chimery, piętnem tancerza Batyllosa. Ja już nie istniałem. Była sama. Prawie brzydka, marszcząc czoło z rozkoszną obojętnością na swą własną urodę, obliczała na palcach, niby uczennica, trudne dodawanie. Nigdy mnie tak nie zachwycała.

Wieść o najazdach sarmackich dotarła do Rzymu podczas obchodów dackiego triumfu Trajana. Ta długo odkładana uroczystość trwała od tygodnia. Zużyto bez mała rok na sprowadzenie z Afryki i Azji dzikich zwierząt, które miano stadami zabijać na arenie; rzeź dwunastu tysięcy lwów i tygrysów, metodyczne mordowanie dziesięciu tysięcy gladiatorów robiły z Rzymu odrażające miejsce kaźni. Znajdowałem się tego wieczoru na tarasie domu Attianusa, razem z Marcjuszem Turbonem i naszym gospodarzem. Oświetlone miasto było potworne w swej hałaśliwej radości: ta ciężka wojna, której Marcjusz i ja poświęciliśmy cztery lata młodości, stała się oto dla motłochu pretekstem do pijackich świąt, brutalnym triumfem z drugiej ręki. Nie była to stosowna pora na powiedzenie ludowi, że te tak wysławiane zwycięstwa nie są ostateczne i że nowy wróg runął na nasze granice. Cesarz, już zajęty swymi azjatyckimi zamiarami, raczej przestał się interesować sytuacją na północnym wschodzie, którą wolał uważać za uregulowaną raz na zawsze. Ta pierwsza wojna sarmacka została przedstawiona jako zwykła ekspedycja karna. Posłano mnie na nią z tytułem zarządcy Pannonii i uprawnieniami głównodowodzącego generała.

Trwała przez jedenaście miesięcy i była okrutna. Do tej pory sądzę, że unicestwienie Daków było w dużej mierze usprawiedliwione: żaden naczelnik państwa nie może przyjąć, że pod jego drzwiami stoi zorganizowany wróg. Ale upadek królestwa Decebala stworzył w tych okolicach próżnię, w którą runęli Sarmaci; bandy przybyłe znikąd nękały kraj wyniszczony latami wojny, palony i spalony przez nas, w którym nasze niewystarczające załogi nie miały punktów oparcia; Sarmaci zaroili się jak robactwo w trupie naszych dackich zwycięstw. Nasze świeże sukcesy podkopały dyscyplinę: na najdalej wysuniętych placówkach też odnajdywałem coś z rubasnej beztroski rzymskich świąt. Niektórzy trybunowie okazywali wobec niebezpieczeństwa głupią ufność: groźnie odizolowani w kraju, którego jedyną dobrze znaną częścią była nasza dawna granica, liczyli, że w dalszych zwycięstwach dopomoże im nasze uzbrojenie, które, jak widziałem, z dnia na dzień topniało w wyniku strat i zużycia, i na posiłki, których ja nie spodziewałem się wiedząc, że nasze wszystkie zasoby będą od tej pory skoncentrowane na Azji.

Zaczęło się wyłaniać i inne niebezpieczeństwo: cztery lata urzędowych rekwizycji zrujnowały wieś na zapleczu; już podczas pierwszych dackich kampanii przy każdym stadzie wołów czy baranów triumfalnie zdobytych na wrogu widywałem nieprzeliczone pochody bydła odebranego mieszkańcom. Jeśli ten stan rzeczy miał potrwać dłużej, niedaleko była chwila, w której nasza ludność wiejska, znużona dźwiganiem naszej ciężkiej wojskowej maszyny, zacznie w końcu woleć od nas barbarzyńców. Żołdackie grabieże stanowiły zagadnienie mniej może istotne, ale bardziej widoczne. Byłem dostatecznie popularny, by się

nie bać narzucenia wojskom najtwardszych restrykcji; wprowadziłem w modę umartwianie się, które sam też praktykowałem; stworzyłem kult Boskiej Dyscypliny, który później udało mi się rozprzestrzenić na całą armię. Odsyłałem do Rzymu nierozważnych i ambitnych, którzy mi moje zadanie utrudniali, natomiast sprowadziłem techników, których nam brakowało. Trzeba było naprawiać umocnienia obronne, które duma z naszych niedawnych zwycięstw kazała nam dziwnie zaniedbać; opuszczałem raz na zawsze te, których utrzymanie byłoby dla nas zbyt kosztowne. Urzędnicy cywilni, mocno osadzeni w bałaganie, jaki przychodzi po każdej wojnie, poprzehodzili stopniowo do rangi na pół niezależnych wodzów, zdolnych do wyciśnięcia każdej łapówki z naszych poddanych i do każdej zdrady wobec nas. Tu także przewidywałem, że w bliższej lub w dalszej przyszłości szykują się bunty i odpadanie od nas różnych ziem. Nie sądzę, by udało nam się tych klęsk uniknąć, tak jak i śmierci nie unikniemy, ale od nas zależy, by je o kilka stuleci opóźnić. Nieudolnych urzędników przepędzałem; najgorszych kazałem tracić. Odkryłem, że jestem bezlitosny.

Po wilgotnym lecie przyszła mglista jesień i mroźna zima. Przydała mi się moja wiedza medyczna, przede wszystkim, żeby leczyć samego siebie. To życie na granicy sprowadzało mnie powoli do poziomu Sarmaty: krótka bródka greckiego filozofa stała się brodą barbarzyńskiego wodza. Znów zobaczyłem wszystko, co oglądano aż do obrzydzenia podczas kampanii dackich. Nasi wrogowie palili żywcem jeńców; zaczęliśmy i my naszych jeńców mordować, bo brakowało nam środków transportu, by odsyłać ich na targi niewolników w Rzymie czy w Azji. Pale naszych palisad zajeżyły się ściętymi głowami. Wróg torturował zakładników; kilku moich przyjaciół zginęło w ten sposób. Jeden z nich dowlókl się aż do obozu na krwawiących nogach; był tak zniekształcony, że już nigdy później nie mogłem przypomnieć sobie jego nie tkniętej jeszcze twarzy. Zima też brała daninę: konni, skuci lodem albo porywani przez wezbraną rzekę, chorzy, nękani rwącym kaszlem, słabo jęczący pod namiotami, poodmrażane kikuty rannych. Zebrali się przy mnie ludzie cudownie dobrej woli; mała, ściśle zespolona armia, którą dowodziłem, odznaczała się najwyższą formą cnoty, jedyną jaką jeszcze znoszę: stanowczym postanowieniem, że będzie pożyteczna. Sarmacki zbieg, który służył mi jako tłumacz, naraził życie, by wrócić i podburzyć swoje plemię do buntów i zdrady; udało mi się wejść w układy z tym plemieniem; jego ludzie walczyli od tej pory w naszych forpocztach, chroniąc naszych. Kilka zuchwałych dokazań, z natury rzeczy nierozważnych, ale umiejętnie przygotowanych, dowiodło wrogowi, jak niedorzeczne jest porywanie się na Rzym. Jeden z sarmackich wodzów poszedł za przykładem Decebala: znaleziono go martwego w jego filcowym namiocie obok pomordowanych żon i potwornego tobołka zawierającego ich dzieci. Tego dnia mój wstręt do

niepotrzebnego marnotrawstwa ogarnął i barbarzyńskie straty; żałowałem tych umarłych, których Rzym mógłby był skaptować sobie i użyć pewnego dnia jako sojuszników przeciwko hordom jeszcze dzikszym. Nasi napastnicy rozpierzchli się, znikli, jak przyszli, w tym nieznanym kraju, z którego nadciągnie na pewno jeszcze niejedna burza. Wojna nie była skończona. Miałem ją znów podjąć i zakończyć w kilka miesięcy po objęciu władzy. Ale chwilowo zapanował na tej granicy ład. Wracałem do Rzymu okryty zaszczytami. Ale postarzałem się.

Mój pierwszy konsulat był znów rokiem wojny, walki sekretnej, ale nieustannej na rzecz pokoju. Nie prowadziłem jej jednak sam. Zmiana postawy, równoległa do tej, jaka zaszła we mnie, dokonała się przed moim powrotem w Licyniuszu Surze, w Attianusie, w Turbonie, jak gdyby wbrew surowej cenzurze, jakiej w moich listach przestrzegałem, przyjaciele moi już mnie zrozumieli, wyprzedzili albo poszli za mną. Niegdyś wzloty i upadki mego losu przysparzały mi trosk, zwłaszcza ze względu na nich; obawy, niepokoje, które sam zniósłbym z lekkim sercem, stawały się uciążliwe, kiedy je musiałem ukrywać przed ich troskliwością albo ich obarczać wyznaniem; byłem zły na nich za to, że się w swym przywiązaniu niepokoją o mnie bardziej niż ja sam, że nie widzą pod zewnętrznym wzburzeniem istoty spokojniejszej, której nic nie obchodzi całkowicie i która wobec tego potrafi przeżyć wszystko. Ale teraz niedostawało czasu, żeby się zajmować sobą czy też żeby sobie zobojętnieć. Moja osoba odsuwała się w cień dlatego właśnie, że zaczynał się liczyć mój punkt widzenia. Było ważne, żeby ktoś przeciwstawił się polityce podbojów, rozważył jej skutki i koniec i przygotował się, w miarę możliwości, do naprawienia jej błędów.

Służba na granicach pokazała mi oblicze zwycięstwa, jakie nie figuruje na kolumnie Trajana. Powrót do administracji cywilnej pozwolił mi zgromadzić przeciwko stronnictwu wojskowemu dowody jeszcze bardziej druzgocące niż te, jakie zebrałem w wojsku. Kadry legii i cała gwardia pretoriańska są uformowane wyłącznie z elementów italskich: te dalekie wojny drenowały zasoby kraju już bardzo ubogiego w mężczyzn. Ci, którzy nie zginęli, byli tak samo jak i tamci straceni dla ojczyzny w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo ich osadzano siłą na nowo zdobytych ziemiach. Nawet na prowincji system rekrutacji doprowadził w owym czasie do poważnych rozruchów. Podróż do Hiszpanii, przedsięwzięta nieco później dla dopilnowania eksploatacji kopalni miedzi należących do mojej rodziny, pozwoliła mi znów stwierdzić, jaki nieład wprowadza wojna do wszystkich dziedzin gospodarki; przekonałem się do reszty, jak uzasadnione były protesty ludzi interesu, z którymi się widywałem w Rzymie. Nie byłem tak naiwny, by wierzyć, że uniknięcie wszelkiej wojny będzie od nas zależało; ale mogłem przystać tylko na obronne; marzyłem o armii wyćwiczonej w utrzymywaniu porządku na granicach, skorygowanych, jeśli będzie trzeba, ale pewnych. Każdy nowy rozrost wielkiego organizmu cesarstwa wydawał mi się chorobliwym przerostem, rakiem albo obrzękiem wodnej puchliny, na którą musielibyśmy w końcu umrzeć.

Żaden z tych poglądów nie mógł być przedstawiony cesarzowi. Doszedł on do tego momentu życia, który dla każdego człowieka przychodzi w innym okresie, kiedy to ludzka istota poddaje się swemu demonowi albo geniuszowi, zgodnie z tajemniczym prawem, które

nakazuje jej zniszczyć albo przewyższyć samą siebie. W całości, dzieło jego panowania było godne podziwu, ale prace pokojowe, do których jego najlepsi doradcy usiłowali go przemyślnie nakłonić, wielkie projekty architektów i prawodawców, zawsze liczyły się dla niego mniej niż jedno zwycięstwo. Szał wydawania ogarnął tego człowieka tak szlachetnie oszczędnego, kiedy szło o jego osobiste potrzeby. Barbarzyńskie złoto wyłowione z dna Dunaju, pięćset tysięcy złotych sztab króla Decebala, wystarczyło na pokrycie rozdawnictw dla ludu, darowizn dla wojska, w których i ja miałem swój udział, bezsensownego zbytku igrzysk, początkowych wydatków na wielkie przedsięwzięcia w Azji. Te szkodliwe bogactwa pozwalały się ludzić co do rzeczywistego stanu finansów. Co powstało z wojny, wracało do wojny.

Tymczasem umarł Licyniusz Sura. Był to najliberalniejszy z prywatnych doradców cesarza. Jego śmierć była dla nas przegraną bitwą. Zawsze dawał mi dowody ojcowskiej troskliwości; od kilku lat słabe siły, jakich mu jeszcze nie odebrała choroba, nie pozwalały Licyniuszowi na mozolne prace dla osobistej ambicji; ale zawsze mu ich starczało, żeby się przysłużyć człowiekowi, którego poglądy uważał za zdrowe. Podbój Arabii został przedsięwzięty wbrew jego radom; on jeden, gdyby pożył dłużej, mógłby zaoszczędzić państwu gigantycznych wysiłków i wydatków na kampanię partyjską. Ten zżerany gorączką człowiek zużywał godziny bezsenności na omawianie ze mną planów, które wyczerpywały go, ale których powodzenie było dlań ważniejsze od jeszcze kilku dodatkowych okruczeń istnienia. Przeżyłem u jego wezglowia, z góry i w całej administracyjnej szczegółowości, niektóre z przyszłych faz mego panowania. Krytyki tego umierającego oszczędzały cesarza, ale czuł, że zabiera ze sobą całą resztę rozsądku jego rządów. Gdyby pożył dwa albo trzy lata dłużej, pewne zawiłe kluczenia, cechujące moje dochodzenie do władzy, zostałyby mi może oszczędzone; udałoby mu się namówić cesarza, by usynowił mnie wcześniej i jawnie. Ale ostatnie słowa tego męża stanu, który mnie swe zadanie przekazywał w spadku, też były jednym z mych cesarskich wtajemniczeń.

Grupa moich sprzymierzeńców powiększała się, lecz z grupą moich wrogów działo się nie inaczej. Najniebezpieczniejszym z moich przeciwników był Lucjusz Quietus, pół-Rzymianin, pół-Arab, którego numidyjskie szwadrony odegrały ważną rolę w drugiej kampanii dackiej i który dziko pchał do wojny azjatyckiej. Nienawistne było mi w tym człowieku wszystk: jego barbarzyński przepych, pretensjonalne rozwiewanie się jego białych welonów przepasanych złotym sznurem, jego oczy aroganckie i fałszywe, jego niewiarygodne okrucieństwo wobec zwyciężonych i zależnych. Wodzowie stronnictwa wojskowego dziesiątkowali się w wewnętrznych walkach, ale ci, którzy zostawali, utwierdzali

się tym bardziej we władzy i byłem przez to tylko tym bardziej wystawiony na podejrzliwość Palmy czy nienawiść Celsusa. Moja własna pozycja, na szczęście, była prawie nie do zachwiania. Rządy cywilne opierały się coraz bardziej na mnie, odkąd cesarz zajmował się wyłącznie swymi wojennymi projektami. Moi przyjaciele, jedyni ludzie, którzy mogliby mnie zastąpić, dzięki swym zdolnościom albo znajomości rzeczy, z bardzo szlachetną skromnością woleli popierać mnie niż wywyższać siebie. Neratius Priscus, któremu cesarz ufał, świadomie zamykał się z dnia na dzień coraz bardziej w swej specjalności prawniczej. Attianus organizował swoje życie tak, by móc mi jak najlepiej służyć; miałem roztropną aprobatę Plotyny. Na rok przed wojną zostałem mianowany zarządcą Syrii, do której to funkcji przyłączył się później urząd legata wojskowego. Obarczony kontrolowaniem i organizowaniem naszych baz, stałem się jedną z urzędowych dźwigni przedsięwzięcia, które uważałem za niedorzeczne. Przez pewien czas wahałem się, wreszcie przyjąłem. Odmówić - było to zamknąć sobie drogi do władzy w chwili, w której bardziej niż kiedykolwiek władza była dla mnie ważna. Było to również odebrać sobie jedyną szansę odegrania roli moderatora.

Podczas tych kilku lat poprzedzających wielki kryzys powziąłem decyzję, która sprawiła, że moi wrogowie na zawsze uznali mnie za lekkoducha, a która była po części powzięta właśnie w tym zamiarze, a również po to, by z góry odeprzeć wszelki atak. Pojechałem na kilka miesięcy do Grecji. Polityka, przynajmniej na pozór, nie miała nic wspólnego z tą podróżą. Była to wycieczka rozrywkowa i naukowa: przywiozłem z niej kilka rytych kielichów i książki, którymi się podzieliłem z Plotyną. Spotkał mnie tam ten z moich wszystkich oficjalnych zaszczytów, który przyjąłem najradośniej: zostałem mianowany archontem Aten. Pozwoliłem sobie na kilka miesięcy łatwych prac i rozkoszy, na wiosenne spacery po usianych anemonami pagórkach, na bliskie, przyjazne obcowanie z nagim marmurem. W Cheronei, dokąd pojechałem, żeby się wzruszyć antycznymi parami przyjaciół ze Świętego Hufca, byłem przez dwa dni gościem Plutarcha. Owszem, miałem mój Święty Hufiec i ja, ale, jak mi się to często zdarza, własne życie mniej mnie wzruszało niż historia. Polowałem w Arkadii; modliłem się w Delfach. W Sparcie, na brzegu Eurotasu, pasterze nauczyli mnie bardzo starej melodii granej na flecie, dziwnego śpiewu ptaka. Nie opodal Megary odbywało się wiejskie wesele, które trwało przez całą noc; moi towarzysze i ja odważyliśmy się wmieszać w tańce, czego by nam zakazały ciężkie obyczaje rzymskie.

Ślady naszych zbrodni były widoczne wszędzie: mury Koryntu zburzone przez Mummiusza i miejsca ziejące pustką we wnętrzach świątyń po porwaniu posągów podczas skandalicznej podróży Nerona. Zubożała Grecja trwała dalej w atmosferze zamyślnego wdzięku, jasnej subtelności, rozumnej rozkoszy. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy to uczeń

retora Isajosa odetchnął po raz pierwszy tym zapachem ciepłego miodu, soli i żywicy; nic w sumie nie zmieniło się od wieków. Piasek palestr był zawsze tak samo jak niegdyś biały; Fidiasz i Sokrates już tu nie przychodzili, ale młodzieńcy, którzy uprawiali tu ćwiczenia gimnastyczne, jeszcze byli podobni do uroczego Charmidesa. Wydaje mi się czasem, że grecki duch nie wysnuł jeszcze ostatecznych wniosków z własnego geniuszu: żniwa jeszcze się nie odbyły; kłosa, dojrzałe w słońcu i już zżęte, były niemal niczym w porównaniu z eleuzyńską obietnicą ziarna ukrytego w tej pięknej ziemi. Nawet u dzikich sarmackich nieprzyjaciół znajdowałem wazy o czystym profilu, lustro ozdobione obrazem Apollina, greckie światełka, jak blade słońce na śniegu. Dostrzegałem możliwość hellenizacji barbarzyńców, attyzacji Rzymu, łagodnego narzucenia światu jedynej kultury, która odzegnała się niegdyś od tego, co potworne, bezkształtne, nieruchome, która stworzyła definicję metody, teorię polityki i piękna. Lekka pogarda Greków, którą bezustannie wyczuwałem pod ich najgorliwszymi hołdami, nie obrażała mnie; uważałem ją za naturalną; jakiegokolwiek były cnoty, które mnie od nich odróżniały, wiedziałem, że zawsze będę bardziej gruboskórny od marynarza z Eginy, mniej rozumny od sprzedawcy warzyw z agory. Przyjmowałem bez irytacji trochę wyniosłą uprzejmość tej dumnej rasy; całemu ludowi przyznałem przywilej, jaki zawsze tak łatwo dawałem przedmiotom mojej miłości. Ale żeby dać Grekom czas na kontynuowanie i dokończenie ich dzieła, potrzeba było kilku wieków pokoju i wolnych godzin, rozsądnych swobód, jakie daje pokój. Grecja liczyła na nas, że będziemy jej strzegli, jako że w końcu uważaliśmy się za jej panów. Obiecałem sobie, że będę czuwał nad bezbronnym bogiem.

Już od roku sprawowałem urząd zarządcy Syrii, kiedy Trajan przybył do mnie do Antiochii. Przyjechał, by dopilnować należytego przygotowania wyprawy armeńskiej, która w jego zamyśle była wstępem do uderzenia na Partów. Plotyna, jak zwykle, towarzyszyła mu, a także i jego siostrzenica Matidia, moja pobłażliwa teściowa, która od lat podążała za nim do obozów jako intendentka. Celsus, Palma, Nigrinus, moi starzy wrogowie, jeszcze zasiadali w radzie i trzęśli sztabem głównym. Ten cały tłum gości ulokował się w pałacu czekając na zaczęcie kampanii. Dworskie intrygi znów się rozhulały w najlepsze. Każdy starał się coś wygrać, zanim wojna zacznie rzucać kości.

Wojsko niemal natychmiast ruszyło na północ. Razem z wojskiem oddaliła się chmara wysokich urzędników, żartych ambicją i nieprzydatnych. Cesarz i jego świta zatrzymali się na kilka dni w Kommagene, gdzie się odbyły uroczystości, już triumfalne; wschodni królikowie, zebrani w Satala, zapewniali na wyścigi o swej wierności, na której, będąc Trajanem, raczej mało bym polegał na przyszłość. Lucjusz Quietus, mój niebezpieczny rywal, mianowany wodzem przednich straży, zajął brzegi jeziora Van w trakcie jakiejś ogromnej wojskowej przechadzki; północna część Mezopotamii, opuszczona przez Partów, została zajęta bez trudności; Abgar, król Osroene, złożył swój hołd w Edessie. Cesarz wrócił do Antiochii na kwatery zimową, odkładając do wiosny inwazję na właściwe królestwo partyjskie, ale już zdecydowany nie przyjąć żadnych propozycji pokojowych. Wszystko poszło podług jego planów. Radość zanurzenia się wreszcie w tej przygodzie, odkładanej od tak dawna, przywróciła coś na kształt młodości temu sześćdziesięcioletniemu człowiekowi.

Moje przewidywania pozostawały niezmiennie ponure. Element żydowski i arabski był coraz bardziej wrogi wojnie; wielkich właścicieli prowincjonalnych irytowało pokrywanie wydatków spowodowanych przez przemarsze wojsk; miasta szemrały przeciwko nałożeniu nowych podatków. Tuż po powrocie cesarza pierwsza katastrofa stała się zapowiedzią następnych: trzęsienie ziemi, jakie zdarzyło się wśród grudniowej nocy, zburzyło w kilka chwil czwartą część Antiochii. Trajan, kontuzjowany spadającą belką, mimo to bohatercko pomagał rannym; zginęło kilka osób z jego najbliższego otoczenia. Ludność syryjska natychmiast zaczęła szukać odpowiedzialnych za tę katastrofę: odstępując tym razem od swych tolerancyjnych zasad, cesarz popełnił błąd pozwalając na rzeź garstki chrześcijan. Ja sam mam niewiele sympatii dla tej sekty, ale widok starców sieczonych różgami i torturowanych dzieci tylko spotęgował wzburzenie umysłów i uczynił jeszcze wstrętniejszą tę ponurą zimę. Brakowało pieniędzy na szybkie naprawienie skutków trzęsienia ziemi; tysiące ludzi nie mających dachu nad głową obozowało nocami na placach. Podczas inspekcyjnych objazdów przekonałem się o istnieniu głuchego niezadowolenia, skrywanej nienawiści, jakiej

nie domyślali się nawet wielcy dygnitarze, od których było w pałacu aż ciasno. Cesarz dalej prowadził wśród ruin przygotowania do bliskiej kampanii: cały las został zużyty na sporządzanie przenośnych mostów i pontonów do przejścia przez Tygrys. Z radością przyjął całą serię nowych tytułów nadanych mu przez Senat; spieszo mu było skończyć ze Wschodem, żeby wrócić na triumf do Rzymu. Najmniejsza zwłoka rozpętywała wściekły gniew, który nim trząsał jak atak.

Człowiek niecierpliwie chodzący wzdłuż i wszerz po wielkich salach tego pałacu zbudowanego niegdyś przez Seleucydów, a który ja (co za udręka!) udekorowałem na jego cześć pochlebnyimi inskrypcjami i panopliami dackimi, nie był już tym, który mnie przyjął w obozie w Kolonii przed bez mała dwudziestu laty. Nawet jego cnoty postarzały się. Jego przycięzka jowialność, która niegdyś maskowała prawdziwą dobroć, była już tylko pospolitym nawykiem. Stanowczość zmieniła się w upór; zdolność natychmiastowego i praktycznego działania - w całkowite zaprzestanie myślenia. Czuły szacunek, jaki miał dla cesarzowej, burkliwa serdeczność, jaką okazywał swojej siostrzenicy Matidii, przekształciły się w starczą zależność od tych kobiet, których rad wszakże słuchał coraz mniej. Ataki wątroby, jakie miewał, niepokoiły jego lekarza Kritona; on się nimi nie przejmował. Jego przyjemnościom zawsze niedostawało artystycznego wykwintu; z wiekiem ich poziom jeszcze się zniżył. Nie to było ważne, że cesarz po skończonym dniu spędzał wieczory na koszarowych hulankach w towarzystwie młodych chłopców, których uważał za zabawnych albo pięknych. Miało natomiast znaczenie to, że znosił źle to wino, którego nadużywał; i że ten dwór składający się z niskich stopniem podwładnych, sprowadzanych tu i kierowanych przez podejrzanych wyzwoleńców, mógł asystować przy wszystkich moich z nim rozmowach i donosić ich treść moim przeciwnikom. W dzień widywałem cesarza tylko na posiedzeniach sztabu, zajętego całkowicie szczegółami planów, gdzie nigdy nie nadchodziła chwila stosowna do wyrażenia swobodniejszego zdania. Kiedy indziej unikał spotkań sam na sam. Wino otwierało temu niezbyt subtelnemu człowiekowi arsenał pospolitych podstępów. Jego dawniejsza drażliwość znikła: nalegał, bym się do jego rozrywek przyłączał; zgiełk, śmiechy, najbardziej płaskie żarty młodych chłopców były zawsze przyjmowane dobrze, jako sposoby pokazania mi, że nie jest to czas na sprawy poważne; czyhał na moment, w którym jeszcze jeden spełniony kielich odebrałby mi trzeźwość. Wszystko wirowało wokół mnie w tej sali, gdzie głowy żubrów, trofea zdobyte na barbarzyńcach, jak gdyby śmiały mi się w nos. Opróżniano dzban po dzbanie; tu i ówdzie tryskała pijacka śpiewka albo zuchwały i uroczy śmiech jakiegoś pazika; cesarz, opierając o stół rękę coraz bardziej drżącą, jakby nieobecny w swym upojeniu, w połowie być może udanym, błędzący, z dala od wszystkiego, po drogach

Azji, pogrązał się uroczyście w swoich snach,

Na nieszczęście te sny były piękne. Były to te same sny, które niegdyś i we mnie obudziły marzenia, że wszystko porzucę i pójdę za Kaukaz, północnymi drogami, ku Azji. Tej fascynacji, której postarzały cesarz poddawał się jak lunatyk, doznał przed nim Aleksander; urzeczywistnił prawie że te same marzenia i umarł przez nie, mając lat trzydzieści. Zaś największym niebezpieczeństwem tych ogromnych planów była właśnie ich mądrość: jak zawsze, rozliczne praktyczne racje usprawiedliwiały niedorzeczność, nakłaniały do niemożliwego. Problem Wschodu zajmował nas od wieków; wydawało się czymś naturalnym skończenie z nim raz na zawsze. Nasza wymiana środków żywności z Indiami i tajemniczą Krainą Jedwabiu była całkowicie uzależniona od żydowskich kupców i arabskich eksporterów, którym wolno było korzystać z partyjskich portów i dróg. Skoro raz się unicestwi wielkie i płynne imperium jazdy Arsacydów, będziemy dotykać bezpośrednio tych bogatych krańców świata; Azja, nareszcie zjednoczona, będzie tylko jeszcze jedną prowincją dla Rzymu. Port w Aleksandrii - w Egipcie - był naszymi jedynymi wrotami na Indie, niezależnymi od partyjskiego widzimisie; tam także wciąż mieliśmy kłopoty z pretensjami i buntami żydowskich gmin. Sukces wyprawy Trajana pozwoliłby nam nie oglądać się więcej na to niezbyt bezpieczne miasto. Ale wszystkie te rozliczne racje mnie nie przekonywały nigdy. Bardziej byłbym kontent z rozumnych traktatów handlowych i już widziałem możliwość umniejszenia znaczenia Aleksandrii przez założenie drugiej metropolii greckiej w pobliżu Morza Czerwonego, co uczyniłem później zakładając Antinoupolis. Zaczynałem poznawać skomplikowany świat Azji. Proste plany całkowitego zniszczenia, które się powiodły w Dacji, nie mogły mieć zastosowania w tej krainie pełnej bardziej różnorodnego, mocniej zakorzenionego życia, od której przecież zależało bogactwo świata. Za Eufratem zaczynał się dla nas kraj ryzyka i miraży, piaski, w których się grzęźnie, drogi, które kończą się ślepo. Najmniejsza porażka zachwiałaby prestiż, co pociągnęłoby za sobą wszelkie katastrofy; szło nie tylko o to, żeby zwyciężyć, ale o to, żeby zwyciężać zawsze, i nasze siły wyczerpywałyby się w tym przedsięwzięciu. Już raz porwaliśmy się na nie: myślałem że zgrozą o głowie Krassusa, przerzucanej z rąk do rąk jak piłka podczas przedstawienia Bachantek Eurypidesa, które barbarzyński król, mający polor helleński, kazał grać w wieczór zwycięstwa nad nami. Trajan myślał o pomszczeniu tej dawnej klęski; ja myślałem głównie o niedopuszczeniu, by się jeszcze raz powtórzyła. Przewidywałem dosyć trafnie przyszłość, co jest ostatecznie możliwe, kiedy się zna dużo elementów terażniejszości: kilka niepotrzebnych zwycięstw wciągnie za daleko nasze armie, nierozważnie zabrane z innych granic; umierający cesarz okryje się sławą, a my, którzy mamy żyć, będziemy obarczeni rozwiązywaniem

wszystkich problemów i zapobieganiem wszystkim niedolom.

Cezar miał słusność, gdy wolał pierwsze miejsce w małej mieścinie od drugiego w Rzymie. Nie z ambicji ani dla czezej sławy, ale dlatego że człowiek będący drugim ma wybór jedynie między niebezpieczeństwami posłuszeństwa, buntu i, jeszcze poważniejszymi, kompromisu. Nie byłem nawet drugim w Rzymie. Mając lada chwila ruszyć na niebezpieczną wyprawę, cesarz jeszcze nie wyznaczył swego spadkobiercy: każdy krok naprzód dawał szansę wodzom ze sztabu. Ten człowiek, niemalże naiwny, wydał mi się teraz bardziej skomplikowany niż ja. Jedno mi dodawało otuchy: jego szorstkość; burkliwy cesarz traktował mnie jak syna. Chwilami spodziewałem się, że jak tylko będzie można się bez moich usług obejść, wyruguje mnie Palma albo zamorduje Quietus. Byłem bez władzy: nie udało mi się nawet uzyskać posłuchania dla wpływowych członków sanhedrynu Antiochii, którzy bali się nie mniej niż my zamachów żydowskich podżegaczy i którzy by powiadomili Trajana o korszach swoich współwyznawców. Mój przyjaciel, Latinius Alexander, który pochodził z jednego ze starych rodów królewskich z Azji Mniejszej i którego imię i fortuna miały swoją wielką wagę, też nie został wysłuchany. Pliniusz, wysłany do Bitynii przed czterema laty, umarł tam nie zdążwszy poinformować cesarza o prawdziwym stanie umysłów i finansów, jeśliby przypuścić, że jego niepoprawny optymizm pozwoliłby mu go poznać. Tajne raporty lickiego kupca Opramoasa, który dobrze znał sprawy azjatyckie, były wykpiwane przez Palmę. Wyzwoleńcy korzystali z dni choroby, jakie przychodziły po wieczornych pijatykach, by mnie odsuwać od cesarskiej komnaty: ordynans cesarza, niejaki Phoedimus, sam nawet uczciwy, ale tępy i podjudzony przeciwko mnie, dwukrotnie mnie odprawił od drzwi. Natomiast były konsul Celsus, mój wróg, zamknął się pewnego wieczora z Trajanem na tajną naradę, która trwała kilka godzin i po której uznałem się za zgubionego. Szukałem sobie sprzymierzeńców, gdzie mogłem; przekupywałem złotem dawnych niewolników, których chętnie zesłałbym na galery; głaskałem okropne fryzowane głowy. Diament Nerwy już nie dawał żadnych ogni.

Właśnie wtedy zjawił się najrozumniejszy z moich dobrych duchów: Plotyna. Znałem cesarzową już od lat dwudziestu bez mała. Byliśmy z tego samego środowiska; byliśmy w tym samym mniej więcej wieku. Widziałem, jak spokojnie wiedzie żywot niemal tak samo jak mój skrępowany i bardziej jeszcze bez przyszłości. Podtrzymywała mnie, jakby sama nie dostrzegając, że tak czyni, w trudnych chwilach. Ale dopiero podczas złych dni w Antiochii jej obecność stała mi się nieodzowna, jak później jej szacunek, a miałem go aż do jej śmierci. Przyzwyczałem się do tej postaci w białych szatach, tak prostych, jak tylko mogą być szaty kobiece, do jej milczenia, do miarkowanych słów będących zawsze tylko odpowiedziami, i to

możliwie najbardziej rzeczowymi. Jej wygląd nie raził niczym w tym pałacu, starszym niż przepychy Rzymu: ta córka parweniuszów była bardzo godna Seleucydów. Zgadzałyśmy się niemal we wszystkim. Obydwoje mieliśmy pasję ozdabiania, a potem obnażania swojej duszy, doświadczania swego umysłu wszystkimi probierczymi kamieniami. Skłaniała się ku filozofii epikurejskiej, tego wąskiego, ale czystego łoża, na którym i ja niekiedy kładłem moją myśl. Tajemnica bogów, nekająca mnie, jej nie niepokoiła; nie miała też mego namiętnego upodobania do ciał. Była czysta przez wstręt do łatwizny, szlachetna bardziej z postanowienia niż z natury, rozumnie nieufna, ale gotowa wszystko przyjąć od przyjaciela, nawet jego nieuniknione omyłki. Przyjaźń była wyborem, w który angażowała się cała; oddawała się jej bez reszty, co ja czyniłem tylko w miłości. Znała mnie lepiej niż ktokolwiek; jej dałem zobaczyć to, co starannie ukrywałem przed wszystkimi: moje sekretne nikczemności. Chciałbym wierzyć, że ona z kolei niemal niczego przede mną nie przemilczała. Zażyłość ciał, jakiej nigdy między nami nie było, została skompensowana przez tę bliskość dwu umysłów ściśle złączonych ze sobą.

Nasze porozumienie obywatło się bez wyznań, wyjaśnień i niedomówień: wystarczały same fakty. Widziała je lepiej niż ja. Pod ciężkimi warkoczami, jakich wymagała moda, to gładkie czoło było czołem sędziego. W jej pamięci zachowywał się dokładny odcisk najdrobniejszej rzeczy; jej nigdy się nie zdarzało, jak mnie, wahać się za długo albo decydować się za szybko. Jednym spojrzeniem umiała wyśledzić moich najbardziej ukrytych wrogów; moich stronników oceniała z rozumną trzeźwością. W rzeczywistości byliśmy współnikami, ale najwprawniejszemu uchu trudno by było uchwycić oznaki tajemnego porozumienia między nami. Nigdy nie popełniła wobec mnie prostackiego błędu, by się na cesarza skarżyć, ani też błędu subtelniejszego, by go usprawiedliwiać albo chwalić. Także i moja lojalność nigdy nie była zakwestionowana. Attianus, który właśnie przybył z Rzymu, razem z nami brał udział w tych spotkaniach trwających przez całą noc czasami, ale chyba nic nie męczyło tej kobiety niezłomnej i kruchej. Udało jej się doprowadzić do nominacji na prywatnego doradcę mego dawnego opiekuna, co odsunęło trochę na bok mego wroga Celsusa. Podejrzliwość Trajana albo niemożliwość znalezienia kogoś, kto by zajął moje miejsce na tyłach, miała mnie zatrzymać w Antiochii: liczyłem, że dzięki nim dwojgu będę wiedział wszystko, czego się z biuletynów nie dowiem. W wypadku klęski umieliby zebrać przy mnie wierną część armii. Moi przeciwnicy będą się musieli liczyć z obecnością tego chorego na podagrę starca, który jechał po to, żeby mi służyć, i tej kobiety, która umiała zdobyć się na długotrwałą wytrzymałość żołnierza.

Patrzyłem, jak oddalają się, cesarz konno, stanowczy, cudownie spokojny, cierpliwa

gromadka kobiet w lektykach, gwardia pretoriańska razem z numidyjskimi zwiadowcami niebezpiecznego Lucjusza Quietusa. Armia, która zimowała na brzegach Eufratu, ruszyła zaraz po przybyciu wodza: kampania partyjska zaczęła się na dobre. Pierwsze nowiny były wspaniałe. Babilon zdobyto, Tygrys przekroczony, Ktesifon padł. Wszystko, jak zawsze, ustępowało przed zadziwiającym mistrzostwem tego człowieka. Władca Charakeny złożył mu hołd, otwierając tym sposobem dla rzymskiej flotyli cały bieg Tygrysu: cesarz popłynął do portu Charaks, w głębi Zatoki Perskiej. Dotarł do bajecznych brzegów. Moje niepokoje trwały, ale je ukrywałem niczym zbrodnie: błędem jest mieć słuszność za wcześniej. Gorzej, zwątpiłem w siebie: byłem winny tej niskiej niewiary, która nam nie pozwala dostrzec wielkości człowieka znanego za dobrze. Zapomniałem, że niektórzy ludzie przesuwają graniczne kamienie losu, zmieniają historię. Błuźniłem przeciwko Geniuszowi cesarza. Gryzłem się na moim stanowisku. Jeżeli przypadkiem niemożliwe dokona się, czy podobna, by mnie przy tym nie było? A że zawsze wszystko jest łatwiejsze niż rozsądek, nachodziło mnie pragnienie, by znów wdziać zbroję z sarmackich wojen, by dzięki wpływom Plotyny móc wrócić do wojska. Zazdrościłem najlichszemu z naszych żołnierzy pyłu azjatyckich dróg, starcia z pancernymi oddziałami Persji. Senat przyznał tym razem cesarzowi prawo do odbycia już nie triumfu, ale całej serii triumfów, które by trwały, póki jego życia. Ja też zrobiłem, co należało: zarządziłem igrzyska; miałem złożyć ofiarę na szczycie góry Cassius.

Nagle pożar, który tlił się w tej wschodniej ziemi, wybuchł wszędzie równocześnie. Żydowscy kupcy odmówili płacenia podatków w Seleucji. Cyrena natychmiast zbuntowała się i ludność wschodnia wyróżnęła tam ludność grecką; drogi, którymi dowożono naszym wojskom zboże z Egiptu, zostały przecięte przez bandy zelotów z Jerozolimy; na Cyprze rezydenci grecki i rzymski zostali pojmani przez motłoch żydowski, który ich zmusił, by się zabili nawzajem w gladiatorskiej walce. Udało mi się utrzymać ład w Syrii, ale dostrzegałem płomienie w oczach żebraków siedzących na progach synagog, niemą drwinę na grubych wargach poganiaczy wielbłądów, nienawiść, na jaką, wszystko zważywszy, nie zasłużyliśmy sobie. Żydzi i Arabowie od początku występowali zgodnie przeciwko wojnie, która groziła ruiną ich handlu; ale Izrael skorzystał z tego, żeby się rzucić na świat, z którego wyłączyła go jego zaciekłość, jego dziwne obrzędy i nieustępliwość jego Boga. Cesarz, wróciwszy pośpiesznie do Babilonu, wysłał Quietusa, żeby ukarał zbuntowane miasta: Cyrena, Edessa, Seleucja, wielkie metropolie greckie na Wschodzie, zostały wydane na pastwę płomieniom, za karę za zdrady obmyślane podczas postojów karawan i uknute przez Judejczyków. Później, oglądając te miasta, które trzeba było odbudować, chodziłem pod ruinami kolumnad, między rzędami strzaskanych posągów. Król Osroes, który te bunty podsyczał złotem, natychmiast

przeszedł do natarcia; Abgar powstał i wrócił na popioły Edessy; nasi sprzymierzeńcy armeńscy, o których Trajan sądził, że może na nich liczyć, pośpieszyli z pomocą satrapom. Cesarz znalazł się nagle w centrum olbrzymiego pola bitwy, gdzie trzeba było bronić się ze wszystkich stron.

Zmarnował zimę na obleganiu Hatry, orlego gniazda, nie do zdobycia niemal, położonego w szczerzej pustyni, które kosztowało naszą armię tysiące poległych. Jego upór przybierał coraz bardziej kształt osobistej odwagi: ten chory człowiek nie chciał ustąpić. Wiedziałem od Plotyny, że Trajan mimo ostrzeżenia, jakim był krótki atak paraliżu, uparcie nie wyznaczał swego spadkobiercy. Jeśli ten naśladowca Aleksandra też z kolei umrze z gorączki albo nieumiarkowania w jakimś niezdrowym zakątku Azji, wojnę z wrogiem zewnętrznym skomplikuje wojna domowa; śmiertelna walka wybuchnie między stronnikami moimi i Celsusa czy Palmy. Nagle wiadomości urwały się niemal zupełnie; wątła linia komunikacyjna między cesarzem i mną była utrzymywana już tylko przez numidyjskie watahy mego najgorszego wroga. To w tym czasie po raz pierwszy poleciłem memu lekarzowi, by mi naznaczył na piersi czerwonym atramentem miejsce serca: gdyby się zdarzyło najgorsze, nie chciałem dostać się żywcem w ręce Lucjusza Quietusa. Trudne zadanie uspokajania wysp i pogranicznych prowincji dołączyło się do innych prac na moim urzędzie, ale wyczerpująca praca w dzień była niczym w porównaniu do długich, bezsennych nocy. Wszystkie problemy cesarstwa równocześnie na mnie spadły, ale mój własny więcej ważył. Chciałem władzy. Chciałem jej, żeby przeprowadzić moje plany, spróbować środków zaradczych, przywrócić pokój. Chciałem jej przede wszystkim po to, żeby się stać sobą przed śmiercią.

Kończyłem czterdzieści lat. Gdybym w tej epoce upadł, pozostałoby po mnie tylko imię w szeregu wysokich urzędników i grecka inskrypcja na cześć archonta Aten. Od tamtej pory, ilekroć widzę, jak odchodzi człowiek, który doszedł do środka swego życia i którego powodzenia i klęski, w mniemaniu ogółu, dadzą się dokładnie wymierzyć, wspominam, że w tym wieku istniałem tylko dla siebie i dla kilku przyjaciół, a i oni musieli nieraz wątpić we mnie, jak ja w siebie wątpilem. Zrozumiałem, że niewielu ludzi osiąga pełnię swej osobowości przed śmiercią: z większą litością osądzałem ich przerwane prace. Ten obłądny strach przed nie spełnionym życiem unieruchamiał moją myśl w jednym punkcie, ściągał w jedno miejsce jak wrzód. Moje pożądanie władzy było jak pożądanie miłości, które nie daje kochankowi jeść, spać, myśleć, a nawet kochać, póki pewne obrzędy nie zostaną dopełnione. Najpilniejsze zadania wydawały się czcze, skoro nie wolno mi było podejmować samodzielnie decyzji dotyczących przyszłości; potrzebna mi była pewność, że będę panował,

by odzyskać zamiłowanie do użyteczności. Ten antiochijski pałac, w którym w kilka lat później miałem przeżyć szalone szczęścia, był dla mnie tylko więzieniem, i to może więzieniem skazanego na śmierć. Słałem potajemnie gońców do świętych miejsc wyroczni, do Jowisza Ammona, do Kastalii, do Zeusa Dolichenosa. Sprowadzałem magów; sprowadziłem nawet z antiochijskiego więzienia zbrodniarza skazanego na ukrzyżowanie, któremu czarownik poderznął gardło w mojej obecności, bo miałem nadzieję, że dusza wahająca się przez chwilę między życiem i śmiercią odkryje mi przyszłość. Nieszczęsny łotr zyskał na tym unikając dłuższego konania, ale zadane pytania pozostały bez odpowiedzi. Nocami snułem się od okna do okna, od balkonu do balkonu po salach tego pałacu, którego mury były jeszcze popękane po trzęsieniu ziemi, pisałem astrologiczne obliczenia na płytach posadzek, wróżyłem z migocących gwiazd. Ale to na ziemi trzeba było szukać znaków przyszłości.

Wreszcie cesarz zaprzestał oblegania Hatry i postanowił cofnąć się za Eufrat, którego nigdy nie należało przekraczać. Upały, już wielkie, i dokuczliwi partyjscy łucznicy sprawili, że ten gorzki odwrót stał się jeszcze rozpaczliwszy. Pewnego upalnego majowego wieczoru wyjechałem za bramy miasta, by spotkać na brzegu Orontesu garstkę ludzi doświadczonych przez gorączki, trwogę i zmęczenie: chorego cesarza, Attianusa i kobiety. Trajan uparł się, by jechać konno aż do progu pałacu; ledwie że się trzymał o własnych siłach; ten tak pełen życia człowiek wydawał się bardziej niż inni zmieniony przez zbliżającą się śmierć. Kriton i Matidia pomogli mu wejść na schody, położyli, usiedli przy jego wezglowiu. Attianus i Plotyna opowiedzieli mi o tych zdarzeniach z wyprawy, które nie mogły się zmieścić w ich krótkich listach. Jedna z ich opowieści tak mnie wzruszyła, że pozostała na zawsze wśród moich osobistych wspomnień, moich własnych symbolów. Tuż po przybyciu do Charaksu zmęczony cesarz siadł na piaszczystym wybrzeżu, na wprost ciężkich wód Zatoki Perskiej. Była to jeszcze epoka, w której nie wątpił w zwycięstwo, ale - po raz pierwszy - ogrom świata przytłoczył go, i poczucie własnego wieku, i poczucie granic, które nas wszystkich zamykają. Duże łzy stoczyły się po zbrudzonej twarzy tego człowieka, którego uważano za niezdolnego do płaczu. Wódz, który poniósł rzymskie orły na jeszcze nie odkryte brzegi, zrozumiał, że nigdy nie popłynie po tym tak wymarzonym morzu: Indie, Baktria, cały ten nieznany Wschód, którym się na odległość upajał, pozostanie dlań nazwami i snami. Już nazajutrz złe nowiny zmusiły go do odjazdu. Ilekroć mnie z kolei los powiadał: "nie", wspominałem te łzy przelane któregoś wieczoru na dalekim brzegu przez starego człowieka, który może po raz pierwszy patrzył swemu życiu w twarz.

Poszedłem do cesarza nazajutrz rano. Miałem dlań uczucia synowskie, braterskie. Ten

człowiek, który się zawsze szczycił, że żyje i myśli w każdej potrzebie, jak każdy żołnierz jego armii, umierał w zupełnej samotności: leżąc na łożu dalej układał wielkie plany, którymi już nikt się nie interesował. Jak zawsze, jego mowa zwięzła i szorstka szpeciła jego myśl; z trudem dobierając słów mówił mi o triumfie, jaki mu gotowano w Rzymie. Zapierał się klęski, jak się zapierał śmierci. W dwa dni później miał drugi atak. Znów się zacząłem trwożnie naradzać z Attianusem, z Plotyną. Przewrotność cesarzowej wyniosła niedawno mego przyjaciela na wszechwładne stanowisko prefekta pretorianów, oddając tym sposobem pod nasze rozkazy gwardię cesarską. Matidia, która nie opuszczała komnaty chorego, była na szczęście zupełnie dla nas zjednana; ta prosta i czuła kobieta była zresztą w rękach Plotyny niby wosk. Ale żadne z nas nie śmiało przypomnieć cesarzowi, że sprawa sukcesji jeszcze nie została rozstrzygnięta. Może, jak Aleksander, postanowił nie naznaczać spadkobiercy; może miał wobec stronnictwa Quietusa zobowiązania, o których on jeden wiedział. A zapewne, po prostu nie chciał sobie uświadomić, że umiera: widuje się nieraz w rodzinach starców, co uparcie umierają bez testamentu. Idzie im nie tyle o zachowanie aż do końca swego skarbu czy władzy, których już nie potrafią mocno utrzymać w zdrętwiałych palcach, ile o to, by się nie znaleźć za wcześnie w pośmiertnym stanie człowieka, który już nie może powziąć żadnej decyzji, zrobić żadnej niespodzianki, niczym grozić ani niczego obiecywać żywym. Żałowałem go: byliśmy zbyt różni, by mógł znaleźć we mnie posłusznego kontynuatora, predestynowanego do tych samych metod i tych samych błędów, jakiego ludzie, którzy sprawowali władzę absolutną, przeważnie szukają rozpaczliwie ze swego łoża śmierci. Ale w swym otoczeniu nie widział żadnego męża stanu: byłem jedynym, którego mógł wybrać nie uchybiając swoim obowiązkom najwyższego urzędnika i wielkiego władcy: ten wódz, przyzwyczajony do szacowania służących mu ludzi, był właściwie zmuszony zgodzić się na mnie. Była to zresztą doskonała racja, żeby mnie zniechęcić. Powoli jego zdrowie poprawiło się na tyle, że mógł wstać. Mówiło przedsięwzięciu nowej wyprawy; sam w to nie wierzył. Jego lekarzowi Kritonowi, który się obawiał dla niego upałów kanikuły, udało się wreszcie nakłonić go do powrotu do Rzymu. Wieczorem, w przeddzień odjazdu, wezwał mnie na pokład statku, który go miał odwieźć do Italii, i mianował na swoje miejsce wodzem naczelnym. Posunął się aż dotąd. Ale najważniejsze nie było zrobione.

Wbrew otrzymanym rozkazom rozpocząłem natychmiast, ale w tajemnicy, rokowania pokojowe w Osroesem. Rzuciłem na szalę fakt, że zapewne nie będę już musiał z niczego zdawać rachunków cesarzowi. W niespełna dziesięć dni później obudzono mnie wśród nocy, bo przybył goniec: natychmiast poznałem zaufanego Plotyny. Przywiózł mi dwa pisma. Jedno, oficjalne, donosiło mi, że Trajan, nie mogąc znieść morskiej podróży, wysiadł na ląd w

Selinuncie w Cylicji i leży tam, ciężko chory, w domu kupca. Drugi list, sekretny, zawiadomił mnie o jego śmierci; tę śmierć Plotyna obiecywała mi ukrywać możliwie najdłużej, dając mi tym tę przewagę, że będę pierwszym, który wie. Bezzwłocznie pojechałem do Selinuntu, podejmując wszystkie potrzebne środki, by zapewnić sobie wierność garnizonów syryjskich. Ledwie ruszyłem w drogę, nowy goniec zawiadomił mnie oficjalnie o zgonie cesarza. Jego testament, w którym mnie uczynił spadkobiercą, już posłano do Rzymu, w pewne ręce. Wszystko, o czym się przez dziesięć lat gorączkowo marzyło, myślało, dyskutowało, zawarło się w dwu wierszach listu napisanego po grecku, pewną ręką, drobnym pismem kobiecym. Attianus, który mnie oczekiwał na wybrzeżu w Selinuncie, był pierwszym, który mnie powitał tytułem cesarza.

I tu właśnie, w okresie między wylądowaniem chorego i chwilą jego śmierci, znajduje się jedno z tych ogniw łańcucha wydarzeń, których nigdy nie uda mi się odtworzyć, a na których przecież jest zbudowane moje przeznaczenie. Te kilka dni, spędzone przez Attianusa i kobiety w domu kupca, zadecydowały na zawsze o moim życiu, ale będzie z tymi dniami już po wiek wieków tak samo, jak było później z pewnym popołudniem na Nilu, o którym też nigdy nic nie będę wiedział, właśnie dlatego że tak bardzo chciałbym wiedzieć wszystko. Byle włóczęga uliczny w Rzymie ma swoje zdanie o tym epizodzie mojego życia, ale ja jestem człowiekiem, który wie o nim najmniej. Moi wrogowie oskarżali Plotynę, że skorzystała z agonii cesarza, by zmusić umierającego do napisania kilku słów, w których mnie władzę przekazał. Jeszcze bardziej prostacy potwarczy opisywali łoże z kotarami, pełgające światło lampy, lekarza Kritona dyktującego ostatnią wolę Trajana głosem naśladowującym głos zmarłego. Powtarzano mi z naciskiem, że ordynans Phoedimus, który mnie nie cierpiał i którego milczenia moi przyjaciele kupić by nie mogli, zmarł w samą porę na złośliwą gorączkę nazajutrz po zgonie swego pana. W tych domysłach o intrydze i przemocy jest coś, co trafia do wyobraźni ludowej, a i do mojej także. Nie byłoby mi przykro, jeśliby kilkoro uczciwych ludzi okazało się zdolnymi do posunięcia się dla mnie aż do zbrodni, jeśliby przyjaźń aż tak daleko zaprowadziła cesarzową. Wiedziała, na jakie niebezpieczeństwa wystawia państwo nie powzięta decyzja; czczę ją dostatecznie, by wierzyć, że zgodziłaby się popełnić potrzebne oszustwo, jeśliby ją nakłonił do tego rozum, zdrowy rozsądek, interes publiczny i przyjaźń. Miałem później w rękach ten dokument, tak gwałtownie podawany w wątpliwość przez moich wrogów: nie mogę orzec, czy ostatnia wola podyktowana przez chorego była autentyczna, czy nie. Oczywiście, wolę przypuszczać, że Trajan sam, czyniąc przed śmiercią ofiarę ze swych osobistych uprzedzeń, dobrowolnie przekazał cesarstwo temu, którego uznał za najgodniejszego. Ale muszę

wyznać, że cel ważniejszy był tu dla mnie niż środki: jest istotne, żeby człowiek, który do władzy doszedł, dowiódł następnie, że zasługuje na jej sprawowanie.

Ciało zostało spalone na brzegu morza wkrótce po moim przybyciu, uroczysty zaś pogrzeb miał się odbyć później, w Rzymie.

Niemal nikt nie był obecny przy tej bardzo skromnej ceremonii, która się odbyła o świcie i stanowiła po prostu ostatnią z długotrwałych domowych posług, oddawanych przez kobiety osobie Trajana. Matidia płakała rzewnymi łzami; wibrowanie powietrza dookoła stosu mąciło rysy Płotyny. Spokojna, wyniosła, trochę wychudzona gorączką, była jak zawsze przejrzysta i nieprzenikniona. Attianus i Kriton dopilnowali, by wszystko zostało należycie spopielone przez ogień. Lekki dym rozwiął się w bladym powietrzu bezcienistego poranka. Nikt z moich przyjaciół nie wspomniał o wydarzeniach z tych kilku dni, jakie poprzedziły śmierć cesarza. Widocznie hasłem ich było milczenie; moim było niezadawanie niebezpiecznych pytań.

Tegoż jeszcze dnia cesarzowa wdowa i jej domownicy odpłynęli do Rzymu. Wracałem do Antiochii, a w drodze towarzyszyły mi aklamacje legionów. Zawładnął mną niebywały spokój: ambicja i obawa wydawały się jak miniony zły sen. Cokolwiek by się stało, byłem zdecydowany aż do końca bronić moich cesarskich widoków, ale akt adopcji wszystko uprościł. Moje własne życie już nie zaprzętało mojej świadomości: mogłem znowu myśleć o reszcie ludzi.

TELLUS STABILITA

Moje życie wróciło do ładu, ale nie cesarstwo. Świat, który w dzieciństwie otrzymałem, był podobny do człowieka w sile wieku, jeszcze krzepkiego, choć z widocznymi już dla oczu lekarza nieznacznymi oznakami zużycia, ale człowieka, który przeszedł świeżo konwulsje ciężkiej choroby. Rokowania znów się wszczęły, teraz już jawnie; rozgłaszałem wszędzie, że sam Trajan polecił mi je prowadzić przed śmiercią. Jedną kreską przekreśliłem niebezpieczne podboje: nie tylko Mezopotamii, gdzie nie moglibyśmy się utrzymać, ale i Armenii, zbyt cudacznej i zbyt dalekiej, którą zachowałem tylko jako państwo hołdownicze. Kilka trudności, które przedłużyłyby na lata konferencję pokojową, gdyby jej przeciąganie było dla głównych zainteresowanych korzystne, zostało usunięte dzięki zręczności kupca Opramoasa, mającego posłuch u satrapów. Starłem się włożyć w rokowania zapał, jaki inni okazują tylko na polu bitwy: forsowałem pokój. Mój partner pragnął go zresztą co najmniej tyleż samo co i ja: Partowie szczerze chcieli znów otworzyć swoje drogi dla handlu między Indiami i nami. W niewiele miesięcy po wielkim kryzysie z radością ujrzałem, że brzegami Orontesu znów zaczynają ciągnąć karawany: w oazach znów zaczynało być rojno od kupców komentujących nowiny w świetle ognisk, na których gotowano strawę, ładujących każdego ranka, razem z towarem, który wieźli w nieznaną kraj, pewien zapas myśli, słów, zwyczajów bardzo naszych, które powoli będą opanowywać glob w sposób pewniejszy niż maszerujące legie. Obieg złota, krążenie myśli, tak niedostrzegalne jak krążenie w żyłach życiodajnego powietrza, znów się zaczynały w wielkim ciele świata; puls ziemi znów zaczynał bić.

Z kolei gorączka buntu spadała. Była tak gwałtowna w Egipcie, że musiano w pośpiechu zrobić zaciąg do chłopskiej milicji czekając na nasze wojska posiłkowe. Natychmiast zleciłem memu towarzyszu Marcjuszowi Turbonowi, by tam przywrócił spokój, co zrobił z rozsądną stanowczością. Ale spokój na ulicach zadowalał mnie tylko w połowie; chciałem, jeśli się da, przywrócić go w umysłach, a raczej wprowadzić go tam po raz pierwszy. Tygodniowy pobyt w Peluzjum został w całości użyty na bezstronne rozsądzanie sporów Greków i Żydów, wieczyście skłóconych ze sobą. Nic nie zobaczyłem z tego, co widzieć chciałbym: ani brzegów Nilu, ani muzeum w Aleksandrii, ani posągów w świątyniach; z trudem zdołałem wyrwać jedną noc, by się zabawić w wesołym Kanobos. Sześć nie kończących się dni minęło w gorącej kadzi sądu, chronionej od upału z zewnątrz przez długie zasłony z drewnianych deszczulek, które klekotały na wietrze. W nocy olbrzymie komary bzykały wokół lamp. Próbowałem wykazać Grekom, że nie zawsze byli najmądrzejsi, Żydom, że zgoła nie byli najcnotliwsi. Satyryczne śpiewki, jakimi ci posledniejszego gatunku Hellenowie nękali swoich przeciwników, zgoła nie były głępsze od groteskowych złorzeczeń żydowskich. Te rasy, mieszkające drzwi w drzwi od wieków, nigdy

nie miały ciekawości, żeby się poznać, ani przyzwoitości, żeby się na siebie zgodzić. Wyczerpani pieniacze, którzy późną nocą ustępowali z placu, zastawali mnie o świecie w mojej ławie, jeszcze zajętego grzebaniem w stosie śmieci fałszywych świadectw; zasztyletowane trupy, które przedstawiano mi jako dowody rzeczowe, bywały często trupami chorych, zmarłych we własnych łóżkach, wykradzionymi balsamującym. Ale każda godzina rozejmu była zwycięstwem, niepewnym jak one wszystkie; każdy rozstrzygnięty spór precedensem, rękojmią na przyszłość. Mało mnie obchodziło, że uzyskana zgoda była powierzchowna, narzucona z zewnątrz, zapewne przemijająca: wiedziałem, że dobro, jak i zło, jest sprawą nawyku, że przemijające się przedłuża, że zewnętrzne przesącza się do wewnątrz i że maska po dłuższym czasie staje się twarzą. Skoro nienawiść, głupota, obłęd mają skutki trwałe, nie widziałem, czemu by i rozsądek, sprawiedliwość, życzliwość nie mogły mieć trwałych skutków. Nie będzie ładu na granicach, jeśli nie namówię żydowskiego handlarza starzyzną i greckiego masarza, żeby spokojnie żyli obok siebie. Pokój był moim celem, ale zgoła nie bóstwem; nie ufam ideałom: są nazbyt odległe od rzeczywistości. Zamyślałem doprowadzić do końca moją niezgodę na podboje opuszczając Dację, i zrobiłbym to, gdybym mógł, nie popełniając szaleństwa, całkowicie zerwać z polityką mego poprzednika, ale lepiej było zużyć możliwie najmądrzej te zdobycze, które zastałem obejmując władzę, już zarejestrowane przez historię. Godny podziwu Juliusz Bassus, pierwszy namiestnik tej nowo zorganizowanej prowincji, właśnie był zginął, jak omal nie zginąłem i ja w owym roku spędzonym na granicach sarmackich, zabity przez nie przynoszące chwały zadanie, jakim jest niestrudzone uspokajanie świeżo podbitego kraju. Kazałem mu urządzić w Rzymie uroczysty pogrzeb, jaki zwykle urządzano tylko cesarzom; ten hołd oddany dobremu słudze, złożonemu w ofierze sprawie nie dającej sławy, był moim ostatnim i dyskretnym protestem przeciwko polityce podbojów: już nie musiałem jej oskarżać głośno, odkąd mogłem z nią zerwać. Natomiast zaszła konieczność wysłania karnej ekspedycji wojskowej do Mauretanii, gdzie agenci Lucjusza Quietusa podzegli do zamieszek; ale jeszcze nie musiałem udać się tam osobiście. Tak samo miały się rzeczy w Brytanii, gdzie Kaledończycy skorzystali z wycofania wojsk na wojnę azjatycką, by zdziesiątkować zbyt skąpe załogi zostawione na granicach. Juliusz Sewerus zajął się tam tym, co najpilniejsze, czekając, aż uporządkowanie spraw rzymskich pozwoli mi tę długą podróż przedsięwziąć. Ja zaś miałem zamiar sam zakończyć wojnę sarmacką, tylko przerwana, i rzucić na nią tym razem wystarczającą ilość wojsk, by ukrocić raz na zawsze barbarzyńskie łupieże. Bo tu, jak wszędzie, nie miałem zamiaru dać się ujarzmić systemowi. Godziłem się na wojnę jako na środek wiodący do pokoju, jeśli rokowania nie wystarczały, jak lekarz

decyduje się na środek jątrzący spróbował bez skutku działania kojących ziół. Wszystko w sprawach ludzkich jest tak złożone, że moje pokojowe panowanie też będzie miało swoje okresy wojenne, jak i w żywocie wielkiego wodza znajdują się, czy chce, czy nie chce, interludia pokoju.

Przed udaniem się na północ dla ostatecznego zakończenia konfliktu sarmackiego spotkałem się z Quietusem. Rzeźnik z Cyreny nadal był groźny. Moim pierwszym posunięciem było rozpuszczenie jego pułków nubijskich zwiadowców; zostało mu miejsce w Senacie, urząd w regularnej armii i olbrzymia posiadłość na zachodnich piaskach, z której mógł sobie robić do woli odskocznnię albo schronienie. Zaprosił mnie na łowy do Myzji w szczerym lesie i przemyślnie ukartował wypadek, w którym, mając nieco mniej szczęścia albo fizycznej zręczności, na pewno straciłbym życie. Korzystniej było udać, że niczego nie podejrzewam, zwlec, zaczekać. Wkrótce potem, w Dolnej Mezji, kiedy kapitulacja sarmackich władców pozwoliła mi już pomyśleć o niedalekim powrocie do Italii, z szyfrowanych depech mego dawnego opiekuna dowiedziałem się, że Quietus, spiesząc wróciwszy do Rzymu, spotkał się tam z Palmą. Nasi wrogowie umacniali swoje pozycje, szykowali wojska, jutro będzie zawsze niepewne, dopóki mieć będziemy przeciwko sobie tych dwu ludzi. Napisałem Attianusowi, żeby działał szybko. Starzec uderzył jak piorun. Przekroczył moje rozkazy i uwolnił mnie za jednym zamachem od wszystkich jawnych wrogów, jacy mi zostali. W tym samym dniu, w ciągu ledwie kilku godzin, Celsus został zamordowany w Bajach, Palma w swojej willi w Tarracynie, Nigrinus w Fawencji, na progu swego wiejskiego domu. Quietus zginął w podróży, po wyjściu z tajnej narady ze swymi współnikami, wsiadając do pojazdu, który go miał odwieźć do miasta. Fala grozy załała Rzym. Serwianus, mój podstarzały szwagier, który się pozornie z moim wyniesieniem pogodził, ale łakomie czyhał na moje przyszłe potknięcia, musiał odczuć skurecz radości, który zapewne w całym jego życiu był najżywszym doznaniem rozkoszy. Wszystkie ponure plotki, jakie krążyły o mnie, stały się wiarygodne.

Otrzymałem te wieści na pokładzie statku, który mnie wiozł do Italii. Przeraziły mnie. Człowiek zawsze się cieszy, gdy zostaje uwolniony od przeciwników, ale mój opiekun objawił starczą obojętność na dalsze konsekwencje swego czynu; zapomniał, że będę musiał żyć ze skutkami tych morderstw przez więcej niż dwadzieścia lat. Wspomniałem prbskrypcje Oktawiana, które na zawsze zbryzgały krwią jego pamięć, pierwsze zbrodnie Nerona, po których przyszły następne. Wspomniałem ostatnie lata Domicjana, tego człowieka przeciętnego, nie gorszego niż inni, którego strach, jaki wzbudzał i czuł, pozbawił powoli kształtu ludzkiego, który umarł w pałacu jak zwierzę zaszczute w lesie. Moje życie publiczne

już mi się wymykało z rąk: w pierwszych wierszach inskrypcji już wyryły się głęboko słowa, których nie zmażę. Senat, to wielkie ciało, takie słabe, ale które się stawało potężne, kiedy je zaczęto prześladować, nigdy nie zapomni, że czterech ludzi wyszłych z jego grona zostało zamordowanych na mój rozkaz; trzech intrygantów i jedna okrutna bestia zamienią się w ten sposób w męczenników. Natychmiast dałem znać Attianusowi, żeby przybył do mnie do Brundyzjum, gdzie mi za swoje postęпки odpowie.

Czekał na mnie w pobliżu portu w izbie zajazdu wychodzącej na wschodnią stronę, w której niegdyś umarł Wergiliusz. Kulejąc wyszedł na próg, żeby mnie powitać; cierpiał na atak podagry. Ledwieśmy zostali sami, zacząłem robić mu gwałtowne wymówki: panowanie, w moim zamiarze łagodne, przykładne, zaczynało się czterema egzekucjami, z których była nieodzowna tylko jedna, i niebezpiecznie zlekceważono nadanie im form legalnych. To nadużycie siły byłoby mi wymawiane tym bardziej, jeślibym się starał w przyszłości być łaskawym, skrupulatnym albo sprawiedliwym; służyłoby jako dowód, że moje rzekome cnoty są tylko serią masek, jako materiał na ukucie mi banalnej legendy tyrana, która mi towarzyszyć będzie, być może, aż po kres dziejów. Wyznałem mój lęk: nie czułem się już bardziej wolny od okrucieństwa niż od wszelkiej innej ludzkiej ułomności: przejąłem się powszechnym mniemaniem, utrzymującym, że zbrodnia przywołuje zbrodnię; przykładem zwierzę, które raz pokosztowało krwi. Stary przyjaciel, którego lojalność wydawała mi się taka pewna, już się usamodzielniał wykorzystując słabość, jaką w swym mniemaniu dostrzegł we mnie; pod pokrywką przysługi dla mnie załatwił swoje osobiste porachunki z Nigrinusem i Palmą. Naraził na szwank moje pokojowe dzieło; przyszykował mi najczarniejszy z powrotów do Rzymu.

Stary człowiek poprosił, żebym mu pozwolił usiąść, oparł na stołku nogę owiniętą w bandaż. Kiedy zacząłem mówić, poprawiłem okrycie na tej chorej nodze. Słuchał mnie nie przerywając, z uśmiechem gramatyka słuchającego ucznia, który sobie jako tako radzi z trudną recytacją. Kiedy skończyłem, zapytał mnie wprost, jak zamierzam postąpić z wrogami ustroju. Jeśli trzeba, da się dowieść, że ci czterej ludzie knuli moją śmierć; w każdym razie było to zgodne z ich interesami. Każde przejście od panowania do panowania wymaga gruntownych porządków: on się tego podjął, żebym ja miał ręce czyste. Jeśliby opinia publiczna żądała ofiary, nic nie było prostsze niż usunięcie go ze stanowiska prefekta pretorianów. Przewidział ten środek zaradczy; podsunął mi go. A jeśliby trzeba jeszcze więcej, żeby udobruchać Senat, słuszne będzie, jeśli się posunę aż do usunięcia go albo wygnania.

Attianus był opiekunem, od którego się wyciąga pieniądze, doradcą w trudnych

dniach, wiernym agentem, ale wtedy po raz pierwszy wpatrywałem się uważnie w tę twarz o starannie wygolonych policzkach, w te zniekształcone ręce spokojnie złożone na gałce hebanowej laski. Znałem dość dobrze różne elementy jego egzystencji człowieka szczęśliwego: jego żonę, która mu była droga i której zdrowie wymagało opieki, zamężne córki i ich dzieci, dla których miał ambicje zarazem skromne i uparte, jakie i jego własne niegdyś były; jego zamiłowanie do wykwintnych potraw; jego jawne upodobanie do greckich kamei i młodych tancerek. Mnie przed wszystkim dawał pierwszeństwo: od trzydziestu lat jego pierwszą troską była opieka nade mną, potem służenie mnie. Mnie, który aż dotąd przekładałem ponad siebie tylko idee, projekty czy, co najwyżej, przyszły obraz samego siebie, to zwykle przywiązanie człowieka do człowieka wydawało się cudowne, niezbadane. Nikt tego nie był godny i wciąż nie mogłem sobie tego wytłumaczyć. Usłuchałem jego rady: stracił swój urząd. Jego lekki uśmiech dowiódł mi, że się spodziewał, iż go zrozumiem dosłownie. Dobrze wiedział, że żadna niewczesna troskliwość o starego przyjaciela nigdy mi nie przeszkodzi w zajęciu stanowiska najrozsunniejszego; ten subtelny polityk nie chciałby, żebym był inny. Nie należy wyolbrzymiać rozmiarów jego niełaski: po kilku miesiącach odsunięcia udało mi się wprowadzić go do Senatu. Był to największy zaszczyt, jaki sprokurować mogłem człowiekowi ze stanu ekwitów. Miał łatwą starość bogatego rzymskiego rycerza i wpływy wynikające z doskonałej znajomości rodów i interesów; często bywałem jego gościem w willi w Górach Albańskich. A jednak, niczym Aleksander w przededniu bitwy, złożyłem ofiarę Strachowi przed moim wejściem do Rzymu: zdarza mi się wliczać Attiantisa do moich ofiar ludzkich.

Attianus przewidywał słusznie: dziewicze złoto szacunku byłoby zbyt miękkie bez pewnej domieszki strachu. Z zabójstwem czterech byłych konsulów stało się tak, jak z historią o zmyślonym testamencie: umysły uczciwe, cnotliwe serca nie uwierzyły, bym był w to zamieszany; cynicy przypuszczali najgorsze, ale mnie tym bardziej podziwiali. Rzym uspokoił się, skoro się dowiedziano, że na tym kończą się moje porachunki; radość, z jaką każdy odetchnął czując się bezpiecznym, kazała szybko zapomnieć o zabitych. Zachwycono się moją łagodnością, bo ją uważano za rozmyślną, dobrowolną, bo mniemano, że każdego ranka wybieram między nią i gwałtem, który by dla mnie trudniejszy nie był: chwalono moją prostotę, bo ją uważano za wyrachowanie. Trajan miał niemal wszystkie cnoty skromne; moje bardziej zdumiewały; jeszcze trochę i dopatrzono by się w nich wyrafinowania występku. Byłem tym samym człowiekiem co i niegdyś, ale to, co niegdyś lekceważono, teraz uchodziło za wzniosłe: doskonała grzeczność, w której pospolite umysły widziały formę słabości, być może tchórzostwa, teraz wydawała się gładką i polerowaną pochwą siły. Wynoszono pod niebiosa moją cierpliwość dla petentów, moje częste odwiedziny u chorych w wojskowych szpitalach, moją przyjazną zażyłość z weteranami, którzy wrócili w domowe pielesze. Wszystko to nie różniło się od sposobu, w jaki przez całe życie traktowałem moją służbę i kolonów w moich majątkach. Każdy z nas ma więcej cnót, niż się mniema, ale tylko powodzenie uwidocznia je, może dlatego że ludzie spodziewają się wtedy, iż przestaniemy je uprawiać. Istoty ludzkie przyznają się do własnych największych słabości, kiedy uświadamiają sobie, że pan świata nie jest głupio gnuśny, zarozumiały albo okrutny.

Odmówiłem przyjęcia jakichkolwiek tytułów. W pierwszym miesiącu mego panowania Senat przyozdobił mnie, bez mojej wiedzy, długim ciągiem zaszczytnych nazwań, które, niby szal z frędzlami, drapuje się na szyjach niektórych cesarzy. Dacki, Partyjski, Germański: Trajan lubił te piękne dźwięki muzyki wojskowej, podobne do cymbałów i bębnow partyjskich pułków; budziły w nim echa, odpowiedzi; mnie tylko drażniły albo ogłuszały. Kazałem to wszystko odstawić; odrzuciłem też, tymczasem, piękny tytuł Ojca Ojczyzny, który August przyjął dopiero pod koniec i którego jeszcze nie byłem, moim zdaniem, godny. Tak samo rzecz się miała z triumfem; byłoby śmieszne przystać na triumf za wojnę, w której moją jedyną zasługą było zakończenie jej. Ci, którzy się dopatrywali skromności w tych odmowach, mylili się tyleż samo co i ci, którzy mi zarzucali pychę. Moje wyrachowanie miało na względzie nie tyle zrobienie wrażenia na innych, ile korzyści dla mnie samego. Chciałem, żeby mój prestiż był własny, zrosnięty ze mną, bezpośrednio wymierzalny w terminach: "lotność umysłu", "siła" albo "dokonane czyny". Tytuły, jeśli przyjdą, przyjdą później, inne tytuły, świadectwa zwycięstw bardziej sekretnych, do jakich

jeszcze nie śmiałem rościć sobie prawa. Chwilowo miałem dostatecznie dużo zajęcia z tym, by zostać albo być możliwie najbardziej Hadrianem.

Pomawiają mnie, że niezbyt lubię Rzym. A przecież był piękny podczas tych dwóch lat, kiedy państwo i ja wypróbowywaliśmy siebie, miasto wąskich ulic, ludnych placów, cegieł koloru starczego ciała. Rzym, znów ujrzany po Wschodzie i Grecji, przy-odziewał się w pewną niezwykłość, jakiej nie dostrzegają Rzymianie urodzeni i stale mieszkający w Mieście. Znów przywykałem do zim, wilgotnych i pokrytych sadzą, do afrykańskich lat łagodzonych chłodem wodospadów Tiburu i jezior w Górach Albańskich, do tego ludu prawie wiejskiego, ale w który ambicja, przynęta zarobku, przypadki podbojów i niewoli wsączają powoli wszystkie rasy świata, tatuowanego, czarnego, włochoatego Germanina, szczupłego Greka i tłustego przybysza ze Wschodu. Pozbywałem się niektórych przewrażliwień: bywałem w publicznych łaźniach w porze, kiedy były dla wszystkich otwarte; nauczyłem się znosić igrzyska, w których dotąd widziałem tylko okrutne marnotrawstwo. Moje zdanie nie zmieniło się: nie cierpiałem tych rzezi, w których zwierzę nie ma żadnej szansy; dostrzegałem jednak powoli ich wartość obrzędową, uczucie tragicznego oczyszczenia, jakie dawały prostemu tłumowi; chciałem, by świetność ludowych zabaw dorównywała tej, jaką miały za Trajana, dbając przy tym, by podnieść ich poziom artystyczny i ład. Zmuszałem się do znajdowania piękna w umiejętniej szermierce gladiatorów, pod tym wszakże warunkiem, by nikt nie był do wykonywania tego fachu zmuszany wbrew swej woli. Uczyłem się, z wyżyn trybuny w cyrku, parlamentować z tłumem za pośrednictwem heroldów i nakazywać mu milczenie z szacunkiem, jaki mi oddawał stokrotnie, przyznawać mu tylko to, czego miał słuszne prawo spodziewać się, nie odmawiać niczego bez uzasadnienia mojej odmowy. Nie zabierałem, jak ty, książek do cesarskiej łoży: obraża się ludzi okazując pogardę dla ich rozrywek. Jeśli widowisko przyprawiało mnie o mdłości, wysiłek wytrwania był dla mnie ćwiczeniem wartym więcej niż lektura Epikteta.

Moralność jest to konwencja prywatna; przyzwoitość to sprawa publiczna; każda zbyt bijąca w oczy swoboda zawsze robiła na mnie wrażenie kiepskiego w gatunku popisu. Zakazałem wspólnych kąpiel, powodu do nieustających awantur; kazałem stopić i zwrócić do kas państwowych olbrzymią zastawę stołową, zamówioną przez obżartucha Witeliusza. Nasi pierwsi cesarze zyskali sobie paskudną opinię łowców spadków: z reguły nie przyjmowałem ani dla państwa, ani dla siebie żadnego legatu, do którego rościć by sobie mogli prawa bezpośredni spadkobiercy. Staralem się zmniejszyć zawrotną liczbę niewolników cesarskiego domu, a zwłaszcza ukrócić ich zuchwalstwo; czuli się równi najlepszym obywatelom, i

niekiedy ich terroryzowali: pewnego dnia jeden z moich ludzi odezwał się impertynencko do senatora; kazałem spoliczkować tego człowieka. Przez wstręt do nieładu kazałem chłostać na środku cyrku pozadłużanych po uszy marnotrawców. Żeby było wiadomo, co się komu należy, nalegałem, by w mieście noszono publicznie togi albo tuniki z szerokim szlakiem, ubrania niewygodne, jak wszystko, co zaszczytnie wyróżnia, do noszenia których ja sam zmuszałem się tylko w Rzymie. Wstawałem na przywitanie przyjaciół; stałem podczas audiencji, żeby zaznaczyć, iż nie lubię bezceremonialności postawy siedzącej albo leżącej. Kazałem zmniejszyć wręcz bezczelną liczbę zaprzęganym do pojazdów koni tarasujących nasze ulice, zbytek, który niweczy sam siebie, bo nawet człowiek pieszy wyprzedzi sto pojazdów zbitych razem wzdłuż zakrętów Via Sacra. Bywając w odwiedzinach, kazałem się wnosić w lektyce aż do wnętrza prywatnych domów, oszczędzając w ten sposób moim gospodarzom przykrości czekania na mnie albo odprowadzania mnie w słońcu albo w porwistym rzymskim wietrze.

Odnalazłem moich bliskich: zawsze byłem przywiązany do mojej siostry Pauliny, a i sam Serwanius wydawał mi się mniej niż niegdyś wstrętny. Moja teściowa, Matidia, przywiozła ze Wschodu pierwsze symptomy śmiertelnej choroby: starałem się oderwać jej uwagę od cierpienia przy pomocy skromnych uczt, niewinnie oszołamiać odrobiną wina tę matronę jak dziewczę skromną. Nieobecność mojej żony, która wyjechała na wieś w przystępie złego humoru, nie uszczuplała w niczym tych rozkoszy życia rodzinnego. Ze wszystkich istot na ziemi była ona zapewne tą, której życzliwość najmniej udało mi się pozyskać: trzeba przyznać zresztą, że starałem się o to niezbyt usilnie. Bywałem w niedużym domu, gdzie cesarzowa wdowa oddawała się poważnym rozkoszom medytacji i czytania. Odnalazłem piękne milczenie Plotyny. Łagodnie odsuwała się w cień; ten ogród, te jasne komnaty stawały się co dzień bardziej mieszkaniem Muzy, świątynią cesarzowej, już boskiej. Jej przyjaźń wszakże wciąż była wymagająca, ale miewała na ogół tylko wymagania rozumne.

Znów zobaczyłem przyjaciół; zaznałem wybornej radości, jaką jest nawiązanie kontaktu po długiej przerwie, ponowna wzajemna ocena. Mój dawny towarzysz zabaw i literackich prac, Victor Voconius, umarł; podjąłem się ułożenia dlań pogrzebowej mowy; uśmiechano się, kiedy wśród cnót zmarłego wymieniłem czystość, czemu przeczyły jego własne wiersze i obecność na pogrzebie Thestylosa o puklach barwy miodu, którego Victor nazywał swoją piękną udręką. Moja obłuda była mniej prostacka, niżby można sądzić: każda rozkosz zażywana w sposób ładny wydawała mi się czysta. Zagospodarowałem Rzym jak dom, z którego jego pan chce móc wyjeżdżać nie narażając go na przykre odczuwanie tej

nieobecności: nowi współpracownicy zostali wypróbowani; skaptowani przeciwnicy bywali na wieczerzach na Palatynie razem z przyjaciółmi z trudnych czasów. Neratius Priscus przy moim stole szkicował swoje prawodawcze plany; architekt Apollodor objaśniał nam swoje rysunki; Cejoniusz Kommodus, przebogaty patrycjusz, pochodzący ze starego rodu etruskiego krwi bez mała królewskiej, dobry znawca win i ludzi, razem ze mną obmyślał moje przyszłe posunięcia w Senacie.

Jego syn, Lucjusz Cejoniusz, wówczas ledwie osiemnastoletni, rozweselał te zebrania, z mojej woli poważne, swoim radosnym urokiem młodego książątka. Miał już pewne niedorzeczne i rozkoszne nawyki: namiętność przyrządzania dla przyjaciół wyszukanych potraw, wyborny smak w dekorowaniu wnętrz kwiatami, szalone zamiłowanie do hazardowych gier i maskarad. Jego Wergiliuszem był Marcjalis: deklamował jego frywolne wiersze z czarującym bezwstydem. Poczyliłem obietnice, które później były mi bardzo niewygodne; ten młody tańczący faun zajął mi pół roku życia.

Tak często traciłem z oczu i znów spotykałem Lucjusza w ciągu następnych lat, że być może zachowałem jego obraz złożony z nakładających się na siebie wspomnień, który nie odpowiada w całości żadnej fazie jego krótkiej egzystencji. Trochę bezczelny arbiter rzymskiej elegancji, początkujący mówca, nieśmiało stosujący wzory stylu, proszący mnie o rady przy trudnym ustępie, młody, zafrasowany oficer szarpiący swą rzadką bródkę, chory wstrząsany kaszlem, przy którym czuwałem aż do zgonu, istnieli dopiero o wiele później. Obraz młodzieńczego Lucjusza jest zamknięty w sekretniejszych zakątkach pamięci: twarz, ciało, alabaster bladej i różowej skóry, dokładny odpowiednik miłosnego epigramatu Kallimacha, kilku czystych i prostych wierszy poety Stratona.

Ale spieszo mi było opuścić Rzym. Moi poprzednicy aż dotąd wyjeżdżali zeń najczęściej na wojnę: wielkie projekty, pokojowe działanie i wręcz moje życie dla mnie zaczynało się za murami.

Pozostała do zrobienia rzecz ostatnia: trzeba było dać Trajanowi ten triumf, o którym majaczył w chorobie. Triumf przystoi tylko umarłym. Póki żyjemy, zawsze się znajdzie ktoś, żeby nam nasze słabości wytykać, jak niegdyś Cezarowi jego miłostki i łysinę. Ale umarły ma prawo do tego uroczystego złożenia do grobu, do tych kilku godzin hałaśliwej pompy przed stuleciami chwały i tysiącletniemu zapomnieniu. Kariera umarłego jest już bezpieczna od zmienności fortuny; nawet jego klęski nabierają świetności zwycięstw. Ostatni triumf Trajana upamiętniał nie jego wątpliwe zwycięstwo nad Partami, ale zacny wysiłek, jakim było jego całe życie. Zebraliśmy się, żeby uczcić najlepszego cesarza, jakiego Rzym zaznał od starości Augusta, najbardziej obowiązkowego w pracy, najuczciwszego, najmniej niesprawiedliwego.

Nawet jego wady stały się już tymi szczególnymi cechami, jakie pozwalają poznać doskonale podobieństwo z twarzą marmurowej rzeźby. Dusza cesarza szła do nieba, podnoszona nieruchomą spiralą kolumny Trajana. Mój przybrany ojciec stawał się bogiem: zajął miejsce w szeregu wojowniczych wcieleń wiecznego Marsa, które zjawiają się w każdym stuleciu, by wstrząsnąć światem i odnowić go. Stojąc na tarasie Palatynu mierzyłem, ile mnie od niego różni; wykształcałem z siebie narzędzie spokojniejszych celów. Zaczynałem marzyć o panowaniu olimpijskim.

Rzym już nie jest w Rzymie: musi zginąć albo stać się równym połowie świata. Te dachy, te tarasy, te wielościanny domów, które zachodzące słońce ozlaca tak pięknym różem, nie są już, jak za czasów naszych królów, trwożnie otoczone szańcami; sam odbudowałem niemałą część tych szańców wzdłuż germańskich lasów i na brytyjskich wydmach. Ilekroć patrzyłem z daleka, z zakrętu jakiejś zalanej słońcem drogi, na akropol grecki i jego miasto doskonale jak kwiat, połączone ze swoim wzgórzem jak kielich z łodygą, czułem, że ta nieporównana roślina była ograniczona przez samą swoją doskonałość, spełnioną w określonym miejscu przestrzeni i czasu. Jej jedyną szansą rozwoju, jak u roślin, było jej ziarno: nasienie myśli, którym Grecja zapłodniła świat. Ale Rzym, cięższy, mniej kształtny, bardziej przypadkowo rozłożony na swojej równinie, na brzegu swojej rzeki, organizował się ku rozwinięciom szerszym: miasto stało się państwem. Chciałbym, żeby państwo jeszcze bardziej rozrosło się, stało się porządkiem świata, porządkiem rzeczy. Cnoty, które wystarczały dla małego miasta na siedmiu wzgórzach, musiałyby się stać bardziej giętkie, bardziej rozmaite, żeby pasować dla całej ziemi. Rzym, który pierwszy odważyłem się nazwać wiecznym, upodobniałby się coraz bardziej do bogiń-matek z kultów Azji: rodzicielka chłopców i żniw, tuląca do łona lwy i pszczelne ule. Ale każdy twór ludzki, który rości sobie prawo do wieczności, musi dopasować się do zmiennego rytmu wielkich dzieł przyrody, zestroić z czasem gwiazd. Nasz Rzym nie jest to już pasterska miejscina starego Euandra, ciężarna przyszłością, co już w części minęła; drapieżny Rzym Republiki spełnił swoją rolę; szalona stolica pierwszych cesarów sama z siebie poważnieje; przyjdą inne Rzymy, których oblicze trudno mi jest wyobrazić sobie, ale i ja przyczynię się do ich ukształtowania. Kiedy zwiedzałem starożytne miasta, święte, ale minione, bez współczesnej wartości dla rodu ludzkiego, przyrzekałem sobie, że zrobię wszystko, by mój Rzym uniknął skamieniałego losu Teb, Babilonu czy Tyru. Rzym wyrwie się ze swego kamiennego ciała i złoży sobie ze słowa "państwo", ze słowa "obywatelstwo", ze słowa "republika" pewniejszą nieśmiertelność. W krajach jeszcze niecywilizowanych, na brzegach Renu, Dunaju czy Batawskiego Morza, każdy grodek broniony palisadą z bali przypominał mi trzciniową chatę, kupę nawozu, na której nasze rzymskie bliźnięta spały nakarmione mlekiem wilczycy: te przyszłe metropolie będą kopią Rzymu. Ponad fizyczne ciało narodów i ras, ponad przypadki geografii i historii, ponad sprzeczne wymagania bogów albo przodków przełożymy na zawsze, ale niczego nie niszcząc, jedność ludzkiego postępowania, empiryzm rozumnego doświadczenia. Rzym będzie trwał wiecznie w najmniejszej miejscinie, gdzie urzędnicy będą się starali sprawdzać wagę kupców, czyścić i oświetlać ulice, przeciwstawiać się bałaganowi, niedbalstwu, zastraszeniu, niesprawiedliwości, dawać nową i rozumną wykładnię praw. Rzym

zginie dopiero razem z ostatnim ludzkim osiedlem.

Humanitas, Felicitas, Libertas: te piękne słowa, widniejące na monetach z czasów mego panowania, nie ja wymyśliłem. Pierwszy lepszy filozof grecki, niemal każdy wykształcony Rzymianin, chciałby widzieć taki sam, jak i ja, obraz świata. Słyszałem, jak Trajan, mając do czynienia z ustawą niesprawiedliwą, bo zbyt rygorystyczną, zawołał, że jej stosowanie nie zgadza się już z duchem czasu. Ale może ja pierwszy podporządkowałem świadomie temu duchowi czasu moje wszystkie czyny, zrobiłem zeń coś innego niż mgliste marzenie filozofa czy trochę nieokreśloną aspirację dobrego władcy. I dziękowałem bogom, że dali mi żyć w czasach, kiedy zadanie, jakie mi przypadło w udziale, polegało na roztroprnym reorganizowaniu świata, a nie na wydobywaniu z chaosu jeszcze niekształtnej materii albo na obejmowaniu trupa po to, by go próbować wskrzesić. Winszowałem sobie, że nasza przeszłość była dosyć długa, by nam dostarczyć przykładów, i nie aż tak ciężka, by nas zmiażdżyła; że rozwój naszych technik doszedł do punktu, w którym ułatwia higienę miast, dobrobyt ludów, a nie do przesady, kiedy to mógłby zatruwać życie człowieka niepotrzebnymi zdobyczami; że nasze sztuki, drzewo trochę wyczerpane obfitością swych darów, były jeszcze zdolne do wydania kilku wybornych owoców. Cieszyłem się, że nasze trochę mgliste i czcigodne wierzenia, oczyszczone z wszelkiego fanatyzmu czy krwiożerczego obrządku, łączyły nas tajemniczo z najstarszymi snami człowieka i ziemi, nie zakazując nam zarazem laickiego tłumaczenia faktów, racjonalnego poglądu na ludzkie postępowanie. Podobało mi się wreszcie, że te same słowa: "Ludzkość, Szczęśliwość, Wolność", nie zostały jeszcze zdewaluowane przez zbyt wiele śmiesznych zastosowań.

Każdy wysiłek zmierzający do polepszenia ludzkiej doli można przyjąć z zastrzeżeniem, że być może ludzie są tego niegodni. Ale tę obiekcję pominię bez namysłu: dopóki sen Kaliguli będzie nie do urzeczywistnienia i cały rodzaj ludzki nie da się zredukować do jednej jedynej głowy oddanej pod nóż, będziemy musieli tolerować go, trzymać w ryzach, używać do naszych celów; naszym dobrze zrozumianym interesem będzie służenie mu. Moje postępowanie opierało się na obserwacjach poczynionych od dawna na samym sobie: każde rozumne wyjaśnienie zawsze mnie przekonywało, każda grzeczność zobowiązywała, każda radość czyniła rozsądnym. I tylko jednym uchem słuchałem ludzi w najlepszej wierze twierdzących, że szczęście wyprowadza z równowagi, że wolność prowadzi do zniewieściałości, a dobroć psuje tych, wobec których jest stosowana. Możliwe, ale w obecnym stanie świata byłoby to odmawianiem przyzwoitego pożywienia wychudzonemu człowiekowi ze strachu, by za kilka lat nie zdarzyło mu się cierpieć na nadmierną otyłość. Kiedy do minimum zmniejszymy bezużyteczne serwituty naszego istnienia, unikniemy

niepotrzebnych nieszczęść, i tak jeszcze - dla utrzymania w napięciu ludzkich cnót heroicznych - zostanie długa seria klęsk prawdziwych: śmierć, starość, nieodwzajemniona miłość, odepchnięta albo zawiedziona przyjaźń, przeciętność życia uboższego niż nasze zamiary i bardziej szarego niż sny: wszystkie nieszczęścia, których przyczyną jest boska natura rzeczy.

Muszę wyznać, że nie za bardzo wierzę w prawa. Kiedy są za twarde, ludzie naruszają je, i słusznie. Kiedy są zbyt skomplikowane, ludzka pomysłowość łatwo prześlizguje się między oczkami powłóczyстого i niemocnego więciarza. Szacunek dla starożytnych praw łączy się z najgłębszymi złoźami ludzkiej litości: służy także za poduszkę lenistwu sędziów. Najstarsze są przesiąknięte tą dzikością, którą usiłowaly zlagodzić; najczcigodniejsze są jednak wytworem przemocy. Większość naszych praw karnych dosięga, na szczęście może, tylko niewielkiej liczby winnych; nasze prawa cywilne nigdy nie będą dosyć giętkie, by się dostosować do olbrzymiej i płynnej różnorodności faktów. Zmieniają się wolniej niż obyczaje; niebezpieczne, kiedy zostają za obyczajami w tyle, stają się jeszcze niebezpieczniejsze, kiedy je usiłują wyprzedzać. A przecież z tego stosu niebezpiecznych innowacji i przestarzałych automatyzmów wyłaniają się tu i ówdzie, jak w medycynie, i pożyteczne recepty. Grecy filozofowie pozwolili nam trochę lepiej poznać naturę ludzką; nasi najlepsi prawnicy pracują od kilku pokoleń nad zwycięstwem zasad zdrowego rozsądku. Ja sam dokonałem kilku takich częściowych reform, które okazały się trwałe. Każda ustawa łamana za często jest zła: do prawodawcy należy uchylić ją albo zmienić, pogarda bowiem, w jaką popada taki szalony przepis, może rozszerzyć się i na inne ustawy, słuszniejsze. Moim zamiarem było przezorne obchodzenie się bez ustaw zbytucznych i stanowcze wprowadzanie w życie niewielkiej liczby postanowień rozumnych. Chwila wydawała się stosowna do przewartościowania w interesie ludzkości wszystkich starych przepisów.

W Hiszpanii, w pobliżu Tarragony, kiedy pewnego dnia chodziłem sam po na pół opuszczonej kopalni, niewolnik, którego życie, już długie, prawie całe przeminęło w tych podziemnych korytarzach, rzucił się na mnie z nożem. Wcale nie tak znowu nielogicznie chciał się zemścić na cesarzu za swoje czterdzieści trzy lata niewoli. Rozbroiłem go łatwo; oddałem go w opiekę memu lekarzowi; jego wściekłość opadła; przemienił się w to, czym naprawdę był, w stworzenie nie mniej niż inne rozumne, a bardziej niż wiele innych wierne. Ten winowajca, którego bezmyślnie zastosowana ustawa skazałaby natychmiast na śmierć, stał się moim pożytecznym sługą. Ludzie są po większej części podobni do tego niewolnika: są aż za bardzo posłuszni; po długich okresach ołepienia zdarza się im czasem bunt, tyleż brutalny co daremny. Chciałem się przekonać, czy rozsądnie pojęta wolność nie wydobylaby

z nich więcej korzyści, i dziwię się, że tak niewielu władców próbuje tego doświadczenia. Ten barbarzyńca skazany na pracę w kopalni stał się dla mnie symbolem naszych wszystkich niewolników, naszych wszystkich barbarzyńców. Nie wydawało mi się niemożliwe traktowanie ich tak, jak ja tego człowieka potraktowałem, unieszkodliwienie ich dobrocią, byle od początku wiedzieli, że ręka, która ich rozbroiła, jest silna i pewna. Wszystkie narody ginęły dotąd przez brak wspaniałomyślności: Sparta żyłaby dłużej, gdyby helotom zależało na jej trwaniu; Atlas przestaje pewnego pięknego dnia podtrzymywać ciężar nieba i jego bunt wstrząsa ziemią. Chciałbym odsunąć jak najdalej, na zawsze, jeśli się da, chwilę, w której barbarzyńcy z zewnątrz, niewolnicy od wewnątrz runą na świat, który im się każe z daleka szanować albo od dołu obsługiwać, ale którego dobrodziejstwa są nie dla nich. Zależało mi na tym, by najbardziej wydziedziczone z ludzkich stworzeń, niewolnik czyszczący miejskie kloaki, złagodniały barbarzyńca krążący przy granicy, byli zainteresowani w trwaniu Rzymu.

Wątpię, czy całej filozofii świata uda się znieść niewolnictwo: co najwyżej zmieni się jego nazwa. Jestem w stanie wyobrazić sobie formy niewoli gorsze od naszych, bo bardziej zdradzieckie: może uda się przekształcić ludzi w maszyny, zadowolone i bezmyślne, które się mają za wolne będąc ujarzmione, może rozwinie się w nich, nie dając im wolnego czasu i ludzkich przyjemności. zamięłowanie do pracy tak wściekłe, jak pasja wojny u barbarzyńskich plemion. Od tej niewoli ludzkiego ducha albo wyobraźni jednak wolę nasze niewolnictwo faktyczne. Jakkolwiek by było, potworny stan wydający człowieka na łaskę i niełaskę drugiego człowieka musi być starannie regulowany przez prawo. Czuwałem nad tym, by niewolnik nie był tym bezimiennym towarem, który się sprzedaje nie licząc się z rodzinnymi związkami, jakie sobie stworzył, tym pogardzanym przedmiotem, którego świadectwo sędziego zapisuje dopiero po poddaniu go torturze miast je przyjąć pod przysięgą. Zabroniłem, by zmuszano go do prac hańbiących albo niebezpiecznych, by go sprzedawano właścicielom domów publicznych albo do szkół gladiatorów. Niechaj ci, którzy się w tych profesjach lubują, wykonują je sami: będą wykonywane tylko lepiej. W majątkach ziemskich, gdzie rządcy nadużywają jego sił, zastępowałem, gdzie się dało, niewolnika przez wolnego kolona. Nasze zbiory powiastek są pełne historii o smakoszach rzucających swoich służących murenom na pożarcie, ale zbrodnie skandaliczne i do ukarania łatwe są niemal niczym w porównaniu z banalnymi potwornościami, popełnianymi co dzień przez przywoitych o oschłych sercach ludzi, których nikomu ani w głowie niepokoić o to. Oburzano się, kiedy wyгнаłem z Rzymu bogatą i poważaną patrycjuszkę, która znęcała się nad swymi starymi niewolnikami: byle niewdzięcznik, który zaniedbuje niedołączonych rodziców, bardziej drażni publiczne sumienie, ale widzę niewiele różnicy między tymi dwiema formami nieludzkości.

Dolę kobiet określają dziwne zwyczaje: kobiety są równocześnie pod władzą i pod opieką, słabe i wszechmocne, za bardzo pogardzane i za bardzo szanowane. W tym chaosie sprzecznych zwyczajów fakt społeczny nakłada się na fakt przyrodniczy, na dobitkę niełatwo jest jeden od drugiego odróżnić. Ten tak zagmatwany stan rzeczy jest wszędzie bardziej trwały, niż się to wydaje na pozór: na ogół kobiety chcą być takie, jakie są; opierają się zmianie albo jej używają do celów własnych i zawsze tych samych. Wolność dzisiejszych kobiet, większa, a przynajmniej widoczniejsza niż w dawnych czasach, jest tylko jednym z przejawów łatwiejszego życia w epokach pomyślniejszych; dawniejsze zasady, a nawet i przesady, nie zostały na serio podważone. Szczere albo nieszczerze, oficjalne hymny pochwalne i nagrobkowe inskrypcje dalej użyczają naszym matronom tych samych cnót pracowitości, skromności, surowości obyczajów, jakich wymagano od nich za Republiki. Te zmiany, rzeczywiste albo rzekome, nie zmieniły zresztą w niczym wieczystej swobody obyczajów u prostego ludu ani równie wieczystej mieszczańskiej pruderii i tylko czas wykaże, czy są trwałe. Słabość kobiet, jak słabość niewolników, wynika z ich prawnego położenia; ich siła bierze odwet w drobiazgach, gdzie sprawowana przez nie wszechwładza jest nieomal nieograniczona. Rzadko zdarzało mi się zobaczyć wewnątrz domu, w którym by nie rządziły kobiety; widywałem też rządzących tam intendentów, kucharzy albo wyzwoleńców. W dziedzinie majątkowej są prawnie podporządkowane jakiejś formie kurateli; w praktyce, w każdym sklepiku w Suburze zwykle właśnie sprzedawczyni drobiu czy owoców rozpiera się władczo na ladzie. Małżonka Attianusa rządziła rodzinnym majątkiem z godnym podziwu geniuszem człowieka interesu. Prawa powinny możliwie najmniej się różnić od zwyczajów: przyznałem kobiecie większą swobodę w administrowaniu swoim majątkiem, rozporządzaniu nim w testamencie i w dziedziczeniu. Nalegałem, żeby żadna dziewczyna nie była wydawana za mąż bez swej zgody: ten legalny gwałt jest nie mniej niż inny wstrętny. Małżeństwo to ich wielka sprawa; jest więc słuszne, by je zawierały całkiem dobrowolnie.

Część naszych nieszczęść bierze się stąd, że zbyt wielu jest ludzi zawstydzająco bogatych albo rozpaczliwie ubogich. Na szczęście jakaś równowaga zaczyna się już w naszych czasach ustalać między tymi skrajnościami: kolosalne fortuny cesarzy i wyzwoleńców należą do przeszłości, Trymalchion i Neron umarli. Ale wszystko jest jeszcze do zrobienia w dziedzinie rozumnego zreformowania gospodarki świata. Doszedłszy do władzy zrzekłem się płaconych przez miasta cesarzowi dobrowolnych kontrybucyj, które są tylko maskowaną kradzieżą. Radzę ci, byś i ty z kolei się ich zrzekł. Całkowita anulacja długów prywatnych osób wobec państwa była posunięciem bardziej ryzykownym, ale

potrzebnym, żeby ostatecznie zamknąć dziesięć lat wojennej gospodarki. Nasza moneta niebezpiecznie straciła w ciągu stu lat na wartości, a przecież właśnie kursem naszych złotych monet szacuje się wieczność Rzymu: naszą rzeczą jest przywrócić im cenę i wagę rzetelnie mierzone towarem. Nasze ziemie są uprawiane od przypadku do przypadku: tylko prowincje uprzywilejowane, Egipt, Afryka, Toskania i kilka innych, potrafiły stworzyć u siebie chłopskie wspólnoty, uczenie doświadczone w uprawie zboża czy krzewu winorośli. Jedną z moich trosk było podtrzymanie tej klasy, czerpanie z niej instruktorów dla ludności wiejskiej pierwotniejszej albo bardziej tkwiącej w tradycji, mniej zdolnej. Położyłem kres zgorzeniu, jakim była ziemia zostawiana odłogiem przez wielkich właścicieli, mało dbających o publiczne dobro: każde pole nie uprawiane przez pięć lat należy odtąd do rolnika, który się podejmie czerpać z niego plony. Tak samo mniej więcej rzecz ma się z kopalniami. Większość naszych bogaczy robi olbrzymie darowizny dla państwa, dla instytucji publicznych, dla władcy. Wielu postępuje tak we własnym interesie, niektórzy powodując się cnotą, niemal wszyscy ostatecznie zyskują na tym. Ale chciałbym, żeby ich szczodroliwość przybrała inne formy niż ostentacja, w dawaniu jałmużny, chciałbym ich nauczyć rozumnego przysparzania sobie majątku w interesie wspólnoty, co do tej pory czynili tylko po to, żeby swoje dzieci wzbogacić. W tym właśnie duchu sam wziąłem w ręce zarząd cesarskiej włości: nikt nie ma prawa traktować ziemi tak jak skąpiec swój garnek ze złotem. Nasi kupcy bywają niekiedy naszymi najlepszymi geografami, naszymi najlepszymi astronomami, naszymi najuczestniejszymi przyrodnikami. Nasi bankierzy zaliczają się do naszych najbystrzejszych znawców ludzi. Spożytkowałem kompetencje; walczyłem ze wszystkimi siłami z wkraczaniem w kompetencje cudze. Poparcie dawane armatorom udzięciokrotniło wymiany z obcymi narodami; udało mi się tym sposobem małym kosztem uzupełnić kosztowną flotę cesarską: jeśli idzie o przywóz ze Wschodu i z Afryki, Italia jest wyspą, i to zależną od pośredników handlu zbożem, odkąd sama się wyżywić nie może; jedynym sposobem zapobieżenia niebezpieczeństwom z tej sytuacji wynikającym jest traktowanie tych nieodzownych ludzi interesu jak skrupulatnie pilnowanych urzędników. Nasze stare prowincje osiągnęły w ostatnich latach dobrobyt, który udałoby się jeszcze powiększyć, ale jest ważne, żeby ten dobrobyt służył wszystkim, a nie tylko bankowi Herodesa Attykusa czy małemu spekulantowi, który skupuje całą oliwę z greckiej wioski. Nie jest zbyt twarda żadna ustawa pozwalająca na zmniejszenie liczby pośredników, którzy się po naszych miastach mrowią: plemię sprośne i brzuchate, szepczące we wszystkich szynkach, rozparte na wszystkich ladach, gotowe podkopywać każdą politykę, która im nie daje natychmiastowych zysków. Rozumne rozdawnictwo zboża 7 państwowych spichlerzy pomaga hamować gorszący wzrost

cen w czasie głodu, ale przede wszystkim liczyłem na organizację samych producentów, galijskich winogradników, rybaków znad Pontus Euxinus. którym odbierają ich nędzną strawę importerzy kawioru i solonych ryb, tuczący się ich niebezpieczną pracą. Jednym z moich najpiękniejszych dni był ten, w którym namówiłem garść marynarzy z Archipelagu na stowarzyszenie się w korporację i bezpośrednie pertraktowanie ze sklepikarzami po miastach. Nigdy nie czułem się w pożyteczniejszy sposób władcą.

Nazbyt często pokój jest dla armii tylko okresem niesfornego nieróbstwa między jedną walką a drugą: kolejnym następstwem beczynności albo bezładu jest szykowanie się do nowej określonej wojny, po czym wojna. Zerwałem z tymi zwyczajami; moje stałe wizytacje najdalej wysuniętych placówek były tylko jednym środkiem spośród wielu na utrzymanie tej pokojowej armii w stanie pożytecznej aktywności. Wszędzie, na równinie jak i w górach, na skrajach lasów jak i w szczerzej pustyni, legia rozrzuca albo skupia swoje budynki, zawsze podobne, swoje pola ćwiczeń, swoje baraki, stawiane w Kolonii jako schronienie przed śniegiem, w Lambaesis - przed piaskową burzą, swoje magazyny, z których kazałem sprzedawać niepotrzebny sprzęt, swój klub oficerski, któremu przewodniczy, posąg władcy. Ale ta jednostajność jest tylko pozorna: te niezmiennie kwatery służą za każdym razem innej cizbie pomocniczych wojsk; wszystkie rasy przynoszą wojsku swoje cnoty i swoje właściwe bronie, swój duch piechura, jeźdźca albo łuczniaka. Odnajdywałem tam w stanie surowym tę różnorodność w jedności, jaka była moim cesarskim celem. Pozwoliłem żołnierzom na używanie swoich narodowych wojennych zawołań i komendę w ich językach; usankcjonowałem związki weteranów z barbarzyńskimi kobietami i zalegalizowałem ich dzieci. Staralem się złagodzić w ten sposób dzikość obozowego życia, potraktować tych prostaczków jak ludzi. Rzykując, że staną się przez to mniej do przerzucania z miejsca na miejsce podatni, chciałem, by przywiązali się do skrawka ziemi, który mieli za zadanie bronić; nie wahałem się zregionalizować armii. Spodziewałem się, że, w skali cesarstwa, stworzę przez to odpowiednik milicji młodej Republiki, gdzie każdy człowiek bronił własnego pola i zagrody. Przede wszystkim dbałem pilnie o rozwinięcie technicznej sprawności legionów; chciałem zrobić sobie z tych wojskowych ośrodków dźwignie cywilizacji, klin dosyć mocny, by się wbijać powoli tam, gdzie delikatniejsze narzędzia życia cywilnego stępiłyby się. Armia stawała się łącznikiem między ludem lasu, stepu i bagniska a wyrafinowanym mieszkańcem miast, elementarną szkołą dla barbarzyńców, szkołą hartu i odpowiedzialności dla wykształconego Greka czy młodego rycerza przywykłego do wygod Rzymu. Znałem z własnego doświadczenia uciążliwe strony tego życia, a także i jego radości, i sposoby, żeby się w nim urządzić. Zniosłem przywileje; zakazałem zbyt częstych urlopów,

dawanych oficerom; kazałem pokasować w obozach sale uczt, pawilony zabaw i kosztowne ogrody. Te niepotrzebne budynki zamieniłem na szpitale i schroniska dla weteranów. Braliśmy żołnierzy w wieku zbyt młodym i trzymaliśmy ich w wojsku do późnej starości, co było zarazem i nieekonomiczne, i okrutne. Zmieniłem to wszystko. Boskiej Dyscyplinie też przystoi uczestnictwo w humanitaryzmie czasów.

Jesteśmy urzędnikami państwowymi, nie jesteśmy cezarami. Miała słuszność kobieta, której skargi nie chciałem kiedyś wysłuchać do końca: zawołała, że jeśli nie mam czasu jej wysłuchać, nie mam czasu rządzić. Przeprosiłem ją, i nie dla czystej formy. A przecież czasu brak: im bardziej się cesarstwo powiększa, tym bardziej rozmaite dziedziny władzy mają tendencję do koncentrowania się w rękach najwyższego urzędnika; ten śpieszący się człowiek z konieczności musi zdawać na innych część swoich zadań; jego geniusz będzie coraz bardziej polegał na umiejętności otaczania się ludźmi, na których może liczyć. Wielką zbrodnią Klaudiusza czy Nerona było, że przez lenistwo pozwolili, by ich wyzwoleńcy i niewolnicy przywłaszczali sobie te role agentów, doradców, rzeczników władcy. Duża część mego życia i moich podróży była poświęcona wybieraniu szefów siatki nowej biurokracji, kształceniu ich, dobieraniu możliwie rozumnie talentów do zajęć, otwieraniu pożytecznych możliwości zatrudnienia dla tej klasy średniej, od której jest zależne państwo. Widzę niebezpieczeństwo tych cywilnych armii: streszcza się w jednym słowie - rutynizacja. Te mechanizmy zmontowane na stulecia paczą się, jeśli ich nie pilnować; do władcy należy ustawiczne regulowanie ich ruchu, zapobieganie zużyciu albo naprawianie zużycia. Ale doświadczenie uczy, że pomimo naszej największej pieczołowitości w dobieraniu sobie następców cesarze przeciętni będą zawsze najliczniejsi i że w każdym stuleciu panuje najmniej jeden obłąkany. W czasie kryzysu te dobrze zorganizowane biura będą nadal zajmować się najważniejszym, wypełnić interregnum, dosyć długie niekiedy, między jednym władcą rozumnym i drugim władcą rozumnym. Niektórzy cesarze ciągną za sobą orszaki barbarzyńców powiązanych za szyje, nie kończące się pochody zwyciężonych. Elita urzędników, której utworzenie przedsięwziąłem, jest moim orszakiem, nieco innym. Rada cesarska: to dzięki tym, którzy do niej wchodzi, mogłem wyjeżdżać z Rzymu na lata i wracać tam tylko w przejeździe. Korespondowałem z nimi przez najszybszych gońców; w razie niebezpieczeństwa - sygnałami semaforów. Oni z kolei wykształcili innych pożytecznych pomocników. Ich kompetencja jest moim dziełem; ich dobrze wyregulowane działanie pozwoliło mi zająć się samemu czym innym. Pozwoli mi też bez zbytniego niepokoju odejść w śmierć. Z dwudziestu lat rządów - bez stałego miejsca zamieszkania spędziłem dwanaście. Mieszkałem kolejno w pałacach azjatyckich kupców, w statecznych domach greckich, w

pięknych, wyposażonych w baseny i kaloryfery willach rzymskich rezydentów w Galii, w lepiankach i zagrodach. Lekki namiot, architektura z płótna i sznurów, był mi jednak najmiłszy. Statki bywały nie mniej rozmaite niż mieszkania lądowe; miałem mój, z salą do gimnastycznych ćwiczeń i biblioteką, ale za, bardzo się bałem wszelkiej trwałej stabilizacji, by się przywiązać do jakiegokolwiek siedziby, nawet ruchomej. Zbytłowna barka syryjskiego milionera, wojenne okręty floty i łódź greckiego rybaka nie gorzej mi służyły. Jedynym luksusem była szybkość i wszystko, co jej sprzyja: najlepsze konie, najwłaściwiej zbudowane pojazdy, najmniej miejsca zajmujące bagaże, odzież i przybory podróżne najlepiej przystosowane do klimatu. Ze wszystkiego zaś najpomocniejsze było doskonałe zdrowie ciała: przymusowy dwudziestomilowy marsz był niczym, bezsenną noc uważałem za zachętę do myślenia. Niewielu ludzi lubi przez długi czas podróże, to nieustanne łamanie wszystkich przyzwyczajęń, ten wstrząs, zadawany wciąż wszystkim przesądom. Starłem się nie mieć żadnych przesądów i niewiele przyzwyczajęń. Ceniłem sobie rozkoszną głębokość łóżek, ale także i kontakt z gołą ziemią, jej zapach, nierówności każdej cząstki powierzchni świata. Służyły mi najróżnorodniejsze pokarmy - i brytyjska kasza, i afrykański kawon. Pokosztowałem kiedyś i na pół zgniłej dziczyzny, która jest smakołykiem dla pewnych plemion germańskich: zwymiotowałem, ale doświadczenie zostało zrobione. Całkiem zdecydowany w moich miłosnych preferencjach, bałem się nawet i tu przyzwyczajęń. Moja świta, ograniczona do tego, co nieodzowne albo doskonale miłe, słabo izolowała mnie od reszty świata; pilnowałem, żeby moje ruchy były zawsze swobodne, dostęp do mnie łatwy. Prowincje, te wielkie oficjalne całości, którym sam podobierałem godła. Brytania na swoim skalnym tronie albo Dacja i jej bułat, rozkładały się na lasy, których cienia szukałem, na studnie, z których piłem, na ludzi spotykanych na przypadkowych postojach, twarze znane, czasem i kochane. Znałem każdą milę naszych dróg, może najpiękniejszego podarku, jaki Rzym zrobił ziemi. Ale chwilą niezapomnianą bywała ta, w której droga kończyła się u podnóża góry, kiedy zaczynała się wspinaczka ze szczeliny w szczelinę, z głazu na głaz, żeby oglądać wschód słońca ze szczytu w Pirenejach czy Alpach.

Kilku ludzi obeszło świat przede mną: Pitagoras, Platon, z tuzin mędrców i niemało awanturników. Po raz pierwszy wędrowiec był równocześnie władcą mającym możność widzieć, reformować, tworzyć. Była to moja szansa i zdawałem sobie sprawę, że wieki, być może, przeminą, zanim się powtórzy ta szczęśliwa zgodność funkcji, temperamentu i świata. I to właśnie wtedy przekonałem się, jak korzystnie jest być człowiekiem nowym i człowiekiem samotnym, bardzo mało żonatym, bez dzieci, nieomalże bez przodków, Ulisesem mającym swoją Itakę tylko we własnym wnętrzu. Muszę tu wyznać coś, czego nie wyznałem nikomu:

nigdy nie czułem się przynależny w całości do żadnego miejsca, nawet do ukochanych Aten, nawet do Rzymu. Wszędzie cudzoziemiec, nigdzie nie byłem całkiem obcy. Wykonywałem w drodze różne rzemiosła, z których składa się fach cesarza: przywdziewałem życie wojskowe jak odzież, która stała się wygodna przez to, że się ją nosiło. Bez trudu przypominałem sobie język obozowy, tę łacinę zniekształconą naporem języków barbarzyńskich, usianą rytualnymi przekleństwami i niewybrednymi żartami; szybko przywykałem znowu do uciążliwego ekwipunku z dni manewrów, do tej zmiany równowagi, jaką w całe ciało wprowadza obecność ciężkiej tarczy na lewym ramieniu. Do żmudnego rzemiosła rachmistrza bardziej się musiałem przymuszać, czy szło o sprawdzenie rachunków azjatyckiej prowincji, czy brytyjskiej mieściny, zadłużonej na wybudowanie łaźni. Już mówiłem o rzemiośle sędziego. Przychodziły mi na myśl podobieństwa z innych zajęć dobyte: myślałem o wędrownym lekarzu, który leczy ludzi chodząc od drzwi do drzwi, o robotniku drogowym, wezwanym do naprawienia traktu albo załatania przewodu wodnego, o dozorczy, który biega po pokładzie okrętu i przynagla wioślarzy, możliwie najrzadziej używając bata. A dziś, na tarasach Willi, patrząc, jak niewolnicy obcinają zbyteczne gałęzie i plewią grędy, myślę przede wszystkim o rozumnym krzątaniu się ogrodnika.

Rzemieślnicy, jakich zabierałem w moje podróże, nastęrczali mi niewiele kłopotu: ich zamiłowanie do podróży było równe mojemu. Ale miewałem trudności z literatami. Nieodzowny Flegon ma wady starej kobiety, ale jest to jedyny sekretarz, jaki wytrzymał: mam go dotąd. Poeta Florus, któremu ofiarowałem urząd sekretarza łacińskiego, wszędzie rozpowiadał, że nie chciałby być cezarem i znosić scytyjskie zimna i brytyjskie deszcze. Długie wędrówki piesze też mu nie sprawiały przyjemności. Ja z kolei chętnie zostawiałem mu rozkosze literackiego życia rzymskiego, tawerny, w których ludzie spotykają się, żeby wymieniać co wieczór te same dowcipy i po bratersku dać się kłuć tym samym komarom. Swetoniuszowi dałem posadę kuratora archiwów, co mu ułatwiło dostęp do tajnych dokumentów, których potrzebował dla swoich żywotów cesarów. Tego zdolnego człowieka, do którego przylgnął tak trafny przydomek Tranquillus, można było wyobrazić sobie tylko we wnętrzu biblioteki: został w Rzymie, gdzie stał się jednym z codziennych gości mojej żony, członkiem niewielkiego kółka niezadowolonych konserwatystów, którzy się zbierali u niej, żeby krytykować sposób, w jaki się toczy świat. Ta grupa nie cieszyła się moją sympatią: posłałem Tranquillusa na emeryturę i wyjechał do swego domku w Górach Sabińskich, by w spokoju rozmyślać o występkach Tyberiusza. Favorinus z Arelate prowadził przez czas pewien sekretariat grecki: ten karzeł o cienkim głosiku nie był pozbawiony bystrości. Był to jeden z najkłamliwszych ludzi, jakich zdarzyło mi się spotkać; sprzeczałyśmy się, ale

zachwycała mnie jego erudycja. Bawiła mnie jego hipochondria, każąca mu dbać o zdrowie tak, jak kochanek dba o najmilszą kochankę. Jego hinduski służący przyrządzał mu ryż sprowadzany wielkim kosztem ze Wschodu; na nieszczęście, ten egzotyczny kucharz bardzo źle mówił po grecku, a we wszystkich językach bardzo mało: nic się nie dowiedziałem od niego o cudach jego rodzinnego kraju. Favorinus chełpił się dokonaniem w życiu trzech rzeczy dosyć rzadkich: choć Gal, zhellenizował się jak niewielu; choć niskiego pochodzenia, wciąż się kłócił z cesarzem i włos mu z głowy nie spadł, osobliwość, która zresztą przemawiała tylko na moją korzyść; choć impotent, wciąż płacił karę za cudzołóstwo. I rzeczywiście, prowincjonalne wielbicielek sprawiały mu naprawdę kłopoty, z których nieraz go musiałem wydobywać. Zmęczył mnie, i jego miejsce zajął Eudemon. Ale, na ogół biorąc, służyło mi aż dziw jak dobrze. Szacunek tej niewielkiej grupy przyjaciół i urzędników przetrwał - jedni bogowie wiedzą, w jaki sposób - bezceremonialną zażyłość podróży; ich dyskrecja była jeszcze bardziej niezwykła, jeśli to możliwe, niż ich wierność. Swetoniusze przyszłości będą mieli chude żniwo anegdot o mojej osobie. To, co ogół wie o moim życiu, wie ode mnie. Moi przyjaciele dochowali mi tajemnic, politycznych i innych; trzeba też rzec, że się im przeważnie odwzajemniałem.

Budować - to współpracować z ziemią: to kłaść ludzkie piętno na krajobrazie, który będzie przez to na zawsze odmieniony; to przyczyniać się również do tej powolnej zmiany, jaką jest życie miast. Ile starań trzeba, żeby znaleźć właściwe miejsce dla mostu czy studni, żeby dać górskiej drodze tę krzywiznę najekonomiczniejszą, która jest zarazem najczystsza...

Poszerzenie dróg Megary odmieniło krajobraz skyryjskich skał; te dwa tysiące stajów brukowanego kamieniem traktu, wyposażonego w cysterny i wojskowe posterunki, który łączył Antinoupolis z Morzem Czerwonym, sprowadziło na pustynię erę bezpieczeństwa po erze niepokoju. Cały dochód z pięciuset miast Azji ledwie starczył na zbudowanie systemu akweduktów w Troadzie; akwedukt w Kartaginie był po części zapłatą za okropności wojen punickich. Wznoszenie fortyfikacji było w sumie tym samym co budowanie grobli: było to znalezienie linii, na której wybrzeże czy cesarstwo może być bronione, punktu, w którym szturm fal albo barbarzyńców da się zahamować, powstrzymać, złamać. Drażnienie portów było zapładnianiem urody zatok. Zakładanie bibliotek było znowu budowaniem publicznych spichlerzy, gromadzeniem zapasów na duchową zimę, która się zbliża, co poznaję, niestety, po niechybnych znakach. Dużo odbudowałem: jest to współpraca z czasem, który minął, chwytanie albo zmienianie jego ducha, służenie mu za stację pocztową, gdzie zmienia konie, by jechać w dalszą przyszłość; jest to odnajdywanie pod kamieniami sekretu źródeł. Nasze życie jest krótkie: wciąż mówimy o stuleciach, które były przed nami albo po nas przyjdą,

jakby nam były najzupełniej obce; dotykałem ich przecież w moich zabawach z kamieniem. Te mury, które podpieram, są jeszcze ciepłe od dotyku ciał, które znikły, ręce, które nie istnieją, pieszczą jeszcze te trzony kolumn. Im więcej rozmyślałem o mojej śmierci, a zwłaszcza o śmierci czyjejs, tym bardziej starałem się dodać naszym życiom te bez mała niezniszczalne przedłużenia. W Rzymie używałem najchętniej wiecznej cegły, bardzo powoli wracającej do ziemi, z której powstała; niedostrzegalne osiadanie i wykruszanie się cegły przebiega w taki sposób, że budowla pozostaje górą jeszcze wtedy, kiedy przestała być w sposób widoczny warownią, cyrkiem czy grobowcem. W Grecji, w Azji używałem rodzimego marmuru, pięknej substancji, która raz ociosana pozostaje wierna ludzkim miarom, tak że plan całej świątyni jest zawarty w każdym fragmencie strzaskanej kolumny. Architektura jest bogata w możliwości bardziej rozmaite, niżby można wnosić z czterech porządków Witruwiusza; nasze kamienie, jak nasze muzyczne dźwięki, nadają się do nieskończonych przegrupowań. Przy Panteonie sięgnąłem do starej Etrurii wieszczków i kapłanów wróżących z wnętrzości zwierząt ofiarnych; w sanktuarium Wenus, przeciwnie, słońce wyokrągła formy jońskie, obfitość białych i różowych kolumn dookoła bogini ciała, z której wyszła rasa Cezara. Olimpiejon w Atenach miał być dokładną przeciwwagą Partenonu, rozłożony na równinie, tak jak tamten wznosi się na wzgórzu, tak wielki, jak tamten jest doskonały: zapał u stóp spokoju, świetność u stóp piękności. Kaplice Antinousa i jego świątynie, komnaty magii, pomniki tajemniczego przejścia od życia do śmierci, oratoria dławiącego bólu i dławiącego szczęścia były miejscem modlitwy i wywoływania duchów: tam się oddawałem mojej żałobie. Mój grobowiec na brzegu Tybru odtwarza w skali gigantycznej starożytne grobowce z Drogi Apijskiej, ale już same proporcje przekształcają go, przywodzą na myśl Ktesifon, Babilon, tarasy i wieże, po których człowiek zbliża się do gwiazd. Pogrzebowy Egipt wytyczył porządek obeliskom i alejom sfinksów pustego mauzoleum, które narzucają trochę wrogiemu Rzymowi pamięć nigdy nie dość oplakanego przyjaciela. Willa była grobowcem moich podróży, ostatnim obozowiskiem koczownika, zbudowanym z marmuru odpowiednikiem namiotów i pawilonów azjatyckich książąt. Niemal wszystko, z czym nasz smak potrafi się pogodzić, zostało już wypróbowane w świecie form; sięgnąłem do świata kolorów: jaspisu zielonego jak morskie głębiny, porfiru ziarnistego jak ciało, bazaltu, ponurej wulkanicznej lawy. Nasyconą czerwień obić zdobiły hafty coraz kunsztowniejsze; mozaiki na posadzkach i ścianach nigdy nie były dosyć złotobrzowe, dosyć białe ani dosyć ciemne. W każdym kamyku tkwiła przedziwnie zakrzepnięta jakaś wola, jakieś wspomnienie, czasami wyzwanie. Każda budowla była planem snu.

Plotinopolis, Adrianopol, Antinoupolis, Hadrianothera... Namnożyłem, ile mogłem,

tych ludzkich pszczelich uli. Ołownik i murarz, inżynier i architekt patronują tym narodzinom miast; operacja wymaga również niejakich talentów różdżkarskich. W świecie więcej niż w połowie opanowanym przez lasy, pustynie, równinne ugory pięknym widokiem jest brukowana ulica, świątynia wzniesiona jakiemukolwiek bogu, publiczne łaźnie i latryny, sklepik, gdzie golibroda omawia z klientami nowiny z Rzymu, kram cukiernika, sprzedawcy sandałów, może księgarza, wywieszka lekarza, teatr, gdzie od czasu do czasu grają sztukę Terencjusza. Nasi wybredni skarżą się na jednostajność naszych miast: cierpią spotykając w każdym ten sam posąg cesarza i ten sam wodociąg. Nie mają racji: piękno Nemausus jest inne niż piękno Arelate. A i ta jednostajność nawet, odnajdywana na trzech kontynentach, cieszy podróżnego jak jednostajność stawianych przez wojsko kamiennych słupów granicznych; najpospolitsze z naszych miast jeszcze mają swój krzepiący urok postoj, posterunku albo schronienia. Miasto: rama, konstrukcja ludzka, może i monotonna, ale tak, jak są monotonne woskowe komórki w plastrze pełnym miodu, miejsce kontaktów i wymian, miejsce, do którego chłopci przychodzą, żeby swoje produkty sprzedać, i przystają, by rozdziawiwszy usta popatrzeć na malowidła portyku... Moje miasta rodziły się ze spotkań: moich własnych z zakątkiem ziemi, ze spotkań moich cesarskich zamierzeń z wydarzeniami mego ludzkiego życia. Plotinopolis powstało z potrzeby założenia w Tracji nowych faktorii rolniczych, ale także i z tkliwej chęci złożenia hołdu Plotynie. Hadrianothera ma być miejscem zbytu i zaopatrzenia dla leśników z Azji Mniejszej: był to najpierw dla mnie wypoczynek letni, las pełen zwierzyny, pawilon z ociosanych pni u stóp wzgórza Attysa, pienisty strumień, w którym kąpałem się każdego ranka. Hadrianopolis w Epirze daje miejski ośrodek zbiedniałej prowincji: wziął się z odwiedzin w świątyni w Dodonie. Adrianopol, miasto chłopskie i żołnierskie, strategiczny ośrodek na skraju barbarzyńskich okolic, jest zaludniony weteranami z sarmackich wojen; znam osobiście zalety i wady każdego z tych ludzi, ich imiona, liczbę ich lat służby i ich ran. Antinoupolis. najdroższe, zrodzone na miejscu nieszczęścia, jest ściśnięte na wąskim skrawku jałowej ziemi, między rzeką i skałą. Tym bardziej zadbałem o wzbogacenie go innymi źródłami zamożności: handlem z Indiami, transportem rzeczonym, i o dodanie mu kunsztownych uroków greckiej metropolii. Nie ma na ziemi miejsca, do którego mniej chciałbym wrócić; niewiele jest miejsc, którym bym poświęcił więcej starań. To miasto jest nieustającym perystylem. Koresponduję z Fidusem Aquilą, zarządcą Antinoupolis, na temat propylejów jego świątyni, posągów jego łuku; wybrałem nazwy dla jego dzielnic i domów, symbole oczywiste i sekretne, bardzo kompletny katalog moich wspomnień. Sam rysowałem plan korynckich kolumnad, idących wzdłuż brzegów jak regularne rzędy palm. Tysiące razy wędrowałem w myśli po tym czworoboku niemal doskonałym, pociętym

równoległymi ulicami, podzielonym na dwie połowy triumfalną aleją, idącą od greckiego teatru do grobowca.

Jesteśmy zawaleni posągami, nasyceni malowanymi i rzeźbionymi rozkoszami, ale ta obfitość jest złudna; odtwarzamy nie-znużenie kilka tuzinów arcydzieł, jakich już nie będziemy zdolni wymyślić. Ja też kazałem skopiować dla Willi Hermafrodyta i Centaura, córkę Niobe i Wenus. Zależało mi na tym, by możliwie najwięcej przebywać wśród tych melodyj form. Zachęcałem do doświadczeń z przeszłością, do umiejętnego archaizowania, które wydobywa sens poniechanych zamiarów i technik. Próbowałem wariacji polegających na transkrypcji w marmurze czerwonym Marsjasza wyciosanego z marmuru białego, przez co przenosi się go do świata figur malowanych, albo na transponowaniu na marmur z Paros czarnej ziarnistości posągów egipskich, na zamienianie bóstw w widma. Nasza sztuka jest doskonała, czyli skończona, ale jej perfekcja jest zdolna do modulacji nie mniej różnorodnych niż czysty głos: naszą rzeczą jest prowadzić tę zręczną grę polegającą na nieustającym zbliżaniu się albo oddalaniu od tego raz na zawsze znalezionego rozwiązania, na docieraniu aż do kresu rygoryzmu albo rozprężenia, zamykać niezliczone nowe konstrukcje we wnętrzu tego pięknego kręgu. Dobrze jest mieć za sobą tysiąc punktów porównania, móc do woli mądrze kontynuować Skopasa albo rozkosznie przeciwstawiać się Praksytelesowi. Moje zetknięcia ze sztukami barbarzyńskimi kazały mi dojść do wniosku, że każda rasa ogranicza się do pewnych tematów, do pewnych sposobów spośród wszystkich możliwych; każda epoka zaś jeszcze sortuje możliwości dane każdej rasie. Widziałem w Egipcie bogów i królów--kolosów; na nadgarstkach sarmackich jeńców widywałem bransolety, w których się wciąż powtarza ten sam galopujący koń czy te same pożerające się nawzajem węże. Ale nasza sztuka (myślę o sztuce Greków) poprzestała na człowieku. My jedni umieliśmy pokazać siłę i zwinność utajone w nieruchomym ciele; my jedni zrobiliśmy z gładkiego czoła odpowiednik rozumnej myśli. Jestem jak nasi rzeźbiarze: to, co ludzkie mnie zadowala; znajduję w nim wszystko, aż po wieczność. Tak ukochany las zawiera się dla mnie cały w wizerunku centaura; nic nie wyraża burzy lepiej niż wzdęta zasłona boginki morskiej. Przedmiotom naturalnym, świętym emblematom nadawało wartość obciążenie skojarzeniami ludzkimi: sosnowa szyszka, falliczna i żałobna, gołębice na basenie wodotrysku przywodzącym myśl o wypoczynku w skwarny dzień, smok porywający ukochanego do nieba.

Sztuka portretu wzruszała mnie mało. Nasze rzymskie portrety mają tylko wartość kroniki: kopie poznaczone dokładnie odrysowanymi zmarszczkami i brodawkami, jakich nie spotkasz na innej twarzy, odbitki modeli, które się w roztargnieniu potraça na ulicy i, ledwo umrą, zapomina. Grecy, przeciwnie, tak ukochali ludzką doskonałość, że mało dbali o

różnorodność twarzy ludzi. Ledwie żem spojrział na mój własny wizerunek, tę ogorzałą twarz nie do poznania zmienioną przez biel marmuru, na te szeroko otwarte oczy, te usta wąskie, a przecież mięsiste, kontrolowane nawet i w drzeniu. Ale czyjaś twarz bardziej mnie zaabsorbowała. Ledwie ten chłopiec zaczął się w moim życiu liczyć, sztuka przestała być zbytkiem, stała się pomocą, formą ratunku. Narzuciłem ten wizerunek światu: istnieje dziś więcej jego portretów niż jakiegokolwiek sławnego męża, niż jakiegokolwiek królowej. Najpierw zależało mi na tym, by rzeźba zapisywała następujące po sobie piękno zmieniającego się kształtu; później sztuka stała się rodzajem operacji magicznej, zdolnej wywołać z niebytu straconą twarz. Wizerunki kolosalnych rozmiarów wydawały się sposobem wyrażenia tych prawdziwych proporcji, jakie miłość daje istotom; chciałem, żeby te obrazy były ogromne jak twarz widziana z całkiem bliska, wysokie i uroczyście jak wizje i zjawy w dręczącym śnie, ciężkie, jak zostało ciężkie to wspomnienie. Domagałem się doskonałego skończenia, czystej doskonałości tego boga, jakim jest dla tych, którzy ją kochali, każda istota umarła w dwudziestym roku życia, a także i ścisłego podobieństwa, swojskiej obecności, każdej nieregularności twarzy droższej niż piękno. Ile dyskusji nad zatrzymaniem grubej linii brwi, nieco obrzmiałej wypukłości wargi...

Liczyłem rozpaczliwie na wieczność kamienia, wierność brązu, by nadać trwanie ciału przemijającemu albo już zniszczonemu, ale dbałem również, żeby marmur, namaszczonego co dzień mieszaniną oliwy i kwasu, nabrał połysku i nieomal miękkości młodego ciała. Tę jedyną twarz odnajdywałem wszędzie: łączyłem osoby boskie, płcie i odwieczne atrybuty, surową Dianę leśną z melancholijnym Bachusem, krzepkiego Hermesa z palestrą z dwoistym bogiem, który śpi, z głową wspartą na ramieniu, wśród rozrzuconych kwiatów. Stwierdzałem, do jakiego stopnia młodzieniec rozmyślający jest podobny do męskiej Ateny. Moi rzeźbiarze trochę się w tym gubili; najmierniejsi popadali tu i ówdzie w zniewieściałość albo w emfazę; wszelako wszyscy jakoś brali udział w tym śnie. Istnieją posągi i malowidła młodego żyjącego, odzwierciedlające ten olbrzymi i zmienny krajobraz, jaki rozciąga się między piętnastym i dwudziestym rokiem życia: poważny profil grzecznego dziecka; ten posąg, gdzie rzeźbiarz z Koryntu odważył się zachować niedbałość postawy młodego chłopca, który wypina brzuch ściągając ramiona, rękę opierając na biodrze, jakby się przyglądał na rogu ulicy grze w kości. Jest i ten marmur, w którym Papias z Afrodyzji wyciosał ciało bardziej niż nagie, bezbronne, mające kruchą świeżość narcyza. A Aristeas wyrzeźbił według moich wskazówek, w kamieniu trochę chropowatym, tę małą głowę władczą i dumną... Są portrety pośmiertne, przez które przeszła śmierć, te wielkie twarze o wiedzących ustach, pełne tajemnic, które już nie są moimi, bo nie są to już tajemnice życia. Jest ta płaskorzeźba, w

której Karyjczyk Antonianos wyposażył w elizejską grację winobrancika, odzianego w surowy jedwab, i przyjazny pysk psa przytulony do nagiej nogi. I ta maska bez mała nie do wytrzymania, dzieło rzeźbiarza z Cyreny, gdzie rozkosz i ból stapiają się i zderzają na tej samej twarzy, jak dwie fale na tej samej skale. I te małe gliniane posążki po groszu, które posłużyły cesarskiej propagandzie: Tellus stabilita, Geniusz uspokojonej Ziemi w postaci leżącego młodzieńca trzymającego owoce i kwiaty. Trahit sua guemgue voluptas. Każdego - jego skłonność; każdego także jego cel, jego ambicja, jeśli kto woli, jego najtajniejsze zamiłowanie i najwyraźniejszy ideał. Mój był zamknięty w słowie "piękno", tak trudnym do zdefiniowania wbrew wszelkim oczywistościom zmysłów i oczu. Czuję się odpowiedzialny za urodę świata. Chciałem, żeby miasta były świetne, pełne powietrza, zmywane czystą wodą, zaludnione istotami ludzkimi, których ciał nie szpeciłyby znamiona nędzy, niewoli ani opasłość prostackiego bogactwa; żeby uczniowie recytowali poprawnie lekcje, i to niegłupie; żeby kobiety przy domowych ogniskach miały w swoich ruchach tę jakąś macierzyńską godność, potężny spokój; żeby na stadiony gimnastyczne przychodzili młodzieńcy kształceni także i w grach, i w sztuce; żeby sady dawały najpiękniejsze owoce, a pola najbogatsze plony. Chciałem, żeby ogromny majestat pokoju rzymskiego rozpostarł się nad wszystkim, niewyczuwalny a obecny jak muzyka obracających się ciał niebieskich; żeby najlichszy podróżny mógł wędrować z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent, bez dokuczliwych formalności, bezpiecznie, pewny, że wszędzie zostanie minimum praworządności i kultury; żeby nasi żołnierze dalej wiedli na granicach swój odwieczny taniec w zbroi; żeby wszystko funkcjonowało gładko, i warsztaty, i świątynie; żeby po morzu pływały piękne okręty, a po drogach jeździły liczne zaprzęgi; żeby w świecie rządzącym się ładem miał swoje miejsce i filozof, i tancerz. Ten ideał, w końcu skromny, dawałoby się osiągać często, gdyby ludzie oddawali mu tylko część energii, jaką zużywają na zajęcia głupie albo okrutne; szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił mi częściowo go urzeczywistnić podczas tej ostatniej ćwierci wieku. Arrian z Nikomedii, jeden z najtęższych umysłów tego czasu, lubi mi przypominać piękne wiersze, w których stary Terpander określił w trzech słowach ideał spartański, doskonały sposób życia, o którym marzył Lacedemon nie mogąc go osiągnąć: Siła, Sprawiedliwość, Muzy. Siła była u fundamentu, rygor, bez którego nie ma piękna, stanowczość, bez której nie ma sprawiedliwości. Sprawiedliwość była równowagą części, zgodnością harmonijnych proporcji, której nie powinno narażać na szwank jakiegokolwiek zatracenie miary. Siła i sprawiedliwość były tylko dobrze nastrojonym instrumentem w rękach Muz. Wszelkiej nędzy, wszelkiej przemocy należało zakazać jako zniewagi wobec pięknego ciała ludzkości. Wszelka nieprawość była fałszywą nutą, nieznośną w harmonii sfer.

W Germanii fortyfikacje i obozy, które trzeba było budować albo poprawiać, drogi, które trzeba było wytyczać albo doprowadzać do porządku, zatrzymały mnie blisko rok; nowe warownie, wznoszone co siedemdziesiąt mil, wzmocniły nasze granice wzdłuż Renu. Ten kraj winnic i spienionych rzek nie był dla mnie nowością: odnajdywałem tu ślady młodego trybuna, który przywiózł Trajanowi wieść o objęciu władzy. Odnajdywałem także za naszym ostatnim fortem, zbudowanym z sosnowych okrągłaków, ten sam widnokrąg monotony i czarny, ten sam świat, zamknięty dla nas po nieostrożnym zapędzeniu się weń legionów Augusta, ocean drzew, rezerwat białoskórych i płowowłosych ludzi. Zakończywszy reorganizację popłynąłem aż do ujścia Renu przez belgijskie i batawskie równiny. Smutne wydmy tworzyły północny krajobraz pocięty świszczącymi trawami; domy portu Noviomagus, budowane na palach, stały tuż przy okrętach zakotwiczonych u ich progów; morskie ptaki przysiadły na dachach. Lubilem te smutne strony, które moim adiutantom wydawały się paskudne, to chmurne niebo, te błotniste rzeki torujące sobie koryta w ziemi bezkształtnej i wystygłej, której mułu żaden bóg nie modelował.

Barka z dnem prawie płaskim przewiozła mnie na wyspę Brytanię. Wiatr odrzucał nas kilka razy w stronę brzegu, który opuściliśmy: ta pełna przeciwności morska podróż dała mi zadziwiające, bo puste godziny. Gigantyczne chmury wstawały z morza ciężkiego, brudnego od piachu, nieustannie poruszającego się w swoim łożysku. Jak niegdyś u Daków i u Sarmatów w religijnym skupieniu przyglądałem się Ziemi, tak tu po raz pierwszy zobaczyłem Neptuna bardziej chaotycznego niż nasz świat płynny i nieskończony. Czytałem i Plutarcha żeglarską legendę mówiącą o wyspie położonej w tej okolicy, już bliskiej Marę Tenebrarum, wyspie, na którą zwycięscy Olimpijczycy wyparli jakoby przed wiekami Tytanów. Ci ogromni więźniowie skały i fali, wciąż chłostani przez nie znający snu ocean, nie mogący zasnąć, ale wciąż zajęci marzeniami, dalej jakoby przeciwstawiają olimpijskiemu ładowi swoją gwałtowność, swoją mękę, swoje wiecznie udręczone pragnienie. Odnajdywałem w tym micie, umieszczonym na krańcach świata, filozoficzne teorie, które uznałem za własne: każdy człowiek wiecznie musi wybierać w ciągu swego krótkiego żywota między niezmożoną nadzieją i roztropnym brakiem nadziei, między rozkoszami chaosu i rozkoszami trwałości, między Tytanem i Olimpijczykiem. Wybierać między nimi albo ich wreszcie raz pogodzić.

Cywilne reformy dokonane w Brytanii są częścią mego administracyjnego dzieła, o którym mówiłem gdzie indziej. Tu wspomnę, że byłem pierwszym cesarzem, który przybył w celach pokojowych na tę wyspę położoną na krańcach znanego świata, gdzie jeden tylko Klaudiusz odważył się zajrzeć na kilka dni jako głównodowodzący generał. Na całą zimę

Londinium stało się, z mego wyboru, tym rzeczywistym środkiem świata, jakim Antiochia była wskutek konieczności partyjskiej wojny. Tak więc każda podróż przenosiła gdzie indziej punkt ciężkości władzy, umieszczała go na jakiś czas na brzegu Renu albo nad Tamizą, pozwalala mi oceniać, jakie byłyby złe i dobre strony takiej siedziby cesarskiej. Pobyt w Brytanii pozwolił mi przemyśleć hipotezę państwa mającego swoje centrum na Zachodzie, świata atlantyckiego. Takie pomysły są pozbawione wartości praktycznej: przestają jednak być niedorzeczne, jeśli kalkulator uwzględni w swoich obliczeniach dostatecznie wielką ilość przyszłości.

Na trzy miesiące zaledwie przed moim przybyciem Szósta Legia

Zwycięska została przesunięta na terytorium brytyjskie. Zluzowała tam nieszczęsną Dziewiątą Legię, posiekaną na kawałki przez Kaledończyków podczas zamieszek, które były w Brytanii szkaradnym następstwem naszej wyprawy do Fartów. Należało przedsięwziąć dwa środki zaradcze, żeby przeszkodzić powtórzeniu się podobnej klęski. Nasze wojska zostały wzmocnione przez utworzenie pomocniczej armii tubylczej: w Eboracum, z wysokości zielonego kopca, przyglądałem się pierwszym ćwiczeniom tego nowo utworzonego brytyjskiego wojska. Równocześnie wzniesiony mur, przecinający wyspę w jej najwęższym miejscu na dwie części, dał ochronę żyznym i cywilizowanym okolicom południowym przed napaściami szczepów północnych. Sam obejrzałem dużą część tych robót rozpoczętych wszędzie równocześnie na osiemdziesięciomilowym stoku: znalazłem tam okazję wypróbowania, na tej przestrzeni ograniczonej z obu stron, systemu obrony, który można by później stosować i gdzie indziej. I to dzieło ściśle wojskowe już sprzyjało pokojowi, rozwijało zamożność tej części Brytanii; powstawały wioski; ludność zaczęła napływać ku naszym granicom. Legionistom pracującym przy robotach ziemnych pomagały ekipy krajowców; wybudowanie muru było dla wielu tych górali, jeszcze wczoraj nie ujarzmionych, pierwszym neodpartym dowodem opiekuńczej władzy Rzymu, a pieniądź żołdu pierwszą monetą rzymską, jaką trzymali w ręce. Ten szaniec stał się godłem mego wyrzeczenia się polityki podbojów: u stóp najdalej wysuniętego bastionu kazałem zbudować świątynię bogu Terminusowi, opiekunowi granic.

Wszystko mnie zachwycało w tej dżdżystej krainie: strzępy mgieł na zboczach pagórków, jeziora poświęcone nimfom jeszcze dziwniejszym niż nasze, melancholijni ludzie z szarymi oczami. Moim przewodnikiem był młody trybun pomocniczego korpusu brytyjskiego: ten jasnowłosy bożek nauczył się po łacinie, trochę mówił i po grecku i nieśmiało próbował układać w tym języku wiersze miłosne. Pewnej zimnej jesiennej nocy poszedł ze mną jako tłumacz do tutejszej Sybilli. Kiedy siedzieliśmy w -pełnej dymu chatce

celtyckiego węglarza, grzejąc nogi uwięzione w grubych spodniach z szorstkiej wełny, przyczołgało się do nas stare stworzenie, zmoczone deszczem, potargane przez wiatr, dzikie i płochliwe jak leśne zwierzę. Rzuciło się na małe owsiane placki piekące się w ognisku. Mój przewodnik jakoś tę prorokinię ugłaskał: zgodziła się patrzeć dla mnie w wijące się kłęby dymu, w nagle wytryskujące iskry, w krucho architektury z gałązek i popiołów. Zobaczyła budujące się miasta, rozradowane tłumy, ale także i miasta w płomieniach i gorzkie orszaki zwyciężonych zaprzeczające moim snom o pokoju; zobaczyła twarz młodą i piękną, którą wzięła za twarz kobiecą, w co nie chciałem uwierzyć, i blade widmo, będące może tylko posągiem, przedmiotem jeszcze niezrozumialszym niż widmo dla tej mieszkanki lasów i wydm. I, za ileś tam lat, moją śmierć, którą przewidziałbym i bez niej.

Zamożna Galia, bogata Hiszpania zatrzymały mnie krócej niż Brytania. W Galii Narboneńskiej odnalazłem Grecję, która się wysiała aż dotąd, jej piękne szkoły wymowy i jej portyki pod czystym niebem. Zatrzymałem się w Nemausus, żeby ustalić plan bazyliki ofiarowanej Plotynie i mającej stać się kiedyś jej świątynią. Wspomnienia rodzinne, wiążące cesarżową z tym miastem, czyniły mi tym miłszym jego pejzaż suchy i złocisty.

Ale bunt w Mauretanii jeszcze dymił. Skróciłem podróż po Hiszpanii, nie zatrzymując się nawet na chwilę, między Kordobą i morzem, w Italice, mieście mojego dzieciństwa i moich przodków. Z Kadyksu popłynąłem do Afryki.

Piękni tatuowani wojownicy z gór Atlasu jeszcze nękali nadbrzeżne miasta afrykańskie. Przeżyłem tam w ciągu kilku krótkich dni numidyjski odpowiednik potyczek sarmackich; znów zobaczyłem szczepy ujarzmiane jeden po drugim, dumne poddawanie się wodzów bijących pokłony na pustyni, wśród kobiet w popłochu, rozrzuconych tobołów i powalonych zwierząt. Tyle że tutaj był nie śnieg, a piasek.

Miło mi było spędzać nareszcie wiosnę w Rzymie, odnaleźć rozpoczętą Willę, kapryśne pieszczoty Lucjusza, przyjaźń Plo-tyny. Ale ten pobyt w Mieście został niemal od razu przerwany alarmującymi pogłoskami o wojnie. Pokój z Fartami został zawarty zaledwie przed trzema laty i już wybuchały poważne zamieszki nad Eufratem. Natychmiast wyruszyłem na Wschód.

Postanowiłem zlikwidować te graniczne incydenty sposobem mniej banalnym niż robiły to maszerujące legie. Moje osobiste spotkanie z Osroesem zostało przygotowane. Zabrałem ze sobą na Wschód córkę władcy uwięzioną bez mała w kolebce, w okresie kiedy to Trajan zajął Babilon, i zatrzymaną następnie w Rzymie jako zakładniczkę. Była to chuda dziewczuszka z wielkimi oczami. Obecność jej i jej kobiet trochę mi zawadzała w podróży, którą chciałem odbywać możliwie najspieszniej. Te poowijane w białe zwoje istoty trzęsły się przez syryjską pustynię na karkach dromaderów, w namiocikach o starannie zaciągniętych zasłonach. Wieczorami, na postojach, posyłałem pytać, czy księżniczce niczego nie brak.

Zatrzymałem się na godzinę w Licji, żeby nakłonić kupca Opramoasa, który już dał dowody swoich negocjatorskich talentów, by towarzyszył mi do krainy partyjskiej. Brak czasu nie pozwolił mi na roztoczenie przepychu, jaki zwykł był dookoła siebie roztaczać. Ten zniewieściały przez bogactwo człowiek był mimo to wspaniałym towarzyszem drogi, przyzwyczajonym do wszystkich niespodzianek pustyni.

Spotkanie miało nastąpić na lewym brzegu Eufratu nieopodal Dura. Przeprawiliśmy się przez rzekę na tratwie. Żołnierze partyjskiej gwardii królewskiej, w złotych pancerzach, na koniach nie mniej niż oni olśniewających, stali wzdłuż brzegu szeregiem, od którego bił oślepiający blask. Mój nieodłączny Flegon był bardzo blady. Nawet towarzyszący mi oficerowie doznali niejakiego niepokoju: spotkanie mogło być pułapką. Opramoas, umiejący należycie węszyć w azjatyckim powietrzu, był wesół, ufał tej mieszaninie ciszy i zgiełku, bezruchu i nagłych galopów, temu przepychowi rzuconemu na pustynię jak dywan na piasek. Ja zaś byłem w cudowny sposób wolny od wszelkiego lęku: jak Cezar swemu statkowi, ufałem tym deskom wiozącym moje losy. Dałem dowód tej ufności od razu zwracając ojcu partyjską księżniczkę miast zatrzymać ją po naszej stronie aż do mego powrotu. Przyrzekłem też oddać złoty tron dynastii arsacydyjskiej, zabrany niegdyś przez Trajana, tron, z którym my nie mieliśmy co robić, a do którego przywiązywała wielką wagę wschodnia zabobonność.

Przepych tych spotkań z Osroesem był tylko zewnętrzny. Nic nie różniło ich od targów między dwoma sąsiadami usiłującymi polubownie załatwić sprawę granicznego muru. Miałem do czynienia z barbarzyńcą wykształconym, mówiącym po grecku, zgoła niegłupim, zgoła niekoniecznie bardziej podstępny niż ja, dość chwiejnym wszakże, by się wydał kimś, na kim nie całkiem można polegać. Dość rzadkie właściwości mego umysłu pomagały mi kaptować sobie tę wymykającą się myśl: siedząc naprzeciwko partyjskiego władcy uczyłem się przewidywać jego odpowiedzi, a wkrótce i kierować nimi; wchodziłem w jego rolę; wyobrażałem sobie, że jestem Osroesem targującym się z Hadrianem. Nie cierpię niepotrzebnych debat, gdzie każdy z góry wie, że ustąpi albo że nie ustąpi: szczerłość w

interesach cenię sobie zwłaszcza jako środek, który wszystko upraszcza i przyspiesza. Partowie bali się nas; my obawialiśmy się Partów; z tego obopólnego lęku mogła wyniknąć wojna. Satrapowie parli do tej wojny, przez osobisty interes: szybko się spostrzegłem, że Osroes też miał swoich Quietusów, swoich Palmów. Pharasmanes, najruchliwszy z tych na pół samodzielnych książątek usadowionych na pograniczu, był jeszcze nie-bezpieczniejszy dla królestwa partyjskiego niż dla nas. Zarzucano mi, że zneutralizowałem za pomocą darów to otoczenie szkodliwe i bezwolne: była to dobra lokata pieniędzy. Byłem za bardzo pewny przewagi naszych sił, by sobie utrudniać sprawy głupią ambicją: byłem gotów na wszystkie ustępstwa nie mające istotnego znaczenia, tylko prestiżowe, i na żadne inne. Najtrudniejszym okazało się przekonanie Osroesa, że jeśli robię mało obietnic, to dlatego że mam zamiar ich dotrzymać. Uwierzył mi wreszcie albo udał, że uwierzył. Porozumienie zawarte między nami podczas tego spotkania trwa do tej pory; od piętnastu lat z obu stron nic nie zmąciło spokoju na granicach. Liczę na ciebie, że ten stan rzeczy będzie trwał i po mojej śmierci.

Pewnego wieczoru, pod cesarskim namiotem, podczas uczyty wydanej przez Osroesa na moją cześć, spostrzegłem wśród kobiet i długorzęsych paziów mężczyznę nagiego, wychudłego, zupełnie nieruchomego, którego szeroko otwarte oczy zdawały się nie widzieć obfitości półmisków, ciżby akrobatek i tancerek. Przemówiłem do niego za pośrednictwem tłumacza: nie raczył odpowiedzieć. Był to mędrzec. Ale jego uczniowie okazali się rozmowniejsi; ci pobożni wędrowcy przybyli z Indii, a ich mistrz należał do potężnej kasty braminów. Zrozumiałem, iż medytacje doprowadziły go do przekonania, że cały świat jest tylko tkanką złudzeń i omyłek: umartwienie, wyrzeczenie, śmierć były dlań jedynym sposobem wymknięcia się temu zmiennemu nurtowi zjawisk, któremu nasz Heraklit, odwrotnie, dał się unieść, i osiągnięcia poza światem zmysłowym tej sfery czystej boskości, tego nieruchomego i pustego firmamentu, o jakim marzył i Platon. Pod niezdarnymi słowami moich tłumaczy wyczuwałem więc idee, które nie były całkiem obce niektórym z naszych mędrców, ale które Hindus wyrażał w sposób bardziej ostateczny i nagi. Ten bramin doszedł do takiego stanu, że nic oprócz jego ciała nie dzieliło go już od niedotykalnego boga, bez substancji i formy, z którym chciał się połączyć: i postanowił spalić się żywcem nazajutrz. Osroes zaprosił mnie na tę uroczystość. Wzniesiono stos z wonnego drzewa; człowiek rzucił się na stos i znikł, bez jednego krzyku. Jego uczniowie nie okazywali żalu: dla nich nie była to uroczystość żałobna.

Długo rozmyślałem o tym później, w nocy. Leżałem na dywanie z kosztownej wełny, pod namiotem z szeleszczących i ciężkich tkanin. Paż masował mi nogi. Z zewnątrz dobiegały mnie nieliczne głosy tej azjatyckiej nocy: rozmowa szepczących pod moimi

drzwiami niewolników, lekki szelest palmy, chrapanie Opramoasa za zasłoną, stukot kopyta spętanego konia; z oddali, z namiotów kobiet, dochodziło melancholijne gruchanie jakiejś pieśni. Bramin tym wszystkim wzgardził. Ten pijany wyrzeczeniem człowiek oddał się płomieniom tak, jak kochanek pada na łożo. Odrzucił rzeczy, istoty, wreszcie samego siebie, niby kolejne suknie, które mu zakrywały tę jedyną obecność, ten środek niewidzialny i pusty, który przełożył ponad wszystko. Czułem się człowiekiem innym, gotowym do innych wyborów. Umartwienie, wyrzeczenie, negacja nie były mi zupełnie obce: pokosztowałem ich, jak się to często dzieje, mając dwadzieścia lat. Miałem lat mniej niż dwadzieścia, kiedy w Rzymie, zaprowadzony przez przyjaciela, odwiedziłem Epikteta w jego nędznej norze w Suburze, na niewiele dni przed wygnaniem go przez Domicjana. Dawny niewolnik, któremu zły pan złamał niegdyś nogę nie mogąc wyrwać zeń skargi, słabowity starzec znoszący cierpliwie długotrwałe tortury choroby pęcherza, wydał mi się kimś, kto posiadał bez mała boską wolność. Z podziwem patrzyłem na te kule, ten siennik, glinianą lampę, drewnianą łyżkę w glinianym naczyniu, proste sprzęty surowego życia. Ale Epiktet wyrzekał się nazbyt wielu rzeczy i szybko zdałem sobie sprawę, że nic nie było dla mnie niebezpieczniej łatwe niż wyrzeczenie. Hindus, logiczniejszy, odrzucił i samo życie. Mogłem się dużo nauczyć od tych czystych fanatyków, ale pod warunkiem, że wykorzystam w odwrotnym kierunku lekcję, jaką mi dawali. Ci mędracy usilnie starali się odnaleźć swego boga poza oceanem form, sprowadzić go do tej jakości jedynej, nienamacalnego, bezcielesnego, jakiej się wyrzekł w dniu, w którym zechciał stać się wszechświatem. Wyobrażałem sobie inaczej moje stosunki z boskością. Wyobrażałem sobie siebie pomagającego jej w wysiłku kształtowania i porządkowania świata, rozwijania i pomnażania jego zwojów, rozgałęzień, skrętów. Byłem jednym z segmentów koła, jednym z aspektów tej siły jedynej, tkwiącej w różnorodności zjawisk, w orle i byku, człowieku i łabędziu, w fallusie i mózgu, we wszystkim, Proteuszem, który jest równocześnie Jowiszem.

To w tamtym czasie zacząłem się czuć bogiem. Nie zrozum mnie opatrnie: byłem wciąż, byłem bardziej niż kiedykolwiek tym samym człowiekiem żywiącym się owocami i zwierzętami ziemi, oddającym glebie przetrawione resztki żywiących go pokarmów, zapadającym w sen przy każdej odmianie gwiazd, niespokojnym aż do szaleństwa, kiedy za długo brakowało mu ciepłej obecności miłości. Moja siła, moja sprawność fizyczna i umysłowa były troskliwie podtrzymywane gimnastyką, najzupełniej ludzką. Ale cóż mogę rzec prócz tego, że to wszystko było przeżywane w sposób boski? Skończyły się ryzykowne doświadczenia młodości i jej zachłanność w używaniu mijającego czasu. Mając czterdzieści cztery lata byłem wolny od niecierpliwości, pewny siebie, tak doskonały, jak pozwalała na to

moja natura, wieczna. I dobrze zrozum, że mowa tu o koncepcji umysłowej: upojenia, jeśli mam je ich imieniem nazwać, przyszyły później. Byłem bogiem po prostu dlatego, że byłem człowiekiem. Boskie tytuły, jakie mi później nadała Grecja, były tylko proklamowaniem tego, co od dawna stwierdziłem sam. Sądzę, że mógłbym się czuć bogiem w więzieniach Domicjana albo na dnie szybu kopalni. Mam śmiałość tak twierdzić dlatego, że to uczucie wydaje mi się bardzo mało niezwykle i dostępne wcale nie mnie jednemu. Doznawali go i inni albo doznają w przyszłości.

Powiedziałem, że moje tytuły niewiele dodawały do tej zadziwiającej pewności: i odwrotnie, tę pewność potwierdzały najzwyczajniejsze prace mego cesarskiego rzemiosła. Jeżeli Jowisz jest mózgiem świata, człowiek obciążony organizowaniem i miarkowaniem ludzkich spraw może się słusznie uważać za część tego mózgu, który wszystkim rządzi. Ludzkość, może trafnie, może nietrafnie, niemal zawsze pojmowała swego boga jako coś na podobieństwo opatrności; moje funkcje zobowiązywały mnie, żebym był wcieleniem tej opatrności dla części rodzaju ludzkiego. Im bardziej się państwo rozwija, krępując ludzi swymi ścisłymi i zimnymi ogniwami, tym bardziej ludzka ufność chciałaby umieścić u końca tego ogromnego łańcucha uwielbiany wizerunek człowieka-opiekuna. Czy chciałem, czy nie, wschodnie ludy cesarstwa uważały mnie za boga. Nawet na Zachodzie, nawet w Rzymie, gdzie jesteśmy oficjalnie uznawani za bogów dopiero po śmierci, ciemna ludowa pobożność córa? chętniej nas apoteozuje za życia. Wkrótce partyjska wdzięczność zaczęła wznosić świątynie cesarzowi rzymskiemu, który zaprowadził i utrzymał pokój; miałem moje sanktuarium w Vologesji, w środku wielkiego, obcego świata. Zgoła nie dostrzegając w tych objawach uwielbienia niebezpieczeństwa obłędu albo nadużywania władzy u człowieka, który je przyjmuje, widziałem w nich wędzidło, obowiązek upodobnienia się do jakiegoś odwiecznego wzoru, włączenia do potęgi ludzkiej części mądrości najwyższej. Będąc bogiem jest się zmuszonym w sumie do większej ilości cnót niż będąc cesarzem.

Kazałem się wtajemniczyć w Eleuzis w osiemnaście miesięcy później. W pewnym znaczeniu te odwiedziny u Osroesa stały się w moim życiu punktem zwrotnym. Zamiast wracać do Rzymu postanowiłem poświęcić kilka lat greckim i wschodnim prowincjom cesarstwa: Ateny coraz bardziej stawały się moją ojczyzną, moim środkiem świata. Chciałem się podobać Grekom, a także zhellenizować się możliwie najbardziej, ale to wtajemniczenie, uzasadnione po części względami politycznymi, było przecież przeżyciem religijnym, jakiemu nic nie dorówna. Te wielkie obrzędy tylko symbolizują wydarzenia ludzkiego życia, ale symbol sięga dalej niż uczynek, tłumaczy nasz każdy gest w terminach wiecznej mechaniki. Wiedza otrzymana w Eleuzis musi zostać tajna: jest zresztą tym mniej narażona

na rozgłaszanie, że ze swej natury jest niewyraźna. Sformułowana, brzmiałaby jak najbanalniejsza oczywistość; na tym właśnie polega jej głębia. Stopnie wyższe, w które wtajemniczono mnie później w prywatnej rozmowie z hierofantą, nie dodały niemal nic do pierwszego wstrząsu odczutego tak samo i przez najmniej uczonego pielgrzyma, który bierze udział w obrzędowych ablucjach i pije ze źródła. Usłyszałem, jak dysonanse ułożyły się w akord; na chwilę znalazłem się w innym kręgu, przypatrywałem się z daleka, ale też i z całkiem bliska, tej procesji ludzkiej i boskiej, w której miałem swoje miejsce, temu światu, gdzie istnieje jeszcze ból, ale już nie złudzenie. Los człowieka, ten chwiejny rysunek, w którym najmniej wprawne oko wykryje tyle nieudolności, lśnił jak rysunki na niebie.

I właśnie tutaj wypada wspomnieć o przyzwyczajeniu, jakie przez całe życie wodziło mnie po drogach mniej tajnych niż eleuzyńskie, ale w końcu równoległych do nich: mówię o studiowaniu gwiazd. Zawsze byłem przyjacielem astronomów i klientem astrologów. Wiedza tych ostatnich jest niepewna, fałszywa w szczegółach, może prawdziwa w całokształcie: skoro człowiek, cząstka wszechświata, jest podległy tym samym prawom, jakie rządzą niebem, nie jest niedorzecznością szukanie tam w górze wątków naszego życia, zimnych sympatii przyczyniających się do naszych sukcesów i naszych niepowodzeń. Jesienią każdego wieczora witałem na południowej stronie nieba Wodnika, Podczaszego niebieskiego, Szafarza, pod którym się urodziłem. Pamiętałem, by ustalić przy każdym ich pojawieniu się położenie Jowisza i Wenus, które moim życiem rządzą, i zmierzyć wpływ niebezpiecznego Saturna. Ale choć to przedziwne promieniowanie spraw ludzkich na gwiazdne sklepienie zajmowało często moje godziny czuwania, interesowałem się jeszcze mocniej niebieską matematyką, abstrakcyjnymi rachunkami, do jakich zachęcają te wielkie, płomieniste ciała. Byłem skłonny mniemać, jak niektórzy z naszych najśmielszych mędrców, że ziemia też bierze udział w tym nocnym i dziennym ruchu, którego święte procesje w Eleuzis są co najmniej ludzkim pozornym naśladowaniem. W świecie, gdzie wszystko jest tylko wirowaniem sił, tańcem atomów, gdzie wszystko jest równocześnie w górze i w dole, na krawędzi i w środku, trudno mi było wyobrazić sobie istnienie nieruchomej kuli, stałego punktu, który by nie był zarazem ruchomy. Kiedy indziej dokładne obliczenia porównania dnia z nocą, ustalone niegdyś przez Hipparcha z Aleksandrii, spędzały mi sen z powiek: odnajdywałem w tym, w formie już nie baśni czy symbolów, ale dowodów, tę samą eleuzyńską tajemnicę odejścia i powrotu. Kłos Dziewicy nie znajduje się już za naszych dni w tym miejscu mapy, w jakim go zaznaczył Hipparch, ale ta zmiana jest dopełnieniem cyklu i właśnie ta zmiana potwierdza hipotezę astronoma. Powoli, nieuchronnie, firmament znów stanie się taki, jakim był za czasów Hip-parcha: i znów będzie taki, jakim był za czasów

Hadriana. Nieporządek wcielał się w porządek; zmiana była częstką planu, jaki astronom był zdolny przewidzieć; umysł ludzki objawił tu swoje uczestnictwo we wszechświecie przez ustalenie trafnych twierdzeń, jak w Eleuzis przez obrzędowe okrzyki i tańce. Człowiek, który kontempluje, i kontemplowane gwiazdy biegli nieuchronnie do swego końca, zaznaczonego gdzieś w niebie. Ale każdy ruch tego spadania był chwilą przerwy, punktem wyjścia, częstką krzywej, mocnej jak złoty łańcuch. Każdy poślizg sprowadzał nas do tego punktu, który, ponieważ znaleźliśmy się w nim przez przypadek, wydaje się nam środkiem.

Od moich dzieciennych nocy, kiedy wzniesiona ręka Marullinusa wskazywała mi gwiazdy, ciekawość spraw niebieskich nie opuściła mnie. Podczas przymusowej bezsenności w obozach przyglądałem się księżycowi biegnącemu poprzez chmury barbarzyńskich nieb; później, podczas jasnych nocy attyckich, słuchałem, jak astronom Theron z Rodos tłumaczy mi swój system świata; leżąc na pokładzie statku płynącego po Morzu Egejskim, patrzyłem, jak wolno chwiejący się maszt przesuwają się między gwiazdami, idzie od czerwonego oka Byka do łez Plejad, od Pegaza do Łabędzia: odpowiadałem, jak umiałem najlepiej, na naiwne i poważne pytania młodzieńca, który razem ze mną wpatrywał się w to samo niebo. Tutaj, w Willi, kazałem zbudować obserwatorium, na którego schody choroba dziś już mi nie pozwala wchodzić. Jeden raz w życiu zrobiłem jeszcze więcej: poświęciłem gwiazdozbiorom całą noc. Było to po moich odwiedzinach u Osroesa, podczas podróży przez pustynię syryjską. Leżąc na wznak, z otwartymi oczami, porzuciwszy na kilka godzin wszystkie ludzkie troski, oddawałem się od wieczora do świtu temu światu z płomienia i kryształu. Była to moja najpiękniejsza podróż. Wielka gwiazda konstelacji Liry, gwiazda polarna ludzi, którzy będą żyli, kiedy nas już od kilku dziesiątków tysięcy lat nie będzie, jaśniała nad moją głową. Bliźnięta migotały słabo w ostatnich odbłaskach zachodu; Wąż szedł przed Strzelcem; Orzeł wzbijał się ku zenitowi, rozpostarłszy skrzydła, a u jego nóg ten gwiazdozbiór jeszcze nie nazwany przez astronomów, któremu później nadałem najdroższe z imion. Noc, nigdy tak zupełna, jak sądzą ci, którzy żyją i śpią w izbach, stała się ciemniejsza. Ogniska, rozpalone, żeby odstraszyć szakale, pogasły; te stosy żarzących się węgli przypominały mi mego dziadka stojącego w swojej winnicy i jego proroctwa, które stały się od tamtej pory czasem teraźniejszym, a wkrótce* będą czasem przeszłym. Próbowałem zespalać się z boskością w jej wielu kształtach; doznałem niejednej ekstazy; niektóre były okrutne, a inne wstrząsająco słodkie. Ekstaza, której doznałem podczas nocy syryjskiej, była zadziwiająco świadoma. Wpisała we mnie ruchy ciał niebieskich z precyzją, jakiej nigdy by mi nie pozwoliła osiągnąć żadna obserwacja cząstkowa. Wiem dokładnie w tej chwili, w której do ciebie piszę, jakie gwiazdy przechodzą tu, w Tiburze, nad tym sufitem ozdobionym stiukami i cennymi

malowidłami, i gdzie indziej, tam, nad pewnym grobem. W kilka lat później śmierć miała stać się przedmiotem mojej nieustającej kontemplacji, myślą, której oddawałem te wszystkie siły mego umysłu, jakich nie absorbowало państwo. A kto powiada: śmierć, powiada także: tajemniczy świat, do jakiego być może dzięki niej się dostajemy. Po tylu rozmyślaniach i doświadczeniach, nieraz potępienia godnych, wciąż nie wiem, co się dzieje za tą czarną zasłoną. Ale noc syryjska stanowi moją świadomą cząstkę nieśmiertelności.

SAECULUM AUREUM

Lato po spotkaniu z Osroesem spędziłem w Azji Mniejszej: zatrzymałem się w Bitynii, żeby osobiście dopilnować wyrębu państwowych lasów. W Nikomedii, mieście jasnym, cywilizowanym, uczonym, zamieszkałem u prokuratora prowincji, Gnejusza Pompejusza Prokulusa, w dawnej rezydencji króla Nikomedesa, pełnej lubieżnych wspomnień młodego Juliusza Cezara. Morskie wiatry Propontydy przewiewały te sale chłodne i ciemne. Prokulus, człowiek mający dobry smak, urządzał dla mnie zebrania literackie. Przejedni sofisci, nieliczni studenci i amatorzy literatury pięknej zbierali się w ogrodach, na brzegu źródła poświęconego bogu Panowi. Od czasu do czasu służący zanurzał w źródle wielki dzban z porowatej gliny; najprzejrzystsze szklanki wydawały się mętne w porównaniu z tą przeczystą wodą.

Czytano tego wieczora dość zawiłą sztukę Likofrona, którego lubię za wariackie zestawienia dźwięków, aluzji i obrazów, za skomplikowany system pogłosów i ech. Młody chłopiec trzymający się na uboczu słuchał tych trudnych strof z uwagą zarazem roztargnioną i myślącą i pomyślałem od razu o pasterzu gdzieś w lesie, mimo woli czujnym na jakiś słabo słyszalny śpiew ptaka. Nie przyniósł ani tabliczek, ani rylca. Siedząc na krawędzi basenu dotykał palcami pięknej gładkiej powierzchni. Dowiedziałem się, że jego ojciec miał skromne stanowisko w zarządzie wielkich dóbr cesarskich; pozostawiony w dzieciństwie na opiece dziadka uczeń został wysłany do znajomego rodziców, armatora w Nikomedii, który wydawał się bogaczem tej ubogiej rodziny.

Zatrzymałem go po odejściu innych. Był mało odcytany, mało wykształcony, skupiony, ufny. Znałem Klaudiopolis, miasto, w którym się urodził: udało mi się go nakłonić do rozgadania się o rodzinnym domu na skraju wielkich sosnowych lasów, które dostarczają masztów naszym okrętom, o świątyni Attysa, położonej na wzgórzu, której przeraźliwą muzykę lubił, o pięknych koniach jego kraju i jego dziwnych bogach. Ten głos, trochę przytłumiony, mówił po grecku z akcentem azjatyckim. Nagle, poczuwszy, że go słucham, a może, że na niego patrzę, zmieszał się, zaczerwienił, popadł w jedno z tych uporcewyczych milczeń, do jakich wkrótce przywykłem. Nawiązała się jakaś bliskość. Towarzyszył mi następnie w moich wszystkich podróżach i zaczęło się kilka baśniowych lat.

Antinous był Grekiem: doszedłem po wspomnieniach tej rodziny starej i nieznannej aż do epoki pierwszych osadników arkadyjskich na wybrzeżach Propontydy. Ale Azja stała się dla tej nieco cierpkiej krwi niby kropla miodu, która zamącą czyste wino i daje mu zapach. Odnajdywałem w nim zabobony ucznia Apolloniosa, monarchiczną wiarę wschodniego poddanego Wielkiego Króla. Jego obecność była niezwykle milcząca: szedł za mną jak zwierzę albo jak opiekuńczy duch. Niby młody pies, miał nieprzebrane zasoby wesołości i

ospałości, płochliwości i ufności. Ten piękny chart, łakomy pieszczot i rozkazów, legł na moim życiu. Podziwiałem tę obojętność niemal wyniosłą na wszystko, co nie było jego rozkoszą albo jego kultem: zastępowała mu bezinteresowność, skrupuł, wszystkie kunsztowne i surowe cnoty. Zachwyciałem się tą twardą łagodnością, tym posępnym przywiązaniem, wciągającym całą istotę. A przecież to poddanie nie było ślepe; te powieki, tak często zamknięte w przyzwoleniu albo we śnie, otwierały się; najuważniejsze w świecie oczy patrzyły mi w twarz; czułem, że jestem sądzony. Ale byłem sądzony jak bóg przez swojego wyznawcę: moja nie-czułość, moja nieufność (bom je miewał później) były spokojnie, poważnie akceptowane. Byłem władcą absolutnym tylko raz i tylko dla jednej istoty.

Jeśli nic nie powiedziałem jeszcze o jego urodzie, tak widocznej, nie należy dopatrywać się w tym niedomówienia człowieka zbyt całkowicie zniewolonego. Ale twarze, których rozpaczliwie szukamy, wymykają się nam: jest to zawsze tylko chwila... Przypominam sobie głowę spuszczoną pod włosami w nocnym nieładzie, oczy, które wydawały się skośne przez wydłużenie powiek, młodą twarz szeroką, jakby leżała. To delikatne ciało zmieniało się wciąż, jak roślina, i niektóre z tych przemian można przypisać czasowi. Chłopiec zmienił się, wyrósł. Dość było tygodnia lenistwa, żeby stał się bardziej niewieści; jedno popołudnie na łowach przywracało mu jędrność, atletyczną szybkość. Po godzinie słońca barwę jaśminu zmieniał na barwę miodu. Trochę ciężkie żrebięce nogi wydłużyły się; policzki straciły delikatną dziecięcą okrągłość, lekko zapadły pod wystającymi skułami; tors, wzdęty oddechem młodego biegacza na stadionie, nabrał gładkiej i lśniącej wypukłości torsu bachantki. Nadąsana mina warg zabarwiła się palącą goryczą, smutnym przesytem. Doprawdy, ta twarz zmieniała się, jakbym ją rzeźbił dzień i noc.

Kiedy się odwracam ku tym latom, zdaje mi się, jakbym odnalazł Złoty Wiek. Wszystko było łatwe: dawniejsze wysiłki bywały nagradzane bez mała boską swobodą. Podróż była zabawą: przyjemnością kontrolowaną, znaną, wykorzystywaną umiejętnie. Nieustająca praca była jeszcze jednym rodzajem rozkoszy. Moje życie, w którym wszystko przychodziło późno, władza, szczęście także, nabrało świetności pory południa, rozśonecznienia godzin sjesty, kiedy wszystko kąpie się w złotym powietrzu, przedmioty w pokoju i ciało leżące obok nas. Nasycona namiętność ma swoją niewinność, tak samo niemal jak każda inna krucha: reszta ludzkiej urody zamieniła się w widowisko, przestała być tą zwierzyną, na którą polowałem. I banalnie zaczęta przygoda wzbogacała, ale także i upraszczała moje życie: przyszłość liczyła się mało; gwiazdy stały się tylko prześlicznymi rysunkami na sklepieniu nieba. Nigdy nie odczuwałem tak radośnie bladości świtania na

horyzoncie wysp, chłodu grot poświęconych nimfom i odwiedzanych przez wędrowne ptactwo, ociążałego lotu przepiórek o zmierzchu. Na nowo czytałem poetów: niektórzy wydali mi się lepsi niż dawniej, większość - gorsza. Pisałem wiersze, które chyba były mniej niż zwykle nieudolne.

Było morze drzew: lasy dębów korkowych i sosnowe puszcze Bitynii, pawilon myśliwski z ażurowymi gankami, gdzie chłopiec, znów popadłszy w niedbalstwo będące cechą jego rodzinnego kraju, rozrzucał byle gdzie strzały, sztylet, złoty pas, tarzał się z psami po skórzanych kanapach. Równiny przesiąkły upałem długiego lata; mgła wstawiała z łąk na brzegu rzeki Sangarios, gdzie biegały tabuny dzikich koni; o świcie szliśmy się kąpać do rzeki tratując po drodze wysokie trawy wilgotne od nocnej rosy, pod niebem, z którego zwisał wąziutki półksiężyc, będący godłem Bitynii. Kraina ta została obsypana dobrodziejstwami; przybrała nawet moje imię.

Zima dopadła nas w Synopie; asystowałem tam, w mróz bez mała scytyjski, przy rozpoczęciu prac nad powiększeniem portu, podjętych pod moimi rozkazami przez marynarzy floty. Po drodze do Bizancjum starszyzna wiejska kazała rozpalać u wejścia do wioski ogromne ogniska, przy których grzały się moje straże. Przeprowa przez Bosfor, pod śnieżną burzą, była piękna: długie jazdy konne po trackich lasach, ostry wiatr wdzierający się w fałdy płaszczów, szybkie bębnienie deszczu po liściach i po dachu namiotu, wypoczynek w obozie robotników, tam, gdzie miał stanąć Adrianopol, owacje weteranów z wojen dackich, rozmiękła ziemia, z której wkrótce wzejść miały mury i wieże. Odwiedziny w garnizonach naddunajskich zaprowadziły mnie na wiosnę do zamożnego miasteczka, jakim jest dziś Sarmizegetuza; bityński chłopiec nosił na ręce bransoletę króla Decebala. Do Grecji wróciłem od północy: zatrzymałem się na dłużej w dolinie Tempe, spryskanej czystymi wodami; po białej Eubei przyszła Attyka barwy różowego wina. Przez Ateny ledwie się przemknął; w Eleuzis, podczas moich wtajemniczeń w misteria, spędziłem trzy dni i trzy noce wśród ciżby pielgrzymów, których podczas tych samych uroczystości przyjmowano: jedyną ostrożnością, jaką przedsięwzięto, był zakaz posiadania przy sobie noży.

Zabrałem Antinouse do Arkadii, ojczyzny jego przodków: lasy były wciąż tak samo nieprzebyte jak w czasie, w którym tam mieszkali starodawni myśliwi polujący na wilki. Niekiedy jeździec uderzeniem bata płoszył zmię; na kamienistych szczytach słońce grzało jak w lecie; chłopiec, oparłszy się plecami o skałę, drzemał z głową na piersi, z włosami muskanymi wiatrem, Endymion wśród jasnego dnia. Zająca, którego mój młody myśliwiec z wielkim trudem obłaskawił, rozszarpały psy: było to jedyne nieszczęście podczas tych dni bez cienia. Ludzie z Mantynei doszukali się związków pokrewieństwa z tą rodziną bityńskich

osadników, nie znaną do tej pory: to miasto, w którym chłopiec miał później swoje świątynie, zostało przeze mnie wzbogacone i przyozdobione. Pochodząca z niepamiętnych czasów świątynia Neptuna, już w ruinie, była tak czcigodna, że wstępu do niej zakazano wszystkim bez wyjątku: tajemnice starsze od ludzkiej rasy działały się tam wciąż za wiecznie zamkniętymi drzwiami. Zbudowałem nową świątynię, dużo większą, w której wnętrzu stary budynek spoczywa od tamtej pory jak pestka we wnętrzu owocu. W drodze, nie opodal Mantynei, kazałem odnowić grób, w którym Epaminondas, zabity w bitwie, leży przy młodym towarzyszu, co padł u jego boku: kolumna, na której wyryto wiersze, stała, żeby upamiętnić to wspomnienie czasów, w których wszystko, widziane z daleka, wydaje się szlachetne i proste: czułość, sława i śmierć. W Achai igrzyska istmijskie były obchodzone ze świątobliwością nie widzianą od pradawnych czasów; wznawiając te wielkie helleńskie święta spodziewałem się znów zrobić z Grecji żyjącą całość. Łowy wciągnęły nas w dolinę Helikonu, wyłożoną ostatnią rudością jesieni; zatrzymaliśmy się przy źródle Narcyza, obok świątyni Amora: skóra zdarta z młodego niedźwiedzia, trofeum przybite złotymi gwoździami do ściany świątyni, została ofiarowana temu bogu, ze wszystkich najroztropniejszemu.

Barka, którą mi pożyczył kupiec Erastos z Efezu na żeglowanie po Archipelagu, zawinęła do Zatoki Faleryjskiej: zamieszkałem w Atenach, jak człowiek wracający do domu. Ośmieliłem się tknąć to piękno, spróbować zrobić z tego miasta cudownego miasto doskonałe. Ateny po raz pierwszy zaludniły się, zaczęły rozrastać po długim okresie zmierzchu: podwoiłem ich obszar; zaprojektowałem, wzdłuż rzeki Ilissos, nowe Ateny, miasto Hadriana obok miasta Tezeusza. Wszystko trzeba było rozstrzygać, budować. Przed sześcioma wiekami budowę wielkiej świątyni, poświęconej Zeusowi Olimpijskiemu, przerwano tuż po rozpoczęciu. Moi robotnicy wzięli się do dzieła: w Atenach znów zawrzała radosna praca, nie znana tam od czasów Peryklesa. Dokończyłem tego, czego pewien Seleucyda daremnie usiłował dokonać: naprawiłem na miejscu grabieże naszego Sulli. Inspekcja robót wymagała codziennych wędrówek po labiryncie maszyn, kunsztownych pasowych kół, do połowy wzniesionych trzonów kolumn i białych bloków, niedbale ułożonych w stosy pod niebieskim niebem. Odnajdywałem tam coś z podniecenia okrętowych stoczni: statek spuszcany na wodę miał popłynąć w przyszłość. Wieczorami architektura ustępowała miejsca muzyce, tej budowli niewidzialnej. Uprawiałem po trosze wszystkie sztuki, ale sztuka dźwięków jest jedyną, w której ćwiczyłem się stale i w której przyznaję sobie pewną doskonałość. W Rzymie ukrywałem to zamiłowanie: mogłem dyskretnie oddawać mu się w Atenach. Muzykanci zbierali się na dziedzińcu przy rosnącym tam cyprysie, pod posągami Hermesa. Tylko sześciu albo siedmiu; kapela fletów i lir, której

towarzyszył czasami wirtuoz z cytrą. Ja najczęściej grałem na dużym poprzecznym flecie. Grywaliśmy stare melodie, niemal zapomniane, a także i melodie nowe, komponowane dla mnie. Lubilem męską surowość melodyj doryckich, ale nie była mi przykra i muzyka zmysłowa i namiętna, patetycznie i kunsztownie łamane rytmy, jakie ludzie poważni, których cnota polega na obawianiu się wszystkiego, odrzucają jako siejące zamęt w zmysłach i sercu. Widziałem profil mego młodego towarzysza, w skupieniu wykonującego swoją część w zespole, i jego palce poruszające się uważnie wzdłuż napiętych strun.

Ta piękna zima obfitowała w przyjacielskie spotkania: przebogaty Attykus, którego bank finansował moje roboty miejskie, czerpiąc z tego zresztą korzyści i dla siebie, zapraszał mnie do swoich ogrodów w Kefizji, gdzie mieszkał otoczony dworem modnych improwizatorów i pisarzy; jego syn, młody Herodes, był wciągającym i subtelnym partnerem w rozmowie; stał się nieodzownym gościem na moich ateńskich wieczerzach. Całkiem stracił tę nieśmiałość, jaka mu kazała zaniemówić w mojej obecności, kiedy to efebja ateńska przysłała mi go na granice sarmackie z powinszowaniami po objęciu władzy, ale jego potęgująca się próżność wydawała mi się co najwyżej zabawną śmiesznością. Retor Polemon, wielki człowiek Laodycei, który rywalizował z Herodesem w elokwencji, a zwłaszcza w bogactwie, zachwyił mnie swoim azjańskim stylem, zamaszystym i migotliwym jak wody Paktolu: ten zręczny układacz słów żył, jak mówił, z przepychem. Ale ze wszystkich najcenniejsze było spotkanie Arriana z Nikomedii, mego najlepszego przyjaciela. Młodszy ode mnie o jakie dwanaście lat, już rozpoczął był tę piękną karierę polityczną i wojskową, w której nadal wyróżnia się chlubnie i pożytecznie służy. Jego doświadczenie w wielkich interesach, jego znanstwo koni, psów i wszystkich ćwiczeń ciała stawiało go nieporównanie wyżej od zwykłych układaczy zdań. W młodości padł ofiarą jednej z tych dziwnych namiętności umysłu, bez których może nie ma prawdziwej mądrości ani prawdziwej wielkości: dwa lata życia spędził w Nikopolis w Epirze, w izdebce zimnej i pustej, gdzie konał Epiktet; wziął na siebie trud zebrania i spisania, słowo po słowie, ostatnich zdań starego chorego filozofa. Ten okres entuzjazmu wycisnął na nim piętno: wyniósł z niego cudowne zdyscyplinowanie moralne, rodzaj poważnej czystości. Uprawiał w sekrecie umartwienia, których się nikt nie domyślał. Ale długie terminowanie w stoickim obowiązku nie usztywniło go, nie zamieniło w fałszywego mędrca: był za inteligentny, by nie spostrzec, że cnota ma swoje krańcowości, jak ma je i miłość, że ich wartość polega właśnie na rzadkości, na znamieniu jedyne arcydzieła, pięknego wybryku. Pogodny rozum, doskonała uczciwość Ksenofonta stały się dlań odtąd wzorem. Pisał dzieje swojego kraju, Bitynii. Wziąłem tę prowincję, z dawna bardzo kiepsko administrowaną przez pro-konsulów, pod moją osobistą

jurysdykcję: doradzał mi przy planowaniu reform. Ten pilny czytelnik dialogów sokratycznych wiedział wszystko o zasobach bohaterstwa, poświęcenia, czasami i mądrości, jakimi Grecja umiała uszlachetnić namiętność do przyjaciela: traktował mego młodego ulubieńca z tkliwym szacunkiem. Dwaj Bityńczycy rozmawiali tym ślicznym dialektem jońskim, o końcówkach prawie homeryckich, którego później Arrian, za moją namową, zaczął używać w swoich dziełach.

Ateny miały w owym czasie swojego filozofa życia umiarkowanego: Demonaks wiódł w chatce wiejskiej w Kolonos żywot przykładowy i wesoły. Nie był to Sokrates, nie miał ani jego subtelności, ani porywającego zapału, ale lubiłem kpiarską dobroduszość tego człowieka. Aktor komiczny Aristomenes, który z werwą grywał w starych komediach attyckich, był innym przyjacielem o poczciwym sercu. Nazywałem go moją grecką kuropatką: krępy, tłusty, radosny jak dziecko albo jak ptak, znał się lepiej niż ktokolwiek na dawnych obrzędach, poezji i kuchennych przepisach. Długo bawił mnie i kształcił. Do Antinousa przywiązał się w tym okresie filozof Chabrias, platończyk skłaniający się ku orficyzmowi, najniewinniejszy z ludzi, który ślubował chłopcu psią wierność, przeniesioną później na mnie. Jedenaście lat dworskiego życia nie zmieniło go: jest to wciąż ten sam człowiek czysty, pobożny, niewinnie zajęty marzeniami, ślepy na intrygi i głuchy na plotki. Czasami mnie nudzi, ale rozstanę się z nim dopiero w chwili śmierci.

Moje stosunki ze stoickim filozofem Euphratesem trwały krócej. Osiadł w Atenach po świetnych sukcesach w Rzymie. Wziąłem go jako lektora, ale cierpienia, jakimi nękał Euphratesa wrzód na wątrobie, i wynikające z tego wycieńczenie kazały mu dojść do wniosku, że nie ma już w jego życiu niczego, co by warto było przeżyć. Poprosił mnie o pozwolenie opuszczenia swojej służby przez samobójstwo. Nigdy nie byłem wrogiem dobrowolnych odejść; sam o tym myślałem, jako o możliwym wybrnięciu z trudności, tuż przed śmiercią Trajana. Problem samobójstwa, który mnie później tak nękał, wtedy wydawał mi się do rozwiązania łatwy. Euphrates dostał pozwolenie, o jakie prosił; zaniósł mu je mój młody Bityńczyk; sam go z tym posłałem, może dlatego że mnie miło by było dostać tę ostatnią odpowiedź z rąk takiego gońca. Filozof przyszedł tegoż wieczoru do pałacu na pogawędkę nie różniącą się niczym od dawniejszych; nazajutrz zabił się. Niejeden raz mówiliśmy o tym zdarzeniu: chłopiec był potem przez kilka dni przygnębiony. W tym pięknym, zmysłowym stworzeniu śmierć budziła zgrozę; nie spostrzegłem, że często już o niej myślał. Ja nie bardzo mogłem zrozumieć, jak można dobrowolnie porzucić świat, który mnie wydawał się piękny, jak można nie wykorzystać aż do końca, na przekór wszystkim niedolom, ostatniej możliwości myślenia, dotykania, patrzenia. Zmieniłem się od tamtej pory.

Daty mylą się: moja pamięć układa się w jeden fresk, na którym pełno jest zdarzeń i podróży z kilku pór roku. Zbyt kownie urządzona barka kupca Erastosa z Efezu odwróciła się dziobem na wschód, potem na południe, nareszcie ku Italii, która stała się dla mnie Zachodem. Na Rodos wysiadaliśmy dwa razy; wyspę Delos, oślepiającą bielą, zwiedzaliśmy najpierw w kwietniowy ranek, później podczas pełni księżyca, w noc letniego przesilenia; zła pogoda u brzegów Epiru pozwoliła mi przedłużyć odwiedzin w Dodonie. Na Sycylii zatrzymaliśmy się na kilka dni w Syrakuzach, żeby badać tajemnice źródeł: Aretuzy, Kyane, pięknych błękitnych nimf. Wspominałem Licyniusza Surę, który niegdyś, jako mąż stanu, poświęcał swoje wszystkie wolne chwile badaniom cudów wód. Słyszałem o zadziwiającym tężowaniu światła jutrzeńki na Morzu Jońskim, oglądanym z wysokości Etny. Postanowiłem wejść na tę górę; przeszliśmy ze strefy winorośli w strefę lawy, potem śniegu. Chłopiec o tańczących nogach biegł po tych trudnych stokach; towarzyszący mi uczeni jechali na mułach. Zbudowano dla nas szałas na szczycie, żebyśmy mogli tam doczekać jutrzeńki. Wzeszła; ogromna szarfa Iris rozwinęła się od krańca po kraniec widnokrzęgu; dziwne ogniki zabłyśły na lodach szczytu; przestrzeń ziemską i morską otwarła się przed wzrokiem aż po widzialną Afrykę i odgadywaną Grecję. Ta chwila była jednym z wierzchołków mego życia. Niczego nie brakowało; ani złocistej frędzli obłoków, ani orłów, ani podczaszego nieśmiertelności.

Pory alcyońskie, solstycjum mego życia... Zgołą nie upiększając z oddalenia mego szczęścia, muszę się, odwrotnie, wysilać, żeby jego wizerunku nie przesłodzić, nie spłaszczyć; nawet jego wspomnienie jest teraz dla mnie za mocne. Szczerszy niż większość ludzi, wyznaję bez ogródek, jakie były sekretne przyczyny tego błogostanu: ten spokój, tak sprzyjający pracom i ćwiczeniom umysłu, wydaje mi się jednym z najpiękniejszych skutków miłości. I dziwię się, że te radości tak niepewne, tak rzadko doskonałe w trakcie ludzkiego życia, pod jakąkolwiek formą szukalibyśmy ich albo je otrzymali; są traktowane tak podejrzliwie przez domniemanych mędrców, że boją się przywyknienia do nich i ich nadmiaru zamiast się bać ich braku i utraty, że marnują na dręczenie własnych zmysłów czas, który by lepiej zużyli równoważąc i upiększając swoje dusze. W tej epoce wkładałem w utwierdzenie mego szczęścia, doznawanie go, a także i sądzenie tę nieustającą uwagę, z jaką zawsze śledziłem najdrobniejsze szczegóły moich postępów; czymże zresztą jest sama rozkosz, jeśli nie chwilą namiętnej, skupionej uwagi ciała? Każde szczęście jest arcydziełem: najmniejszy błąd je paczy, najmniejsze wahanie mąci, najmniejsza ociężałość szpeci, najmniejsza głupota ogłupia. Moje szczęście nie było w niczym odpowiedzialne za te moje nieostrożności, które je później złamały: dopóki postępowałem tak, jak mną kierowało ono,

byłem rozumny. I dotąd wierzę, że człowiek rozumniejszy ode mnie mógłby być szczęśliwy aż do swojej śmierci.

Nieco później, we Frygii, na krańcach, gdzie Grecja i Azja ze sobą się łączą, miałem najpełniejszy i najświadomszy obraz tego szczęścia. Obozowaliśmy w miejscu odludnym i dzikim, koło grobu Alcybiadesa, który tam umarł padając ofiarą machinacji satrapów. Kazałem ustawić na tym od wieków zaniedbanym grobie posąg z marmuru paryjskiego, wizerunek tego człowieka, jednego z tych, których Grecja najbardziej ukochała. Rozkazałem też, by odprawiano co roku pewne wspominkowe obrzędy; podczas pierwszej z tych uroczystości mieszkańcy pobliskiej wioski przyłączyli się do ludzi z mojej świty; złożono w ofierze młodego byczka; część mięsa została przeznaczona na wieczorną ucztę. Były wyścigi koni zaimprovizowane na równinie, tańce, w których Bityńczyk brał udział z zapamiętałym wdziękiem; nieco później, przy ostatnim ognisku, przechylając do tyłu piękny tors, zaśpiewał. Zwykłem kłaść się przy umarłych po to, aby przymierzyć się do nich: tamtego wieczoru porównywałem moje życie z życiem wielkiego, starzejącego się człowieka, który go używać umiał i padł, przeszyty strzałą, tu, na tym miejscu, broniony przez młodego przyjaciela i oplakiwany przez ateńską kurtyzanę. Mojej młodości było daleko do uroków młodości Alcybiadesa: w różnorodności mego życia dorównałem mu, może go i prześcignąłem. Użyłem nie mniej niż on, myślałem więcej, pracowałem o wiele więcej; jak i on, miałem niezwykle szczęście wzbudzenia miłości. Alcybiades uwiódł wszystko, nawet Historię, a jednak zostawił za sobą stos ateńskich trupów, porzucony w kamieniołomach Syrakuz, chwiejącą się ojczyznę, przydrożnych bogów głupio oszpeconych jego rękami. Rządziłem światem nieskończenie rozleglejszym niż świat, w którym żył Ateńczyk; utrzymałem w tym świecie pokój; osprzętowałem go, jak piękny statek przygotowany do podróży, która potrwa wieki; walczyłem, jak mogłem, żeby rozwijać w człowieku poczucie boskości, bez poświęcania mu wszakże tego, co ludzkie. Moje szczęście było mi zapłatą.

Był jeszcze Rzym. Ale już nie musiałem schlebiać, uspokajać, podobać się. Dzieło mego panowania narzucało się samo; bramy świątyni Janusa, otwierane w czasie wojny, były zamknięte; zamiary wydawały owoce; zamożność prowincji przyływała z powrotem do metropolii. Teraz nie odmówiłem przyjęcia tytułu Ojca Ojczyzny, który mi chciano dać, kiedy władzę objąłem.

Plotyna już nie żyła. Podczas poprzedniego pobytu w Mieście widziałem po raz ostatni tę kobietę o uśmiechu trochę zmęczonym, którą nomenklatura oficjalna nazywała moją matką, a która była czymś więcej: moją jedyną przyjaciółką. Tym razem zobaczyłem zamiast niej tylko małą urnę ustawioną pod kolumną Trajana. Asystowałem przy uroczystościach apoteozy; niezgodnie z cesarskim obyczajem przybrałem żałobę na okres dziewięciu dni. Ale śmierć niewiele zmieniła w tej zażyłości, która odbywała się bez obecności od lat; cesarzowa pozostała tym, czym zawsze była dla mnie: duchem, myślą, którą poślubiła moja myśl.

Niektóre z wielkich budowlanych robót były na ukończeniu: Koloseum odnowione, obmyte ze wspomnień po Neronie, jakie jeszcze nawiedzały to miejsce, nie było już ozdobione wizerunkiem tego cesarza, ale kolosalnym wyobrażeniem Słońca, Heliosa-Króla, co stanowiło aluzję do mego rodowego nazwiska Eliusz. Już wykańczano świątynię Wenus i Romy, też zbudowaną na miejscu skandalicznego Złotego Domu, gdzie Neron popisywał się bez smaku swoim bezprawnie zdobytym przepychem. R o m a, Amor: boskość Wiecznego Miasta utożsamiała się po raz pierwszy z Matką Miłości, rozdawczynią wszystkiego co radosne. Była to jedna z idei mego życia. Rzymska potęga zyskiwała w ten sposób charakter kosmiczny i święty, kształt opiekuńczy i pokojowy, którego nadanie jej było moją ambicją. Zdarzało mi się czasem utożsamiać umarłą cesarzową z tą rozumną Wenus, doradczynią boską.

Coraz bardziej wszystkie istoty boskie wydawały mi się zespolone w jakąś Jedność, były niby nieskończenie rozmaite emanacje, równe sobie objawienia tej samej siły: ich sprzeczności były tylko formą ich zgodności. Budowa świątyni dla wszystkich bogów. Panteonu, stała się dla mnie czymś koniecznym. Wybrałem miejsce na szczątkach dawnych publicznych łaźni, podarowanych rzymskiemu ludowi przez Agryppę, zięcia Augusta. Ze starego budynku został tylko portyk i marmurowa tablica z dedykacją dla ludu Rzymu: została troskliwie wmurowana we fronton nowej świątyni. Nie zależało mi na tym, by moje imię widniało na gmachu, który był moim pomysłem. Przeciwnie, podobało mi się, że inskrypcja mająca więcej niż sto lat skojarzy go z początkami cesarstwa, ze spokojnym panowaniem Augusta. Nawet tam, gdzie zaczynałem od nowa, miło mi było czuć się przede

wszystkim kontynuatorem. Poprzez Trajana i Nerwę, którzy stali się dla mnie urzędowo ojcem i dziadkiem, spokrewniałem się z tymi dwunastoma cezarami, tak źle potraktowanymi przez Swetoniusza: trzeźwość Tyberiusza bez jego okrucieństwa, erudycja Klaudiusza bez jego słabości, artystyczne zamięłowania Nerona, ale wolne od wszelkiej głupiej próżności, dobroć Tytusa, ale nie ckliwa, oszczędność Wespazjana, ale bez jego śmiesznego skąpstwa, stanowiły przykłady, jakie sam sobie stawiałem za wzory. Ci władcy odegrali swoją rolę w sprawach ludzkich; moją rzeczą było wybrać spośród ich postępków te, które należało kontynuować, utwierdzać najlepsze, poprawiać najgorsze, aż po dzień, w którym inni ludzie, bardziej albo mniej uzdolnieni, ale tak samo odpowiedzialni, podejmą się to samo uczynić z moimi postępkami.

Poświęcenie świątyni Wenus i Romy stało się czymś na kształt triumfu, z nieodzownymi wyścigami kwadryg, publicznymi widowiskami, rozdawnictwem przypraw korzennych i pachnidła. Dwadzieścia cztery słonie, które przydźwigały na miejsce budowy te olbrzymie głazy, tak bardzo zmniejszając przymusową pracę niewolników, zajęły miejsce w orszaku, niby żywe monolity. Data wybrana na tę uroczystość była rocznicą narodzin Rzymu, ósmym dniem po kwietniowych idach roku osiemset osiemdziesiątego drugiego od założenia Miasta. Rzymska wiosna nigdy nie była cieplejsza, bujniejsza, błękitniejsza. Tegoż dnia, z powagą surową i jakby stłumioną, odbyła się we wnętrzu Panteonu uroczystość ofiarna. Sam poprawiałem zbyt nieśmiałe plany architekta Apollodora. Traktując sztuki greckie jako zwykły ornament, dodaną zbytkowną dekorację, cofnąłem się, jeśli idzie o samą strukturę gmachu, do pradawnych i bajecznych dziejów Rzymu, do okrągłych świątyni prastarej Etrurii. Chciałem, żeby to sanktuarium Wszystkich Bogów odtwarzało kształt ziemskiego globu i gwiazdnego sklepienia, globu, w którym jest zamknięte nasienie wiecznego ognia, pustego sklepienia, które obejmuje wszystko. Był to zarazem kształt chat naszych przodków, gdzie dym z najdawniejszych ludzkich ognisk uchodził przez otwór umieszczony w szczycie. Kopała, zbudowana z lawy twardej i lekkiej, która jakby jeszcze brała udział we wstępującym ruchu płomieni, łączyła się z niebem przez wielki otwór, na przemian czarny i niebieski. Ta świątynia, otwarta i tajna, była pomyślana na podobieństwo słonecznego zegara. Godziny będą obracać się po kasetonach starannie wypolerowanych przez greckich rzemieślników; dysk godzin dnia zawisnie jak złota tarcza; modlitwa będzie się wznosiła jak dym ku tej pustce, w której umieszczamy bogów. To święto było dla mnie jedną z tych godzin, w których wszystko ze sobą współgra. Stojąc na dnie tej studni światła miałem przy sobie personel mojego panowania, budulec, z którego powstawało moje więcej już niż do połowy wzniesione przeznaczenie dojrzałego człowieka. Poznawałem surową energię wiernego sługi,

Marcjusza Turbona; burkliwą godność Serwanusa, którego krytyki, szeptane głosem coraz cichszym, już nie docierały do mnie; królewską elegancję Lucjusza Cejoniusza i, nieco na uboczu, w jasnym półmroku, jaki przystoi zjawiskom boskim, marzącą twarz młodego 'Greka, w którego wcieliłem moją Fortunę. Moja żona, też obecna, otrzymała w tym dniu tytuł cesarzowej.

Już od dawna bardziej trafiały mi do przekonania baśnie o miłościach i waśniach bogów niż niezdarne komentarze filozofów dotyczące boskiej natury; zgadzałem się zostać ziemskim •obrazem tego Jowisza, tym bardziej boga, im bardziej człowieka, podpory świata, wcielenia sprawiedliwości, porządku rzeczy, kochanka Ganimesesa i Europy, złego męża gorzkiej Junony. Mój umysł, skłonny tego dnia do wyciągania wszystkiego na jasne, bezcieniste światło, przyrównywał cesarzową do tej bogini, której podczas moich niedawnych odwiedzin w Argos ofiarowałem złotego pawia ozdobionego drogimi kamieniami. Mógłbym się uwolnić przez rozwód od tej niekochanej żony; będąc człowiekiem prywatnym, nie wahałbym się tego zrobić. Ale krępowała mnie bardzo mało i nic w jej postępowaniu nie usprawiedliwiała zniewagi tak publicznej. Jako młoda żona oburzała się na moje wybryki, ale mniej więcej tak, jak jej wuj złościł się z powodu moich długów. Dziś asystowała, nie dając poznać po sobie, czy to widzi, przy objawach namiętności zapowiadającej się na długotrwałą. Jak wiele kobiet niewrażliwych na miłość, nie bardzo rozumiała jej potęgę; ta niewiedza wykluczała zarazem i pobłażliwość, i zazdrość. Troszczyła się tylko o swoje tytuły i swój spokój, a nie groziło im nic w tym wypadku. Nie pozostał w niej nawet ślad tego dziewczęcego uroku, jaki mnie niegdyś, na krótko, pociągnął: ta przedwcześnie postarzała Hiszpanka była poważna i twarda. Byłem jej wdzięczny za oziębłość, przez którą nie wzięła sobie kochanka; byłem zadowolony, że potrafi z godnością nosić welon matrony, który był nieomalże welonem wdowim. Uważałem, że dobrze jest, by profil cesarzowej widniał na monetach rzymskich z napisem na odwrotnej stronie, mówiącym albo o Cnocie, albo o Spokoju. Czasem wspominałem te fikcyjne zaślubiny, jakie podczas misterii eleuzyńskich zawierają ze sobą wielka kapłanka i hierofanta, zaślubiny, które nie są związkiem, nie są nawet obcowaniem, ale obrzędem, i przez to są święte.

W nocy po tych uroczystościach, z wyżyn tarasu, patrzyłem, jak płonie Rzym. Te ognie zabawy były nie bledsze od pożarów wznieconych przez Nerona: były też niemal tak samo straszne. Rzym: tygiel, ale także i żar piekielny, i gotujący się metal, młot, ale także i kowadło, widomy dowód zmian i nawrotów historii, jedno z tych miejsc na ziemi, gdzie człowiek musi żyć w sposób najburzliwszy. Pożar Troi, z którego wymknął się zbieg zabierając starego ojca, małego synka i swoje lary, doprowadził do tego wieczoru, do tych

wielkich świątecznych ogni. Myślałem też, czując coś na kształt świętej zgrozy, o pożogach przyszłości. Wydawało mi się, jakoby te miliony istnień minionych, teraźniejszych i przyszłych, te budowle świeżo zrodzone ze starych budowli, z których z kolei inne się budowle narodzą, następowały po sobie w czasie, jak fale; przez przypadek tej nocy właśnie u moich stóp rozbijały się te wielkie bałwany. Pomijam chwile szału, kiedy cesarska purpura, święta materia, którą tak rzadko zgadzałem się nosić, została rzucona na ramiona stworzenia stojącego się dla mnie moim Geniuszem: podobało mi się, na pewno, przeciwstawienie tej głębokiej czerwieni i bladej złocistości karku, ale przede wszystkim chciałem zmusić moje Szczęście, moją Fortunę, istoty niepewne i nieuchwytnie, do wcielenia się w ten kształt tak ziemski, do zyskania krzepiącego ciepła i ciężaru ciała. Solidne mury tego Palatynu, w którym mieszkałem tak rzadko, ale który odbudowałem, chwiały się jak burty łodzi; zasłony, rozsunięte, żeby wpuścić rzymską noc, były namiotem na rufie okrętu; krzyki cizby były szumem wiatru w linach. Ogromna skała podwodna widzialna daleko w ciemności, gigantyczne zręby mojego grobowca, który właśnie zaczynano budować na brzegu Tybru, nie budziły we mnie ani zgrozy, ani żalu. ani nic nie dającej medytacji nad krótkością żywota.

Powoli światło się zmieniło. Od lat dwóch już przeszło pochod czasu znaczył się postęпами młodości, która się kształtuje, wyłaca, wchodzi w swój zenit: poważny głos przywykający do rzucania rozkazów sternikom i łowczym; wydłużony krok biegacza; nogi jeźdźca umiejętniej ściskające wierzchowca; uczeń, który wkuwał na pamięć w Klaudiopolis długie fragmenty Homera, pasjonował się poezją zmysłową i kunsztowną, zachwycał niektórymi ustępami z Platona. Mój młody pasterz stawał się młodym księciem. Nie było to już pacholę w zapale zeskakujące z konia na postojach, by mi podać w dłoniach wodę zaczerpniętą ze źródła: dający znał teraz ogromną wartość swoich darów. Podczas łowów urządzonych w majątności Lucjusza w Toskanii miło mi było oglądać tę doskonałą twarz między ciężkimi i zatroskanymi obliczami wielkich dygnitarzy, ostrymi profilami przybyszów ze Wschodu, szerokimi pyskami barbarzyńskich naganiaczy, zmuszać ukochanego do trudnej roli ulubieńca. W Rzymie zawiązywały się wokół tej młodej głowy intrygi, uciekano się do niskich wysiłków, żeby skaptować ten wpływ albo zamienić na inny. Opętanie jedyną myślą obdarzyło tego osiemnastoletniego chłopca siłą obojętności, jakiej najmędrszym niedostaje: potrafił tym wszystkim wzgardzić, nie zauważyć tego. Ale przy pięknych ustach pojawiła się rysa gorczy, którą spostrzegli rzeźbiarze.

Moralistom daję tu łatwą okazję do triumfu nade mną. Moi cenzorzy szykują się do wykrycia w moim nieszczęściu skutków zboczenia, wyników perwersji: tym trudniej jest mi im oponować, że nie bardzo wiem, na czym polega zboczenie albo gdzie się zaczyna perwersja. Staram się sprowadzić moją zbrodnię, jeśli to jest zbrodnia, do właściwych proporcji: mówię sobie, że samobójstwo nie jest rzadkością i że niejeden umarł mając dwadzieścia lat. Śmierć Antinusa jest problemem i katastrofą tylko dla mnie. Możliwe, że ta klęska była nieodłączna od nadmiaru szczęścia, nadmiaru doświadczenia, jakich nie zgodziłbym się pozbawić ani siebie, ani mego towarzysza w niebezpieczeństwie. Nawet moje wyrzuty sumienia stały się powoli gorzką formą posiadania, sposobem dowiedzenia sobie, że byłem aż do końca smutnym panem jego losu. Ale wiem także, że trzeba brać w rachubę i postanowienia tej pięknej istoty obcej, jaką pozostaje mimo wszystko każdy, kogo kochamy. Biorąc na siebie całą winę, umniejszam tę młodzieńczą postać do proporcji woskowej figurki, którą bym ulepił, a potem zgniótł własnymi rękami. Nie mam prawa odbierać ceny dziwnemu arcydziełu, jakim było jego odejście; muszę zostawić temu chłopcu zasługę jego własnej śmierci.

To oczywiste, że nie potępiam pociągu zmysłowego, tak pospolitego, który decydował o moim wyborze w miłości. Podobne pasje często się zdarzały w moim życiu; za te liczne miłości płaciłem do tej pory minimalną kwotą przysięg, kłamstw i zła. Moja krótka

zaslepiąca miłość do Lucjusza pociągnęła za sobą szaleństwa dające się naprawić. Nic nie stało na przeszkodzie, by tak samo się stało i z tym największym uczuciem, nic, oprócz właśnie tej wyjątkowej jakości, którą się różniło od wszystkich innych. Przyzwyczajenie doprowadziłoby nas do tego końca niesławnego, ale też i nie będącego klęską, jaki życie szykuje tym wszystkim, którzy się nie buntują przeciwko jego łagodnie stępującemu i zużywającemu działaniu. Oglądałbym, jak miłość przekształca się w przyjaźń, jak chcą moralisci, albo w obojętność, co jest częstsze. Chłopiec odzwyczaiłby się ode mnie, kiedy nasze związki zaczęłyby mu ciążyć; inne zmysłowe nawyki albo takie same w innym kształcie zjawiałyby się w jego życiu; przyszłość - byłoby to małżeństwo, nie gorsze i nie lepsze niż tyle innych, stanowisko w prowincjonalnej administracji, zarządzanie ziemskim majątkiem w Bitynii; albo też bezwład, dalsze życie na dworze na jakimś podrzędnym miejscu; w najgorszym wypadku jedna z tych karier byłych ulubieńców, którzy się zamieniają w szpiegów albo stręczycieli. Rozsądek, jeśli się cokolwiek na tym znam, polega na zdawaniu sobie sprawy z tych wszystkich możliwości, które są właśnie życiem, po to, żeby się starać najgorszych unikać. Ale ani ten chłopiec, ani ja nie byliśmy rozsądni.

Nie czekałem na przyjście Antinousa, żeby się poczuć bogiem. Ale powodzenie mnożyło wokół mnie szansę obłędu; pory roku jakby się zabrały do współpracy z poetami i muzykami z mojej świty, by zamienić nasze życie w olimpijskie święto. W dzień mego przybycia do Kartaginy skończyła się susza trwająca pięć lat; tłum odchodzący od zmysłów pod ulewą mnie obwołał szafarzem niebieskich dobrodziejstw; wielkie roboty w Afryce były później już tylko formą kanalizowania tej niebieskiej szczodroblewości. Nieco wcześniej, podczas pobytu na Sardynii, burza kazała nam poszukać schronienia w chłopskiej chacie; Antinous pomagał naszemu gospodarzowi przewracać na żarzących się węglach płyty tuńczyka; wydało mi się, jakbym był Zeusem odwiedzającym Filemona w towarzystwie Hermesa. Młodzieniec, z podkurczonymi na łóżku nogami, był tym samym Hermesem rozwiązującym sandały. Bachus zrywał to winogrono, upijał dla mnie z tego kielicha różowego wina; te palce stwardniałe od cięciwy łuku były palcami Erosa. Pośród tylu przeobrażeń, tylu omamień, zdarzało mi się zapominać o ludzkiej osobie chłopca, który daremnie usiłował nauczyć się po łacinie, prosił inżyniera Decrianusa, żeby mu dawał lekcje matematyki, potem z nich rezygnował i, po najdrobniejszej wymówce, szedł się dąsać na dziób okrętu patrząc w morze.

Podróż po Afryce skończyła się w pełnym słońcu lipca w całkiem nowych dzielnicach Lambaesis; mój towarzysz z chłopięcą radością przywdział pancierz i wojskową tunikę; byłem przez kilka dni Marsem, nagim i w kasku, biorącym udział w obozowych ćwiczeniach,

atletycznym Herkulesem, pijanym poczuciem swojej siły, jeszcze młodej. Pomimo upałów i długotrwałych robót ziemnych, wykonanych przed moim przybyciem, armia funkcjonowała, jak i wszystko, z boską łatwością; nie sposób byłoby zmusić tego biegacza do jeszcze jednego skoku przez przeszkodę, wymóc na tym jeźdźcu jeszcze jeden jeździecki popis, nie szkodząc skuteczności tych manewrów, nie łamiąc gdzieś tej wyważonej równowagi sił, jaka stanowi ich piękno. Mogłem wytknąć oficerom tylko jeden nieznaczący błąd, stadko koni zostawione w odkrytym miejscu podczas pozornego natarcia w szczerym polu; mój prefekt Cornelianus zadowolił mnie całkowicie. Inteligentny rozkaz kierował tymi masami ludzi, pociągowych zwierząt, barbarzyńskich kobiet mających przy sobie zdrowe dzieci, które cisnęły się do progu pretorium, by całować moje ręce. To posłuszeństwo nie było służalcze; dzika zaciekłość służyła podtrzymaniu mego programu bezpieczeństwa; nic nie kosztowało za drogo; nic nie zostało zaniedbane. Postanowiłem namówić Arriana na napisanie traktatu o taktyce, precyzyjnej jak świetnie zbudowane ciało.

W Atenach poświęcenie Olimpijonu stało się w trzy miesiące później powodem do uroczystości przypominających rzymskie, ale co w Rzymie odbyło się na ziemi - tam działo się w niebie. W jasne jesienne popołudnie stanąłem pod portykiem, pomyślanym na nadludzką miarę Zeusa; ta marmurowa świątynia, wzniesiona na miejscu, z którego Deukalion widział opadanie wód potopu, jakby nabrała jego ciężaru, jakby płynęła jak wielka biała chmura; moje rytualne szaty zestroiły się barwami z wieczorem nad bliskim Hymetem. Mowę inauguracyjną poleciłem wygłosić Polemonowi. To tu Grecja przyznała mi te nazwania boskie, w których widziałem równocześnie i źródło uroku, i naj-sekretniejszy cel prac mojego życia: Euergetes, Olimpijski, Epiphanes, Pan Wszystkiego. I najpiękniejszy, na który zasłużyć najtrudniej: Joński, Filhelleński. Było coś z aktora w Polemonie, ale gra fizjonomii wielkiego komedianta może czasem wyrazić wzruszenie, w którym uczestniczy cały tłum, całe stulecie. Wzniósł wzrok, skupił się przed rozpoczęciem mowy, jakby zbierał w siebie wszystkie moce zawarte w tej chwili czasu. Współpracowałem z wiekami, z samym życiem greckim; władza, jaką sprawowałem, była nie tyle władzą, ile tajemniczą potęgą, wyższą niż człowiek, ale działającą skutecznie tylko za pośrednictwem ludzkiej osoby; zaślubiny Rzymu i Aten dokonały się; przeszłość odzyskała twarz przyszłości; Grecja popłynęła, jak unieruchomiony na długo przez ciszę morską okręt, który znów poczuł wiatr w żaglach; wtedy właśnie na chwilę ścisnął mi serce smutek: pomyślałem, że słowa: "dokonanie", "doskonałość", mieszczą w sobie słowo: "koniec"; i być może złożyłem tylko jeszcze jedną ofiarę żarłocznemu Czasowi.

Weszliśmy następnie do wnętrza świątyni, gdzie się jeszcze krzątali rzeźbiarze:

ogromny zarys Zeusa ze złota i słoniowej kości niewyraźnie rozjaśniał półmrok; u stóp rusztowania wielki pyton, po którego posyłałem do Indii, żeby go złożyć w ofierze w tej greckiej świątyni, już leżał w swoim koszu z filigranu, stwór boski, pełzający emblemat ducha Ziemi, od wieków przydany za towarzysza nagiemu młodzieńcowi, symbolizującemu Geniusza cesarza. Antinous, coraz bardziej wchodząc w tę rolę, sam podał potworowi jego rację: sikorki o ogryzionych skrzydłach. Po czym, wzniosłszy ręce, zaczął się modlić. Wiedziałem, że ta modlitwa za mnie zwraca się tylko do mnie, ale nie byłem dosyć bogiem, by odgadnąć jej sens i wiedzieć, czy zostanie kiedyś spełniona. Ulgą było wyjście z tej ciszy, z tych błękitnawych mroków, odnalezienie ateńskich ulic, gdzie się zapalały latarnie, ludowej beztroski i zgiełku w pełnym kurzu powietrzu wieczoru. Młoda postać, która wkrótce miała zdobić tyle monet świata, stała się dla ciżby przyjaznym zjawiskiem, znakiem.

Nie kochałem mniej; kochałem więcej. Ale ciężar miłości, jak ciężar ramienia czule obejmującego pierś, stawał się powoli coraz cięższy. Znowu się pojawili figuranci: pamiętam nieczułego i inteligentnego młodzieńca, który mi towarzyszył podczas pobytu w Milecie; potem odprawiłem go. Pamiętam wieczory w Sardres, gdzie poeta Straton prowadził nas od zamtuza do zamtuza. w otoczeniu podejrzanych kompanów. Ów Straton, który od mojego dworu wolał wesołą swobodę azjatyckich tawern, był przemiłym kpiarzem, starającym się dowieść marności wszystkiego, co nie jest rozkoszą, być może, aby usprawiedliwić siebie, bo sam wszystko poświęcił rozkoszom żywota. Pamiętam noc w Smyrnie, gdzie zmusiłem ukochanego do zniesienia obecności kurtyzany. Chłopiec miał surowe poglądy na miłość, bo wierzył w jej wyłączność; jego wstręt doszedł aż do mdłości. Potem przyzwyczał się. Te daremne wysiłki dadzą się po części wytłumaczyć pociągiem do rozpusty; była w nich i nadzieja na stworzenie nowej zażyłości, w której towarzysz uciech nie przestałby być ukochanym i przyjacielem; była i chęć uświadomienia chłopca, udostępnienia jego młodości takich samych doświadczeń, jakie znała moja; i, być może, nie całkiem świadomy zamiar spychania go powoli do rzędu pospolitych rozkoszy, które do niczego nie zobowiązują.

Dręcząca, przykra była odczuwana przeze mnie potrzeba dokuczania tej nieufnej czułości, która zaczynała memu życiu ciążyć. Podczas podróży po Troadzie oglądaliśmy dolinę Skamandra pod zielonym niebem katastrofy: przybyłem, by naocznie stwierdzić zniszczenia powodzi, która zmieniła w wysepki starożytne kopce i grobowce. Znalazłem kilka wolnych chwil, żeby skupić się na grobie Hektora; Antinous poszedł marzyć na grobie Patroklosa. Nie potrafiłem domyślić się w towarzyszącym mi młodym koźlątku naśladowcy i współzawodnika Achillesowego towarzysza: wykpiłem tę zapamiętałą wierność, jaka zwłaszcza w książkach kwitnie; dotknięty do żywego chłopiec oblał się krwawym

rumieńcem. Szczerłość coraz bardziej stawała się jedyną cnotą, jakiej pilnie przestrzegałem: zauważyłem, że atmosfera heroizmu, jaką Grecja otoczyła przywiązanie dojrzałego mężczyzny do młodego towarzysza, dla nas jest często tylko obłudnym krygowaniem się. Byłem bardziej, niż sądziłem, wrażliwy na przesady rzymskie i pamiętałem, że uznają one rozkosz, ale miłość uważają za wstydlivy obłęd; znów mnie ogarnęła wściekła chęć, by nie zależeć całkowicie od żadnej istoty. Drażniły mnie wady będące wadami młodości i, jako takie, nieodłączne od mego wyboru; odnalazłem w końcu w tej namiętności odmiennej wszystko, co mnie irytowało u rzymskich kochanek: pachnidła, przygotowania, chłodny przepych ozdób znów się pojawiły w moim życiu. Prawie że nie uzasadnione lęki załęgły się w tym chmurnym sercu; niepokoił się tym, że wkrótce miał skończyć dziewiętnaście lat. Niebezpieczne kaprysy, nagłe gniewy potrząsające pierścieniami Meduzy nad tym upartym czołem przeplatały się z melancholią podobną do ośpienia, L coraz bardziej zrezygnowaną uległością. Raz uderzyłem go: będę zawsze pamiętał te przestraszone oczy. Ale spoliczkowany bóg dalej był bogiem, i zaczęły się ekspiacyjne ofiary.

Wszystkie misteria Azji sprzęgły się, by spotęgować to rozpasanie zmysłów swoją przeraźliwą muzyką. Czas Eleuzis przeminął. Do tego momentu życia, kiedy taniec stawał się szalem, kiedy śpiew kończył się krzykiem, pasowały wtajemniczenia w kiilty tajne i niesamowite, praktyki bardziej tolerowane niż dozwolone, na które nieufnie spoglądał tkwiący we mnie prawodawca. Na wyspie Samotrace zostałem wtajemniczony w misteria Kabirów, pradawne i sprośne, święte jak ciało i krew; opite mlekiem węże z jaskini Trofoniosa ocierały się o kostki moich nóg; trackim świętom Orfeusza towarzyszyły dzikie obrzędy braterstwa. Mąż stanu, który pod najsurowszymi karami zakazał wszystkich form okaleczenia, zgodził się asystować przy orgiach Bogini Syryjskiej: widziałem straszliwe wirowanie okrwawionych tancerzy; zafascynowany jak kozłę obecnością gada, mój młody towarzysz wpatrywał się z przerażeniem w tych ludzi, którzy postanowili wymaganiom wieku i płci dać odpowiedź tak ostateczną jak sama śmierć, a może okrutniejszą. Ale szczyt zgrozy został osiągnięty podczas pobytu w Palmirze, gdzie arabski kupiec, Meles Agryppa, gościł nas przez trzy tygodnie wśród świetnego i barbarzyńskiego przepychu. Pewnego dnia, po winie, ów Meles, wielki dygnitarz kultu mitraicznego, który niezbyt poważnie traktował swoje kapłańskie obowiązki, zaproponował Antinousowi wzięcie udziału w taurobolium. Chłopiec wiedział, że niegdyś poddałem się takiemu obrządkowi; przystał z zapalem. Nie uznałem, by należało się sprzeciwić tej zachciance, której spełnienie wymagało tylko niewielkiej ilości oczyszczeń i umartwień. Sam zgodziłem się zostać poręczycielem, razem "z Markiem Ulpiusem Castorasem, moim sekretarzem arabskim. Zeszliśmy o umówionej porze

do świętego lochu; Bityńczyk położył się, by otrzymać krwawy chrzest. Lecz kiedy zobaczyłem, jak wstaje z dołu to ciało całe w strugach czerwieni, kiedy zobaczyłem te włosy zlepione tłustym błotem, tę twarz opryskaną plamami, których zmyć nie wolno, które muszą zniknąć same, ścisnął mnie za gardło wstręt i obrzydzenie dla tych kultów podejrzanych i nieczystych. W kilka dni później zakazałem wojskom obozującym w Emesie wstępu do czarnego Mitraeum.

Miewałem znaki wróżebne: jak Marek Antoniusz przed swoją ostatnią bitwą, słyszałem, jak się oddala w nocy kapela zluzowanych bogów opiekuńczych, którzy odchodzą... Słyszałem ją, nie zwracając na to uwagi. W moim poczuciu bezpieczeństwa byłem niby jeździec, którego talizman ma chronić przed upadkiem z konia. W Samosacie odbył się pod moim przewodnictwem kongres królików Wschodu; podczas polowania w górach, Abgar, król Osroene, sam nauczył mnie sztuki sokolniczej; nagonka wyreżyserowana jak sceny w teatrze napędziła w purpurowe sieci całe stada antylop. Antinous napinał wszystkie mięśnie, żeby utrzymać na smyczy przyczepionej do ciężkich złotych obroży wrywającą się parę panter. Pod pokrywką tych wszystkich świetności pozawierano układy; targi niezmiennie kończyły się z korzyścią dla mnie; wciąż byłem graczem, który za każdym rzutem wygrywa. Zima minęła w tym pałacu w Antiochii, gdzie niegdyś pytałem czarowników o przyszłość. Ale teraz przyszłość nie mogła mi już nic przynieść, nic przynajmniej, co by mogło uchodzić za podarek. Moje winobranie było już skończone; moszcz życia napełnił kadz. Przestałem, to prawda, porządkować mój własny los, ale dawniejsze, starannie wypracowane rygory wydawały mi się teraz tylko pierwszym okresem terminowania w powołaniu człowieka; były niby łańcuchy, które tancerz wkłada specjalnie po to, by - uwolniony od nich mógł wykonać ruch tym swobodniejszy. W pewnych względach przestrzegałem surowości obyczajów: nadal nie pozwalałem, by podawano wino przed drugą zmianą nocnej straży: pamiętałem, na tych samych stołach z polerowanego drewna, widok drżących rąk Trajana. Ale są inne upojenia. Żaden cień nie padał na moje dnie, ani śmierci, ani kieski, ani tego subtelniejszego popłochu, w jaki człowiek wpędza sam siebie, ani starości, która przecież miała przyjść. A jednak śpieszyłem się, jakby każda z tych godzin była zarazem najpiękniejsza i ostatnia.

Podczas częstych pobytów w Azji Mniejszej zetknąłem się z małą grupą mędrców poważnie zajmujących się magią. Każde stulecie ma swoje ciągoty: najlepsze umysły naszego, znużone filozofią, która coraz bardziej przemieniała się w szkolne deklamacje, czują potrzebę zapuszczania się w to zakazane człowiekowi pogranicze. W Tyrze Filon z Byblos wtajemniczał mnie w niektóre sekrety starej magii fenickiej; pojechał ze mną do Antiochii.

Numenius interpretował tu mity platońskie o naturze duszy w sposób nieśmiały, który jednak daleko zaprowadziłby umysł odważniejszy od jego umysłu. Jego uczniowie wywoływali demony: była to zabawa jak wiele innych. Niesamowite postacie, zrobione z samego szpiku moich rojeń sennych, ukazały mi się w dymie z polan styraksu, zachwiały się, rozplynęły, zostawiając po sobie tylko wrażenie podobieństwa do znanej i żywej twarzy. Wszystko to było może tylko zwykłą kuglarską sztuczką: w takim razie kuglarz znał swój fach. Znów się zabrałem do studiowania anatomii, czym już w młodości parałem się trochę, ale teraz nie po to, by roztropnie poznawać strukturę ciała. Teraz ciekawiły mnie rejony pośrednie, gdzie dusza i ciało łączą się, gdzie sen odpowiada rzeczywistości, a niekiedy ją uprzedza, gdzie życie i śmierć zamieniają swoje atrybuty i maski. Mój lekarz, Hermogenes, niechętnie patrzył na te doświadczenia; mimo to poznał mnie z kilkoma swymi kolegami po fachu, którzy nad tymi danymi pracowali. Próbowałem razem z nimi ustalać miejsce, w którym się znajduje dusza, znaleźć więzi łączące ją z ciałem i zmierzyć czas, jakiego potrzebuje, by się od ciała odłączyć. Poświęciliśmy dla tych celów kilka zwierząt. Chirurg Satyros zabierał mnie do swojej kliniki, gdzie asystowałem przy agoniach. Głośno marzyliśmy: czy dusza jest tylko ostatecznym wynikiem ciała, wątłym przejawem trudów i rozkoszy istnienia? Czy też, przeciwnie, jest starsza od ciała ukształtowanego na jej obraz i podobieństwo, które jej jako tako służy chwilowo za narzędzie? Czy można ją znów przywołać do cielesnego wnętrza, przywrócić między nimi ten ścisły związek, to spalanie się, które nazywamy życiem? Jeśli dusze posiadają własną odrębność, czy mogą się zamieniać, przechodzić z istoty w istotę, jak cząstka owocu, łyk wina, który dwoje kochanków oddaje sobie w pocałunku? Każdy mędrzec dwadzieścia razy na rok zmienia swoje zdanie w tych sprawach; sceptycyzm walczył we mnie z pragnieniem poznania i entuzjazm z ironią. Ale przekonałem się, że nasza inteligencja pozwala przenikać w nas tylko skąpym pozostałościom faktów: ciekawił mnie coraz bardziej ciemny świat uczucia, czarna noc, w której błyskają i wirują oślepiające słońca. W tym samym czasie Flegon, który kolekcjonował opowieści o duchach, opowiedział nam pewnego wieczoru historię o Narzeczonej z Koryntu, za której prawdziwość ręczył. Ta opowieść o miłości, która sprowadza duszę na ziemię i zwraca jej na pewien czas ciało, wzruszyła każdego z nas, ale niejednakowo głęboko. Niektórzy spróbowali analogicznego doświadczenia: Satyros starał się wywołać swego mistrza Aspazjosa, co zawarł był z nim jeden z tych paktów nigdy nie dotrzymany, w myśl których umierający obiecują przekazać żywym wieści zza grobu. Antinous złożył mi taką samą obietnicę, którą potraktowałem lekko, nie mając żadnego powodu przypuścić, że mnie ten chłopiec nie przeżyje. Filon próbował przywołać swoją zmarłą żonę. Pozwoliłem, by wymieniono imiona

mego ojca i mojej matki, ale jakaś wstydlivość nie pozwoliła mi wezwać Plotyny. Nie udało się żadne z tych usiłowań. Ale dziwne drzwi uchyliły się.

Niedługo przed wyjazdem z Antiochii złożyłem, jak niegdyś, ofiarę na szczycie góry Cassius. Wchodziliśmy nocą: jak na Etnę, zabrałem ze sobą tylko niewielu przyjaciół, mających dobre nogi. Moim celem było nie tylko dopełnienie pojednawczego obrzędu w tej świątyni bardziej niż inne świętej: chciałem znów zobaczyć stamtąd wschód słońca, codzienny cud, jakiego nigdy nie oglądałem bez tajemnego krzyku radości. Na wyżynie wierzchołka słońce zapala blask w miedzianych ornamentach świątyni, oświetlone twarze uśmiechają się w pełnej jasności, kiedy równiny Azji i morze jeszcze są pogrążone w cieniu; przez kilka chwil modlący się na szczycie człowiek jedyny korzysta z dobrodziejstw poranka. Wszystko przygotowano do ofiary; najpierw jechaliśmy pod górę konno, potem wchodziliśmy pieszo, po niebezpiecznych ścieżkach obrośniętych jałowcem i lentyszkami, które się poznaje nawet po ciemku, po zapachu. Powietrze było ciężkie, wiosna bywa tu upalna jak gdzie indziej lato. Po raz pierwszy podczas podchodzenia pod górę zabrakło mi tchu: musiałem oprzeć się na chwilę na ramieniu mego ulubionego. Burza, przewidziana już wcześniej-przez Hermogenesa, który znał się na meteorologii, wybuchła, kiedy byliśmy o sto kroków od szczytu. Kapłani wyszli przy świetle błyskawic, żeby nas powitać; garstka do kości przemokniętych ludzi zbiła się dookoła ołtarza przygotowanego do ofiary. Miała zostać dokonana, kiedy piorun, rozrywając się nad nami, zabił jednym uderzeniem i ofiarującego kapłana, i ofiarę. Gdy pierwsza chwila przerażenia minęła, Hermogenes pochylił się z ciekawością lekarza nad zabitymi piorunem; Chabrias i arcykapłan wydali okrzyk podziwu: człowiek i koźle, zabici na ofiarę tym boskim mieczem, złączyli się z wiecznością mego Geniusza: te podstawione życia przedłużały moje życie. Antinous, uchwyciwszy się mego ramienia, zadrżał, nie ze strachu, jak wówczas pomyślałem, ale pod obuchem nagłej myśli, którą zrozumiałem później. Ten chłopiec lękający się upadku, czyli postarzenia się, musiał już dawno przyobiecać sobie, że umrze przy pierwszej oznace swojego schyłku, a nawet i wcześniej. Dziś zaczynam wierzyć, że to postanowienie, które tyłu z nas zrobiło sobie nie dotrzymując go potem, w nim zapadło już dawno, w Nikopolis, w epoce spotkania nad źródłem. Tym się tłumaczy jego gnuśność, zapalczywość w rozkoszy, smutek, całkowita obojętność na wszelką przyszłość. Ale to odejście nie powinno być wyglądać na bunt, nie powinno być mieć nic wspólnego ze skargą. Błyskawica na górze Cassius pokazała mi drogę: śmierć mogła stać się ostatnią formą przysługi, ostatnim darem i jedynym, jaki pozostałby. Jasność jutrzeńki była błada w porównaniu z uśmiechem, jaki wzeszedł na tej zmienionej twarzy. W kilka dni później znów zobaczyłem ten uśmiech, ale bardziej ukryty,

przesłonięty wieloznacznością: podczas wieczery Polemon, który się lubował w chiromancji, chciał obejrzeć dłoń młodzieńca, tę dłoń, na której mnie samego przerażał zadziwiający splot linii. Chłopiec cofnął dłoń, zamknął ją ruchem łagodnym, niemal wstydlwym. Chciał zachować dla siebie tajemnicę swojej gry i swojego końca.

Zatrzymaliśmy się w Jerozolimie. Obejrzałem tam plan nowego miasta, jakie miałem zamiar zbudować na miejscu miasta żydowskiego, zburzonego przez Tytusa. Dla dobra administracji Judei, dla rozwoju handlu ze Wschodem konieczne było na tym skrzyżowaniu licznych dróg powstanie wielkiej metropolii. Chciałem założyć zwykłą rzymską stolicę: Aelia Capitolina miałyby swoje świątynie, swoje targi, swoje łaźnie publiczne, swoje sanktuarium rzymskiej Wenus. Moje nowe zamiłowanie do kultów namiętnych i tkliwych kazało mi wybrać na górze Moria grotę najsposobniejszą do uroczystego odprawiania Adoniów. Te projekty oburzyły ludność żydowską: ci wydziedziczeni woleli swoje ruiny od dużego miasta, które by im dało wszelkie korzyści: zarobek, wiedzę i zabawę. Robotnikom, którzy zaczęli uderzać oskardami w te rozsypujące się mury, tłum przeszkadzał pracować. Nie zważałem na to: Fidus Aquila, który wkrótce miał spożytkować swój organizatorski talent przy budowie Antinoupolis, zabrał się do roboty w Jerozolimie. Nie chciałem widzieć, jak bujnie krzewi się nienawiść na tych kupach gruzów. W miesiąc później przybyliśmy do Peluzjum. Zadbaliśmy, by odbudowano tu grobowiec Pompejusza. Im głębiej wnikałem w sprawy Wschodu, tym bardziej podziwiałem polityczny geniusz tego człowieka, na wieki zwyciężonego przez wielkiego Juliusza. -Pompejusz, który starał się zaprowadzić ład w niepewnym świecie Azji, wydawał mi się czasami kimś, kto skuteczniej pracował dla Rzymu niż sam Cezar. Ta odbudowa była jednym z moich ostatnich hołdów złożonych umarłym znanym mi z dziejów: już wkrótce miałem się zajmować innymi grobami.

Do Aleksandrii przybyliśmy po cichu. Wjazd triumfalny został odłożony do przybycia cesarzowej. Namówiono moją żonę, która rzadko podróżowała, na spędzenie zimy w łagodniejszym klimacie Egiptu; Lucjusz, wciąż nękany uporczywym kaszlem, miał spróbować tego samego lekarstwa. Zgromadzono flotyllę łodzi do podróży po Nilu, której program był jednym nieprzerwanym pasmem urzędowych inspekcji, zabaw, uczt, zapowiadających się nie mniej męcząco niż rozkosze sezonu na Palatynie. Sam to wszystko zorganizowałem: zbytek, urok dworu nie były pozbawione politycznej wartości w tym starym kraju przyzwyczajonym do królewskiej pompy.

Toteż tym bardziej mi zależało, by zapolować przez te kilka dni, jakie pozostały do przybycia moich gości. W Palmirze Meles Agryppa urządzał dla nas łowy w pustyni; nie zapuściliśmy się dosyć daleko, by napotkać lwy. Przed dwoma laty w Afryce byłem na kilku pięknych polowaniach na wielkiego drapieżcę. Antinous, za młody i za mało doświadczony, nie dostał pozwolenia, by w nich brać udział na wysuniętym stanowisku. Miewałem lęki o niego, większe niż niegdyś o samego siebie. Ustupując, jak zwykle, obiecałem mu główną rolę w tym polowaniu na lwa. Teraz już nie można było traktować chłopca jak dziecko, i

byłem dumny z jego młodej siły.

Wyruszyliśmy do oazy Ammona, odległej o kilka dni marszu od Aleksandrii, tej samej, gdzie niegdyś Aleksander dowiedział się z ust kapłanów tajemnicy swojego boskiego urodzenia. Krajowcy donieśli o zjawieniu się w tej okolicy lwa niezwykle niebezpiecznego, który często napadał na ludzi. Wieczorem, przy obozowym ognisku, wesoło porównywaliśmy nasze przyszłe czyny do czynów Herkulesa. Ale pierwsze dni przyniosły ledwie kilka gazeli. Tym razem postanowiliśmy się zacząć we dwóch przy płytkiej zarośniętej trzciniami kałuży. Lew jakoby przychodził tam pić o zmroku. Murzyni mieli go nagać na nas bijąc w wielkie muszle, w cymbały i wrzeszcząc; reszta naszej eskorty została w znacznej odległości. Powietrze było ciężkie i nieruchome; nie musieliśmy się liczyć z kierunkiem wiatru. Minęła może godzina dziesiąta, bo Antinous właśnie pokazał mi na stawie czerwone nenufary, jeszcze zupełnie otwarte. Nagle królewskie zwierzę ukazało się wśród szelestu tratowanych trzcin, obróciło ku nam swój piękny, straszliwy pysk, jedno z najbardziej boskich oblicz, jakie może przybrać niebezpieczeństwo. Stojąc nieco w tyle, nie zdążyłem zatrzymać chłopca, który nierozważnie spiął konia, rzucił włócznię, potem oba dziury, umiejętnie, ale z nazbyt bliska. Drapieżca, z szyją przeszytą na wylot, zwałił się bijąc ogonem o ziemię; tuman piasku pozwolił nam widzieć tylko wielki, ryczący kształt; wreszcie lew po-dźwignął się, zebrał siły, żeby skoczyć na konia i już bezbronnego jeźdźca. Przewidziałem tę możliwość; na szczęście wierzchowiec Antinousego nie spłoszył się: nasze konie były świetnie wyćwiczone do takiego polowania. Zajechałem moim koniem, wystawiając prawy bok; nawykłem do takich manewrów; nie było mi bardzo trudno dobić lwa, już ugodzonego śmiertelnie. Przewrócił się po raz drugi; pysk ugrzązł w mule; struga czarnej krwi popłynęła po wodzie. Wielki kot barwy pustyni, miodu i słońca wyzionął ducha z majestatem więcej niż ludzkim. Antinous zeskoczył z konia okrytego pianą, który jeszcze drżał; nadeszli nasi towarzysze; Murzyni zawlekli do obozowiska olbrzymi, martwy łup.

Urządzono naprędce coś na kształt uczyty; leżąc na brzuchu przed miedzianym półmichem młodzieniec własnoręcznie rozdzielał porcje jagnięcia upieczonego w popiele. Piliśmy palmowym winem zdrowie Antinousego. A w nim egzaltacja potęgowała się jak śpiew. Może wyolbrzymiał znaczenie danej mu przeze mnie pomocy, zapominając, że zrobiłbym to samo dla każdego myśliwego w niebezpieczeństwie; wszelako czuliśmy się jak ludzie, którzy weszli w ten bohaterski świat, gdzie kochankowie umierają jeden za drugiego. W jego radości wdzięczność i duma następowały po sobie niby strofy ody. Czarni dokazali cudów: wieczorem zdarta ze lwa skóra chwiała się pod gwiazdami, zawieszona na dwu palach u wejścia do mojego namiotu. Mimo wszędzie rozsypanych wonności, jej zwierzęcy smród

dręczył nas przez całą noc. Nazajutrz, po posiłku z owoców, opuściliśmy obozowisko; odjeżdżając, dostrześliśmy w jakimś dole to, co zostało z wczorajszego królewskiego zwierzęcia: czerwone ścierwo z latającą nad nim chmarą much.

W kilka dni później wróciliśmy do Aleksandrii. Poeta Pankrates urządził dla mnie koncert w Muzeum; w muzycznej sali zgromadzono kolekcję drogocennych instrumentów: stare liry doryckie, cięższe i mniej skomplikowane niż nasze, stały przy wygiętych cytrach z Persji i Egiptu, frygijskich fujarkach piskliwych jak głos rzezańca i delikatnych fletach indyjskich, których nazwy nie znam. Etiopczyk długo bił w afrykańskie tykwy. Kobieta, której nieco chłodna uroda zachwyciłaby mnie, gdybym nie postanowił uprościć mego życia ograniczając się do tego, co było dla mnie najistotniejsze, grała na trójkątnej harfie o smutnym dźwięku. Mesomedes z Krety, mój ulubiony muzyk, akompaniował sobie na organach wodnych do recytacji własnego poematu Sfinks, dzieła niepokojącego, zawilego, umykającego jak piasek na wietrze. Sala koncertowa wychodziła na wewnętrzny dziedziniec: na wodzie basenu rozłożyły się nenufary pod wściekłym żarem popołudnia kończącego się sierpniowego dnia. Podczas przerwy Pankrates zaprosił nas, byśmy z bliska podziwiali te kwiaty rzadkiej odmiany, czerwone jak krew, które kwitną dopiero pod koniec lata. Natychmiast poznaliśmy nasze szkarłatne nenufary z oazy Ammona; Pankrates zapalił się do obrazu rannego lwa konającego między kwiatami. Zaproponował mi, że opisze wierszem ten epizod polowania: to lwia krew dałaby barwę wodnym liliom. Pomysł nie był nowy: ale zamówiłem poemat. Ów Pankrates, najtypowszy 'poeta dworski, na poczekaniu sklecił kilka przyjemnych wierszy na cześć Antinusa: róża, hiacynt i storczyk okazały się w nich zielskiem wobec tych purpurowych kielichów, które miały odtąd nosić imię ulubieńca. Rozkazano niewolnikowi, by wszedł do basenu i zerwał ich całą naręcz. Młodzieniec, przyzwyczajony do hołdów, z powagą przyjął woskowe kwiaty o łodygach miękkich, podobnych do węży: zamknęły się jak powieki, kiedy zapadła noc.

Tymczasem przybyła cesarzowa. Długa podróż morska zmęczyła ją: stała się węższa, ale była nadal wytrzymała. Jej polityczne przyjaźnie już mi nie przysparzały kłopotów, jak wówczas kiedy tak głupio podjudziła Swetoniusza; teraz otaczała się już tylko nieszkodliwymi kobietami literatkami. Chwilowa ulubienica, niejaka Julia Balbilla, pisywała niezłe greckie wiersze. Cesarzowa i jej świta zamieszkały w Likejon, skąd wychodziły rzadko. Lucjusz, odwrotnie, był jak zawsze złaźniony wszystkich rozkoszy, w tym także rozkoszy inteligencji i oczu.

Choć miał dwadzieścia sześć lat, niemal nic nie stracił ze swej zadziwiającej urody, która kazała rzymskiej młodzieży fetować go na ulicach miasta. Dalej był nierozsądny, ironiczny i wesoły. Jego dawniejsze kaprysy zamieniły się w manie; nie ruszał się bez swojego kuchmistrza; ogrodnicy układali mu nawet na pokładzie przedziwne klomby z rzadkich kwiatów; wszędzie woził ze sobą łożę, którego wzór sam wyrysował; miało cztery materace wypchane czterema rodzajami wonnych traw, na których leżał otoczony młodymi kochankami niczym poduszkami. Jego uszmkowani, upudrowani, przebrani za Zefirów i Amorów pazikowie dostosowywali się, jak mogli, do czasem okrutnych zachcianek pana: musiałem się osobiście wtrącić, by nie dać umrzeć z głodu małemu Boreaszowi, którego szczupłość zachwycała Lucjusza. Wszystko to było bardziej drażniące niż miłe. Zwiedziliśmy razem wszystko, co się w Aleksandrii zwiedza: latarnię morską, mauzoleum Aleksandra, mauzoleum Marka Antoniusza, gdzie Kleopatra wieczyście triumfuje nad Oktawią, nie pomijając świątyń, warsztatów, fabryk, a nawet i przedmieścia balsamowaczy. Zakupiłem u dobrego rzeźbiarza całą partię Wener, Dian i Hermesów dla Italiki, mego rodzinnego miasta, które miałem zamiar zmodernizować i przyozdobić. Kapłani świątyni Serapisa ofiarowali mi zastawę z opalizującego szkła; posłałem ją Serwianusowi, z którym przez wzgląd na moją siostrę Paulinę starałem się utrzymać znośne stosunki. Wielkie projekty budowlane nabrały kształtu podczas tych dosyć nudnych wycieczek.

Religie są w Aleksandrii tak rozmaite, jak branże handlu: jakość towaru jest wątpliwsza. Zwłaszcza chrześcijanie wyróżniają się obfitością sekt co najmniej niepotrzebnych. Dwaj szarlatani, Walentyn i Bazylides, intrygowali przeciwko sobie pod czujnym okiem rzymskiej policji. Szumowiny egipskiego ludu korzystały z każdej obrzędowej uroczystości, by się rzucać z kijami na obcych; śmierć byka Apisa wywołuje więcej zamieszania w Aleksandrii niż w Rzymie śmierć cesarza i zmiana władcy. Ludzie pilnujący się mody zmieniają tu boga, jak gdzie indziej zmienia się lekarza, i bez większej korzyści. Ale ich jedynym bóstwem jest złoto: nigdzie nie spotkałem bardziej bezwstydných petentów. Wszędzie się zaroilo od pompatycznych inskrypcji upamiętniających moje

dobrodziejstwa, ale wkrótce, kiedy odmówiłem zwolnienia ludności z podatku, który na pewno mogła zapłacić, zraziłem sobie tę zgraję. Obaj towarzyszący mi młodzieńcy byli kilkakrotnie obrażani; Lucjuszowi wytykano zbytek, zresztą przesadny; Antinousowi jego nieznanne pochodzenie, na który to temat krążyły niedorzeczne plotki; obydwu - wpływ, jaki mieli na mnie w mniemaniu ogółu. Ten ostatni zarzut był śmieszny: Lucjusz, choć w sprawach publicznych okazywał zdumiewającą przenikliwość, nie miał przecież żadnego wpływu politycznego; Antinous nie starał się go mieć. Młody patrycjusz, który znał świat, tylko śmiał się z tych zniewag; Antinous cierpiał.

Żydzi pouczeni przez współwyznawców z Judei dodawali, ile mogli, zakwasu do tego już kwaśnego ciasta. Synagoga Jerozolimy wysłała do mnie swego najczcigodniejszego członka: Akiba. Starzec niemal dziewięćdziesięcioletni, który nie umiał po grecku, miał mnie przekonać, że powinienem się wyrzec jerozolimskich planów, już realizowanych. Przez tłumaczy odbyłem z nim kilka rozmów, które były dla niego jedynie pretekstem do monologu. Po niespełna godzinie byłem zdolny najdokładniej zrozumieć jego myśl, choć mi była obca; on nie zdobył się na podobny wysiłek wobec mojej myśli; dawałem temu pogardzanemu ludowi miejsce obok innych w rzymskiej wspólnocie: Jerozolima ustami Akiby oznajmiła mi swoją wolę pozostania do ostatka twierdzą rasy i boga wyłączonych z reszty ludzkości. Kunsztowne motywacje tej opętańczej idei znużyły mnie: musiałem wytrzymać długie wyliczanie dowodów wyższości Izraela, uczenie wyprowadzanych jeden z drugiego. Po tygodniu ten tak uparty negocjator spostrzegł jednak, że nic nie wskóra; oznajmił, że wyjeżdża. Nienawidzę porażki, nawet cudzej; bywa mi tym bardziej przykra, kiedy zwyciężonym jest starzec. Nierozumność Akiby, odżegnywanie się od wszystkiego, co nie było jego świętymi księgami i jego ludem, dawało mu coś na kształt niewinności ślepcy. Ale trudno było się litować nad tym sekciarzem. Długowieczność jakby pozbawiła go całej człowieczej giętkości: to wychudłe ciało, ten wysuszony umysł były wyposażone w twardą siłę szarańczy. Podobno umarł później jak bohater za sprawę swojego ludu albo raczej swojego zakonu: każdy się poświęca swoim własnym bogom.

Rozrywki Aleksandrii zaczynały się wyczerpywać. Flegon, który wszędzie znał miejscowe ciekawostki, słynną rajfurkę czy hermafrodytę, obiecał nas zaprowadzić do wróżki. Ta stręczycielka niewidzialnego mieszkała w Kanobos. Pojechaliśmy tam w nocy, łodzią, po kanale o ciężkich wodach. Droga była ponura. Między młodzieńcami panowała, jak zwykle, głucha niechęć; zażyłość, do jakiej ich przymuszałem, wzmagała wzajemną nienawiść. Lucjusz ukrywał ją pod szyderczą uprzejmością; mój młody Grek zaciął się w ataku ponurej melancholii. Ja sam byłem zmęczony; przed kilkoma dniami, po powrocie z

konnej przejażdżki w pełnym słońcu, zemdlałem, zresztą na krótko: widzieli to tylko Antinous i mój czarny służący Euforion. Przerazili się strasznie; zobowiązałem ich do milczenia.

Kanobos było tylko pozorem: dom wróżki stał w najplugawszej części tego miasta rozkoszy. Wysiedliśmy na osypujący się taras. Wiedźma oczekiwała nas wewnątrz, przy podejrzanym warsztacie swojego rzemiosła. Wydawała się wprawna; nie miała w sobie nic z teatralnej wywoływaczki duchów; nie była nawet stara.

Jej przepowiednie brzmiały ponuro. Od pewnego czasu wszystkie wyrocznie obwieszczały mi tylko wszelakiego rodzaju przykrości, zamieszki polityczne, intrygi pałacowe, poważne choroby. Dziś sądzę, że siły całkiem ludzkie przemawiały przez te usta mroków, niekiedy, żeby mnie przestrzec, częściej, żeby zastraszyć. Rzeczywisty stan dużej połaci Wschodu był tam określony trafniej niż w raportach naszych prokonsulów. Przyjmowałem te domniemane rewelacje spokojnie, bowiem mój szacunek dla niewidzialnego świata nie był aż tak silny, bym wierzył w te boskie brednie: przed dziesięcioma laty, wkrótce po objęciu władzy cesarskiej, kazałem zamknąć wyrocznie Dafne, koło Antiochii, gdzie mi przepowiedziano panowanie: obawiałem się, by to samo nie spotkało następnego z kolei pretendenta. Ale zawsze jest przykro słyszeć rzeczy smutne.

Wróżka, nastraszywszy nas, ile mogła, zaproponowała nam swoje usługi: jedna z tych magicznych ofiar, specjalności egipskich czarowników, wystarczy, by ułożyć wszystko z losem polubownie. Dzięki pewnej znajomości magii fenickiej już wiedziałem, że okropność tych zakazanych praktyk polega nie tyle na tym, co nam z nich jest pokazane, ile na tym, co zostaje przed nami ukryte: gdyby nie znano mego wstrętu do ofiar ludzkich, doradzono by mi zapewne, bym dał na ofiarę niewolnika. Propozycja ograniczyła się do domowego zwierzęcia.

Ofiara powinna możliwie najbardziej należeć do mnie; nie mógł to być pies, zwierzę uważane za nieczyste przez egipski zabobon; ptak pasowałby, ale nie podróżuję z ptaszarnią. Mój młody pan ofiarował mi swojego sokoła. Warunki były spełnione: to ja mu dałem tego pięknego ptaka otrzymawszy go w darze od króla Osroene. Chłopiec karmił go z ręki: było to jedno z niewielu stworzeń, do jakich się przywiązał. Najpierw odmówiłem; nalegał z powagą; zrozumiałem, że przypisuje niezwykle znaczenie temu darowi, i przystałem przez delikatność. Mój goniec Menekrates, otrzymawszy najdokładniejsze instrukcje, udał się po ptaka do naszych apartamentów w Serapeum. Choć pojechał galopem, wymagało to dwóch godzin. Nie można było ich spędzić w brudnej izbie wróżki, a w łodzi Lucjusz narzekał na wilgoć. Flegon znalazł wyjście: urządziliśmy się jako tako u pewnej rajfurki, usunawszy domowy personel; Lucjusz postanowił się przespać; ja wykorzystałem tę wolną chwilę na dyktowanie

depesz; Antinous położył się u moich nóg. Trzcina Flegona skrzypiała pod lampą. Było już blisko do ostatniej zmiany nocnej straży, kiedy Menekrates przywiózł ptaka, rękawicę, kaptur i łańcuch.

Wróciliśmy do czarownicy. Antinous zdjął kaptur sokołowi, długo pieścił jego małą głowę, zasnęłą i dziką, oddał go zaklinaczce, która zaczęła odmawiać litanie magicznych słów. Zafascynowany ptak znów zasnął. Było ważne, by ofiara nie broniła się, by śmierć wyglądała na dobrowolną. Bezwolne stworzenie, obrzędowo napojone miodem i różanym olejkiem, zostało złożone w misie napelnionej wodą z Nilu; utopiony ptak zjednoczył się z Ozyrysem, porwanym nurtem rzeki; ziemskie lata sokoła zsumowały się z moimi; mała słoneczna duszyczka złączyła się z Geniuszem człowieka, dla którego ją poświęcono: ów niewidzialny Geniusz będzie mógł od tej pory objawiać mi się i służyć mi w tym kształcie. Długie manipulacje, jakie nastąpiły później, nie były ciekawsze niż gotowanie w kuchni potrawy. Lucjusz ziewał. Rytuał aż do końca naśladował ludzki pogrzeb: okadzania i żałobne śpiewy ciągnęły się aż do świtu. Zamknięto ptaka w trumience pełnej aromatycznych ziół, którą wiedźma pogrzebała w naszej obecności nad brzegiem kanału, na opuszczonym cmentarzu. Potem przykucnęła pod drzewem, by policzyć sztuki złota, którymi jej zapłacił Flegon.

Popłynęliśmy łodzią w górę rzeki. Wiał dziwnie zimny wiatr. Lucjusz, siedząc przy mnie, końcami szczupłych palców podnosił bawełniane, haftowane przykrycia; przez grzeczność zamienialiśmy zdania dotyczące rzymskich spraw i skandalów. Antinous położył się na dnie łodzi, oparł głowę na moich kolanach; udawał, że śpi, żeby nie brać udziału w tej rozmowie, z której był wyłączony. Moja ręka głaskała jego kark, jego włosy. W chwilach najbardziej pustych i bez blasku zyskiwałem w taki sposób uczucie zachowywania kontaktu z wielkimi rzeczami naturalnymi, gęstwiną lasów, muskularnym grzbietem pantery, regularnym biciem źródła. Ale żadna pieszczota nie dociera do duszy. Słońce już świeciło, kiedy przybyliśmy do Serapeum; sprzedawcy kawonów krzykliwie zachwalali na ulicach swój towar. Spałem aż do posiedzenia miejscowej Rady, w którym wziąłem udział. Dowiedziałem się później, że Antinous skorzystał z mojej nieobecności, by namówić Chabriasa na pojechanie razem z nim do Kanobos. Wrócił do czarownicy.

Pierwszy dzień miesiąca Athyr drugiego roku po dwieście dwudziestą siódmą Olimpiadzie... Jest to rocznica śmierci Ozyrysa, boga agonii: wzdłuż rzeki, we wszystkich wsiach rozbrzmiewały od trzech dni krzykliwe lamenty. Moich rzymskich gości, mniej niż ja przywykłych do misteriów Wschodu, ciekawiły te obrzędy innego ludu. Mnie, odwrotnie, drażniły. Kazałem przycumować moją łódź do brzegu w pewnej odległości od innych, z dala od wszelkich miejsc zamieszkałych: na pół opuszczona świątynia faraonów stała jednak na wybrzeżu; miała jeszcze swoje kolegium kapłańskie; nie całkiem udało mi się uciec od zgiełku skarg.

Poprzedniego wieczoru Lucjusz zaprosił mnie na swoją łódź na wieczerzę. Pojechałem tam o zachodzie słońca. Antinous nie chciał mi towarzyszyć. Zostawiłem go na progu mego namiotu na rufie: leżał na swojej lwiej skórze i grał z Chabriasem w kości. W pół godziny później, po zapadnięciu nocy, namyślił się i kazał dać sobie czółno. Z jednym tylko wiosłarzem przepłynął pod prąd dosyć znaczną odległość, jaka dzieliła naszą łódź od reszty łodzi. Jego wejście pod namiot, gdzie odbywała się uczta, przerwało oklaski dla wijącej się i wyginającej tancerki. Ubrał się w długą szatę syryjską, cienką jak skórka owocu, usianą kwiatami i chimerami. Żeby wygodniej wiosłować, spuścił prawy rękaw: pot jeszcze się perlił na tej gładkiej piersi. Lucjusz rzucił mu wieniec, który pochwycił w locie; wesołość, aż zgrzytliwa, nie opuściła go ani na chwilę, podtrzymana ledwie jednym pucharem greckiego wina. Wróciliśmy razem, moim czółnem z sześcioma wiosłarzami, odprowadzeni z łodzi kpiącym "dobranoc" Lucjusza. Dzika wesołość trwała. Ale nad ranem dotknąłem niechcący twarzy zimnej od łez. Zapytałem go niecierpliwie, dlaczego płakał; odpowiedział pokornie, że ze zmęczenia. Przyjąłem to kłamstwo; znów zasnąłem. Jego prawdziwa agonია odbyła się w tym łóżu, przy moim boku.

Nadeszła świeża poczta z Rzymu; dzień przeminął na czytaniu jej i dyktowaniu odpowiedzi. Jak zwykle, Antinous cicho kręcił się po kabinie: nie wiem, w jakiej chwili ten piękny chart wyszedł z mojego życia. Koło godziny dwunastej zjawił się zaniepokojony Chabrias. Wbrew ustalonym zwyczajom młodzieniec opuścił łódź nie mówiąc, dokąd jedzie ani kiedy wróci: nie było go już co najmniej od dwóch godzin. Chabrias przypomniał sobie jego dziwne słowa z poprzedniego dnia, polecenie wydane rano i dotyczące mnie. Zwierzył mi się ze swoich obaw. Pośpiesznie wysiedliśmy na brzeg. Stary pedagog instynktownie skierował się do kaplicy stojącej na wybrzeżu, małego, samotnego budynku, przynależnego do świątyni, który zwiedzili razem z Antinousem. Na stole ofiarnym popioły były jeszcze ciepłe. Chabrias zanurzył w nich palce i wydobył pukiel obciętych włosów, niemal nietknięty.

Teraz trzeba było już tylko przeszukać brzeg. Kilkanaście zbiorników wody, które

niegdyś służyły zapewne do obrzędów, łączyło się z odnóżem rzeki: przy krawędzi ostatniego basenu Chabrias spostrzegł w szybko zapadającym zmroku złożoną odzież, sandały. Zeszedłem po oślizłych schodach: leżał na dnie. już pogrążony w rzeczonym mule. Z pomocą Chabriasa udało mi się podnieść ciało, które nagle nabrało ciężaru kamienia. Chabrias zawołał wioślarzy, ci zrobili nosze z płótna. Wezwany w pośpiechu Hermogenes mógł już tylko stwierdzić zgon. To tak posłuszne ciało nie chciało dać się rozgrzać, nie chciało ożyć. Przewieźliśmy je na pokład. Wszystko waliło się, wszystko gasło. Zeus Olimpijski, Pan Wszystkiego, Zbawca Świata runęli, i był już tylko siwiejący mężczyzna, który płakał na pokładzie łodzi.

W dwa dni później Hermogenesowi udało się namówić mnie, bym pomyślał o pogrzebie. Obrządek ofiarny, jaki sobie wybrał przy swej śmierci Antinous, wskazywał właściwą drogę: nie na próżno godzina i dzień tego zgonu były tymi, w których Ozyrys schodzi do grobu. Pojechałem na drugi brzeg, do Hermopolis, do balsamowaczy. Widziałem tych ludzi przy pracy w Aleksandrii; wiedziałem, na jakie zniewagi narażę to ciało. Ale ogień też jest straszny, ogień, który pali i zwęglą ciało niegdyś kochane, i ziemia, w której gniją umarli. Podróż była niedługa; skulony w kącie namiotu na rufie, Euforion zawodził po cichu jakiś żałobny afrykański lament; ten stłumiony i chrypliwy śpiew wydawał mi się jakby moim własnym krzykiem. Przenieśliśmy umarłego do czysto wymytej sali, która przypominała mi klinikę Satyrosa; pomagałem zdejmującemu odlew namaszczać oliwą twarz przed położeniem wosku. Wszystkie metafory nabierały sensu: trzymałem w rękach jego serce. Kiedy go pożegnałem, puste ciało było już tylko preparatem balsamowaczy, pierwszym stanem okrutnego arcydzieła, drogocenną, natartą solą i galaretą z mirry substancją, której nigdy już nie dotknie powietrze i słońce.

Po powrocie poszedłem do świątyni, w pobliżu której dokonana się ofiara; rozmawiałem z kapłanami. Ich odnowiona świątynia miała stać się miejscem pielgrzymek dla całego Egiptu; ich kolegium, zwiększone, bogate, będzie odtąd służyło mojemu bogu. Nawet w moich najgorszych chwilach nigdy nie wątpiłem, że ta młodość jest boska. Grecja i Azja będą ją czciły w nasz sposób, igrzyskami, tańcami, należnymi hołdami u stóp białego i nagiego posągu. Egipt, który był obecny przy konaniu, też będzie miał swoją część w apoteozie. Najmroczniejszą, najtajniejszą, najuciążliwszą: ten kraj będzie pełnił przy nim wieczyście funkcje balsamowacza. Przez wieki kapłani o golonych głowach będą odmawiali litanie z tym imieniem, które, dla nich bez wartości, dla mnie zawarło w sobie wszystko. Co roku święta łódź będzie wozila ten wizerunek po rzece; pierwszego dnia miesiąca Athyr zawodzący żałobnicy będą szli po tym brzegu, po którym ja szedłem. Każda godzina ma inny

pierwszy obowiązek, inny nakaz, ważniejszy od wszystkich, nakazem tej chwili było, bym bronił od śmierci to niewiele, co mi zostało. Flegon zwołał na brzeg na mój rozkaz architektów i inżynierów z mojej świty; wspomagany jakimś jasnowidzącym szaleństwem prowadziłem ich po kamienistych wzgórzach, tłumaczyłem mój plan, rozwijałem czterdzieści pięć stadiów opasującego miasto muru; znaczyłem na piasku miejsce triumfalnego łuku, miejsce grobowca. Miało powstać Antinoupolis: chyba jakoś zwyciężałem śmierć narzucając tej posępnej ziemi miasto całkiem greckie, bastion, który nauczy moresu koczowników z Erytrei, nowy rynek na drodze do Indii. Aleksander uczcił pogrzeb Hefajstiona zniszczeniami i hekatombami. Zdawało mi się, że jest piękniej ofiarować wybranemu miasto, gdzie jego kult będzie na zawsze wtopiony w ruch i gwar na publicznym placu, gdzie jego imię będzie powtarzane w wieczornych po-gwarkach, gdzie młodzieńcy będą sobie rzucać wieńce podczas uct. Tylko w jednym nie mogłem się jeszcze zdobyć na decyzję. Wydawało mi się niemożliwe zostawienie tego ciała w obcej ziemi. Jak człowiek niepewny następnego etapu podróży w kilku gospodach zamawia sobie nocleg - kazałem dlań wznieść w Rzymie, na brzegu Tybru, grobowiec, obok mojego; myślałem i o egipskich kaplicach, które przez kaprys kazałem budować w Willi i które okazały się nagle tragicznie przydatne. Wyznaczyłem dzień pogrzebu: miał się odbyć po upływie dwóch miesięcy potrzebnych balsamowaczom. Mesomedesowi poleciłem ułożyć żałobne chóry. Późno w nocy wróciłem na pokład; Hermogenes przygotował mi napój nasenny.

Znów popłynęliśmy w górę rzeki, aleja żeglowałem po Styksie. W obozach jeńców, na brzegach Dunaju, widziałem niegdyś nieszczęśliwych, którzy leżeli przy murze i wciąż uderzali on czołem, ruchem dzikim, obłąkańczym i łagodnym, powtarzając bez ustanku jedno imię. W piwnicach Koloseum pokazywano mi lwy zdychające, bo im zabrano psa, z którym się przyzwyczyły żyć. Zbierałem myśli: Antinous umarł. Jako dziecko wyłem nad trupem Marullinusa, podziobanym przez wrony, ale tak, jak wyje nocą nierozumne zwierzę. Umarł mój ojciec, ale dwunastoletni sierota zauważył tylko nieład w domu, płacz matki i własny strach; nic nie wiedział o otchłaniach, przez jakie się przeprawiał umarły. Umarła moja matka, o wiele później, podczas mego pobytu w Pannonii; nie mogłem sobie przypomnieć dokładnej daty. Nie widziałem, jak umierała Plotyna. Umarł Attianus: był to starzec. W wojnach dackich straciłem kolegów, których, jak mniemałem, kochałem gorąco; ale byliśmy młodzi, życie i śmierć były jednakowo upajające i łatwe. Umarł Antinous. Przypominałem sobie często słyszane komunały: "umiera się w każdym wieku", "ukochani przez bogów umierają młodo". Sam brałem udział w tym haniebnym nadużywaniu słów; mówiłem, że umieram z senności, z nudy. Używałem słowa "konanie", słowa "żałoba", słowa "strata". Umarł Antinous.

Amor, najrozumniejszy z bogów... Ale miłość nie była odpowiedzialna za brak uwagi, dokuczanie, obojętność, zmieszane z namiętnością jak piasek ze złotem niesionym przez rzekę, za to pospolite zaślepienie człowieka za bardzo szczęśliwego, który starzeje się. Jak mogłem być tak prostacko zadowolony? Umarł Antinous. Nie, nie kochałem za bardzo, jak zapewne utrzymywał w tej chwili w Rzymie Serwianus, kochałem za mało, żeby zmusić tego chłopca, by żył. Chabrias, który jako orfik uważał samobójstwo za zbrodnię, podkreślał ofiarny charakter tej śmierci; sam odczuwałem coś na kształt monstualnej radości mówiąc sobie, że ta śmierć była darem. Ale ja jeden mogłem wiedzieć, ile goryczy fermentuje na dnie uległości, jaka doza rozpaczki jest ukryta w zaparciu się siebie, jaka nienawiść jest zmieszana z miłością. Obrażana istota cisnęła mi w twarz ten dowód przywiązania; chłopiec, niespokojny, że może stracić wszystko, znalazł sposób, by związać mnie ze sobą na zawsze. Jeśli się spodziewał mnie przez tę ofiarę ochronić, musiał sądzić, że go bardzo mało kocham, skoro nie wiedział, że jego strata będzie najgorszym złem.

Łzy skończyły się: zbliżający się do mnie dygnitarze już nie musieli odwracać wzroku od mojej twarzy, jakby płacz był czymś nieprzyzwoitym. Znów się zaczęło oglądanie wzorowych zagród i nawadniających kanałów; było mi wszystko jedno, czym są zajęte godziny. Tysiąc najgłupszych plotek już kursowało po świecie na temat mojej klęski; nawet na łodziach towarzyszących mojej łodzi krążyły okrutne, hańbiące mnie opowieści; nie

prostowałem ich, bo prawda nie nadawała się do wykrzyczenia. Najzłośliwsze kłamstwa były na swój sposób prawdziwe: pomawiano mnie, że go poświęciłem - i w pewnym sensie tak było. Hermogenes, który mi znosił skrzętnie te echa z zewnątrz, przyniósł mi i słowa współczucia od cesarzowej; zachowała się przyzwoicie; niemal zawsze tak właśnie się zachowujemy wobec śmierci. To współczucie opierało się na nieporozumieniu: zgadzano się żałować mnie, byłem się dostatecznie szybko pocieszył. Ja sam myślałem, że już się prawie uspokoiłem; aż było mi wstyd. Nie wiedziałem, że ból ma przedziwne labirynty, po których jeszcze chodzę.

Starano się mnie rozerwać. W kilka dni po przybyciu do Teb dowiedziałem się, że cesarzowa i jej świta już dwukrotnie były pod kolosem Memnona, spodziewając się, że usłyszą tajemniczy dźwięk wydawany przez kamień o wschodzie słońca, słynny fenomen, przy którym wszyscy podróżnicy chcieliby być obecni. Cud się nie zdarzył; wyobraziły sobie zabobonnie, że zdarzy się w mojej obecności. Zgodziłem się udać tam nazajutrz z kobietami; wszystkie sposoby były dobre, byle skrócić nie kończące się jesienne noce. Tego ranka, koło jedenastej godziny, Euforion wszedł do mnie, by objaśnić lampę i pomóc mi oblec szaty. Wyszedłem na pokład; niebo, jeszcze całkiem czarne, było rzeczywiście spizowym niebem Homera, obojętnym na radości i niedole ludzi. Minęło już więcej jak dwadzieścia dni, odkąd ta rzecz się stała. Wsiadłem do czółna; krótka podróż nie obyła się bez kobiecych krzyków i lęków.

Dowieziono nas rzeką w pobliże kolosa. Smuga mdłej różowości już widniała na wschodzie; zaczynał się jeszcze jeden dzień. Tajemniczy dźwięk powtórzył się trzykrotnie; jest to dźwięk podobny do tego, jaki wydaje zrywana cięciwa łuku. Niewyczerpana Julia Balbilla porodziła na miejscu kilka poematów. Kobiety postanowiły zwiedzić świątynię; towarzyszyłem im przez chwilę wzdłuż ścian upstrzonych monotonnymi hieroglifami. Znużyły mnie te kolosalne figury jednakowych królów, siedzących jeden przy drugim, wysunąwszy długie i płaskie nogi, te nieruchome głązy, w których nie ma nic, co dla nas stanowi życie, ani bólu, ani rozkoszy, ani ruchu oswobadzającego członki, ani myśli organizującej świat wokół pochylonej głowy. Oprowadzający mnie kapłani sami wiedzieli chyba niewiele więcej niż ja o tych unicestwionych istnieniach; co pewien czas powstawał spór dotyczący jakiegoś imienia. Wiedzano tyle, że każdy z tych monarchów dostał w schedzie jakieś królestwo, rządził jakimiś ludami, spłodził swego spadkobiercę; nic więcej nie zostało. Te zapomniane dynastie były dawniejsze niż Rzym, dawniejsze niż Ateny, dawniejsze niż dzień, w którym Achilles poległ pod murami Troi; dawniejsze niż astronomiczny cykl pięciu tysięcy lat, obliczony przez Menona dla Juliusza Cezara. Czując

zmęczenie, odprawiłem kapłanów; odpoczywałem chwilę w cieniu kolosa przed powrotem na łódź. Jego nogi były aż po kolana pokryte greckimi napisami, wyrytymi przez podróżników; imiona, daty, modlitwy, jakiś Servius Suavis, jakiś Eumenes, który stał na tym samym miejscu sześć wieków przede mną, jakiś Panion, który zwiedził Teby sześć miesięcy temu... Sześć miesięcy temu... Wzięła mnie fantazja, jakiej nie miewałem, odkąd jako dziecko wydrapywałem moje imię na korze kasztanów, na wsi, w Hiszpanii: cesarz, który nie pozwalał ryć na wznoszonych przez siebie gmachach swoich nazwań i tytułów, wyjął sztylet i wydrapał w tym twardym kamieniu kilka greckich liter, skróconą i domową formę swojego imienia: AA PIANO... I to też było przeciwstawieniem się czasowi: imię, suma życia, której niezliczonych składników nikt nie porachowałby, znak zostawiony przez zabłąkanego człowieka w tym następowaniu po sobie stuleci. Nagle uświadomiłem sobie, że był to dwudziesty siódmy dzień miesiąca Athyr, dzień piąty przed naszymi kalendarzami grudniowymi. Były to urodziny Antinusa: gdyby żył, miałby dziś dwadzieścia lat.

Wróciłem na pokład; rana zasklepiąca za prędko otworzyła się; krzyczałem, ukrywając twarz w poduszce, którą mi Euforion podsunął pod głowę. Ten trup i ja płynęliśmy, niesieni w odwrotne strony dwoma prądami czasu. Piąty dzień przed kalendarzami grudniowymi, dzień pierwszy miesiąca Athyr: każda mijająca chwila przysypywała sobą to ciało, nawarstwiała się na tym zgonie. Wracałem po oślizłej pochyłości; paznokciami starałem się ekshumować ten umarły dzień. Flegon, który siedział zwrócony twarzą w stronę progu, z wchodzących i wychodzących z kabiny na rufie pamiętał tylko snopy światła, które przeszkadzały mu, ilekroć czyjaś ręka pchnęła drzwi. Jak oskarżony o zbrodnię, przypominałem sobie wszystkie zajęcia z tych godzin: dyktowanie listu, odpowiedź dla Senatu efeskiego, którym słowem było współczesne konanie? Odtwarzałem uginanie się kładki pod szybkimi krokami, jałowy brzeg, płaskie kamienie, nóż obcinający kosmyk włosów przy skroni; schylone ciało; nogę zginającą się, żeby ręka mogła rozwiązać sandał; ten jedyny w świecie sposób rozchylania warg podczas zamykania oczu. Jak stanowcza musiała być decyzja, jeśli ten świetny pływak udusił się w tym czarnym błocie. Usiłowałem dojść w myśli aż do tej przemiany, przez którą wszyscy przejdziemy, kiedy serce rezygnuje, mózg zacina się, płuca przestają wciągać powietrze. I ja doznam analogicznego wstrząsu; pewnego dnia umrę. Ale każde konanie jest inne; moje wysiłki wyobrażenia sobie, jak on konał, dawały tylko bezwartościowy falsyfikat: umierał sam.

Opierałem się; walczyłem z bólem jak z gangreną. Przypominałem sobie upory, kłamstwa; mówiłem sobie, że zmieniliby się. roztył, zestarzał. Trud daremny: jak sumienny rzemieślnik stara się skopiować arcydzieło, tak jak wysiłałem się, by wymóc na mojej

pamięci niedorzeczną wierność: odtwarzałem ten tors wysoki i wypukły jak tarcza. Niekiedy obraz sam wytryskał; unosiła mnie fala słodyczy; zobaczyłem sad w Tiburze, efeba zbierającego jesienne owoce w podwiniętą tunikę, niby w kosz. Wszystkiego naraz zabrakło: współnika nocnych radości, młodzieniaszka, który kuczał, by dopomóc Euforionowi w poprawianiu fałd mojej togi. Jeśliby wierzyć kapłanom, cień też cierpiał, żałował ciepłego schronienia, jakim dlań było ciało, jęcząc nawiedzał domowe strony, daleki i bardzo bliski, chwilowo za słaby, by mi dać znać o swojej obecności. Jeśli to jest prawda, moja głuchota była gorsza niż sama śmierć. Ale czy zrozumiałem tamtego ranka żywego chłopca, który płakał u mego boku? Pewnego wieczoru Chabrias wezwał mnie, by mi pokazać w konstelacji Orła gwiazdę. do- tej pory dość mało widoczną, która nagle zajaśniała jak gemma, zapulsowała jak serce. Zrobiłem z niej jego gwiazdę, jego znak. Każdej nocy mozolnie śledziłem jej bieg: widywałem dziwne figury w tej części nieba. Myślano, że zem zwariował. Ale było mi wszystko jedno.

Śmierć jest szkaradna, ale życie także. Wszystko zgrzytało. Założenie Antinoupolis było tylko śmiechu godną kpina: jeszcze jedno miasto, jeszcze jedno schronienie dla szachrajstw kupców, nadużyć urzędników, dla prostytutki, dla bałaganu, dla podłych, którzy oplakują swoich zmarłych, póki o nich nie zapomną. Apoteoza była kpina: te tak publiczne honory zrobią tylko z chłopca pretekst do podłości i ironii, pośmiertny obiekt zawiści i zgorzenia, jedną z tych nadgniłych legend zagrających kąty historii. Moja żałoba była tylko formą rozpasania, pospolitą rozpustą: ja byłem tym, który korzysta, który się lubuje, który próbuje eksperymentów: ukochany dał mi do spożytkowania swoją śmierć. Okaleczony człowiek płakał nad sobą. Myśli zgrzytały; słowa traciły sens; głosy bzykały jak szarańcza w pustyni albo muchy na kupie śmieci; nasze łodzie o żaglach wydętych jak piersi wiozły intrygę i kłamstwo; na ludzkich czołach widniała głupota. Śmierć przeziarała zewsząd, poprzez zgrzybiałość, rozpad i zgniliznę: brunatną plamkę na owocu, niedostrzegalne rozdarcie u dołu obicia, ściervo na stromym brzegu, pryszcz na twarzy, ślady różeg na plecach majtka. Moje ręce wydawały mi się zawsze trochę brudne. W porze kąpieli, podając niewolnikom moje nogi do epilowania, patrzyłem ze wstrętem na to krzepkie ciało, tę maszynę niemal niezniszczalną, która trawiła, chodziła, spała, która znów kiedyś się wdroży w praktyki miłosne. Znosiłem obecność tylko tych kilku służących, którzy pamiętali umarłego; na swój sposób kochali go. Moja żałoba znajdowała oddźwięk w głupkowanym żalu masażysty czy starego Murzyna zajmującego się zapalaniem lamp. Ale im zmartwienie nie przeszkadzało śmiać się po cichu, kiedy odpoczywali w cieniu na brzegu. Pewnego ranka, oparłszy się o burtę, spostrzegłem w pobliżu kuchni niewolnika, który patroszył jedno z tych

kurcząt, jakim Egipt każe się tysiącami wylęgać w brudnych piecach; wyszarpnął lepka garść wnętrzości i cisnął je w wodę. Ledwie zdążyłem odwrócić głowę, żeby zwymiotować. Podczas postoju w Philai, w trakcie uczy, jaką wydał dla nas namiestnik, trzyletnie dziecko, czarne jak z brązu, synek nubijskiego odźwiernego, zakradło się na galerię pierwszego piętra, żeby patrzeć na tańce; spadło. Zrobiono wszystko, by ukryć ten wypadek; odźwierny powstrzymywał szlochanie, żeby nie przeszkadzać gościom swojego pana; wyprowadzono go z trupkiem przez kuchenne drzwi; dojrzałem jednak te ramiona, konwulsyjnie podnoszące się i opadające, jak pod batem. Miałem uczucie, jakby moim był ten ból ojca, jak moimi były bóle Herkulesa, Aleksandra, Platona, oplakujących umarłych przyjaciół. Kazałem zanieść temu biedakowi kilka sztuk złota. W dwa dni później zobaczyłem go; iskał się błogo, leżąc na słońcu w poprzek progu.

Zaczęła przychodzić poczta; Pankrates przysłał mi swój wreszcie skończony poemat; był to przeciętny zlepek homeryckich heksametrów, ale imię widniejące niemal w każdej linijce sprawiło, że się tym wzruszyłem bardziej niż niejednym arcydziełem. Numenios przysłał mi przepisową konsolację; czytałem to przez całą noc; nie brakowało ani jednego komunału. Słabe szańce, wznoszone przez człowieka w obronie przed śmiercią, rozwijały się na dwóch liniach: pierwsza polegała na przedstawieniu nam jej jako zła nieuniknionego; na przypomnieniu, że ani piękność, ani młodość, ani miłość nie mogą się uchronić przed zgnilizną; na dowodzeniu nam nareszcie, że życie i jego wszystkie niedole jest jeszcze okropniejsze niż sama śmierć i że lepiej umrzeć niż zestarzeć się. Te prawdy mają nas skłonić do rezygnacji; są zaś przede wszystkim uzasadnieniem rozpacz. Druga linia argumentów przeczy pierwszej, ale nasi filozofowie nie wdają się w takie drobiazgi: idzie już nie o to, by się ze śmiercią pogodzić, ale o to, by zaprzeczyć jej istnieniu. Ważna jest tylko dusza; zamiast się wpięć nad dowiedzeniem, że istnieje, arogancko zakładano jako pewnik nieśmiertelność tej istoty nieuchwytej, której nikt nie widział funkcjonującej w nieobecności ciała. Nie miałem takiej pewności: skoro uśmiech, spojrzenie, głos, te rzeczywistości ulotne, zostały unicestwione, dlaczego nie miałyby być unicestwiona i dusza? Nie wydawała mi się z konieczności bardziej niematerialna niż ciepło ciała. Odżegnywano się od zwłok, w których już nie było tej duszy: a przecież tylko one mi zostały, tylko one były dowodem, że ten żyjący kiedyś istniał. Nieśmiertelność ludzkiej rasy miała jakoby przynosić ulgę przy każdej śmierci człowieka: było mi zupełnie wszystko jedno, czy pokolenia Bityńczyków będą następowały po sobie na brzegach Sangariosu, czy nie. Mówiono o sławie, pięknym, słowie, które napęłnia serce, ale silono się, by kłamliwie utożsamić sławę i nieśmiertelność, jakby ślad człowieka był tym samym co jego obecność. Zamiast trupa pokazywano mi promieniejącego boga; sam

tego boga stworzyłem, wierzyłem w niego, na swój sposób; ale najświetlitsze pośmiertne losy wśród gwiazdnych stref nie były wynagrodzeniem za to krótkie życie; bóg nie zastąpi straconego żyjącego. Oburzała mnie ta ludzka zapalczywość w pogardzaniu faktami na korzyść hipotez, w nieuznawaniu swoich snów za sny. Inaczej pojmowałem obowiązki tego, który przeżył. Ta śmierć będzie daremna, jeśli się nie zdobędę na odwagę spojrzenia jej w twarz, wzięcie w siebie tej rzeczywistości chłodu, milczenia, zakrzepłej krwi, nieruchomych członków, którą człowiek tak prędko przykrywa ziemią i obłudą; wolałem się błąkać po omacku w ciemności bez pomocy słabych lamp. Czułem, że dookoła mnie ludzi zaczyna razić tak długotrwały ból: jego gwałtowność gorszyła zresztą bardziej niż jego przyczyna. Gdybym tak samo rozpaczał po śmierci brata czy syna, też by mi zarzucano, że płaczę jak niewiasta. Pamięć większości ludzi to opuszczony cmentarz, gdzie leżą w zaniedbanych grobach umarli, których się przestało kochać. Każdy ból długotrwały jest zniewagą dla ich zapominania.

Łodzie znów przywiozły nas w to miejsce rzeki, udzie już się zaczynało wznosić Antinoupolis. Było ich mniej niż w pierwszej części podróży: Lucjusz, którego widywałem teraz rzadko, odjechał do Rzymu, gdzie jego młoda żona właśnie urodziła syna. Jego wyjazd uwolnił mnie od całej rzeszy ciekawych i natrętnych. Rozpoczęte roboty zmieniły wygląd brzegu; plany przyszłych budynków rysowały się między kopcami uprzątniętej ziemi; ale już nie bardzo mogłem znaleźć miejsce, w którym się dokonała ofiara. Balsamowacze oddali swoją robotę: wąską trumnę z cedrowego drewna umieszczono w porfirowej kadzi, ustawionej na sztorc w najtajniejszej sali świątyni. Zbliżyłem się nieśmiało do umarłego. Wydawał się ukostiumowany: sztywny egipski strój głowy przykrywał włosy. Nogi owinięte bandażami były podłużnym, białym pakietem, ale profil młodego sokoła nie zmienił się; rzęsy rzucały na uróżowane policzki znany mi cień. Przed ukończeniem spowijania rąk w bandażu kazano mi podziwiać złote paznokcie. Zaczęły się modlitwy, umarły, przez usta kapłanów, oznajmiał, że był zawsze prawdomówny, zawsze czysty, zawsze współczujący i sprawiedliwy, chełpił się cnotami, które, gdyby je praktykował w tym wymiarze, na zawsze wyłączyłyby go spośród żyjących. Zjelczała woń kadzidła napełniła salę; poprzez obłok dymu usiłowałem ułoić złudzenie uśmiechu; piękna nieruchoma twarz jakby drgnęła. Wysłuchałem magicznych zaklęć, którymi kapłani przymuszają duszę zmarłego, by wcieliła cząstkę siebie w posąg, jakie będą przechowywały jej pamięć. Kiedy się to skończyło, położono złotą maskę, odlaną podług śmiertelnej formy z wosku; ściśle przylegała do twarzy. Ta piękna, niezniszczalna powierzchnia miała wkrótce wchłonąć w siebie tamtą moźność promieniowania i ciepła; będzie spoczywała na zawsze w tej hermetycznie zamkniętej skrzyni, nieruchomym symbolu nieśmiertelności. Położono na piersi bukiet akacji. Dwunastu

ludzi przykryło sarkofag ciężkim wiekiem. Ale jeszcze się wahałem, gdzie będzie grób. Pamiętałem, że zarządzając wszędzie uroczystości apoteozy, żałobne igrzyska, bicie monety, stawianie posągów na publicznych placach, zrobiłem jeden wyjątek, dla Rzymu: bałem się, by nie wzmóc nienawiści, jaka zawsze otacza każdego faworyta-cudzoziemca. Powiedziałem sobie, że nie zawsze będę obecny, żeby móc ten grób chronić. Grobowiec zbudowany u bram Antinoupolis wydawał mi się też za bardzo publiczny, za mało pewny. Posłuchałem rady kapłanów. W zboczu pewnej góry w łańcuchu arabskim; o jakie trzy mile od miasta, wskazali mi jedną z tych jaskiń, wybieranych niegdyś przez egipskich królów na szyby grobowe. Zaprząg wołów wwiózł sarkofag na to zbocze. Przy pomocy lin wciągnięto go w te kopalniane korytarze; oparto o skalny zrąb. Chłopiec z Klaudiopolis schodził do grobu jak faraon, jak Ptolomeusz. Zostawiliśmy go samego. Wszedł w to trwanie bez powietrza, bez światła, bez pór roku i bez końca, przy którym każde życie wydaje się krótkie; osiągnął równowagę bezruchu, może spokój. Stulecia, jeszcze zawarte w nieprzejrzystym łonie czasu, będą przemijały tysiącami nad tym grobem nie zwracając mu istnienia, ale też i nie dodając nic do tej śmierci, nie zmieniając faktu, że był. Hermogenes ujął mnie pod ramię, żeby mi pomóc wyjść na powietrze; było niemal radością znalezienie się znów na powierzchni, ujrzenie chłodnego niebieskiego nieba między dwiema ścianami płowych skał. Reszta podróży była krótka. Z Aleksandrii cesarzowa odpłynęła do Rzymu.

DISCIPLINA AUGUSTA

Wracalem do Grecji ladem. Podroz byla dluga. Mialem slusznosc myslac, ze bedzie to juz pewnie moja ostatnia cesarska podroz po Wschodzie; tym bardziej staralem sie wszystko zobaczyc na wlasne oczy. Antiochia, gdzie zatrzymalem sie na kilka tygodni, ukazala mi sie w nowym swietle; bylem mniej niz niegdyz wzraliwy na uroki teatrów, zabaw, na rozkosze ogrodów Dafne, na pstrokatą bliskość tłumów. Bardziej dostrzegalem wieczystą lekkomyślność tego zlosliwego i kpiarskiego ludu, który mi przypominal mieszkanców Aleksandrii, głupotę domniemanych ćwiczeń umysłowych, banalne popisywanie się zbytkiem bogaczy. Niemal żaden z tych dostojników nie obejmował w całości moich planów prac i reform w Azji; komentowali się ciągnięciem z nich korzyści dla swojego miasta, a zwłaszcza dla siebie. Przez chwilę chciałem wzmoćić, z uszczerbkiem dla aroganckiej stolicy syryjskiej, znaczenie Smyrny albo Pergamonu; ale przywary Antiochii są przyrodzone każdej metropolii: żadne z tych wielkich miast nie może być od nich wolne. Mój wstręt do życia miejskiego sprawił, że zacząłem troszczyć jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, o reformy agrarne; zakończyłem długą i skomplikowaną reorganizację dóbr cesarskich w Azji Mniejszej; chłopcy zaczęli się mieć lepiej, a państwo także. W Tracji umyślnie znów odwiedziłem Adrianopol, gdzie weterani z wojen dackich i sarmackich napłynęli, ściągając nadaniami ziemi i ulgami w podatkach. Ten sam system miał być zastosowany w Antinoupolis.

Już dawno przyznałem takie ulgi lekarzom i nauczycielom, chcąc ułatwić utrzymanie i rozwój klasy średniej, poważnej i wykształconej. Znam jej wady, ale państwo bez niej trwać nie może.

Ateny nadal były etapem ulubionym; zachwycalem się tym, że ich uroda była tak mało zależna od wspomnień, moich własnych i historycznych; to miasto wydawało się każdego ranka nowe. Zamieszkałem tym razem u Arriana. Wtajemniczony jak i ja w Eleuzis, został tym samym adoptowany przez jeden z wielkich rodów kapłańskich attyckiej ziemi, przez ród Keryksów, jak mnie adoptował ród Eumolpidów. Ożenił się w tej rodzinie; jego żoną była młoda Atenka, subtelna i dumna. Obydwoje otoczyli mnie dyskretnie opieką. Ich dom stał tuż przy nowej bibliotece, którą ofiarowałem Atenom i w której nie brakowało nic z tego, co może sprzyjać medytacji i wypoczynkowi, jaki ją poprzedza, wygodnych krzeseł, ogrzewania, niezbędnego podczas często przykrych zim, schodów dających łatwy dostęp na galerię, gdzie przechowywano książki, alabastru i złocień dyskretnego i spokojnego zbytku. Ze szczególną uwagą wybrano i porozmieszczano lampy. Coraz bardziej czułem potrzebę zbierania i przechowywania starych ksiąg, polecenia sumiennym skrybom, by robili z nich nowe kopie. To piękne zadanie wydawało mi się nie mniej pilne niż pomoc dla weteranów

czy zasiłki dla wielodzietnych i ubogich rodzin; myślałem sobie, że wystarczy kilka wojen, nędza, jaka po nich przychodzi, okres chamstwa i zdziczenia pod panowaniem kilku złych władców, by na zawsze zginęły myśli, które aż do nas dotarły dzięki tym kruchym przedmiotom z włókien i atramentu. Każdy człowiek, dosyć zamożny, by mniej lub bardziej korzystać z tej schedy kultury, wydawał mi się zobowiązany do powiernictwa wobec ludzkiego rodu.

Dużo czytałem w tym okresie. Namówiłem Flegona, by spisał, pod nazwą Olimpiady, serię kronik, które byłyby kontynuacją Helleników Ksenofonta i ukończyłyby się na moim panowaniu: plan śmiały, bo z olbrzymiej historii Rzymu robił tylko zwykły dalszy ciąg historii Grecji. Styl Flegona jest niemile suchy, ale już samo zebranie i ustalenie faktów będzie miało swoją wartość.

Ten projekt wzbudził we mnie chęć ponownego zajrzenia do dawnych dziejopisów; ich dzieło, skomentowane moim własnym doświadczeniem, natchnęło mnie ponurymi myślami; energia i dobre chęci każdego męża stanu wydawały się czymś bardzo blahym w zestawieniu z tym rozwojem zarazem przypadkowym i nieuniknionym, tym strumieniem okoliczności zbyt splątanych, by mogły być przewidywane, kierowane albo sądzone. Poeci też mnie zajmowali; lubiłem przywoływać z dawno minionej przeszłości tych kilka czystych i pełnych głosów. Zawarłem przyjaźń z Teognisem, arystokratą, wygnańcem, pozbawionym złudzeń i pobłażliwością obserwatorem ludzkich spraw, zawsze gotowym wytknąć te omyłki i te winy, które nazywamy naszymi niedolami. Ten tak trzeźwy człowiek zaznał dolegliwych rozkoszy miłości; na przekór podejrzeniom, zazdrościom, wzajemnym pretensjom, jego związek z Kymosem przetrwał aż do starości jednego, a dojrzałych lat drugiego: nieśmiertelność, jaką obiecywał młodzieńcowi z Megary, nie była pustym słowem, skoro to wspomnienie dosięgło mnie z odległości więcej niż sześciu wieków. Ale spośród poetów dawnych najbardziej przypadł mi do serca Antymach: lubiłem ten styl niejasny i gęsty, rozwinięte zdania, a przecież skondensowane do ostateczności, wielkie czasy z brązu, napełnione ciężkim winem. Wolałem jego opowieść o wyprawie Jazona od błyskotliwych Argonautyków Apolloniosa: Antymach lepiej pojął tajemnicę widnokręgów i podróży, i cień, rzucony przez krótkotrwałe istnienie ludzkie na wieczne krajobrazy. Namiętnie oplakiwał swoją żonę. Łydę; nazwał imieniem tej umarłej długi poemat, w którym pomieścił wszystkie legendy o żalu i żałobie. Ta Łydę, której może nie zauważyłbym żywej, stała się dla mnie osobą bliską, droższą mi niż niejedna kobieca postać z mojego własnego życia. Te wiersze, przecież prawie zapomniane, przywracały mi powoli ufność w nieśmiertelność.

Przejrzałem moje własne poezje: wiersze miłosne, okolicznościowe utwory, odę

poświęconą pamięci Plotyny. Pewnego dnia może ktoś zechce to wszystko przeczytać. Wahalem się przy wierszach pornograficznych; w końcu włączyłem i to do całości.

Nasi najuczciwsi ludzie pisują takie wiersze. Bawią się tym: wolałbym, żeby moje były czym innym, dokładnym wizerunkiem nagiej prawdy. Ale tu, jak i wszędzie, więżą nas komunały; zaczynałem rozumieć, że nie wystarczy sama śmiałość umysłu, by się od nich uwolnić, i że poeta zwycięża rutynę i narzuca swoją myśl słowom tylko dzięki wysiłkom nie mniej długotrwałym i upartym niż moje prace cesarskie. Ja osobiście mogłem sobie rościć pretensje tylko do przypadkowych satysfakcji twórczych amatora: byłoby dużo, gdyby z tej całej pisaniny zostały się dwa albo trzy wiersze. Nosilem się wszakże w tamtych czasach z myślą o dziele dość ambitnym, pisany w części prozą, w części wierszem, w którym chciałem pomieścić równocześnie powagę i ironię, ciekawe fakty zaobserwowane podczas mego życia, rozmyślenia, kilka snów; łączyłaby to w całość najcieńsza nić; byłoby to coś na kształt Satyrykami, tylko bardziej gorzkie. Wyłożyłbym w tym filozofię, która się stała moją, heraklitejską ideą przemiany i powrotu. Ale odłożyłem na bok ten zbyt rozległy projekt.

W owym roku odbyłem kilka rozmów z kapłanką, która niegdyś wtajemniczyła mnie w misteria Eleuzis i której imię musi pozostać nie ujawnione; zostały w nich ustalone okoliczności związane z kultem Antinousa. Wielkie eleuzyjskie symbole w dalszym ciągu działały na mnie kojąco; świat nie ma może żadnego sensu, ale jeżeli jakiś ma, został on wyrażony w Eleuzis rozumniej i szlachetniej niż gdzie indziej. To pod wpływem tej kobiety postanowiłem zrobić z administracyjnego podziału Antinoupolis, jego dzielnic, jego ulic, jego skupisk miejskich, plan boskiego świata i zarazem przeobrażony wizerunek mego własnego życia. Weszło tam wszystko, Hestia i Bachus, bogowie domowego ogniska i bogowie orgii, bóstwa niebieskie i bóstwa zagrobowe. Umieściłem tam moich cesarskich przodków, Trajana, Nerwę, którzy się stali istotną częścią tego systemu symbolów. Była tam i Plotyna; zacna Matidia została zespolona z Demetrą; nawet i moja żona, z którą łączyły mnie w tym okresie stosunki dosyć serdeczne, figurowała w orszaku boskich osób. W kilka miesięcy później nadałem jednej z dzielnic Antinoupolis imię mojej siostry Pauliny. Pokłóciłem się w końcu z żoną Serwianusa, ale zmarła Paulina odzyskała w tym mieście pamięci swoje jedyne miejsce: siostry. Ta smutna okolica stała się idealnym krajobrazem dla spotkań i wspomnień. Polami Elizejskimi życia, zakątkiem, w którym znikają sprzeczności, w którym wszystko, stosownie do rangi, jest jednakowo święte.

Stojąc przy oknie domu Arriana w rozgwieżdżoną noc myślałem o zdaniu, jakie egipcjscy kapłani kazali wyryć na trumnie Antinousa: "Usłuchał rozkazu nieb a." Czy to możliwe, by niebo dawało nam rozkazy i by najlepsi z nas słyszeli je tam, gdzie reszta ludzi

słyszysz tylko przytłaczające milczenie? Eleuzyńska kapłanka i Chabrias wierzyli w to. Chciałbym móc im przyznać słuszność. Znowu oglądałem w myśli tę dłoń, wygładzoną przez śmierć, taką, jaką po raz ostatni oglądałem rankiem w dniu balsamowania; linii, które mnie kiedyś niepokoiły, już na niej nie było; stało się z nią tak, jak z tabliczkami z wosku, z których zmazuje się wykonany rozkaz. Ale te ostateczne potwierdzenia oświeślały nie rozgrzewając, jak blask gwiazd, i noc dookoła była tam ciemniejsza. Jeśli ofiara Antinosa została gdzieś zważona na boskiej wadze na moją korzyść, dobrodziejstwa tego strasznego daru z siebie jeszcze nie dawały o sobie znać; te dobrodziejstwa nie były dobrodziejstwami życia ani choćby nieśmiertelności. Ledwie że miałem odwagę poszukać im imienia. Niekiedy, rzadko, słabe światełko migotało chłodno na horyzoncie mego nieba; nie-dodawało urody ani światu, ani mnie; dalej czułem się bardziej zniszczony niż zbawiony.

Właśnie gdzieś w tym czasie Quadratus, biskup chrześcijan, przysłał mi apologię swojej wiary. Wobec tej sekty moją zasadą było trzymanie się linii postępowania ściśle sprawiedliwej, jakiej przestrzegał Trajan za swoich najlepszych dni; przypomniałem niedawno zarządcom prowincji, że ochrona prawa rozciąga się na wszystkich obywateli i że oszczercy chrześcijan będą karani, gdyby ich oskarżali nie mając dowodów. Ale wszelka tolerancja wobec fanatyków każe im natychmiast uwierzyć w sympatię dla ich sprawy; trudno mi wyobrazić sobie, by Quadratus spodziewał się, że zrobi ze mnie chrześcijanina; postanowił w każdym razie dowieść mi doskonałości swojej doktryny, a zwłaszcza jej nieszkodliwości dla państwa. Przeczytałem jego dzieło; poleciłem nawet Flegonowi, gwoli zaspokojenia ciekawości, jaka się obudziła we mnie, by zebrał wiadomości o życiu młodego proroka imieniem Jezus, który założył sektę i umarł, padając ofiarą żydowskiej nietolerancji, jakieś sto lat temu. Ten młody mędrzec zostawił, zdaje się, nauki dosyć podobne do nauk Orfeusza, z którym go czasem porównują jego uczniowie. Poprzez dziwnie płaską prozę Quadratusa wyczułem jednak wruszający urok tych cnót ludzi prostych, ich łagodność, ich niewinność, ich wzajemne przywiązanie do siebie; to wszystko było bardzo podobne do bractw, jakie niewolnicy i ubodzy zakładają właściwie wszędzie ku czci naszych bogów na ludnych przedmieściach miast; w świecie, który mimo naszych wszystkich wysiłków jest twardy i obojętny dla ludzkich trosk i nadziei, te małe stowarzyszenia wzajemnej pomocy dają nieszczęśliwym oparcie i otuchę. Ale widziałem też i pewne niebezpieczeństwa. Ta gloryfikacja cnót dziecka i niewolnika dokonywała się kosztem zalet bardziej męskich i trzeźwych; odgadywałem pod tą skrytą i mdłą niewinnością okrutne nieprzejednanie sekciarza wobec obcych mu form życia i myśli, zuchwałą pychę, która mu każe uważać siebie za lepszego od reszty ludzi, i jego wzrok dobrowolnie ograniczony końskimi okularami.

Szybko mnie zmęczyły oszołamiające argumenty Quadratusa i strzępy filozofii, zapożyczone niezdarnie z pism naszych mędrców. Chabriasa, wciąż troszczącego się o kult należny bogom, niepokoił rozwój tego rodzaju sekt wśród motłochu po wielkich miastach; bał się o nasze stare religie, które nie nakładały na człowieka żadnego jarzma dogmatu, pozwalały się interpretować tak rozmaicie jak sama przyroda i pozwalały surowym sercom na stwarzanie sobie, jeśli taka była ich wola, moralności wyższej bez zniewalania mas do zasad zbyt niezłomnych, które z tej właśnie przyczyny muszą natychmiast zrodzić przymus i obłudę. Arrian był tegoż zdania. Przez cały wieczór dyskutowałem z nimi o nakazie polegającym na kochaniu bliźniego swego jak siebie samego; jest nazbyt sprzeczny z ludzką naturą, by rzeczywiście mógł go przestrzegać zwykły człowiek, który zawsze będzie kochał tylko siebie, i zgola nie przystoi mędrce, który siebie nie kocha bardziej niż innych.

W wielu punktach zresztą myśl naszych filozofów wydawała mi się tak samo ograniczona, niejasna albo jałowa. Trzy czwarte naszych umysłowych ćwiczeń to tylko przelewanie z pustego w próżne; zastanawiałem się, czy wzmagająca się czczość była wynikiem upadku inteligencji, czy też zaniku charakteru: tak czy inaczej, przeciętności umysłu niemal wszędzie towarzyszy zadziwiająca podłość duszy. Zleciłem Herodesowi Attykusowi dopilnowanie ' budowy sieci akweduktów w Troadzie; skorzystał z tego, by haniebnie roztrwonić publiczny grosz; wezwany do przedstawienia rachunków, odpowiedział bezczelnie, że jest dosyć bogaty, by pokryć każdy deficyt; już samo to bogactwo było gorszące. Jego niedawno zmarły ojciec postanowił go po cichu wydziedziczyć przez szczodre legaty dla obywateli Aten. Herodes po prostu odmówił wykonania ojcowskiego testamentu; wyniknął stąd proces, który jeszcze trwa. W Smyrnie Polemon, niegdyś mój bliski przyjaciel, pozwolił sobie wyrzucić za drzwi deputację rzymskich senatorów, którzy sądzili, że mogą liczyć na jego gościnność. Twój ojciec, Antoninus, najłagodniejszy z ludzi, uniósł się; mąż stanu i sofista, doszli aż do rękoczynów; ta walka na kułaki, niegodna przyszłego cesarza, była tym bardziej niegodna greckiego filozofa. Favorinus, chciwy karzeł, którego obsypałem zaszczytami i pieniędzmi, wszędzie rozpuszczał złośliwe dowcipy robione moim kosztem. Twierdził, że trzydzieści legii, którymi dowodziłem, były to moje jedyne ważne argumenty w filozoficznych szermierkach, w których się w mej próżności lubowałem i w których on pilnie zważał, by zostawić ostatnie słowo cesarzowi. Było to nazywanie mnie zarozumialcem i głupcem; było to zwłaszcza popisywanie się rzadką podłością. Ale bakałarzy zawsze będzie złościł fakt, że ktoś zna ich wiązniętą specjalność nie gorzej niż oni; wszystko daje mi powód do złośliwych uwag; kazałem wprowadzić do szkolnych programów za bardzo zlekceważone dzieła Hezjoda i Eniusza; ci rutyniarze natychmiast pomówili mnie o chęć zdetronizowania

Homera i klarownego Wergiliusza, którego przecież cytowałem nieustannie. Z takimi ludźmi nie można dojść do ładu.

Arrian był więcej wart. Lubilem rozmawiać z nim -o wszystkim. Po młodzieńcu z Bitynii zachował wspomnienie olśniewające i poważne; byłem mu wdzięczny, że tę miłość, której był świadkiem, stawia na wyżynie dawnych wielkich i odwzajemnianych przywiązań; mówiliśmy o niej czasami, ale choć nie padło głośno żadne kłamstwo, niekiedy zdawało mi się, że wyczuwam w naszych słowach jakiś fałsz; prawda ginęła pod wzniosłością. Niemal taki sam zawód mi sprawił Chabrias: miał on dla Antinousa ślepe przywiązanie starego niewolnika do młodego pana, ale teraz, przejęty kultem nowego boga, jakby całkiem zapomniał o żywym człowieku. Mój czarny Eutbrion przynajmniej widział wszystko bardziej z bliska. Arrian i Chabrias byli mi drodzy i zgoła nie czułem się kimś lepszym od tych dwóch porządnych ludzi, ale zdawało mi się chwilami, że tylko ja jeden staram się mieć szeroko otwarte oczy.

Tak, Ateny wciąż były piękne i nie żałowałem, że podporządkowałem moje życie dyscyplinom greckim. Wszystko, co jest w nas ludzkie, uładzone i świadome, mamy z nich. Ale nieraz mówiłem sobie, że nieco ciężka powaga Rzymu, jego zmysł ciągłości, jego zamiłowanie do konkretności były potrzebne, by przekształcić w rzeczywistość to, co w Grecji pozostało cudownym poglądem umysłu, pięknym porywem duszy. Platon napisał Państwo i chwalił ideę Sprawiedliwości, ale to my, ucząc się na własnych błędach, staraliśmy się w trudzie zrobić z państwa mechanizm zdalny do służenia ludziom i możliwie najmniej grozący im zmiążdżeniem. Słowo "filantropia" jest greckie, ale to prawnik Salvius Julianus i ja pracujemy nad poprawą nędznej kondycji niewolnika. Pracowitość, przezorność, dokładność w szczegółach, poprawiające śmiałość ujęć ogólnych, były to cnoty, których się nauczyłem w Rzymie. Gdzieś na dnie świadomości zdarzało mi się odnajdywać rozległe, melancholijne krajobrazy Wergiliusza i jego zasnute łzami zmierzchy; schodziłem jeszcze głębiej; spotykałem pałacy smutek Hiszpanii i jej suchą gwałtowność; myślałem o kroplach krwi celtyckiej, iberyjskiej i może punickiej, jakie musiały się wsączyć w żyły rzymskich kolonów w municypium Italiki; wspominałem, że mojego ojca nazywano Afrykańczykiem. Grecja pomogła mi wykorzystać te składniki, które nie były greckie. Podobnie rzecz się miała z Antinousem; zrobiłem z niego godło tego kraju namiętnie kochającego piękno; będzie może jego ostatnim bogiem. A jednak wyrafinowana Persja i dzika Tracja sprzymierzyły się w Bitynii z pasterzami starożytnej Arkadii: ten lekko orli profil przypominał paziów Osroesa; ta szeroka twarz o wystających kościach policzkowych była twarzą trackich jeźdźców, którzy galopują po brzegach Bosforu, a wieczorami śpiewają chrypliwe i smutne pieśni. Żadna

formuła nie była dosyć kompletna, żeby wszystko w sobie zmieścić.

Ukończyłem tego roku poprawianie konstytucji ateńskiej rozpoczęte o wiele wcześniej. Wracałem w niej, w miarę możliwości, do starych demokratycznych ustaw Kleistenesa. Zmniejszenie liczby urzędników ulżyło wydatkom państwowym; zabroniłem puszczać w dzierżawę podatki; jest to system katastrofalny, niestety, stosowany jeszcze tu i ówdzie przez administracje lokalne. Fundacje uniwersyteckie, porobione w tym czasie, dopomogły Atenom: znów stały się ważnym ośrodkiem naukowym. Amatorzy piękna, którzy przede mną zjeżdżali się do tego miasta, komentowali się podziwianiem jego zabytków nie przejmując się wzrastającą nędzą jego mieszkańców. Ja natomiast zrobiłem wszystko, żeby pomnożyć źródła dochodu tej ubogiej ziemi. Jeden z wielkich zamiarów mego panowania doszedł do skutku tuż przed moim wyjazdem: utworzenie dorocznych zjazdów posłów, za pośrednictwem których miano odtąd omawiać w Atenach sprawy greckiego świata, przywróciło temu skromnemu i doskonałemu miastu rangę metropolii. Ten zamiar urzeczywistnił się po długich i niełatwych rokowaniach z miastami zazdrosnymi o supremację Aten albo żywiącymi w stosunku do Aten odwieczne i przedawnione urazy; powoli jednak rozsądek i zapał zwyciężyły. Pierwszy z tych zjazdów odbył się równocześnie z otwarciem dla publicznych religijnych obrzędów Olimpiejonu; ta świątynia stała się jeszcze bardziej symbolem odnowionej Grecji.-

Dano z tej okazji w teatrze Dionizosa szereg wyjątkowo udanych widowisk: siedziałem na miejscu nieco tylko podwyższonym, obok hierofanty; kapłan "Antinousa też miał do tej pory swoje miejsce między dygnitarzami i duchowieństwem. Kazałem powiększyć scenę teatru; ozdobiły ją nowe płaskorzeźby; na jednej z nich mój młody Bityńczyk otrzymywał od eleuzyńskich bogiń coś na kształt prawa obywatelstwa w wieczności. Na stadionie panatenajskim, przekształconym na kilka godzin w las z bajki, urządziłem łowy, w których brało udział tysiąc dzikich zwierząt, ożywiając w ten sposób na krótką chwilę święta sielskie i dzikie miasto Hipolita, służebnika Diany, i Tezeusza, towarzysza Herkulesa. W niewiele dni później opuściłem Ateny. I już tam nigdy nie powróciłem.

Administracja Italii, zdana przez wieki na widzimisię pretorów, nigdy nie została ostatecznie skodyfikowana. "Edykt wieczysty", który ją reguluje raz na zawsze, pochodzi z tego okresu mego życia; od lat korespondowałem z Salviusem Julianusem na temat tych reform; mój powrót do Rzymu przyspieszył ich wykończenie. Szło nie o to, by odebrać italskim miastom ich obywatelskie swobody; wręcz odwrotnie, najkorzystniejsze dla nas, tu jak i gdzie indziej, jest nienarzucanie przemocą sztucznej jednolitości; dziwię się nawet, że te municipia, często starsze od Rzymu, są tak skłonne do wyrzekania się swoich obyczajów, nieraz całkiem rozumnych, byle we wszystkim upodobnić się do stolicy. Moim celem było po prostu zmniejszenie tej masy sprzeczności i nadużyć, jakie w końcu robią z procedury gęsty las, w który ludzie uczciwi nie mają odwagi zapuszczać się i w którym w najlepsze prosperują bandyci. Te prace zmuszały mnie do dosyć częstych podróży po półwyspie. Mieszkałem kilkakrotnie w Bajach, w dawnej willi Cycerona, którą kupiłem na początku mego panowania; polubiłem tę prowincję Kampanii przypominającą mi Grecję. Na wybrzeżu Adriatyku, w niewielkim mieście Hadria, skąd moi przodkowie już blisko cztery wieki temu wyemigrowali do Hiszpanii, zostałem uhonorowany najwyższymi municypalnymi dostojenstwami; przy tym burzliwym morzu, którego imię noszę, odnalazłem rodzinne urny w rozpadającym się columbarium. Podumałem tam o tych ludziach, o których niemal nic nie wiem, ale z których wyszedłem i których ród na mnie się kończył.

W Rzymie pracowano przy powiększaniu mego kolosalnego Mauzoleum; Decrianus udatnie przerobił jego plany; po dziś dzień trwają te prace. Egipt natchnął mnie pomysłem tych kolistych galerii, tych zejść prowadzących do podziemnych sal; powziąłem zamiar zbudowania pałacu śmierci, który nie byłby tylko dla mnie i moich najbliższych spadkobierców, ale do którego przyjdą spocząć przyszli cesarze, oddaleni od nas o perspektywy wieków; władcy jeszcze nie narodzeni będą tam mieli swoje miejsce już wyznaczone w grobowcu. Zadbalem też o przyozdobienie pomnika wzniesionego na Polu Marsowym pamięci Antinousa, dla której do budowli płaskie tratwy przywiozły z Aleksandrii obeliski i sfinksy. Nowy zamysł zajmował mnie długo i zajmuje nadal: Odeon, nowa biblioteka, wyposażona w sale do wykładów i posiedzeń, która byłaby w Rzymie ośrodkiem kultury greckiej. Budowałem ją z mniejszym przepychem niż nową bibliotekę w Efezie przed czterema czy pięcioma laty, z mniejszym wykwintem niż bibliotekę ateńską. Liczę, że ta fundacja będzie konkurencją dla Muzeum Aleksandryjskiego, może mu nawet dorówna; jej przyszły rozwój od ciebie będzie zależał. Zajmując się tym, często myślę o pięknej inskrypcji, jaką Plotyna kazała umieścić na progu biblioteki założonej jej staraniem na Forum Trajana: "Przytułek duszy".

Willa była wystarczająco skończona, bym tam mógł przewieźć moje zbiory, moje instrumenty muzyczne, kilka tysięcy książek, skupowanych po trosze wszędzie podczas moich podróży. Wydałem tam kilka uczt, w których wszystko było starannie skomponowane, dobór podawanych potraw i dość ograniczona lista gości. Dbałem, żeby wszystko zestrajało się ze spokojnym pięknem tych ogrodów i tych sal; żeby owoce były tak samo wyborne jak koncerty i porządek dań tak samo przejrzysty jak cyzelunek na srebrnych półmiskach. Po raz pierwszy interesowałem się doborem moich pokarmów; zarządziłem, by ostrygi zawsze sprowadzono z Lacus Lucrinus, a raki wydobywano z rzek Galii. Przez wstręt do wystawnego niechlujstwa, jakie nazbyt często charakteryzuje stół cesarski, rozkazałem, by każdy półmisek był mi pokazywany przed podaniem go nawet najmniej znacznemu z moich współbiesiadników; sam sprawdzałem rachunki kucharzy i dostawców; czasami przypominałem sobie, że mój dziadek był skąpy. Mały teatr grecki w Willi i teatr łaciński, nieco większy, ale niewiele, nie zostały jeszcze ukończone; kazałem tam jednak odegrać kilka sztuk, na mój rozkaz grano tragedie i pantomimy, dramaty muzyczne i atellany. Najbardziej lubowałem się subtelną gimnastyką tańców; odkryłem w sobie słabość dla tancerek z kastanietami, które mi przypominały Hiszpanię i pierwsze widowiska, jakie oglądałem będąc dzieckiem. Lubilem ten suchy stuk, te podniesione ramiona, to rozwijanie i zwijanie się szalów, tancerkę, która przestaje być kobietą, żeby stawać się to obłokiem, to znów ptakiem, to falą, to znów łodzią. Poczulem nawet do jednej z tych istot pociąg, dosyć krótkotrwały. Psiarnie i stadniny nie były zaniedbywane podczas moich nieobecności; odnalazłem szorstką sierść psów, jedwabiste grzbiety koni, piękną sforę paziów. Urządziłem kilka polowań, w Umbrii, na brzegu jeziora Trazymeńskiego i, bliżej Rzymu, w lasach albańskich. Rozkosz odzyskała swoje miejsce w moim życiu; mój sekretarz Onesimos służył mi za jej dostawcę. Wiedział, kiedy trzeba było unikać pewnych podobieństw, a kiedy, przeciwnie, wynajdywać je. Ale ten śpieszący się i roztargniony kochanek nie był kochany. Spotykałem czasem stworzenie czulsze albo subtelniejsze od innych, kogoś, z kim warto było pomówić, może znów się spotkać. Te szczęśliwe przypadki były rzadkie, zapewne z mojej winy. Zazwyczaj zadowalałem się zaspokojeniem albo oszukaniem swojego głodu. Kiedy indziej zdarzało mi się odczuwać wobec tych igraszek starczą obojętność.

Podczas bezsennych godzin chodziłem po korytarzach Willi, błakając się z sali do sali, przeszkadzając czasem rzemieślnikowi, który pracował przy układaniu mozaiki; przechodząc spoglądałem na Satyra Praksytelesa, przystawałem przed wizerunkami umarłego. Każda komnata miała swój, i każdy portyk. Oslaniałem ręką płomyk mojej lampy; muskałem palcami kamienną pierś. Te konfrontacje komplikowały zadanie mojej pamięci; odsuwałem,

jak kotarę, biel marmuru z Paros czy Pentelikonu; cofałem się w miarę sił od unieruchomionych konturów do kształtu żywego, od twardego marmuru do ciała. Mój obchód nocny trwał dalej; wybadany posąg cofał się w ciemność; lampa znajdowała mi na kilka kroków przede mną inny wizerunek; te wielkie białe figury nie różniły się niczym od widm. Wspominałem z goryczą zaklęcia, jakimi egipscy kapłani ściągali duszę zmarłego do drewnianych posążków używanych do jego kultu; robiłem, jak oni; zaklinałem kamienie, które z kolei mnie zaklęły; już się nie wymknę tej ciszy, temu zimnu, bliższemu mi teraz niż ciepło i głosy żywych; patrzyłem z wyrzutem na tę niebezpieczną twarz o umykającym uśmiechu. Ale w kilka godzin później, leżąc w łóżku, postanawiałem zamówić u Papiasa z Afrodyzji nowy posąg; domagałem się wierniejszego modelunku policzków tam, gdzie się nieznacznie wgłębiają pod skroniami, łagodniejszego nachylenia szyi i pleców; każę zastąpić wieńce z wina i kokardy z drogich kamieni świetnością gołych włosów. Nie zapomniałem o tym, by kazać drążyć te płaskorzeźby i popiersia, co, zmniejszając ich ciężar, ułatwiło transport. Najpodobniejsze towarzyszyły mi wszędzie; nie dbałem nawet o to, czy były piękne, czy nie.

Moje życie na pozór było stateczne; przykładałem się pilniej niż kiedykolwiek do mego rzemiosła cesarza; w moje prace wkładałem więcej rozeznania, jeśli nie tyle co niegdyś zapалу. Po trosze straciłem zamiłowanie do nowych myśli i spotkań i tę giętkość umysłu, która pozwalała mi wnikać w myśl cudzą, korzystać z niej sądząc ją. Moją ciekawość, w której niegdyś widziałem samą sprężynę myśli, jedną z podwalin mojej metody, pobudzały teraz tylko całkiem błahe drobiazgi; otwierałem listy przeznaczone dla moich przyjaciół, którzy się poobrażali o to; takie zajrzenie w ich miłości i domowe kłótnie na chwilę bawiło mnie. Łączyła się z tym zresztą i podejrzliwość: przez kilka dni byłem ofiarą strachu przed trucizną, okrutnego strachu, jaki niegdyś widziałem w spojrzeniu chorego Trajana, a do jakiego władca nie ma odwagi się przyznać, bo wydaje się śmieszny, póki go nie usprawiedliwią wydarzenia. Taki lęk musi się wydać dziwny u człowieka skądinąd zagłębianego w rozmyślaniach o śmierci, ale nie pochlebiam sobie, bym był konsekwentniejszy niż inni. Tajone gniewy, dzikie furie ogarniały mnie przy najdrobniejszych głupstwach, najzwyczajniejszych podłościach, oburzenia, z których nie wyłączałem i siebie. Juwenalis ośmielił się obrazić w swoich Satyrach mima Parysa, który podobał mi się. Znużył mnie ten nadęty i zrzędny poeta; nie ceniłem jego pospolitej pogardy dla Wschodu i Grecji, nienaturalnego uwielbienia dla domniemanej prostoty naszych ojców i tej mieszanki szczegółowego opisu występku i cnotliwej deklamacji, która łechce zmysły czytelnika uspokajając zarazem jego obłudę. Jako literat, miał jednak prawo do pewnych

względów; kazałem go wezwać do Tiburu, by mu osobiście oznajmić wyrok wygnania. Skoro tak gardził zbytkiem i rozkoszami Rzymu, będzie mógł na miejscu studiować obyczaje prowincjonalne; zniewagi dla pięknego Parysa będą dla niego samego zejściem ze sceny. Favorinus w tymże czasie osiedlił się na wygodnym wygnaniu na Chios, gdzie sam chętnie bym pomieszkał, ale skąd jego zgrzytliwy głos nie mógł mnie dosięgnąć. Także wtedy kazałem haniebnie wygnąć z sali uczy handlarza mądrością, niedomytego cynika, który się skarżył, że umiera z głodu, jakby ta zgraja zasługiwała na coś innego; miałem dużą przyjemność patrząc, jak ten gaduła, zgięty we dwoje ze strachu, zmyka wśród ujadania psów i drwiącego śmiechu paziów: filozoficzny i literacki motłoch już mi nie imponował.

Najdrobniejsze zawody w życiu politycznym drażniły mnie akurat tak samo, jak w Willi najmniejsza nierówność posadzek, najmniejsza smużka wosku na marmurze stołu, najmniejszy defekt przedmiotu, który miał być doskonały i czysty. Raport Arriana, mianowanego niedawno namiestnikiem Kapadocji, przestrzegł mnie przed Farasmanesem, grającym nadal w swoim małym królestwie na brzegu Morza Kaspijskiego tę podwójną grę, która nas drogo kosztowała za Trajana. Ten królik skrycie popychał w kierunku naszych granic hordy Alanów; jego klótnie z Armenią zagrażały pokojowi na Wschodzie. Wezwany do Rzymu, odmówił przybycia, jak już raz odmówił udziału w konferencji w Samosacie, przed czterema laty. Zamiast usprawiedliwienia przysłał mi podarek: trzysta złotych sukien, królewskie szaty, w które kazałem ubierać na arenie zbrodniarzy oddawanych zwierzętom na pożarcie. Ten niezbyt zrównoważony postępek ucieszył mnie tak, jak cieszy człowieka drapanie się aż do krwi.

Miałem sekretarza, przeciętnego czelczykę, którego trzymałem, bo znał na wylot kancelaryjne obowiązki; ale niecierpliwiło mnie jego kłótlive i uparte zarozumiałstwo, niechęć do próbowania nowych metod, nieustanne sprzeczenie się o byle nieistotny drobiazg. Ten głupiec zirytował mnie pewnego dnia bardziej niż zwykle; podniosłem rękę, żeby uderzyć; na nieszczęście, trzymałem w niej rylec, który trafił w prawe oko. Nigdy nie zapomnę tego skowytu bólu, ramienia zgiętego niezdarnie, żeby się zasłonić przed ciosem, tej wykrzywionej twarzy, z której trysnęła krew. Natychmiast posłałem po Hermogenesa, by mu udzielił pierwszej pomocy; następnie wezwałem okulistę Kapitona. Ale na próżno; oko było stracone. W kilka dni później wrócił do pracy; miał bandaż w poprzek twarzy. Wezwałem go; poprosiłem pokornie, żeby sam ustalił odszkodowanie, jakie mu się należy. Odpowiedział mi ze złym uśmiechem, że mnie prosi tylko o jedno, o inne prawe oko. Jednak przyjął wreszcie pensję. Zatrzymałem go w kancelarii; jego obecność jest dla mnie przestrożą, może karą. Nie chciałem osłepić tego biedaka. Ale nie chciałem też, żeby chłopiec, który mnie kochał, umarł

mając dwadzieścia lat

Sprawy żydowskie szły coraz gorzej. Roboty w Jerozolimie były na ukończeniu, pomimo gwałtownych sprzeciwów zelotów. Popelniono pewną ilość błędów, w zasadzie do naprawienia, z których jednak podżegacze do zamieszek potrafili szybko korzystać. Dziesiąta Legia Ekspedycyjna ma w godle dzika; umieszczono ten znak u bram miasta, jak to jest w zwyczaju; motłoch, nie przyzwyczajony do malowideł i rzeźb, których go od wieków pozbawia zabobon, bardzo szkodliwy dla rozwoju sztuk, wziął ten obraz za obraz wieprza i dopatrywał się w tej drobnostce zniewagi wyrządzonej obyczajom Izraela. Święta żydowskiego Nowego Roku, obchodzone w wielkim zgłęku trąb i baranich rogów, co roku dawały powód do krwawych awantur; nasze władze zabroniły publicznego odczytywania legendarnej opowieści o czynach żydowskiej bohaterki, która została jakoby, pod zmienionym imieniem, konkubiną króla Persji i doprowadziła do dzikiej rzezi wrogów swego pogardzanego i prześladowanego ludu. Rabini odczytywali jednak w nocy to, czego namiestnik Tineius Rufus zabraniał im odczytywać w dzień; ta straszliwa opowieść, w której Persowie i Żydzi rywalizują w okrucieństwie, podniecała aż do szału narodową zaciekłość zelotów. Nareszcie, tenże Tineius Rufus, człowiek skądinąd całkiem rozumny i starający się poznać baśnie i tradycje Izraela, postanowił podciągnąć obrzezanie, obrządek żydowski, pod surową ustawę, którą wydałem świeżo przeciwko kastracji, a która ściagała przede wszystkim krzywdy wyrządzone młodym niewolnikom w celu zysku albo rozpusty. Spodziewał się, że tym sposobem skasuje jeden ze znaków, którymi Izrael chciałby się odróżniać od reszty ludzkości. Tym mniej zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa tego zarządzenia, kiedy mnie zawiadomiono o tym, że wielu Żydów oświeconych i bogatych, jakich się spotyka w Aleksandrii i w Rzymie, nie poddaje już swoich dzieci obrzędowi, który naraża na kpiny w publicznych łaźniach i gimnazjach, i stara się i u siebie zatrzeć jego ślad. Nie wiedziałem, jak bardzo ci bankierzy-kolekcjonerzy waz z mirry różnią się od prawdziwego Izraela.

Rzekłem: nic z tego wszystkiego nie było nie do naprawienia, ale była nie do naprawienia nienawiść, wzajemna pogarda, uraza. W zasadzie judaizm ma swoje miejsce między religiami cesarstwa; w rzeczywistości Izrael od wieków nie zgadza się być tylko ludem między ludami, mającym swojego boga między bogami. Najdziksi Dakowie wiedzą, że ich Zalmoksis nazywa się w Rzymie Jowiszem; punicki Baal z góry Cassius zidentyfikował się bez trudu z Ojcem trzymającym w dłoni Zwycięstwo, z którego się zrodził Rozum; Egipcjanie, tak przecież dumni ze swoich dziesięciokrotnie odwiecznych baśni, godzą się widzieć w Ozyrysie Bachusa wyposażonego w atrybuty żałobne; surowy Mitra stał się bratem Apollina. Żaden lud, oprócz Izraela, nie ma bezczelnych uroszczeń do zamykania całej prawdy w wąskich granicach jednego pojęcia boskości, obrażając tym wielorakość Boga,

który wszystko w sobie mieści; żaden inny bóg nie wzbudza w swoich wielbicielach pogardy i nienawiści dla tych, którzy modlą się przy innych ołtarzach. Tym bardziej starałem się zrobić z Jerozolimy miasto jak wszystkie, gdzie kilka ras i kilka religii mogłoby egzystować w spokoju; zapomniałem, że w każdej walce fanatyzmu ze zdrowym rozsądkiem rzadko zwycięża ten ostatni. Otwarcie szkół, w których uczono literatury greckiej, oburzyło duchowieństwo starego miasta; rabbi Joszua, człowiek miły i wykształcony, z którym nieraz rozmawiałem w Atenach, ale który usilnie się starał, by mu jego lud przebaczył cudzoziemską kulturę i stosunki z nami, nakazał swoim uczniom, by zajmowali się tą bezbożną nauką tylko wtedy, jeśli znajdą dla niej godzinę nie należącą ani do dnia, ani do nocy, bowiem żydowski zakon ma być studiowany dniem i nocą. Izmael, poważany człowiek Sanhedrynu, uchodzący za sprzyjającego Rzymowi, wołał dopuścić do śmierci swojego siostrzeńca Ben Dama niż skorzystać z usług greckiego chirurga, którego mu posłał Tineius Rufus. Kiedy w Tiburze jeszcze się starano znaleźć sposoby pogodzenia umysłów bez jawnych ustępstw wobec wymagań fanatyków, na Wschodzie zwyciężyło najgorsze; w Jerozolimie udał się zamach zelotów.

Awanturnik pochodzący ze społecznych mętów, niejaki Szymon, który kazał się nazywać Bar-Kochba, Syn Gwiazdy, odegrał w tym buncie rolę główni nasyconej smołą albo zapalającego zwierciadła. Mogę ocenić tego Szymona tylko ze słyszenia; widziałem go raz oko w oko, w dniu, w którym centurion przyniósł mi jego ściętą głowę. Ale jestem skłonny mu przyznać tę część geniuszu, jaka jest nieodzowna, by się wznieść tak wysoko i tak szybko na społecznej drabinie; nie narzuci się siebie innym, nie mając choćby pospolitej zręczności. Umiarkowani Żydzi pierwsi oskarżali domniemanego Syna Gwiazdy o oszustwo i szalbierstwo; ja myślę raczej, że ten nieoświecony umysł sam uwierzył we własne kłamstwa i że fanatyzm dorównywał chytrłości w tym człowieku. Szymon podał się za bohatera, na którego lud żydowski czeka od wieków, by nasycić swoje ambicje i nienawiści; ten demagog ogłosił się Mesjaszem i królem Izraela. Stary Akiba, któremu pomieszało się w głowie, oprowadzał za uzdę po ulicach Jerozolimy konia awanturnika; arcykapłan Eleazar jeszcze raz poświęcił świątynię, jakoby zbezczeszczoną przez nie obrzezanych, którzy przekraczali jej próg; broń, zakopana w ziemi od dwudziestu lat, została rozdana rebeliantom przez agentów Syna Gwiazdy; tak samo sprzęt niezdatny do użytku, umyślnie wyrabiany od lat w naszych arsenałach przez żydowskich robotników, który nasza intendencja odrzucała. Bandy zelotów napadały na odcięte od siebie rzymskie załogi i w swej furii wyrzuciły naszych żołnierzy z okrucieństwem i wyrafinowaniem przywodzącymi na myśl najgorsze wspomnienia żydowskiego buntu za Trajana; cała Jerozolima wpadła więc w ręce powstańców i nowe dzielnice

Aelia Capitojna spłonęły jak pochodnie. Pierwsze oddziały Dwudziestej Drugiej Legii Deiotanańskiej, pośpiesznie przysłane z Egiptu pod rozkazy legata Syrii, Publiusza Marcellusa, zostały rozbite przez bandy dziesięciokrotnie przewyższające je liczbą. Bunt zamienił się w wojnę, w wojnę niewybaczalną.

Dwie legie. Dwunasta Piorunująca i Szósta Żelazna, natychmiast wzmocniły wojska już znajdujące się w Judei; w kilka miesięcy później Juliusz Severus, który niegdyś pacyfikował górskie okolice północnej Brytanii, objął dowództwo nad działaniami wojskowymi, przyprowadził ze sobą niewielkie kontyngenty posiłkowych wojsk brytyjskich, przyzwyczajonych do walki w trudnym terenie. Naszym ciężko wyekwipowanym żołnierzom, naszym oficerom, przywykłym do szyku kwadratowego albo falangowego regularnych bitew, trudno było się wdrożyć w tę wojnę nagłych utarczek i niespodzianek, która w szczerym polu wymagała techniki walk ulicznych. Szymon, człowiek na swój sposób wielki, podzielił swoich zwolenników na setki drużyn, które się zaczęły na szczytach wzgórz, w jaskiniach i opuszczonych kamieniołomach, kryły po mieszkaniach na rojnych przedmieściach miast; Severus szybko zrozumiał, że ten nieuchwytny nieprzyjaciel może zostać wytępiony, ale zwyciężony nie zostanie; musiał się pogodzić z prowadzeniem wojny wyniszczającej. Chłopi, stanatyzowani albo sterroryzowani przez Szymona, od początku trzymali stronę zelotów; każda skała była fortecą, każda winnica okopem, każda zagroda musiała być brana głodem albo szturmem. Jerozolimę odbito dopiero w trzecim roku, kiedy ostatnie usiłowania rokowań okazały się daremne; resztki żydowskiego miasta, oszczędzone przez pożar Tytusa, zostały obrócone w perzynę. Severus długo przymykał oczy na jawne sprzyjanie innym dużym miast; te miasta, ostatnie fortece nieprzyjaciela pod koniec wojny, też były później z kolei zdobywane, ulica po ulicy, ruina po ruinie. W tej porze próby moje miejsce było w polu, i to w Judei. Do moich dwóch zastępców miałem całkowite zaufanie; tym bardziej wypadało, bym tam był, żeby dzielić odpowiedzialność za decyzje, które, niezależnie od naszej chęci, zapowiadały się straszliwie. Pod koniec drugiego roku wojny z goryczą zacząłem się sposobieć do drogi, Eutonon jeszcze raz spakował neseser z przyborami toaletowymi, trochę ze zużycia pogięty, stare już dzieło smyr-neńskiego rzemieślnika, skrzynię książek i map, posążek z kości słoniowej Cesarskiego Geniusza i jego srebrną lampkę; wsiałem na okręt w Sydonie, na początku jesieni.

Wojsko to moje najdawniejsze rzemiosło, ilekroć doń wracałem, zawsze przymus, na jaki się musiałem zdobyć, opłacał mi się wewnątrz, nie żałuję, że przez dwa ostatnie czynne lata mego życia dzielił z legionami trudy i niedole wojny w Palestynie. Znow się stałem człowiekiem przyodzianym w skórę i żelazo, który odkłada na bok wszystko, co nie

jest natychmiastową koniecznością, podtrzymywanym przez proste wymagania twardego życia, nieco wolniej niż niegdyś wsiadającym na konia i zsiadającym z konia, nieco bardziej milczącym, może bardziej ponurym, otoczonym jak zawsze przez wojsko (jedni bogowie wiedzą czemu) przywiązaniem zarazem bałwochwalczym i braterskim. Podczas tego ostatniego pobytu w wojsku zdarzyło mi się nieoszacowane spotkanie, wziąłem sobie za adiutanta młodego trybuna imieniem Celer, do którego przywiązałem się Znasz go, nie rozstał się ze mną. Podziwiałem tę twarz Minerwy w kasku, ale wszystko razem wzięwszy, udział zmysłów w tym uczuciu był tak niewielki, jaki być może, póki człowiek żyje Polecam ci Celera ma wszystkie zalety, jakie pragniemy widzieć u oficera stojącego w drugim szeregu, i właśnie te cnoty nigdy mu nie pozwolą przepchnąć się do pierwszego. Jeszcze raz odnalazłem, w okolicznościach nieco odmiennych niż niegdyś, jedną z tych istot, których przeznaczeniem jest poświęcanie się. Kochanie i służenie Odkąd znam go, Celer nie pomyślał ani razu o czymś, co nie byłoby moją wygodą albo bezpieczeństwem; "jeszcze się wspieram na tym silnym ramieniu.

Na wiosnę trzeciego roku wojny wojska oblegały cytadelę w Bethar, orle gniazdo, gdzie Szymon i jego zwolennicy opierali się przez blisko rok powolnym mękom głodu, pragnienia i rozpaczcy i gdzie Syn Gwiazdy patrzył, jak jego wierni giną po kolei, odmawiając poddania się. Nasze wojsko cierpiało bez mała tak samo jak buntownicy: cofając się, popalili oni winnice, poniszczyli pola, wyrznęli bydło, popsuli wodę w studniach wrzucając tam naszych poległych; te barbarzyńskie metody, zastosowane do tej ziemi z natury jałowej, już zżartej do kości przez długie wieki szaleństwa i furii, były ohydne. Lato było skwarne i niezdrowe; gorączka i dyzenteria dziesiątkowała nasze wojska; cudowna dyscyplina dalej rządziła legionami skazanymi równocześnie na bezczynność i stałe pogotowie; znękaną i chorą armię podtrzymywało coś na kształt milczącej wściekłości, jaka się udzieliła i mnie. Moje ciało nie znosiło już tak dobrze jak niegdyś trudów wojny, upalnych dni, dusznych albo zimnych nocy, ostrego wiatru i gryzącego kurzu; zdarzało mi się zostawić w menażce gotowaną słoninę i soczewicę, codzienny obozowy wikt; wolałem być głodny. Kaszlałem paskudnie mimo lata; nie ja jeden. W mojej korespondencji z Senatem polecitem skasować formułę figurującą obowiązkowo na początku oficjalnych komunikatów: "Cesarz i armia mają się dobrze." Przeciwnie, cesarz i armia byli niebezpiecznie zmęczeni. Wieczorem, po ostatniej rozmowie z Severusem, ostatnim przesłuchaniu zbiegów, ostatniej poczcie z Rzymu, ostatnim meldunku Publiusza Marcellusa, który czyścił okolice Jerozolimy, czy Rufusa, zajętego reorganizacją Gazy, Euforion odmierzał mi skąpo wodę do kąpieli w kadzi ze smołowanego płótna; kładłem się na łóżku; próbowałem myśleć.

Nie przeczę: ta wojna w Judei była jedną z moich porażek. Zbrodnie Szymona i szaleństwo Akiby nie były moim dziełem, ale wyrzucałem sobie, że byłem zaślepiony w Jerozolimie, roztargniony w Aleksandrii, niecierpliwy w Rzymie. Nie potrafiłem znaleźć słów, które by zapobiegły albo przynajmniej opóźniły ten atak furii ludu; nie umiałem być w porę dosyć giętkim i dosyć stanowczym. Bo i, zaiste, nie mieliśmy powodów do niepokoju, a tym bardziej do rozpacz; omyliliśmy się i przeliczyli tylko w naszych rachunkach z Izraelem; gdzie indziej zbieraliśmy wszędzie w tej porze kryzysu owoce szesnastu lat wspaniałości wobec Wschodu. Szymon liczył na powstanie świata arabskiego, jakie niegdyś nazaczyło swoim piętnem ostatnie i ponure lata panowania Trajana; więcej, odważył się rachować na pomoc partyjską. Omylił się i ten błąd w rachunku był powodem jego powolnej śmierci w oblężonej cytadeli w Bethar; szczepy arabskie odcięły się od żydowskich gmin; Partowie byli wierni traktatom. Nawet synagogi wielkich miast syryjskich okazały się wahające albo letnie: najgorętsze ograniczały się do posyłania zelotom pieniędzy; żydowska ludność Aleksandrii, tak przecież niesforna, zachowała spokój; żydowski wrzód został umiejscowiony na jałowym terenie między Jordanem i morzem; można było bezpiecznie znieczulić albo odciąć ten chory palec. A jednak, w pewnym sensie, jakby znów zaczęły się złe dni z najpierwszego okresu mego panowania. Quietus spalił niegdyś Cyrenę, wytracił starszyznę Laodycei, odebrał ruiny Edessy... Wieczorna poczta przyniosła mi właśnie wieści, żeśmy odzyskali kupę kamiennych zwalisk, którą nazwałem Aelia Capitolina, a którą Żydzi jeszcze nazywali Jerozolimą; spaliliśmy Askalon; trzeba było masowo tracić buntowników w Gazie... Jeżeli szesnaście lat panowania władcy, namiętnie pokojowego, doprowadziło do wojny w Palęstynie, szansę pokoju, na świecie okazywały się na przyszłość dość mizerne.

Dźwigałem się na łokciu, niewygodnie mi było na tym wąskim polowym tapczanie. Owszem, niektórzy Żydzi nie ulegli zelockiej zarazie: nawet w Jerozolimie faryzeusze pluli Akibie pod nogi, nazywając starym wariatem tego fanatyka, który odrzucił precz solidne korzyści rzymskiego pokoju, wołali za nim, że trawa mu w ustach wyrośnie, nim ktokolwiek na ziemi zobaczy zwycięstwo Izraela. Jednak mimo wszystko wołałem fałszywych proroków od tych Filistrów, którzy gardzili nami licząc, że ochronimy od szaleństwa Szymona ich złoto umieszczone w syryjskich bankach i ich fermy w Galilei. Myślałem o zbiegach, którzy kilka godzin temu siedzieli pod tym namiotem, pokorni, posłuszni, usłużni, ale siadający zawsze tak, by być tyłem do wizerunku mojego Geniusza. Nasz najlepszy agent, Elias Ben Abayad, który pełnił dla Rzymu funkcję informatora i szpiega, zjednał sobie słuszną pogardę obydwu obozów; a przecież był to najinteligentniejszy człowiek, z całej grupy, liberalny umysł, chore serce miotające się między miłością do swojego ludu i sympatią dla naszej literatury i dla nas;

on też zresztą myślał w gruncie rzeczy tylko o Izraelu. Jozue Ben Kisma, kaznodzieja uspokojenia, był drugim Akibą, tylko bardziej nieśmiałym i obłudnym; nawet w rabbin Jozua, który długo był moim doradcą w sprawach żydowskich, wyczuwałem pod giętkością i chęcią podobania się odmienności nie do pogodzenia, punkt, w którym dwie myśli, z natury przeciwstawne sobie, spotykają się tylko po to, żeby się zwalczać. Nasze terytoria rozciągały się na setkach mil, tysiącach stadiów za tym wyschłym widnokregiem wzgórz, ale skała Bethar była dla nas słupem granicznym; mogliśmy zburzyć grube mury tej cytadeli, gdzie Szymon popełniał swoje szaleńcze samobójstwo; nie mogliśmy nie pozwolić tej rasie, by nam nie mówiła: "nie".

Bzykał komar; Euforion, coraz starszy, nie zasunął dokładnie cienkich zasłon z gazy; książki, mapy, porozrzucane na ziemi, szeleściły na wietrze wpelzającym popod ścianami z płótna. Usiadłszy na łóżku wkładałem obuwie, szukałem po omacku tuniki, pasa, sztyletu; wychodziłem," żeby odetchnąć nocnym powietrzem. Chodziłem po szerokich, regularnych ulicach obozu, pustych o tej późnej porze, oświetlonych jak ulice miasta; warty uroczyście pozdrawiały mnie, kiedy je mijał; przechodząc koło baraku, w którym się mieścił szpital, wdychałem mdły smród dyzenterii. Szedłem na wał z ziemi, który nas dzielił od przepaści i od nieprzyjaciela; wartownik chodził długim, równym krokiem po tym szlaku nocnych patroli, niebezpiecznie widocznym przy księżycu; poznawałem w tym miarowym chodzeniu tam i z powrotem ruch kółka olbrzymiej maszyny, której byłem osią; na chwilę wzruszał mnie widok tego samotnego kształtu, wątego płomyka palącego się w ludzkiej piersi wśród niebezpiecznego świata. Świstała strzała, tylko trochę bardziej natrętna niż komar, który mi przeszkadzał pod namiotem; opierałem się o worki z piaskiem przy opasującym obóz murze.

Od kilku lat przypisują mi dziwne dary jasnowidzenia, wzniosłe tajemnice. Mylą się; nie wiem nic. Ale to prawda, że podczas tych nocy w Bethar zjawiały mi się przed oczami niepokojące widma. Perspektywy otwierające się przed umysłem z wysokości tych nagich wzgórz były mniej majestatyczne niż widoki z Janiculum, mniej złociste niż widoki z Sunionu; były ich przeciwległym biegunem. Mówiłem sobie, że darmo byłoby spodziewać się dla Aten i Rzymu tej nieśmiertelności, jaka nie jest dana ani ludziom, ani rzeczom, i jakiej najmędrsi z nas odmawiają nawet bogom. Te kunsztowne i skomplikowane formy życia, te cywilizacje osiadłe w swoim wyrafinowaniu sztuki i szczęścia, ta swoboda umysłu, który poznaje i sądzi, były uzależnione od okoliczności niezliczonych i rzadkich, od warunków niemal niemożliwych do zebrania, które zapewne długo nie potrważą. Zniszczymy Szymona; Arrianowi uda się uchronić Armenię od napaści Alanów. Ale przyjdą inne hordy, inni fałszywi prorocy. Nasze wątłe wysiłki dla poprawienia ludzkiej doli będą tylko od niechcenia

kontynuowane przez naszych następców; ziarno błędu i zniszczenia, zawarte w samej istocie dobra, monstrualnie się rozrośnie w ciągu wieków. Zmęczony nami świat poszuka sobie innych panów; co nam się wydawało rozumne, wyda się głupie, co nam się wydawało piękne, wyda się szkaradne. Rasa ludzka, jak wtajemniczany w kult Mitry, potrzebuje może kąpieli we krwi i okresowego przechodzenia przez dół grobowy. Widziałem, jak wracają okrutne kodeksy, nieubłagani bogowie, widziałem świat poszatowany na wrogie sobie państwa, skazany na wieczną niepewność. Inne warty, narażone na inne strzały, będą chodziły po wałach przyszłych miast; głupia, sprośna i okrutna gra będzie trwała dalej i gatunek, starzejąc się, doda jej zapewne nowych wyrafinowań zgrozy. Nasza epoka, której niedostatki i wady znałem lepiej niż ktokolwiek, będzie może uważana, przez kontrast, za jeden ze złotych wieków ludzkości. Natura deficit, fortuna mutatur, deus omnia cernit. Natura nas zdradza, fortuna się zmienia, bóg patrzy z góry na to wszystko. Obracałem na palcu kamień pierścienia, na którym w jakiś dzień goryczy kazałem wyryć te kilka gorzkich słów; posuwałem się jeszcze dalej w rozczarowaniu, może w bluźnierstwie; uważałem za naturalne, jeśli nie sprawiedliwe, że musimy zginąć. Nasza literatura wyczerpuje się; nasze sztuki zasypiają; Pan-krates nie jest Homerem; Arrian nie jest Ksenofontem; kiedy próbowałem unieśmiertelnić w kamieniu kształt Antinousa, nie znalazłem Praksytelesa. Nasza nauka drepcze w miejscu od Arystotelesa i Archimedesesa; nasz postęp techniczny nie oprze się zniszczeniom długiej wojny; nawet naszym poszukiwaczom rozkoszy już się przykrzy szczęście. Złagodzenie obyczajów, postęp myśli w trakcie ostatniego wieku jest dziełem maleńkiej mniejszości szlachetnych umysłów; masy dalej są ciemne, okrutne, kiedy mogą, w każdym razie samolubne i ograniczone, i można by się założyć, że takie będą zawsze. Nazbyt wielu chciwych prokuratorów i urzędników skarbu, nazbyt wielu podejrzliwych senatorów, nazbyt wielu brutalnych centurionów przedwcześnie naraziło na szwank nasze dzieło; zaś czas, potrzebny, by uczyć się na ich błędach, nie jest już dany cesarstwom ani ludziom. Gdzie tkacz scerowałby swoje płótno, gdzie dobry rachmistrz naprawiłby błąd, gdzie artysta ulepszyłby arcydzieło jeszcze niedoskonałe albo już trochę popsute, natura woli zaczynać od gliny, od chaosu, i właśnie to marnotrawstwo nazywamy naturalnym porządkiem rzeczy.

Podnosiłem głowę; poruszałem się, żeby rozprostować kości. Wysoko, z cytadeli Szymona, bił w niebo słaby, czerwonawy blask, niezrozumiały znak nocnego życia nieprzyjaciół. Wiał wiatr od Egiptu; przechodził, jak widmo, wir piasku; ścięte profile wzgórz przypominały mi łańcuch arabski przy księżycu. Wracałem wolno, zasłaniając usta połą płaszcza, zły na siebie, że zmarnowałem na te puste rozważania noc, którą mogłem zużyć na przygotowanie następnego dnia albo na sen. Jeżeli Rzym runie, będzie dotyczyło to moich

następców; w tym roku osiemset osiemdziesiątym siódmym rzymskiej ery moje zadanie polegało na zdławieniu buntu w Judei, na ściągnięciu ze Wschodu bez większych strat chorej armii. Przechodząc przez plac, ślizgałem się czasem we krwi straconego w przeddzień buntownika. Kładłem się w ubraniu na łóżku; w dwie godziny później budziły mnie o świcie trąbki pobudki.

Przez całe życie byłem w dobrej komitywie z moim ciałem; z samej natury rzeczy liczyłem na jego posłuszeństwo i odporność. To ściśle przymierze zaczęło się psuć; moje ciało przestawało stanowić jedną całość z moją wolą, z moim umysłem, z tym, co trzeba mi, niezdarnie, nazwać moją duszą; dawniejszy pojętny towarzysz był już tylko niewolnikiem, który narzeka na swoją robotę. Moje ciało bało się mnie; stale czułem w piersi niewyraźną obecność strachu, ucisk, który jeszcze nie był bólem, ale już był pierwszym krokiem w stronę bólu. Od dawna przywykłem do bezsenności, ale teraz sen był gorszy niż jego brak; ledwie zasnąwszy, budziłem się w przerażeniu. Miewałem bóle głowy, które Hermogenes przypisywał upalności klimatu i ciężkości kasku; wieczorem, po długotrwałych trudach, siadałem tak, jak się pada; podniesienie się na powitanie Rufusa czy Severusa było wysiłkiem, do którego się szykowałem na zapas, przez długą chwilę; moje łokcie ciężko opierały się o poręcze krzesła; moje uda drżały jak u zmordowanego biegacza. Najmniejszy ruch stawał się udręką i z tych udręk składało się życie.

Wypadek właściwie śmieszny, dziecinna dolegliwość ujawniła chorobę ukrytą pod dojmującym zmęczeniem. Podczas narady sztabu poszła mi krew z nosa, co zlekceważyłem z początku; jeszcze ciekła podczas wieczerzy; obudziłem się w nocy cały we krwi. Zawołałem Celera, który spał w sąsiednim namiocie; on z kolei zaalarmował Hermogenesa, ale wstrętny, ciepły krwotok dalej trwał. Troskliwe ręce młodego oficera ścierały płyn, który mi plamił twarz; o świcie dostałem drgawek, jakie miewają w Rzymie skazani na śmierć, którzy otwierają sobie żyły w kąpielu. Rozgrzano, ile się tylko dało, kołdrami i gorącymi okładami to ciało, które już stygło; na zatrzymanie upływu krwi Hermogenes przepisał śnieg; nie było go w obozie; pokonując tysiączne trudności Celer sprowadził śnieg ze szczytów Hermonu. Dowiedziałem się później, że już zwątpiono o moim życiu; ja sam czułem się związany z nim tylko najcieńszą z nici, nienamacalną jak ten za szybki puls, który niepokoił mojego lekarza. Niewytłumaczalny krwotok jednak ustał; wstałem z łóżka, zmuszałem się, by żyć jak zawsze; nie udało mi się. Pewnego wieczoru, kiedy jeszcze nie całkiem zdrow, nierozważnie spróbowałem krótkiej przejażdżki konnej, otrzymałem powtórne ostrzeżenie, jeszcze poważniejsze niż pierwsze. Przez sekundę czułem, jak uderzenia mego serca przyśpieszają się, potem zwalniają, urywają, ustają; zdawało mi się, że spadam jak kamień w nie wiem jak czarną studnię, która jest zapewne śmiercią. Jeśli to była ona, mylą się ci, którzy twierdzą, że jest cicha: byłem porwany przez wodospad, ogłuszony jak nurek hukiem wód. Nie spadłem na dno, wróciłem na powierzchnię, dusiłem się. Moja cała siła w tym momencie, który wydawał mi się ostatnim, skoncentrowała się w mojej ręce zaciśniętej na ramieniu Celera, który stał obok mnie: pokazał mi później ślady moich palców na tym ramieniu. Ale z tą

krótką agonią jest tak samo jak ze wszystkimi doświadczeniami ciała: jest nieprzekazywalna w słowach i pozostaje, czy chcesz, czy nie chcesz, tajemnicą człowieka, który ją przeżył. Przechodziłem od tamtej pory przez podobne chwile, ale nigdy takie, i zapewne nie można by wytrzymać dwukrotnie, nie umierając, takiego lęku i takiej ciemności. Hermogenes stwierdził wreszcie początki puchliny serca; trzeba było się pogodzić z rozkazami, jakie mi dawała ta choroba, która nagle stała się moim panem, przystać na długi okres bezczynności, jeśli nie odpoczynku, ograniczyć na pewien czas perspektywy mego życia do ram łóżka. Niemalże wstydziałem się tej choroby, całkiem wewnętrznej, jakby niewidocznej, bez gorączki, bez wrzodów, bez bólei w kiszkiach, której objawy to tylko oddech trochę bardziej chrypliwy i siny znak zostawiany na obrzmiałej nodze przez rzemyk sandała.

Niezwykła cisza otoczyła mój namiot; cały obóz pod Bethar stał się jakby pokojem chorego. Aromatyczna oliwa spalająca się u stóp mojego Geniusza czyniła jeszcze duszniejszym powietrze zamknięte w tej płóciennej klatce; stukot młota w kuźni moich żył kazał mi przypominać sobie o wyspie Tytanów na krawędzi nocy. W innych chwilach ten nieznośny stuk stawał się niby hałas galopu po miękkiej ziemi; duch, tak starannie trzymany w cuglach przez blisko pięćdziesiąt lat, czmychał; wielkie ciało płynęło z prądem; godziłem się być tym zmęczonym człowiekiem, który w roztargnieniu liczy gwiazdki i kwadraciki na swojej kołdrze; spoglądałem na białą plamę popiersia w półmroku; pieśń na cześć Epony, bogini koni, którą niegdyś śpiewała po cichu moja hiszpańska piastunka, duża posępna kobieta, podobna do Parki, wstawiała z dna otchłani głębokiej na więcej niż pół wieku. "Dnie, potem noce, wydawały się odmierzane brunatnymi kroplami, które Hermogenes wlewał po jednej do kubka z wodą.

Wieczorem zbierałem siły, żeby wysłuchać raportu Rufusa: wojna kończyła się. Akiba, który na początku walk na pozór wycofał się z życia publicznego, wykładał prawo rabinistyczne w małej mieścinie Usfa w Galilei; ta sala wykładowa stała się ośrodkiem zelockiego oporu; te dziewięćdziesięcioletnie ręce szyfrowały i przekazywały stronnikom Szymona tajne meldunki; trzeba było siłą poodsyłać do domów sfanatyzowanych uczniów, którzy otaczali tego starca. Po długich namysłach Rufus zdecydował się zakazać nauki zakonu żydowskiego jako podburzającej do buntu; w kilka dni później Akiba, który zlekceważył ten dekret, został aresztowany i skazany na śmierć. Dziewięciu innych doktorów zakonu, dusza stronnictwa zelotów, zginęło razem z nim. Aprobowałem te środki zaradcze skinieniem głowy. Akiba i jego wierni umierali przekonani aż do końca, że oni jedni są niewinni i sprawiedliwi; żaden z nich nie pomyślał o wzięciu na siebie swojej części odpowiedzialności za nieszczęścia, jakie spadły na ich lud. Zazdrościłbym im, gdyby można

było zazdrościć ślepcom. Nie odmawiam tym dziesięciu straceńcom imienia bohaterów; wszelako nie byli to mędracy.

W trzy miesiące później, w zimny lutowy ranek, z wysokości pagórka, oparty o pień figowca, którego liście opadły, patrzyłem na szturm, który o kilka godzin wyprzedził kapitulację Bethar; widziałem, jak wychodzą, po jednym, ostatni obrońcy fortecy, zmizerowani, wychudli, wstrętnei, a przecież piękni jak wszystko, co nie ujarzmione. Pod koniec tegoż miesiąca kazałem się zawieźć do miejsca zwanego Studnią Abrahama, gdzie buntownicy wzięci z bronią w ręku zostali zgromadzeni i sprzedani z licytacji; szydercze dzieci, już okrutne, zniekształcone nieustępliwymi przekonaniem, już chełpiące się bardzo głośno, że zadały śmierć dziesiątkom legionistów, starcy zamknięci w lunatycznym śnie, matrony o zwiotczających ciałach i inne, uroczyste i posępne jak Wielka Matka z kultów Wschodu, defilowali pod zimnym wzrokiem handlarzy niewolników; ten tłum przeszedł przede mną jak kurz. Jozue Ben Kisma, przywódca tak zwanych umiarkowanych, któremu się rola pacyfikatora tak rozpaczliwie nie powiodła, zmarł w tym samym czasie po długiej chorobie; umierając, życzył nam wojny i zwycięstwa Fartów nad nami. Natomiast Żydzi-chrześcijanie, których nie ruszaliśmy, a którzy mieli żal do reszty hebrajskiego ludu o prześladowanie ich proroka, widzieli w nas narzędzie bożego gniewu. W dalszym ciągu mnożyły się obłądy i nieporozumienia.

Napis umieszczony na miejscu, gdzie niegdyś była Jerozolima, zabraniał Żydom pod karą śmierci osiedlania się znowu na tej kupie gruzów, powtórzono w nim, słowo po słowie, zdanie wypisane niegdyś na portalu świątyni, zabraniające wstępu do niej nie obrzezanym. W jeden dzień w roku, dziewiąty miesiąca Ab. Żydom wolno jest przyjść i płakać przy zburzonym murze. Najpobożniejsi nie chcieli opuścić rodzinnej ziemi; osiedlili się, jak mogli, w okolicach najmniej zniszczonych wojną; najbardziej sfanatyzowani wyemigrowali do krainy Fartów; inni poszli do Antiochii, do Aleksandrii, do Pergamonu; najsprytniejsi udali się do Rzymu, gdzie kwitną. Judea została wykreślona z mapy i przybrała na mój rozkaz nazwę Palestyny. Przez te cztery lata wojny splądrowano i zburzono pięćdziesiąt fortec i więcej niż dziewięćset miast i wsi; nieprzyjaciół stracił blisko sześćset tysięcy ludzi; boje, miejscowe choroby, zarazy zabrały nam blisko dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Przywracanie kraju do ładu rozpoczęło się natychmiast po zakończeniu prac wojennych; Aelia Capitolina została odbudowana, zresztą w skromniejszej skali; zawsze trzeba znów zaczynać od początku.

Wypoczywałem przez pewien czas w Sydonie, gdzie grecki kupiec odstąpił mi swój dom i swoje ogrody. W marcu wewnętrzny dziedziniec był już cały w różach. Nabrałem sił:

aż mnie zdziwiły zasoby tego ciała, które powaliła gwałtowność pierwszego kryzysu. Nie wie się, czym jest choroba, póki się nie pozna jej dziwnego podobieństwa do wojny i miłości: jej kompromisów, jej udawań, jej wymagań, cudacznego i jedyne amalgamatu, wyniku połączenia temperamentu i rodzaju cierpienia. Byłem zdrowy, ale na przechytrzenie mego ciała, na narzucenie mu mojej woli albo przezorne ustępowanie jego woli używałem tyle umiejętności, ile niegdyś wkładałem w rozszerzanie i porządkowanie mego świata, budowanie mojej osobowości i upiększanie mojego życia. Znow wróciłem do ćwiczeń gimnastycznych, z umiarem; mój lekarz już mi nie zabraniał konnej jazdy, ale teraz był to tylko sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce; wyrzekłem się dawnej niebezpiecznej woltyżerki. Podczas każdej pracy, każdej przyjemności praca i przyjemność już nie były najważniejsze, dbałem przede wszystkim o to, by im podołać bez zmęczenia. Moi przyjaciele byli zachwyceni wyzdrowieniem na pozór tak całkowitym; starali się wierzyć, że choroba była tylko skutkiem nadmiernych wysiłków tych lat wojny i że już nie wróci; ja sądziłem inaczej; myślałem o wielkich sosnach w bityńskich lasach, które drwał zaznacza, mijając, nacięciem i które zetnie w następnym roku. Pod koniec wiosny wyruszyłem do Italii na okręcie wojennym; zabrałem ze sobą Celera, nieodzownego mi, i Diotyma z Gadary, spotkanego w Sydonie młodego Greka niewolniczego urodzenia, który był piękny. Droga powrotna wiodła przez Archipelag; po raz ostatni zapewne w moim życiu patrzyłem na skaczące w błękitnej wodzie delfiny; obserwowałem, już nie myśląc o wyciąganiu stąd przepowiedni, długie, regularne przeloty wędrownych ptaków, które czasem-, żeby odpocząć, siadały przyjaźnie na pokładzie statku; wdychałem woń soli i słońca na ludzkiej skórze, zapach pistacji i terpentyny idący z wysp, na których chciałoby się żyć i na których się, jak z góry wiadomo, nie wysiądzie. Diotym otrzymał doskonałe wykształcenie literackie, jakie często daje się, by jeszcze powiększyć ich wartość, niewolnikom wyposażonym w uroki ciała; o zmierzchu, leżąc na rufie pod purpurowym baldachimem, słuchałem, jak czytał mi poetów swego kraju, póki noc nie zatarła pospołu i wierszy opisujących tragiczną niepewność ludzkiego żywota, i tych, które mówią o gołębiach, wieńcach z róż i całowanych ustach. Z morza wydobywał się wilgotny oddech; gwiazdy jedna po drugiej wschodziły na wyznaczonych sobie miejscach; statek, pochylony wiatrem, mknął na Zachód, gdzie jeszcze widniała ostatnia czerwona smuga; fosforyzująca bruzda znaczyła wodę za nami szybko ginąc pod czarnymi masywami fal. Myślałem sobie, że czekają mnie w Rzymie tylko dwie sprawy ważne; jedną był wybór mego następcy, który interesował całe cesarstwo; drugą - moja śmierć, i ta tylko mnie dotyczyła.

Rzym przygotował mi triumf, na który tym razem przystałem. Już nie zwalczałem starych obyczajów, zarazem czcigodnych i próżnych; wszystko, co wydobywa na jaw wysiłek człowieka, choćby na jeden dzień, wydawało mi się zbawienne wobec świata, który zapominał tak szybko. Szło nie tylko o zdławienie żydowskiego buntu; w znaczeniu głębszym i znanym tylko mnie jednemu, zwyciężyłem. Imię Arriana też włączyłem w ten triumf; zadał był właśnie hordom Alanów liczne klęski, które je odrzuciły na długo w nieznaną stronę Azji, skąd chciały wyjść; Armenia była ocalona, czytelnik Ksenofonta okazał się jego naśladowcą; nie zaginęło plemię literatów, którzy potrafią w potrzebie rozkazywać i bić się. Tego wieczoru, po powrocie do mojego domu w Tiburze, z sercem zmęczonym, ale spokojnym wziąłem z rąk Diotymy wino i kadzidło na codzienną ofiarę mojemu Geniuszowi.

Jako prywatny człowiek zacząłem skupować i łączyć ze sobą tereny położone u stóp Gór Sabińskich, na brzegach bystrych strumieni, z cierpliwym uporem* wieśniaka, który zaokrągliła swoją winnicę. W przerwach między cesarskimi podróżami rozbijałem obóz w tych laskach wydanych na pastwę murarzy i architektów; niegdyś pewien młodzieniec, przesiąknięty wszystkimi zabobonami Azji, prosił pobożnie, by oszczędzano drzewa. Po powrocie z mojej wielkiej podróży na Wschód zabrałem się z igraszką szaleńczą do wykańczania tych dekoracji do sztuki już w trzech czwartych odegranej. Tym razem wróciłem, by możliwie najprzystojniej dokonać moich dni. Wszystko tu było urządzone, by ułatwić i pracę, i przyjemność: kancelaria, sale posłuchań, trybunał, w którym jako ostatnia instancja rozstrzygałem trudne sprawy, oszczędzały mi męczących jazd z Tiburu do Rzymu. Każdemu z tych budynków nadałem imię pochodzące z Grecji: Poikile, Akademia, Prytanejon. Wiedziałem, że ta porośnięta oliwkami dolina nie była doliną Tempe, ale już wkroczyłem w wiek, kiedy każde piękne miejsce przypomina inne, piękniejsze, każda rozkosz zaostza się wspomnieniem minionych rozkoszy. Pogodziłem się z tą nostalgią, która jest melancholią pragnienia. Nadałem nawet najcienistszemu zakątkowi parku nazwę Styks, łąkę usianą anemonami nazwę Pola Elizejskie, przygotowując się tym sposobem do innego świata, którego udręki są podobne do udręk naszego, którego mgliste radości nie są warte naszych. A w sercu tego zacisza kazałem sobie zbudować schronienie jeszcze zaciszniejsze, marmurową wysepkę na środku basenu otoczonego kolumnadą, ukrytą komnatę, którą zwodzony most, tak lekki, że jedną ręką mogłem go spuszczać i podnosić, łączy z brzegiem, a raczej od brzegu oddziela. Kazałem przenieść do tego pawilonu kilka najulubieńszych posągów i to małe popiersie Augusta jako dziecka, które mi w czasach naszej przyjaźni dał Swetoniusz; przychodziłem tam w porze sjezdy, żeby spać, żeby marzyć, żeby czytać. Mój pies leżał na progu, sztywno wyciągnąwszy przed siebie łapy; Diotym, żeby -się ochłodzić,

opierał policzek o gładkie obrzeżenie wodotrysku. Myślałem o moim spadkobiercy.

Nie mam dzieci i nie żałuję tego. Rzecz oczywista, że w godzinach zmęczenia i słabości, kiedy człowiek się samego siebie zapiera, czasem wyrzucałem sobie, że się nie postarał spłodzić syna, który byłby moim przedłużeniem. Ale taki żal, bardzo daremny, opiera się na dwóch hipotezach jednakowo wątpliwych: tej, że syn jest z konieczności naszym przedłużeniem, i tej, że ów dziwny zbiór dobrego i złego, ta suma osobistych cech nieważnych i cudaczkich, jaka stanowi ludzką osobę, zasługuje na przedłużenie. Używałem, jak mogłem najlepiej, moich zalet; ciągnąłem korzyści z moich wad; ale nie zależy mi specjalnie na tym, by przekazać komuś w spadku siebie. Nie przez krew zresztą ustanawia się rzeczywista ludzka ciągłość: Cezar jest bezpośrednim spadkobiercą Aleksandra, a nie wątpliwe dziecko, zrodzone z perskiej księżniczki w jakiejś fortecy Azji; a Epaminondas, umierając bezpotomnie, słusznie się chlubił, że jego wiktorie są jego córkami. Większość ludzi, którzy się w dziejach liczą, miała potomków przeciętnych albo i gorzej: wydawać by się mogło, że na nich wyczerpały się wszystkie siły rodu. Czułość ojca jest niemal zawsze w konflikcie z interesami władcy. Gdyby nawet było inaczej, taki syn cesarza musiałby jeszcze wyjść cało z niebezpieczeństw książęcego wychowania, gorszego niż wszystko dla przyszłego panującego. Na szczęście zasadą sukcesji cesarskiej, jaką nasze państwo stworzyło sobie, jest adopcja: poznaję w tym rozumność Rzymu. Znam niebezpieczeństwa wyboru i jego możliwe omyłki; wiem, że nie tylko ojcowskie uczucia mogą być ślepe; ale taka decyzja, którą kieruje inteligencja, a przynajmniej uczestniczy w niej, będzie mi się zawsze wydawała nieskończenie cenniejsza od ciemnych woli przypadku i niemrawej przyrody. Cesarstwo najgodniejszemu: jest rzeczą piękną, by człowiek, który dowiódł swojej kompetencji w kierowaniu sprawami świata, wybierał sobie następcę i żeby ta decyzja, tak brzemienna w skutki, była zarazem jego ostatnim przywilejem i ostatnią wyświadczoną państwu przysługą. Ale ten tak doniosły wybór wydawał mi się bardziej niż kiedykolwiek trudny do zrobienia.

Miałem gorzki żal do Trajana, że zwlekał dwadzieścia lat, zanim się zdecydował mnie adoptować, i że to zrobił dopiero na łożu śmierci. Ale minęło już lat blisko osiemnaście, odkąd zostałem cesarzem, i mimo niebezpieczeństw ruchliwego życia i ja z kolei odkładałem na później wybór mojego sukcesora. Krążyły już tysiące plotek, prawie wszystkie fałszywe; budowano tysiące domysłów, ale to, co uważano za mój sekret, było po prostu moją niepewnością i wahaniem. Rozglądałem się naokoło: widziałem mnóstwo uczciwych urzędników; żaden nie miał potrzebnej skali. Czterdzieści lat nieskazitelnej uczciwości przemawiało za Marcjuszem Turbonem, moim drogim towarzyszem z dawnych lat, moim niezrównanym prefektem pretoriańskiej gwardii; ale był w moim wieku, był za stary. Juliusz

Severus, wyborny generał, dobry administrator Brytanii, niewiele rozumiał ze skomplikowanych spraw Wschodu; Arrian złożył dowody wszystkich zalet, jakich wymaga się od męża stanu, ale był Grekiem, a za wcześnie jeszcze było narzucać rzymskim przesądom cesarza greckiego.

Serwianus jeszcze żył: jego długowieczność wyglądała na długotrwałe wyrachowanie, upartą formę wyczekiwania. Czekał od sześćdziesięciu lat. Za czasów Nerwy adopcja Trajana zarazem i ośmieliła go, i zawiodła; miał większe nadzieje; ale dojście do władzy tego krewniaka bez ustanku zajętego wojskiem wydawało się zapewniać jemu miejsce w państwie poczesne, drugie, być może; tu też się omylił: otrzymał tylko dosyć wątpliwą porcję zaszczytów. Czekał w epoce, kiedy to polecił swoim niewolnikom napaść na mnie na skraju topolowego lasu, na brzegu Mozeli; śmiertelny pojedynek, rozpoczęty tamtego ranka między młodzieńcem i pięćdziesięcioletnim mężczyzną, trwał przez dwadzieścia lat; szkodził mi u władcy, wyolbrzymiał moje wybryki, korzystał z najmniejszych błędów. Taki wróg jest doskonałym nauczycielem ostrożności: Serwianus, wszystko razem wzięwszy, nauczył mnie wielu rzeczy. Kiedy objąłem władzę, miał dosyć przebiegłości, by się na pozór pogodzić z nieuniknionym; umył ręce po spisku czterech byłych konsulów; wolałem nie dostrzec plam na tych jeszcze brudnych palcach. On ze swej strony zadawał się protestowaniem tylko po cichu i oburzaniem się tylko za zamkniętymi drzwiami. Podtrzymywany w Senacie przez małe a może stronnictwo nieusuwalnych konserwatystów, którym moje reformy były nie na rękę, usadowił się wygodnie w roli milczącego krytyka rządów. Powoli zraził do mnie moją siostrę Paulinę. Miał z nią tylko jedną córkę wydaną za niejakiego Salinatora, człowieka z dobrej rodziny, którego wyniosłem na urząd konsula, ale młodo zabrały go suchoty; moja siostrzenica nie o wiele go przeżyła; ich jedyne dziecko, Fuscus, było wychowywane w nienawiści do mnie przez niebezpiecznego dziadka. Ale nienawidziliśmy się z zachowaniem form przyzwoitości: nie odmawiałem mu udziału w pełnieniu funkcji publicznych, unikając wszakże występowania przy nim podczas uroczystości, gdzie jego wiek dałby mu krok przed cesarzem. Po każdym powrocie do Rzymu zgadzałem się przez przyzwoitość wziąć udział w jednej z tych rodzinnych uczt, gdzie wszyscy mają się na baczności; pisywaliśmy do siebie listy; jego listy nie były pozbawione dowcipu. W końcu jednak zbrzydła mi ta rndła obłuda. Możliwość zrzucania maski we wszystkim jest, moim zdaniem, jedną z niewielu korzyści, jakie daje starzenie się; odmówiłem przybycia na pogrzeb Pauliny. W obozie w Bet-har, podczas najgorszych godzin fizycznych boleści i niewiary, najbardziej gorzka była myśl, że Serwianus osiąga cel, i to osiąga z mojej winy; ten osiemdziesięcioletni starzec, tak oszczędzający swoich sił, z pewnością przeżyje pięćdziesięciosiedmioletniego chorego. Gdybym umarł bez

testamentu, potrafi pozyskać i głosy niezadowolonych, i poparcie tych, którzy będą sądzili, że są mi wierni obierając mojego szwagra; skorzysta z tego wątpliwego powinowactwa, żeby podkopać moje dzieło. Żeby się uspokoić, powtarzałem sobie, że cesarstwo mogłoby znaleźć i gorszego pana; Serwianus nie był w końcu bez zalet; nawet tłusty Fuscus będzie może kiedyś godny stać się cesarzem. Ale cała reszta energii, jaka mi została, buntowała się przeciwko temu kłamstwu i chciałem żyć, żeby zgnieść tego gada.

Po powrocie do Rzymu znów się spotkałem z Lucjuszem. Niegdyś zaciągnąłem wobec niego zobowiązania, o jakich zazwyczaj z lekkim sercem zapominamy, ale dotrzymałem ich. To nieprawda zresztą, że mu przyrzekłem cesarską purpurę; nie robi się takich rzeczy. Ale przez blisko piętnaście lat płaciłem jego długi, tuszowałem skandale, odpowiadałem bez zwlekania na jego listy, urocze, ale zawsze kończące się prośbą o pieniądze dla niego albo awans dla jego protegowanych. Był za bardzo związany z moim życiem, żebym go mógł zeń wygnąć, choćbym chciał, ale wcale tego nie chciałem. Rozmawiał w sposób olśniewający: ten młody człowiek, którego uważano za lekkoducha, czytywał więcej i lepiej niż literaci, których jest to rzemiosłem.

Jego smak był wyborny we wszystkim, czy szło o osoby, przedmioty, obyczaje, czy o najtrafniejszy sposób skandowania greckiego wiersza. W Senacie, gdzie go uważano za zręcznego, wyrobił sobie sławę mówcy; jego mowy, zarazem treściwe i ozdobne, służyły na żywo za wzory nauczycielom wymowy. Mianowałem go pretorem, potem konsulem: wywiązywał się ze swoich funkcji dobrze. Przed kilkoma laty ożeniłem go z córką Nigrinusa, jednego z konsularnych mężów straconych na początku mego panowania; ten związek stał się symbolem mojej polityki łagodności. Był nie za bardzo szczęśliwy: młoda żona skarżyła się, że ją Lucjusz zaniedbuje; miała jednak z nim troje dzieci, w tym jednego syna. Na jej niemal nieustające narzekania odpowiadał z chłodną uprzejmością, że człowiek się żeni dla rodziny, a nie dla siebie, i że kontrakt tak poważny kiepsko się zgadza z beztroskimi igraszkami miłości. Jego skomplikowany system wymagał kochanek na pokaz i łatwych niewolnic do rozkoszy. Zabijał się przyjemnościami, ale tak jak się artysta zabija tworzeniem arcydzieła; nie ja mógłbym mu robić z tego zarzut.

Patrzyłem, jak żyje: moje zdanie o nim wciąż się zmieniało, co się zdarza tylko w stosunku do istot, które są nam bliskie; innych osądzamy bardziej ogólnikowo i raz na zawsze. Czasami wystudiowana bezczelność, szorstkość niedbale chłodne słowo niepokoiły mnie, częściej dawałem się porwać temu lotnemu i lekkiemu umysłowi; jadowita uwaga jakby ukazywała nagle przyszłego męża stanu. Rozmawiałem o nim z Marcjuszem Turbonem, który po męczącym dniu prefekta pretoriańskiej gwardii przychodził co wieczór,

żeby pogawędzić o bieżących sprawach i zagrać, ze mną w kości; skrupulatnie rozważaliśmy gwarancje, pozwalające wierzyć, że Lucjusz będzie należycie pełnił obowiązki cesarza. Moi przyjaciele dziwili się moim skrupułom. Niektórzy radzili mi, wzruszając ramionami, żebym postanowił tak, jak mi się podoba; ludzie wyobrażają sobie, że zostawia się komuś w spadku połowę świata tak samo lekko jak domek na wsi. Myślałem o tym i po nocach: Lucjusz ledwie skończył trzydziestkę; kim był Cezar mając trzydzieści lat? Maminsynkiem tkwiącym po uszy w długach, upapranym skandalami. Jak podczas złych dni w Antiochii przed adoptowaniem mnie przez Trajana, myślałem ze skurczem w sercu, że nic nie jest powolniejsze niż rzeczywiste narodziny człowieka: ja sam już skończyłem trzydziestkę w okresie, kiedy wojna w Pannonii otworzyła mi oczy na odpowiedzialność władzy; Lucjusz wydawał mi się czasem człowiekiem dojrzałym niż ja sam w jego wieku. Zdecydowałem się nagle, po ataku duszności cięższym niż inne, który mi przypomniał, że już nie mam czasu do stracenia. Adoptowałem Lucjusza, który przybrał imię Eliusza Cezara. Był ambitny z nonszalancją, był wymagający bez chciwości, bo przywykł od urodzenia do otrzymywania wszystkiego; moją decyzję przyjął z niedbałą swobodą. Miałem nieostrożność powiedzieć, że ten jasnowłosy książę będzie cudownie piękny w purpurze; niezyczliwi co prędzej zaczęli twierdzić, że płacę cesarstwem za dawną zmysłową zażyłość. Dali tym dowód, że nie rozumieją, w jaki sposób działa umysł władcy, który choć trochę zasługuje na swój urząd i tytuł. Gdyby podobne względy odgrywały rolę, Lucjusz nie byłby zresztą jedynym, na którego mój wybór mógłby paść.

Moja żona umarła w tym czasie w swojej rezydencji na Palatynie, który nadal wolała od Tiburu i gdzie żyła otoczona małym dworem hiszpańskich przyjaciół i krewnych, jedynych ludzi, którzy się liczyli dla niej. Względy, przyzwoitość, słabe chęci porozumienia się powoli skończyły się między nami, obnażając antypatię, rozdrażnienie, urazę i - z jej strony - nienawiść. Odwiedziłem ją tuż przed jej śmiercią; choroba jeszcze bardziej rozjątrzyła jej przykry i ponury charakter; to spotkanie dało jej okazję do gwałtownych oskarżeń, czym ulżyła sobie, i to wobec świadków. Cieszyła się, że umiera bezdusznie; moi synowie na pewno byliby do mnie podobni, czułaby dla nich taki sam wstręt jak dla ich ojca. To zdanie, ropiejące taką urazą, jest jedynym dowodem miłości, jaki mi dała. Moja Sabina: odgrzebałem kilka znośnych wspomnień, jakie zawsze zostają po człowieku, byle ich zechcieć poszukać; przypomniałem sobie kosz owoców, który mi przysłała na urodziny po jakiejś sprzeczce; kiedy mnie niesiono w lektyce przez wąskie ulice osiedla Tibur, minąłem skromny dom wiejski, który niegdyś należał do mojej teściowej Matidii, i wspomniałem z goryczą kilka nocy, podczas których starałem się doznać jakiejś radości przy tej młodej

małżonce, oziębłej i sztywnej. Śmierć mojej żony zmartwiła mnie mniej niż śmierć gospodyni w Willi, dobrej Arete, która tejże zimy zmarła na gorączkę. Ponieważ choroba, która cesarzową zabrała, nie bardzo rozpoznana przez lekarzy, nękała ją pod koniec straszliwymi bólami wnętrzości, oskarżano mnie o użycie trucizny i ta nierozumna plotka łatwo znalazła wiarę. Jest chyba oczywiste, że nie mogła mnie kusić zbrodnia tak zbyteczna.

Śmierć mojej żony popchnęła, być może, Serwianusa do ostatecznego kroku: wpływy, jakie miała w Rzymie, od dawna służyły jemu; razem z nią osunęło się jedno z jego najbardziej szanowanych oparc. Co więcej, skończył już dziewięćdziesiąt lat; on też nie miał czasu do stracenia. Od kilku miesięcy starał się przyciągnąć do siebie niektórych oficerów gwardii pretoriańskiej. Czasem ośmielał się wykorzystywać zabobonny szacunek, jaki wzbudza tak podeszły wiek, i w czterech ścianach kazał się traktować jak cesarz. Wzmocniłem ostatnimi czasy tajną policję wojskową, instytucję odrażającą, przyznając, ale pożyteczną, jak wykazały wypadki. Wiedziałem wszystko o tych naradach, tajnych w mniemaniu ich uczestników, gdzie stary Ursus uczył wnuka sztuki spiskowania. Wyznaczenie Lucjusza nie zaskoczyło starca; już od dawna uważał moje wahania w tym względzie za dobrze zamaskowaną decyzję, ale postanowił wystąpić w chwili, w której akt adopcji był jeszcze w Rzymie przedmiotem pewnych sporów. Jego sekretarz Crescens, sprzykrzywszy sobie czterdzieści lat źle płatnej wierności, wywahał zamiar, datę zamachu, miejsce i imiona spiskowców. Wyobraźnia moich wrogów nie wysiliła się; skopiowali po prostu zamach obmyślony niegdyś przez Nigrinusa i Quietusa; miałem zostać zabity podczas religijnych uroczystości na Kapitolu; mój adoptowany syn miał zginąć razem ze mną.

Tejże jeszcze nocy przedsięwziąłem środki zaradcze: nasz wróg żył już za długo; zostawię Lucjuszowi schedę oczyszczoną z niebezpieczeństw. Koło godziny dwunastej, o szarym lutowym świetle, trybun przynoszący wyrok śmierci dla Serwianusa i jego wnuka zjawił się u mego szwagra; otrzymał rozkaz zaczekania w sieni, dopóki rozkaz, jaki go tam sprowadził, nie zostanie wykonany. Serwianus wezwał swojego lekarza; wszystko odbyło się, jak przystoi. Przed śmiercią życzył mi, bym powoli konał w mękach nieuleczalnej choroby nie zaznawszy, jak on, przywileju krótkiej agonii. Jego życzenie już się spełniło.

Z niewesołym sercem wydałem ten podwójny wyrok śmierci, ale później nie czułem żalu, a tym mniej wyrzutów sumienia. Stary rachunek został zamknięty, i to było wszystko. Wiek nigdy mi się nie wydawał usprawiedliwieniem dla ludzkiej podłości, uważałbym go raczej za okoliczność obciążającą. Dłużej wahałem się przed wydaniem wyroku na Akibę i jego akolitów: z tych dwóch starców miłszy mi był, mimo wszystko, fanatyk niż spiskowiec. Prawda, że Fuscus, choć taka miernota i tak całkowicie odstręczony ode mnie przez

złowieszczydziadka, był jednak wnukiem Pauliny. Ale związki krwi są słabe, cokolwiek mówiono by o tym, jeśli ich nie wzmocni żadne życzliwe uczucie; i prywatni ludzie mogą zdać sobie z tego sprawę przy okazji byle spadku. Trochę bardziej żał mi było młodości Fuscusa; miał ledwie osiemnaście lat. Ale interes państwa wymagał takiego rozwiązania, które stary Ursus jakby umyślnie uczynił nieuniknionym. A zresztą byłem już za blisko własnej śmierci, by długo rozmyślać o tamtych dwóch.

Marcjusz Turbo na kilka dni wzmógł czujność; przyjaciele Serwianusa mogliby go pomścić. Ale nie doszło do niczego, ani do zamachu, ani do buntu; nawet nie szemrano. Już nie byłem początkującym cesarzem, który starał się zjednać sobie opinię publiczną po straceniu czterech mężów konsularnych; przemawiało za mną dziewiętnaście lat sprawiedliwych rządów; potępiono w czambuł moich wrogów; tłum pochwalił, że się uwolnił od zdrajcy. Fuscusa żałowano, ale też nikt go nie uważał za niewinnego. Senat, wiem o tym, nie wybaczył mi, że jeszcze raz podniosłem rękę na jego członków, ale milczał i będzie milczał aż do mojej śmierci. Jak i niegdyś, doza łagodności rychło osłodziła dozę surowości; żaden ze stronników Serwianusa nie doznał prześladowań. Jedynym wyjątkiem od tej reguły był słynny Apollodor, zgryźliwy powiernik sekretów mojego szwagra, który zginął razem z nim. Ten utalentowany człowiek był ulubionym architektem mojego poprzednika; umiejętnie zestawiał wielkie bloki kolumny Trajana. Nie lubiliśmy się; wykpił niegdyś moje nieudane amatorskie prace, moje pracowite martwe natury z dyniami i rzepami; ja z kolei z młodzieńczym zarozumiałstwem krytykowałem jego dzieła. Później on złośliwie oczerniał dzieło moje; nie był w stanie nic zrozumieć z najlepszych epok sztuki greckiej. Ten przyziemny logik zarzucał mi, że wprowadziłem do naszych świątyń kolosalne posągi, które gdyby wstały, przebiłyby głową sklepienie swego sanktuarium: zarzut głupi, który uderza bardziej w Fidiasza niż we mnie. Ale bogowie nie wstają; nie wstają - ani by nas ostrzec, ani by nas ochronić, ani by nas nagrodzić, ani by nas ukarać. Nie wstali tamtej nocy, by ocalić Apollodora.

Na wiosnę zdrowie Lucjusza zaczęło mnie niepokoić dosyć poważnie. Pewnego ranka, w Tiburze, zesliśmy po kąpeli do palestry, gdzie Celer ćwiczył się w towarzystwie innych młodzieńców; jeden z nich zaproponował wyścig, w którym każdy zawodnik biegnie niosąc tarczę i pikę; Lucjusz wymawiał się, jak zwykle, wreszcie ustąpił pod naciskiem naszych przyjacielskich żartów; szykując się, narzekał na ciężar spiżowej tarczy; w porównaniu z krzepką urodą Celera to szczupłe ciało wydawało się wątłe. Po przebiegnięciu kilku kroków zatrzymał się bez tchu i upadł plując krwią. Wypadek nie miał skutków, Lucjusz szybko przyszedł do siebie. Ale przestraszyłem się; nie powinienem był tak prędko się uspokoić. Pierwszym symptomom choroby Lucjusza przeciwstawiłem tępą pewnością siebie człowieka, który długo był jak wół silny, jego ślepą wiarę w niewyczerpane zasoby młodości, w sprawne funkcjonowanie ciała. To prawda, że on też się oszukiwał; podtrzymywał go jakby jakiś płomień, jego podniecone ożywienie łudziło i jego, i nas. Moje piękne lata przeminęły w podróży, w obozie, na przedpolach; poznałem na sobie zalety twardego życia, zbawienne działanie klimatów suchych albo zimnych. Postanowiłem mianować Lucjusza namiestnikiem tej samej Pannonii, gdzie po raz pierwszy poznał, czym jest władza. Sytuacja na tej granicy była nie tak ciężka jak niegdyś; jego zadanie będzie ograniczone do spokojnych zajęć administratora cywilnego i wojskowych inspekcji, całkiem bezpiecznych. Ten trudny kraj wyleczy go z rzymskiej zniewieściałości: nauczy się lepiej znać ogromny świat, którym Miasto rządzi i od którego zależy. Bał się tych barbarzyńskich klimatów; nie rozumiał, jak można cieszyć się życiem za murami Rzymu. Ale się zgodził z potulnością, jaką okazywał, kiedy chciał mi się przypodobać.

Przez całe lato pilnie czytałem jego oficjalne raporty i inne, bardziej tajne, Domicjusza Rogatusa, zaufanego człowieka, którego zrobiłem jego sekretarzem, żeby go pilnował. Te sprawozdania zadowalały mnie: Lucjusz potrafił dać w Pannonii dowody poważnej rzetelności, jakiej od niego wymagałem, a jakiej by się może wyżył po mojej śmierci. Stoczył nawet kilka świetnych kawaleryjskich utarczek na przedpolach. Na prowincji, jak wszędzie, oczarowywał; trochę szorstka oschłość nie szkodziła mu. Przynajmniej nie będzie to jeden z tych dobrodusznych władców, którymi rządzi klika. Ale z nastaniem jesieni zaziębił się. Niby to szybko się wyleczył, ale znów wrócił kaszel, gorączka trwała i nie chciała ustąpić. Przejęciowe polepszenie skończyło się nagłym poważnym nawrotem choroby na następną wiosnę. Biuletyny lekarzy przeraziły mnie; publiczna poczta, jaką założyłem właśnie, i jej stacje na olbrzymich terenach, gdzie przepręgano u pojazdów konie, jakby tylko po to funkcjonowała, by mi przywozić najszybciej co rano wiadomości o chorym. Nie mogłem sobie wybaczyć, że byłem dla niego niehumanitarny ze strachu, aby nie być albo nie wydać

się zbyt ustępliwym. Kiedy dostatecznie wydobrzała, by znieść podróż, kazałem go przewieźć do Italii.

Zabrawszy ze sobą starego Rufusa z Efezu, specjalistę od suchot, wyjechałem do portu w Bajach na spotkanie mego wątłego Eliusza Cezara. Klimat Tiburu, lepszy niż rzymski, jest jednak za ostry dla chorych płuc. Postanowiłem, żeby spędził jesień w tej pewniejszej okolicy. Statek zatrzymał się na środku zatoki; wątła łódź przywiozła na ląd chorego i jego lekarza. Mizerna twarz Lucjusza wydawała się jeszcze chudsza pod meszkiem brody, którą zapuścił na policzkach, żeby stać się podobnym do mnie. Ale oczy zachowały twarde blask drogich kamieni.

Jego pierwsze słowa były przypomnieniem mi, że to na mój rozkaz wrócił; ze swoich funkcji wywiązał się bez zarzutu, usłuchał mnie we wszystkim. Zachowywał się jak uczeń, tłumaczący, na co spożytkował dzień. Zawiozłem go do tej willi Cyce-rona, gdzie niegdyś, mając osiemnaście lat, spędził był ze mną kilka miesięcy. Miał dosyć dobrego smaku, by nigdy o tamtych czasach nie mówić. Pierwsze dni wyglądały na zwycięstwo nad chorobą. Już sam powrót do Italii był lekarstwem; o tej porze roku kraj ten jest purpurowy i różowy. Ale przyszły deszcze, wilgotny wiatr dął od szarego morza; stary dom, zbudowany za czasów republiki, nie miał nowocześniejszych wygod willi w Tiburze; patrzyłem, jak Lucjusz melancholijnie grzeje przy piecyku swoje długie palce przystrojone pierścieniami. Hermogenes niedawno wrócił ze Wschodu, dokąd go posłałem po odnowienie i uzupełnienie zapasu leków; próbował na Lucjuszu skutków pewnego błota nasyconego ostrymi mineralnymi solami; te okłady leczyły jakoby wszystko. Ale jego płucom pomogły nie więcej niż moim arteriom.

Choroba obnażyła najgorsze strony tego lekkomyślnego i oschłego charakteru; przyjechała do niego żona. Jak zwykle, ich spotkanie skończyło się gorzkimi wymówkami; nie wróciła już. Przywieziono mu syna, śliczne siedmioletnie dziecko, szczerbate i roześmiane; patrzył na niego obojętnie. Łapczywie wypytywał o polityczne nowiny z Rzymu; interesował się nimi jak gracz, a nie jak mąż stanu. Ale jego lekkomyślność była jednak jakąś formą odwagi; budził się z długich popołudni bólu albo odrętwienia, żeby się całą swoją istotą rzucić w jedną z dawnych błyskotliwych rozmów. Ta mokra od potu twarz jeszcze się uśmiechała, to wychudłe ciało podnosiło się z gracją na przyjęcie lekarza. Aż do końca pozostał księciem ze złota i słoniowej kości.

Wieczorami, nie mogąc spać, siedziałem w pokoju chorego. Celer, który Lucjusza nie lubił, ale za bardzo jest mi wierny, by nie służyć troskliwie tym, którzy mnie są drodzy, godził się czuwać razem ze mną; spod kołder dobywał się chrapliwy oddech. Ogarniała mnie

gorzka, głęboka jak morze: on mnie nigdy nie kochał: nasze stosunki stały się szybko stosunkami marnotrawnego syna i dobrotliwego ojca. To życie przeminęło bez wielkich projektów, bez poważnych myśli, bez gorących namiętności; roztrwonił swoje lata, jak marnotrawca rozrzucił sztuki złota. Oparłem się o zburzony mur: myślałem ze złością o olbrzymich sumach wydanych na jego adopcję, o trzystu milionach sestercyj rozdanych żołnierzom. W pewnym znaczeniu wiernie towarzyszyło mi moje smutne przeznaczenie: spełniło się stare pragnienie dania Lucjuszowi wszystkiego, co można dać; ale państwo nie ucierpi na tym, ten wybór nie okryje niesławą mojego imienia. Gdzieś w najtajniejszej głębi ducha zacząłem się bać, by się nie poczuł lepiej. Jeżeli przypadkiem pociągnie jeszcze przez kilka lat, nie mogę przecież zostawić cesarstwa temu cieniowi. Nigdy nie zadając pytań, jakby przeniknął moją myśl w tym względzie; jego oczy lekko śledziły mój każdy gest. Mianowałem go po raz drugi konsulem; niepokoił się, że nie będzie mógł pełnić swoich funkcji; strach przed moim niezadowoleniem pogarszał jego stan. Tu Marcellus eris...² Powtarzałem sobie wiersze Wergiliusza poświęcone siostrzeńcowi Augusta, który też miał być cesarzem, a którego śmierć zatrzymała na drodze. Manibus datę lilia plenis... Purpureos spargam flores...³ Amator kwiatów dostawał ode mnie tylko nieżywe żałobne wieńce.

Poczuł się jak gdyby lepiej; chciał wracać do Rzymu. Lekarze, którzy się między sobą spierali tylko o czas, jaki mu jeszcze do życia pozostał, poradzili mi, bym spełnił jego życzenie. Zatrzymując się często, przewiozłem go do Willi. Podczas posiedzenia tuż po Nowym Roku miał zostać przedstawiony w Senacie jako spadkobierca cesarstwa. Zwyczaj chciał, żeby wygłosił do mnie przy tej okazji mowę dziękczynną; ten popis wymowy zajmował go od miesięcy. Pracował nad nim rankiem w styczniowe kalendy, kiedy krew rzuciła mu się ustami; poczuł zawrót głowy; oparł się o oparcie krzesła i zamknął oczy. Śmierć była tylko chwilą oszołomienia dla tej lekkomyślnej istoty. Był to dzień Nowego Roku; żeby nie przerywać publicznych i prywatnych zabaw, nie pozwoliłem od razu ogłosić wiadomości o jego śmierci, obwieszczono ją oficjalnie dopiero następnego dnia. Został pochowany po cichu w ogrodach należących do jego rodziny. W przededniu tej uroczystości Senat przysłał do mnie delegację, która miała mi złożyć kondolencje i ofiarować Lucjuszowi honory boskie, do jakich miał prawo jako adoptowany syn cesarza. Ale odmówiłem: ta cała sprawa kosztowała państwo i bez tego za drogo. Poprzestałem na wybudowaniu mu kilku kaplic żałobnych, na postawieniu kilku posągów w miejscach, w których żył: biedny Lucjusz nie był bogiem.

² Ty będziesz Marcellusem...

³ 2 Dajcie pełne naręcze lilii... Będę sypał purpurowe kwiaty... Wergiliusz, Eneida, VI, 883 n.

Tym razem nie miałem do stracenia ani chwili. Ale zdążyłem już namyślić się u wezglowia chorego; moje plany były gotowe. Zauważyłem w Senacie niejakiego Antoninusa, człowieka pięćdziesięcioletniego, z rodziny prowincjonalnej, związanej dość dalekim pokrewieństwem z rodziną Plotyny. Zwróciła moją uwagę jego troskliwość, zarazem pełna szacunku i czuła, jaką otaczał swego teścia, niedołężnego starca, który zasiadał w Senacie przy nim. Przeczytałem jego akta personalne; ten zacny człowiek okazał się na wszystkich zajmowanych przez siebie stanowiskach doskonałym urzędnikiem. Mój wybór padł na niego. Im częściej widuję Antoninusa, tym bardziej moje poważanie zamienia się w szacunek. Ten prosty człowiek posiada cnotę, o której niewiele myślałem do tej pory, choć zdarzyło mi się ją praktykować: dobroć. Nie jest wolny od skromnych ułomności mędrca; jego inteligencja, skupiona na skrupulatnym wykonywaniu codziennych zadań, troszczy się bardziej o terażniejszość niż o przyszłość; jego znajomość świata jest z natury ograniczona jego cnotami; w swych podróżach poprzestał na kilku misjach oficjalnych, zresztą wykonanych dobrze. Mało zna się na sztukach; godzi się na rzeczy nowe tylko z musu. Nigdy na przykład nie dostrzeże w prowincjach tych olbrzymich możliwości rozwoju, jakie ja tam widzę; będzie raczej kontynuował niż rozbudowywał moje dzieło, ale będzie je kontynuował dobrze; państwo będzie miało w nim uczciwego sługę i dobrego pana.

Ale różnica pokolenia wydawała mi się za mała tam, gdzie idzie o zapewnienie bezpieczeństwa światu. Staralem się w miarę możliwości dalej przedłużyć ten roztropny adoptowany ród, przygotować cesarstwu jeszcze jeden przepręg na drodze czasu. Za każdym powrotem do Rzymu nigdy nie omieszkał przywitać się ze starymi przyjaciółmi, Verusami, Hiszpanami jak ja, jedną z najliberalniejszych rodzin spośród wysokich urzędników. Znałem cię od kołyski, mały Anniuszu Verusie, który dzięki moim staraniom nazywasz się dziś Markiem Aureliuszem. Podczas jednego z najśnieźniejszych lat mego życia, w epoce budowania Panteonu, kazałem cię wybrać, przez przyjaźń dla twoich, do świętego kolegium Braci Arwalskich, któremu przewodniczy cesarz, a które bogobojnie przechowuje nasze starorzymskie religijne zwyczaje; trzymałem cię za rączkę podczas ofiary, którą składano w owym roku na brzegu Tybru; patrzyłem z tklwym rozbawieniem, jak z pięcioletnią dzieciną powagą, choć przestraszony kwikiem składanego na ofiarę prosiaka, usiłowałaś naśladować godne zachowanie się dorosłych. Zajmowałem się wychowaniem tego za grzecznego dziecka; pomagałem twojemu ojcu wybierać najlepszych nauczycieli. Verus, Najszczęszy: bawiłem się twoim nazwiskiem; jesteś może jedyną istotą, która mi nigdy nie skłamała. Patrzyłem, jak namiętnie czytasz pisma filozofów, odziewasz się w zgrzebną wełnę, sypiasz na twardym łożu, jak zmuszasz twoje trochę wątłe ciało do wszystkich umartwień stoików. Jest w tym

przesada, ale przesada jest cnotą w siedemnastym roku życia. Zastanawiam się czasem, na jakiej rafie zatonie ta mądrość, bo zawsze się tonie: czy będzie to żona, za bardzo kochany syn, któreś z tych sideł legalnych, w jakie łapią się serca nieśmiałe i czyste, czy też po prostu wiek, choroba, zmęczenie, rozczarowanie powiadające nam, że jeśli wszystko jest daremne, to i cnota także? Na miejscu twojej niewinnej młodzieńczej twarzy wyobrażam sobie zmęczoną twarz starca. Czuję, ile dobroci, a może i słabości ukrywa twoja tak dobrze wyuczona stanowczość; odgaduję w tobie obecność geniuszu, który może niekoniecznie jest geniuszem męża stanu; mimo to świat stanie się niewątpliwie na zawsze lepszy, kiedy raz go zobaczy w zespoleniu z najwyższą władzą. Zrobiłem, co należy, żebyś został adoptowany przez Antoninusa. Pod tym nowym imieniem, które będziesz kiedyś miał w spisach cesarzy, jesteś odtąd moim wnukiem. Zdaje mi się, że daję ludziom jedyną szansę zrealizowania choć raz marzenia Platona: będzie im panował filozof czystego serca. Zaszczyty przyjmowałeś z odrazą; twoja ranga zmusza cię do mieszkania w pałacu; Tibur, to miejsce, gdzie aż do końca gromadzę wszystko, co życie ma miłego, niepokoi cię, niepokoi twoją młodą cnotę; widzę, jak poważnie błądasz się po tych alejach, pod sklepieniami z róż; przypatruję się z uśmiechem, jak zauważasz piękne przedmioty z żywego ciała spotykane w przejściu, jak się miękko wahasz między Weroniką i Teodora i szybko rezygnujesz z obydwu na rzecz czystości, tego najcałkowitszego widma. Nie ukrywałeś przede mną melancholijnej pogardy dla tych świetności, które trwają krótko, dla tego dworu, który się po mojej śmierci rozpierzchnie. Nie lubisz mnie; masz synowskie przywiązanie raczej do Antoninusa; wyczuwasz we mnie mądrość sprzeczną z tą, której uczą cię twoi mistrzowie, zaś w moim poddawaniu się zmysłom metodę życia przeciwstawną twojej surowości, która wszakże jest w stosunku do niej równoległa. Mniejsza o to: nie jest nieodzowne, byś mnie rozumiał. Mądrość jest niejedna i wszystkie są potrzebne światu; nie jest źle, jeśli się przeplatają.

W tydzień po śmierci Lucjusza kazałem się zanieść w lektyce do Senatu; prosiłem o pozwolenie zjawienia się w lektyce na sali obrad i wygłoszenia mojej mowy w pozycji leżącej, podtrzymywany przez poduszki. Mówienie męczy mnie: poprosiłem senatorów, by mnie otoczyli zwartym kręgiem, żebym nie musiał wyęczać głosu. Wygłosiłem pochwałę Lucjusza; te kilka linijek zajęło w programie posiedzenia miejsce przemowy, jaką on miał w tym dniu wygłosić. Następnie zawiadomiłem Senat o moim postanowieniu: mianowałem Antoninusa; wymówiłem twoje imię. Liczyłem na najbardziej jednomyślną zgodę; uzyskałem ją. Wyraziłem ostatnią wolę, która została przyjęta jak i tamte: zażądałem, by Antoninus adoptował także i syna Lucjusza, który w ten sposób będzie miał brata w Marku Aureliusz; będziecie rządzić razem; liczę, że okażesz mu względy starszego brata. Zależy mi na tym, by

państwo zachowało coś z Lucjusza.

Wróciwszy do siebie, po raz pierwszy od długiego czasu miałem ochotę uśmiechnąć się. Rozegrałem to aż dziw, jak dobrze. Stronnicy Serwianusa, konserwatyści, wrodzy mojemu dziełu, nie skapitulowali. Wszystkie grzeczności świadczone przeze mnie temu wielkiemu senatorskiemu ciału, starożytnemu i przestarzałemu, nie wyrównały im kilku zadanych przeze mnie ciosów. Skorzystaliby niewątpliwie z chwili mojej śmierci, by spróbować unieważnić moje rozporządzenia. Ale nawet moi najzaciętsi wrogowie nie odważą się tknąć swego najnieskazitelniejszego przedstawiciela i syna jednego ze swych najbardziej szanowanych członków. Moje zadanie publiczne zostało spełnione: mogłem teraz wrócić do Tiburu, skryć się w tej samotni, jaką jest choroba, eksperymentować z moimi cierpieniami, zanurzyć się w rozkoszach, jakie mi jeszcze zostały, spokojnie podjąć przerwana rozmowę z widmem. Moja cesarska spuścizna była bezpieczna w rękach pobożnego Anto'ninusa i poważnego Marka Aureliusza; nawet Lucjusz będzie żył dalej w swoim synu. To wszystko zostało ułożone nie najgorzej.

PATIENTIA

Arrian pisze mi:

“Stosownie do otrzymanych rozkazów odbyłem okrężną podróż po Pontus Euxinus. Zakończyliśmy ją w Synopie, której mieszkańcy są ci na zawsze wdzięczni za wielkie prace przy odbudowie i poszerzaniu portu, wykonane pod twoim nadzorem przed kilkoma laty... Mimochodem wspomnę, że wystawili ci posąg, który nie jest ani podobny, ani piękny: pošlij im inny, z białego marmuru... Dalej na wschód, nie bez wzruszenia objąłem spojrzeniem ten sam Pontus Euxinus, ze wzgórz, skąd nasz Ksenofont ujrzał go był niegdyś po raz pierwszy i skąd i ty niegdyś spoglądałeś na to morze...

Dokonałem inspekcji przybrzeżnych garnizonów: ich dowódcy zasługują na największe pochwały za doskonałość dyscypliny, stosowanie najnowszych metod ćwiczeń i dobrą jakość prac inżynieryjnych... W całej dzikiej i jeszcze dosyć mało znanej części wybrzeża kazałem na nowo zapuszczać sondy i poprawiać, gdzie potrzeba było, oznaczenia żeglarzy, którzy tędy płynęli przede mną...

Przeplłynęliśmy wzdłuż Kolchidy. Wiedząc, jak interesujesz się opowieściami dawnych poetów, wypytywałem mieszkańców o czary Medei i dokazania Jazona. Ale nic o tych dziejach nie wiedzieli...

Przy północnym brzegu tego niegościnnego morza przybiliśmy do małej wysepki, bardzo dużej w baśni: wyspy Achillesa. Wiesz przecie: podobno Tetyda wychowywała swojego syna na tej zagubionej we mgłach wysepce; co wieczór wyłaniała się z morza i przychodziła na piaszczysty brzeg porozmawiać ze swoim dzieckiem. Na wyspie, nie zamieszkaney, żyją dziś tylko kozy. Jest tu świątynia Achillesa. Mewy i inne morskie ptaki zlatują się tam i dotknięcia ich skrzydeł przesiąkniętych morską wilgocią nieustannie zmywają placyk przed sanktuarium. Zaś ta wyspa Achillesa jest zarazem, jak przystoi, wyspą Patroklosa, i niezliczone wotywny dary, jakie zdobiją ściany świątyni, są ofiarowane albo Achillesowi, albo jego przyjacielowi, bowiem - jak się godzi - ci, którzy kochają Achillesa, wielbią i czczą pamięć Patroklosa. Sam zaś Achilles pojawia się we śnie żeglarzom, którzy się zapuszczają w te strony: chroni ich i ostrzega przed niebezpieczeństwami morza, jak to gdzie indziej czynią Dioskurowie. A cień Patroklosa zjawia się obok Achillesa.

Opisuję ci te rzeczy, bo sądzę, że są warte opisanie i ci, którzy mi opowiadali o nich, znają je z własnego doświadczenia albo z opowieści godnych wiary świadków... Achilles wydaje mi się czasami największym z ludzi przez odwagę, hart duszy, wiedzę umysłu połączoną ze zręcznością ciała i gorącą miłość dla swego młodego towarzysza. I nic w nim nie wydaje się większe niż rozpacz, która mu kazała wzgardzić życiem i zapragnąć śmierci, kiedy stracił ukochanego."

Upuszczam na kolana gruby raport namiestnika Armenii Mniejszej, dowódcy Eskadry. Arrian dobrze pracował, jak zwykle. Ale tym robi coś więcej: ofiarowuje mi dar, potrzebny, bym mógł spokojnie umrzeć; daje mi taki obraz mojego życia, jaki chciałbym pozostawić. Arrian wie, że to, co ważne, jest tym, co nie figuruje w oficjalnych życiorysach, czego się nie pisze na grobach; wie także, że mijanie czasu czyni nieszczęście tylko tym bardziej oszołamiającym. Przygoda mojego życia, widziana przez niego, nabiera sensu, układa się jak w poemacie; jedyna czułość wyłania się z wyrzutów sumienia, zniecierpliwień, smutnych manii, niby dym, niby pył; ból się klaruje, rozpacz się oczyszcza. Arrian otwiera mi głęboki raj bohaterów i przyjaciół: nie uważa, bym go był niegodny. Moja tajna komnata pośrodku basenu w Willi nie jest dość sekretnym schronieniem: tam wlokę to postarzałe ciało; tam cierpię. Moja przeszłość, owszem, też mi tu i ówdzie ofiarowuje schronienia, w których się mogę skryć przynajmniej przed częścią terażniejszych niedoli: śnieżna równina na brzegu Dunaju, ogrody Nikomedii, Klaudiopolis, żółte od zebranych kwiatów szafranu, pierwsza lepsza ulica Aten, oaza, gdzie nenufary kołyszą się na zamulonej wodzie, syryjska pustynia w świetle gwiazd podczas powrotu z obozu Osroesa. Ale te tak drogie miejsca są zbyt często skojarzone z załążkami omyłki, zawodu, jakiejś klęski znanej tylko mnie jednemu: w moich złych chwilach zdaje mi się, jakby moje wszystkie drogi człowieka szczęśliwego wiodły do Egiptu, do pewnego pokoju w Bajach albo do Palestyny. Więcej: znużenie mego ciała udziela się mojej pamięci: obraz schodów Akropolu jest nieomal nieznośny dla człowieka, który traci oddech wchodząc na schodki w ogrodzie; lipcowe słońce na równinach Lambaesis męczy mnie, jakbym dziś na nie wystawiał moją gołą głowę. Arrian daje mi coś lepszego. Z Tiburu, z samego środka upalnego maja, słucham przeciągłej skargi fal na piaszczystych brzegach wyspy Achillesa; wdycham jej czyste i zimne powietrze; bez wysiłku chodzę po placyku przed świątynią^ obmytym wilgocią morza; widzę Patroklosa... To miejsce, którego nigdy nie zobaczę, staje się moim sekretnym mieszkaniem, moim najtajniejszym schronieniem. Tam będę zapewne w chwili mojej śmierci.

Dałem niegdyś filozofowi Eufratesowi pozwolenie na samobójstwo. Wydawało mi się to całkiem proste: człowiek ma prawo zadecydować, od jakiej chwili poczynając jego życie przestaje być pożyteczne. Nie wiedziałem wtedy, że śmierć może stać się przedmiotem ślepej namiętności, głodu, jak miłość. Nie przewidziałem tych nocy, podczas których będę owijał mój sztylet pasem, żeby się zmusić, by dwa razy pomyśleć, zanim go użyję. Jeden Arrian przeniknął sekret tej walki bez chwały z pustką, jałowością, zmęczeniem, obrzydliwością istnienia, która kończy się pragnieniem śmierci. Nie można się wyleczyć: stara gorączka powalała mnie kilkakrotnie; drżałem zawczasu jak chory, który czuje, że nadchodzi atak.

Wszystko było mi dobre, byle odsunąć godzinę nocnej walki: praca, rozmowy obłąkańczo przeciągane aż do świtu, pocałunki, książki. Cesarzowi przystoi popełnić samobójstwo wtedy tylko, kiedy zmuszą go do tego racje państwowe; sam Marek Antoniusz miał usprawiedliwienie w przegranej bitwie. A mój surowy Arrian mniej by podziwiał tę rozpacz przywiezioną z Egiptu, gdybym jej nie był zwyciężył. Mój własny kodeks zabraniał żołnierzom tego samowolnego odejścia, na jakie zezwalałem mędrcom; nie uważałem, żeby mnie bardziej było wolno zdezerterować niż pierwszemu lepszeemu legioniście. Ale wiem, czym jest lubieżne dotyknięcie ręką kłaków sznura albo ostrza noża. W końcu z mego pragnienia śmierci zrobiłem sobie szaniec broniący przed nią: nieustająca możliwość samobójstwa pomagała mi znosić mniej niecierpliwie życie, jak obecność w zasięgu ręki usypiającego napoju uspokaja człowieka cierpiącego na bezsenność. Przez jakąś wewnętrzną przekorę ta obsesja śmierci przestała mnie nękać wtedy dopiero, kiedy mnie z niej wyrwały pierwsze symptomy choroby; znów się zacząłem interesować tym życiem, które mnie opuszczało; w ogrodach Sydonu namiętnie pragnąłem chłonąć ciałem radości życia jeszcze choć przez kilka lat.

Chciałem umrzeć; nie chciałem się dusić; w chorobie śmierć brzydnie; człowiek chce się wyleczyć, co jest też jakąś formą chęci życia. Ale osłabienie, cierpienie, tysiące cielesnych udręczeń szybko pozbawia chorego chęci do wdzierania się pod górę: już nie pragnie tych chwil ulgi, które są tylko pułapkami, tych drżących sił, tych łamiących się zrywów, tego wieczystego czekania na następny atak. Podglądałem siebie jak szpieg: czy ten tępy ból w piersi jest tylko przemijającym skutkiem za szybko zjedzonego posiłku, czy też należy się spodziewać ze strony wroga szturm, który tym razem już nie będzie odparty? Ilekroć wchodziłem do Senatu, myślałem sobie, że drzwi zamknęły się może za mną tak ostatecznie, jakby tu mnie oczekiwało, jak Cezara, pięćdziesięciu sprzysiężonych z nożami. Podczas wieczery w Tiburze bałem się obrazić moich gości nagłym odejściem; bałem się, że umrę w kąpielni albo w młodych ramionach. Czynności, które niegdyś były łatwe, a nawet przyjemne, stały się upokarzające, odkąd przychodziły z trudem; uprzykrza się srebrne naczynie, oglądane każdego ranka przez lekarza. Główna choroba ciągnie za sobą całą switę udręczeń podrzędnych: mój słuch stracił swoją dawną ostrość; nie dalej jak wczoraj musiałem prosić Flegona, by powtórzył całe zdanie; było mi bardziej wstyd, niż gdybym popełnił zbrodnię. Miesiące, jakie nadeszły po adopcji Antoninusa, były straszne: pobyt w Bajach, powrót do Rzymu i towarzyszące mu targi nadwerężyły resztkę sił, jaka mi została. Znów ogarnęła mnie obsesja śmierci, ale tym razem jej przyczyna była widoczna, wyznawalna: mój najgorszy wróg nie mógłby jej wykipić. Już mnie nic nie zatrzymywało: rozumiano by cesarza, który po

uporządkowaniu spraw świata wyjechał do swojej wiejskiej posiadłości i zrobił, co należy, by sobie ułatwić śmierć. Ale troskliwość moich przyjaciół równa się nieustającemu nadzorowi: każdy chory jest więźniem. Nie czuje już w sobie siły potrzebnej, by wbić sztylet we właściwe miejsce, zaznaczone niegdyś pod lewą piersią czerwonym atramentem; dodałbym tylko do już mnie dręczącej choroby ohydę bandaży, krwawych gąbek, chirurgów sprzeczącących się przy łóżku. Musiałem przygotować moje samobójstwo tak ostrożnie jak zabójca zbrodnię.

Pomyślałem najpierw o moim łowczym, Mastorze, pięknym zwierzu sarmackim, który mi towarzyszy od fat, przywiązany jak pies-wilk, i który czasami czuwał w nocy przy moich drzwiach. Skorzystałem z chwili samotności, by go zawołać i wytłumaczyć mu, czego się po nim spodziewam; z początku nie zrozumiał. Wreszcie pojął; przerażenie wykrzywiło ten porośnięty szczecina pysk. Wierzy, że jestem nieśmiertelny; rano i wieczorem widzi wchodzących do mego pokoju lekarzy; słyszy, jak jęczą podczas punkcyj, ale to nie zachwiało jego wiarą; było to dlań przeżycie takie, jakby pan bogów, chcąc go skusić, zeszedł z Olimpu i zażądał, by go pchnął. Wyrwał mi z rąk swój miecz, który pochwyciłem, i uciekł wyjąc. Znalaziono go w parku, bredził pod gwiazdami w swoim barbarzyńskim języku. Jakoś uspokojono to oszalałe zwierzę; nikt ze mną o tym wydarzeniu nie mówił. Ale nazajutrz spostrzegłem, że Celer zabrał z mego stołu do pracy, stojącego przy łóżku, metalowy rytec i położył na to miejsce pióro z trzciny.

Poszukałem lepszego sprzymierzeńca. Miałem całkowite zaufanie do lollasa, młodego lekarza z Aleksandrii, którego Hermogenes wybrał sobie ubiegłego lata na zastępcę podczas swej nieobecności. Często rozmawialiśmy: lubiłem budować do spółki z nim hipotezy o naturze i pochodzeniu rzeczy; lubiłem ten umysł śmiały i marzycielski i posępny błysk tych podkrążonych oczu. Wiedziałem, że odnalazł w pałacu aleksandryjskim receptę trucizny niezwykle subtelnej, sporządzonej niegdyś przez chemików Kleopatry. Egzamin kandydatów na katedrę medycyny, którą niedawno stworzyłem w Odeonie, posłużył mi za pretekst do pozbycia się na kilka godzin Hermogena i dał okazję do sekretnej rozmowy z lollasem. Zrozumiał mnie w pół słowa, żałował mnie, mógł tylko przyznać mi słuszność. Ale lekarska przysięga zabraniała mu podania choremu szkodliwego leku, pod jakimkolwiek bądź pozorem; odmówił, zeszczytniały w swoim honorze lekarza. Nalegałem, żądałem, użyłem wszystkich środków, by go rozczulić albo przekupić; będzie to ostatni człowiek, którego błagałem. Zwyciężony, obiecał mi w końcu, że pójdzie po truciznę. Czekałem na niego daremnie aż do wieczora. Późno w nocy dowiedziałem się ze zgrozą, że go znaleźiono martwego, w jego laboratorium ze szklaną flaszeczką w rękach. To czyste, nie znajdujące

kompromisu serce znalazło taki sposób, żeby zostać wiernym swojej przysiędze i nie odmówić mi.

Nazajutrz kazał się oznajmić Antoninus; ten szczerzy przyjaciel z trudem powstrzymywał łzy. Była dlań nieznośna myśl, że człowiek, którego przyzwyczaił się kochać i cecić jak ojca, cierpiał aż tak, iż szukał śmierci; wydawało mu się, że się zaniedbał w swoich synowskich obowiązkach. Obiecywał mi, że do spółki z moim otoczeniem dołoży wszystkich starań, by mnie pielęgnować, ulżyć w chorobie, uczynić życie aż do końca miłym i łatwym, a może i wyleczyć mnie. Liczył na mnie, że jak najdłużej będę go prowadził i kształcił; czuł się odpowiedzialny wobec całego cesarstwa za resztę moich dni. Wiem, ile są warte te rzewne zapewnienia, te naiwne obietnice: ale przyniosły mi ulgę i dodały otuchy. Proste słowa Antoninusa przekonały mnie; odzyskuję panowanie nad sobą, zanim umrę. Śmierć lollasa, wiernego swemu obowiązkowi lekarza, zachęca mnie, bym się aż do końca stosował do moich obowiązków cesarskich. Patientia: widziałem wczoraj Domicjusza Rogatusa, obecnie nadzorcę mennic; ma dopilnować nowego bicia monety; wybrałem właśnie ten napis, który będzie moim ostatnim hasłem. Moja śmierć wydawała mi się najbardziej osobistym z moich postanowień, moim ostatnim schronieniem człowieka wolnego; omyliłem się. Wiara milionów Mastorów nie powinna zostać zachwiana; inni lollasowie nie zostaną poddani próbie. Zrozumiałem, że samobójstwo wydałoby się małej garstce oddanych przyjaciół, którzy mnie otaczają, dowodem obojętności, może niewdzięczności; nie chcę zostawić ich przyjaźni przykrego wspomnienia skazańca, który nie jest zdolny znieść jeszcze jednej tortury. Wyłoniły się też powoli i inne względy podczas nocy, jaka nadeszła po śmierci lollasa: życie dało mi dużo, a przynajmniej umiałem dużo z niego brać; w tej chwili, jak w czasach mojego szczęścia, tylko że z wręcz odwrotnych przyczyn, wydaje mi się, że już nic mi nie może ono ofiarować: nie jestem pewny, czy jednak nie może mnie czegoś nauczyć. Będę aż do końca słuchał jego sekretnych nauk. Przez całe życie ufałem w rozumność mojego ciała; starałem się świadomie kosztować wrażeń, jakich mi ten przyjaciel dostarczał: powinienem więc ocenić i te ostatnie wrażenia. Już się nie uchylam od tego konania, przygotowanego dla mnie, od tego końca wypracowanego w moich żyłach, odziedziczonego, być może, po przodku, spłodzonego przez mój temperament, szykowanego powoli przez każdy mój postępek w ciągu mego życia. Godzina niecierpliwości minęła. W stanie, w jakim znajduję się, rozpacz byłaby w tak samo złym smaku jak nadzieja. Wyrzekłem się przynaglania mojej śmierci.

Wszystko jeszcze zostało do zrobienia. Moje afrykańskie dobra, odziedziczone po mojej teściowej Matidii, powinny stać się wzorem gospodarowania na roli; chłopci wioski Borystenes, założonej w Tracji, na pamiątkę po dobrym koniu, mają prawo do pomocy po uciążliwej zimie; trzeba natomiast odmówić subsydiów bogatym rolnikom z doliny Nilu, zawsze skłonny do korzystania z troskliwości cesarza. Juliusz Vestinus, prefekt nauczania, przysłała mi raport z otwarcia publicznych szkół gramatyki; właśnie zakończyłem gruntowną przeróbkę handlowego kodeksu Palmiry: przewidziano tam wszystko; takse prostytutek i przywileje karawan. Zbiera się w tej chwili kongres lekarzy i urzędników sądowych, mający orzec, jakie są ostateczne granice ciąży, co położy kres nie kończącym się sporom sądowym. Wypadki bigamii mnożą się w koloniach wojskowych; postarałem się, jak mogłem, wytłumaczyć weteranom, by nie nadużywali nowych ustaw zezwalających im na małżeństwo i żenili się przezornie tylko z jedną kobietą na raz. W Atenach buduje się Panteon, na podobieństwo rzymskiego; układam inskrypcję, która będzie umieszczona na jego ścianie; wyliczam w niej, jako przykład i zobowiązanie na przyszłość, przysługi wyświadczone przeze mnie greckim miastom i barbarzyńskim ludom; przysługi wyświadczone Rzymowi rozumieją się same przez się. Dalej trwa walka z brutalnością wyroków sądowych: musiałem skarcić zarządcę Cylicji, który skazywał na śmierć w męczarniach złodziei bydła w swojej prowincji, jakby zwykła śmierć nie wystarczała, żeby ukarać człowieka i pozbyć się go. Państwo i municypia nadużywały skazywania na przymusową pracę, chcąc mieć taniego robotnika; zakazałem tych praktyk tak wobec niewolników, jak i wobec ludzi wolnych; ale trzeba pilnować, żeby ten wstrętny system nie wrócił pod zmienioną nazwą. Ofiary z dzieci zdarzają się jeszcze w niektórych miejscach terytoriów dawnej Kartaginy: trzeba umieć zakazać kapłanom Baala radości podsycań swoich ofiarnych stosów. W Azji Mniejszej prawa spadkobierców Seleucydów zostały haniebnie naruszone przez nasze trybunały cywilne, zawsze nieprzychylne dla dawnych władców; naprawiłem tę długotrwałą niesprawiedliwość. W Grecji proces Herodesa Attykusa jeszcze trwa. Flegonowa skrzynka na depesze, jego skrobaczki z pumeksu i pałeczki z czerwonego wosku będą ze mną aż do końca.

Jak w czasach mego szczęścia, uważają mnie za boga; dalej mi dają ten tytuł w chwili, w której ofiarowują niebu ofiarę na intencję poprawy Dostojnego Zdrowia. Już ci powiedziałem, dlaczego ta tak dobroczynna wiara nie wydaje mi się niedorzeczna. Ślepa staruszka przybyła piechotą z Pannonii; wyruszyła w tę męczącą podróż, żeby mnie prosić, bym dotknął palcem jej zgasłych źrenic; odzyskała wzrok pod dotknięciem mojej ręki, jak się tego spodziewała w swojej gorącej ufności; jej wiara w cesarza-boga tłumaczy ten cud. Zdarzały się i inne cudy; chorzy mówią, że widują mnie w snach, jak pielgrzymi do

Epidauros widują w snach Eskulapa; twierdzą, że się budzą uleczeni, a przynajmniej zdrowsi. Nie śmiesz mi kontrast między moją mocą uzdrawiania i moją chorobą; z powagą przyjmuję te nowe przywileje. Ślepa staruszka, wędrująca do cesarza z dalekiej, barbarzyńskiej prowincji, stała się dla mnie tym, czym niegdyś był niewolnik z Tarragony: symbolem ludności cesarstwa, któremu panowałem i służyłem. Jej ogromne zaufanie jest mi zapłatą za dwadzieścia lat pracy, która mi nie była przykra. Flegon przeczytał mi niedawno dzieło Żyda z Aleksandrii, który też mi przypisuje moc więcej niż ludzką; przyjąłem bez sarkazmu ten opis siwowłosego władcy, który chodzi po wszystkich drogach ziemi, zstępuje między skarby kopalni budząc twórcze siły gleby, zaprowadzając wszędzie dobrobyt i pokój, wtajemniczonego, który dodał blasku miejscom świętym wszystkich plemion, znawcy magii, jasnowidza, który umieścił młodego boga w niebie. Chyba lepiej mnie zrozumiał ten Żyd entuzjasta niż niejeden senator i prokonsul; ten skaptowany przeciwnik uzupełnił Arriana; zachwyca mnie, że się w końcu stałem dla niektórych oczu tym, czym być pragnąłem, i że do tego szczęśliwego wyniku tak niewiele było potrzeba. Starość i śmierć, takie bliskie, już dodają swego majestatu temu omamieniu: ludzie rozstępują się pobożnie, kiedy przechodzę; już mnie nie przyrównują, jak dawniej, do Zeusa promieniejącego i spokojnego, ale do Marsa Gravidusa, boga długich wojen i surowej dyscypliny, do poważnego Numy, natchnionego przez bogów; ostatnimi czasy ta twarz blada i wychudła, te nieruchome oczy, to wielkie ciało usztywnione wysiłkiem woli przypomina im Plutona, boga mroków. Zaledwie kilku bliskich mi, kilku przyjaciół wypróbowanych i drogich, nie poddało się tej straszliwej zarazie szacunku. Młody adwokat Fronton, prawnik z przyszłością, który na pewno dobrze się przysłuży twojemu panowaniu, przyszedł, by omówić ze mną pismo do Senatu; głos mu drżał; wyczytałem z jego oczu ten sam szacunek pomieszany z lękiem. Już nie ma dla mnie spokojnych radości ludzkiej przyjaźni; adorują mnie; za bardzo mnie czczą, by mnie kochać.

Zostało mi dane szczęście podobne jak niektórym ogrodnikom: wszystko, com próbował zaszcześcić w ludzkiej wyobraźni, przyjęło się. Kult Antinousa wyglądał na najbardziej szalone z moich przedsięwzięć, na wylew bólu, który dotyczył tylko mnie jednego. Ale nasza epoka jest zła bogów; szuka najogni-stszych, najsmutniejszych, tych, którzy do wina życia dodają kroplę gorzkiego zagrobowego miodu. W Delfach chłopiec stał się Hermesem, strażnikiem progów, panem ciemnych dróg wiodących w krainę cieni. Eleuzis, gdzie jego wiek i fakt, że był cudzoziemcem, nie pozwoliły mu niegdyś zostać razem ze mną wtajemniczonym, zrobiło zeń młodego Bachusa misteriów, władcę rejonów pogranicznych między zmysłami i duszą. Arkadia, ziemia jego przodków, sprzymierzyła go z Panem i Dianą, bóstwami lasów. Wieśniacy z Tiburu utożsamiali go ze słodkim Aristajosem,

królem pszczoł. W Azji wierni odnajdują w nim swoich kruchych bogów, niszczonej przez jesień i zżeranych przez lato. Na skraju krain barbarzyńskich towarzyszą moich polowań i podróży przybrał postać Trackiego Jeźdźcy, tajemniczej zjawy, która galopuje przez gęstwy przy pełni księżyca, zabierając dusze w połę swego płaszcza. Wszystko to mogłoby wprawdzie być tylko przerostem oficjalnego kultu, pochlebstwem ludu, kłamstwem łasych na korzyści kapłanów. Ale młoda postać wymyka mi się ustępując pragnieniom prostych serc: przez jedno z tych przeobrażeń nieodłącznych od natury rzeczy posępny i rozkoszny efeb stał się dla ludowej pobożności oparciem słabych i ubogich, pocieszycielem umarłych dzieci. Wizerunek z bityńskich monet, profil piętnastoletniego chłopca z rozwianymi włosami, z uśmiechem zachwyconym i ufnym, którego mu tak mało zostało, wieszają na szyjach niemowlętom jako amulet; przybijają go na wiejskich cmentarzach na małych grobkach. Niegdyś, kiedy myślałem o mojej własnej śmierci, niby sternik lękający się nie o siebie, ale o podróżnych i ładunek statku, mówiłem sobie z goryczą, że to wspomnienie zatonię razem ze mną; zdawało mi się, jakby ta młoda istota, troskliwie zabalsamowana w głębi mojej pamięci, miała zginąć po raz drugi. Ten lęk, tak przecież słuszny, uspokoił się w części: wyrównałem, jak mogłem, tę przedwczesną śmierć; obraz, odblask, słabe echo przetrwa co najmniej przez kilka wieków. Niewiele więcej da się zdziałać w dziedzinie nieśmiertelności.

Widziałem Fidusa Aquilę, zarządcę Antinopolis, w przejeździe na nowy urząd w Sarmizegetuzie. Opisał mi doroczne obrzędy odprawiane na brzegu Nilu na cześć zmarłego boga, pielgrzymów, którzy tysiącami przychodzą z okolic północnych i południowych, ofiary z wina i ziarna, modlitwy. Co trzy lata odbywają się w Antinopolis, a także w Aleksandrii, Mantinei i w moich drogich Atenach rocznicowe igrzyska. Te przypadające co trzy lata święta odbędą się tej jesieni, ale nie spodziewam się dotrzeć aż do tego dziewiątego powrotu miesiąca Athyr.

Jest więc tym bardziej ważne, by każdy szczegół tych uroczystości został zawczasu ustalony. Wyrocznia umarłego działa w tajnej izbie faraonńskiej świątyni odbudowanej moim staraniem; kapłani rozdają co dzień kilkaset odpowiedzi, przygotowanych na wszystkie pytania, jakie może zadać ludzka nadzieja i ludzka rozpacz. Zarzucano mi, że kilka z nich sam ułożyłem. Nie uchybiłoby to, moim zdaniem, ani szacunkowi dla mojego boga, ani współczuciu dla żony żołnierza, która pyta, czy jej mąż wróci żywy z garnizonu w Palestynie, dla spragnionego pociechy chorego, dla kupca, którego okręty kołyszą się na falach Morza Czerwonego, dla pary małżonków, którzy chcieliby syna. Co najwyżej byłoby to przedłużenie gry w łamigłówkę, w wierszowane szarady, czym czasami bawiliśmy się razem. Dziwiono się również, że tu, w Willi, dokoła tej kaplicy z Kanobos, w której obrządki jego kultu są

odprawiane po egipsku, pozwoliłem ustawić pawilony rozpusty z przedmieścia Aleksandrii, które tę nazwę nosi, i ich łatwe rozrywki ofiarowuję moim gościom i sam czasami biorę w nich udział. On do tego przywykł. A nie można się zamknąć na lata w jednej jedynej myśli, nie dając do niej przeniknąć po trochu wszystkim nawykom całego życia.

Robiłem wszystko, co robić każą. Czekałem: czasem modliłem się. *Audivi voces divinas...* Głupia Julia Balbilla uwierzyła, że usłyszała o świcie tajemniczy głos Memnona: ja słuchałem szmerów nocy. Namaściłem się miodem i różaną oliwą, które przyciągają cienie; postawiłem kubek z mlekiem, położyłem garść soli, kroplę krwi, dźwignie ich dawniejszego istnienia. Sam się położyłem na marmurowej posadzce świątyni: światło gwiazd wsączało się przez szczeliny zostawione w murze, migocząc gdzieś tam bladymi, niepokojącymi ognikami. Przypomniałem sobie rozkazy, które kapłani szeptali umarłemu na ucho: "I rozpozna drogę... I strażnicy progu przepuszczą go... I pójdzie, i przyjdzie w pobliże tych, którzy go kochają, na miliony dni..." Od czasu do czasu, rzadko, zdawało mi się, że czuję muśnięcie przyjscia, dotknięcie, lekkie jak drgnienie rzęs, ciepłe jak wnętrze dłoni... "I cień Patroklosa zjawia się obok Achillesa..." Nigdy się nie dowiem, czy to ciepło, ta błogość nie wstawały po prostu z głębi mnie samego, ostatnie wysiłki człowieka walczącego z samotnością i chłodem nocy. Ale to pytanie, które powstaje także i wobec naszych żyjących miłości, dziś już mnie przestało niepokoić: wszystko jedno, czy widma przeze mnie wywołane przychodzą z kręgów mojej pamięci, czy z kręgów tamtego świata. Moja dusza, jeśli ją mam, jest zrobiona z tej samej substancji co i widma; to ciało o spuchniętych rękach, posiniątych paznokciach, ta smutna, na pół rozpuszczona masa, ten wór chorób, pragnień i snów jest niewiele solidniejszy i spoistszy niż cień. Różnię się od umarłych tylko możliwością duszenia się przez kilka chwil dłużej; ich egzystencja w pewnym sensie wydaje mi się pewniejsza niż moja. Antinous i Plotyna są co najmniej tak samo rzeczywiści jak ja.

Rozmyślanie o śmierci nie uczy umierać; nie czyni odejścia łatwiejszym, ale ja już nie szukam ułatwień. Mała twarzyczko, nadąsana i uparta, twoja ofiara wzbogaciła nie moje życie, ale moją śmierć. Jej zbliżanie się nawiązuje między nami jakąś bliską wspólność: żywi, którzy otaczają mnie, oddani słudzy, czasem natrętni, nigdy się nie dowiedzą, jak bardzo świat nas już nie interesuje. Myślę ze wstrętem o czarnych symbolach z egipskich grobów: zaschłym skarabeuszu, sztywnej mumii, wieczyście rodzącej żabie. Jeśliby wierzyć kapłanom, zostawiłem cię w miejscu, w którym elementy istoty drą się jak stara odzież, kiedy ją szarpiesz, na posępnym rozdrożu między tym, co istnieje wiecznie, tym, co było, i tym, co będzie. W końcu możliwe, że ci ludzie mają słuszność i że śmierć jest zrobiona z tej samej wyslizgującej się i nieokreślonej materii co i życie. Ale wszystkie teorie nieśmiertelności

budzą we mnie nieufność; w system nagród i kar nie uwierzy sędzia, który wie, jak trudno jest sądzić. Skądinąd, rozwiązanie odwrotne, czysta nicość, próżnia, w której dźwięczy śmiech Epikura, wydaje mi się czasami wyjściem za prostym. Obserwuję mój koniec: ta seria doświadczeń robionych na sobie jest dalszym ciągiem długotrwałych studiów rozpoczętych w klinice Satyrosa. Aż do tej pory przemiany są tak zewnętrzne jak te, którym wskutek czasu i niepogody ulegają gmachy; materiał i architektura wychodzą z nich bez szwanku: czasem zdaje mi się, że poprzez pęknięcia dostrzegam i dotykam niezniszczalnej substancji, wiecznej rzeczy martwej. Jestem tym, czym byłem; umieram nie zmieniawszy się. Na pierwszy rzut oka, krzepkie dziecko z ogrodów Hiszpanii, ambitny oficer, który wraca do namiotu strząsając z pleców płatki śniegu, wydają się tak unicestwieni, jak i ja będę przeszedłszy przez ogień stosu; ale oni są tu; jestem od nich nieodłączny. Człowiek, który wył na piersi umarłego, dalej jęczy w jakimś zakamarku mnie, wbrew spokojowi bardziej albo mniej niż ludzkiemu, w który już wchodzę; podróżnika, uwięzionego w chorym na zawsze przykutym do jednego miejsca, nęci śmierć, bo jest odjazdem. Ta siła, która była mną, wydaje się jeszcze zdolna do zinstrumentowania kilku innych istnień, do podnoszenia światów. Gdyby jakimś cudem dodano jeszcze kilka stuleci do niewielu dni, jakie mi zostały, robiłbym to samo, powtarzałbym nawet i te same błędy, bywałbym na tych samych Olimpach i w tych samych Hadesach. Taka konstatacja jest doskonałym argumentem za pożytecznością śmierci, ale zarazem budzi we mnie zwątpienie w jej całkowitą skuteczność.

W pewnych okresach mego życia zapisywałem moje sny; dyskutowałem o ich znaczeniu z kapłanami, filozofami, astrologami. Ta łatwość śnienia, od lat zanikła, została mi oddana podczas tych miesięcy konania; wypadki zachodzące na jawie wydają mi się mniej rzeczywiste, czasami mniej przykre niż te sny. Jeżeli ten świat larw i widm, gdzie płaskość i niedorzeczność krzewią się jeszcze bujniej niż na ziemi, daje nam pewne pojęcie o warunkach istnienia duszy odłączonej od ciała, spędzę zapewne wieczność na żałowaniu wybornej kontroli zmysłów i perspektyw poprawianych przez ludzki rozum. A jednak z pewną lubością zapuszczam się w te jałowe okolice snów; posiadam tam, na chwilę, pewne tajemnice, które później uciekają mi; pijam tam ze źródeł. Niedawno byłem w oazie Ammona, w wieczór polowania na lwa. Byłem wesoły; wszystko odbyło się jak w czasach mojej siły: ranny lew upadł, potem wstał; skoczyłem, żeby go dobić; straszliwa, krwawiąca bryła runęła na mnie; pazur> rozrywały mi pierś; wróciłem do siebie w moim pokoju w Tiburze, wołając pomocy. Kilka nocy temu widziałem mego ojca, którego przecież wspominam dosyć rzadko. Leżał na swoim łóżku, chory, w jednym z pokoi naszego domu w Italice, który zaraz po jego śmierci opuściłem. Miał na stole flaszeczkę z usypiającym lekarstwem i błagałem go, żeby mi ją dał.

Obudziłem się, zanim mi zdążył odpowiedzieć. Dziwię się, że ludzie przeważnie tak bardzo się boją widm, choć tak łatwo się godzą rozmawiać z umarłymi w snach.

Wróżby też się mnożą: teraz już wszystko się wydaje wezwaniem, znakiem. Upuściłem cenny rzeźbiony kamień, wprawiony w pierścień, i rozłukł się; był tam wyryty przez greckiego rzemieślnika mój profil. Augurowie poważnie potrzęsają głowami; ja żałuję tego doskonałego arcydzieła. Zdarza mi się mówić o sobie w czasie przeszłym: w Senacie, podczas omawiania pewnych wydarzeń, jakie zaszły po śmierci Lucjusza, język mi się potykał i kilkakrotnie wspominałem o tych okolicznościach tak, jakby się zdarzyły po mojej śmierci. Przed kilkoma miesiącami, w dzień moich urodzin, kiedy mnie wnoszono w lektyce na schody Kapitolu, znalazłem się twarzą w twarz z mężczyzną w żałobie, który płakał: widziałem, że mój stary Chabrias zbladł. Jeszcze wychodziłem wówczas; jeszcze osobiście pełniłem moje funkcje arcykapłana, Brata Arwańskiego, osobiście odprawiałem starożytny obrządek rzymskiej religii, którą pod koniec życia wolę od większości kultów cudzoziemskich. Stałem przed ołtarzem już mając zapalić płomień; składałem bogom ofiarę za Antoninusa. Nagle poła togi, która mi przykrywała czoło, zsunęła się i opadła na plecy; zostałem z obnażoną głową; przeszedłem tym sposobem z rzędu ofiarowujących do rzędu ofiar. Bo i, doprawdy, już przyszła kolej na mnie.

Moja cierpliwość wydaje owoce; cierpię mniej; życie znowu stało się niemal miłe. Już się nie sprzecam z lekarzami; ich głupie lekarstwa zabiły mnie; ale ich zarozumiałość, ich obłudny pedantyzm są naszym dziełem: mniej by kłamali, gdybyśmy się nie tak bardzo bali cierpienia. Brak mi siły na dawne ataki gniewu; wiem z pewnego źródła, że Platorius Nepos, którego bardzo lubiłem, nadużył mego zaufania; nie próbowałem go zawstydzić; nie ukarałem. Przyszłość świata już mnie nie dręczy; już się nie wysilam z rozpaczą, by obrachować mniej lub bardziej długi czas trwania pokoju rzymskiego; niech się o to troszczą bogowie. Nie znaczy to, bym zyskał więcej ufności w ich sprawiedliwość, która nie jest naszą, albo więcej wiary w rozumność człowieka; przeciwnie. Życie jest okrutne; wiemy o tym. Ale właśnie dlatego, że niewiele się spodziewam po ludzkiej doli, okresy szczęścia, częściowego postępu, wysiłki zmierzające do zaczynania od nowa i zachowania ciągłości wydają mi się czymś cudownym, czymś, co bez mała równoważy masę klęsk, porażek, zaniedbań i omyłek. Katastrofy i ruiny przyjdą; zatriumfuje bezład, ale od czasu do czasu i ład także. Pokój znów będzie trwał między dwoma okresami wojny; słowa "wolność", "ludzkość", "sprawiedliwość", odzyskają tu i ówdzie znaczenie, jakie staraliśmy się im nadać. Nasze książki nie wszystkie zginą; będą ponaprawiane nasze potrzaskane posągi; inne kopuły i inne frontony zrodzą się z naszych frontonów i kopuł; kilku ludzi będzie myślało,

pracowało, czuło jak my: mam odwagę liczyć na tych kontynuatorów, rozstawionych w niejednakowych odstępach na przestrzeni wieków, w tej bezkresnej nieśmiertelności. Jeśli barbarzyńcy zawładną kiedyś cesarstwem świata, będą musieli przejąć niektóre z naszych metod; i w końcu upodobnią się do nas. Chabrias lęka się, że pewnego dnia pastofor Mitry albo biskup Chrystusa osiadzie w Rzymie na miejscu najwyższego kapłana; gdyby nieszczęśliwie przyszedł taki dzień, mój następcą na watykańskim brzegu przestanie być zwierzchnikiem koła sprzysiężonych czy gromady sekciarzy, a stanie się z kolei jedną z osób dzierżących władzę nad światem. Odziedziczy nasze pałace i nasze archiwa; będzie się różnił od nas mniej, niżby można przypuścić. Zgadzam się ze spokojem na zmienne koleje losów wiecznego Rzymu.

Lekarstwa już nie skutkują; nogi puchną coraz bardziej; drzemię, bardziej siedząc niż leżąc. Jedną z korzyści śmierci będzie, że znów się położę na łóżku. Teraz ja muszę pocieszać Antoninusa. Przypominam mu, że śmierć wydaje mi się od dawna najwytworniejszym rozwiązaniem mego własnego problemu. Jak zwykle, moje pragnienia wreszcie urzeczywistniają się, ale w sposób powolniejszy i bardziej pośredni, niż się spodziewano. Winszuję sobie, że choroba zostawiła mi aż do końca jasność umysłu; cieszę się, że nie będę musiał przejść przez próbę wieku zgrzybiałego, że nie zostało mi dane poznać tego stwardnienia, zeszywnienia, oschłości, tego okrutnego braku pragnień. Jeżeli moje obliczenia są ściśle, moja matka umarła mniej więcej w wieku, do jakiego doszedłem dziś; moje życie jest już o połowę dłuższe niż życie mego ojca, który zmarł mając lat czterdzieści. Wszystko jest gotowe; orła, który zanieś bogom duszę cesarza, już trzymają w pogotowiu na żałobną uroczystość. Moje Mauzoleum, na którego szczycie właśnie sadzą cyprysy mające utworzyć czarną piramidę wysoko na tle nieba, będzie skończone mniej więcej na czas, by doń przenieść jeszcze ciepłe popioły. Prosiłem Antoninusa, żeby kazał przenieść tam później i Sabinę; zaniedbałem oddania jej po śmierci honorów boskich, jakie się jej w końcu należą; trzeba, żeby to zapomnienie zostało naprawione. I chciałbym, żeby znalazły się przy mnie szczątki Eliusza Cezara.

Zawieźli mnie do Bajów. W te lipcowe upały podróż była uciążliwa, ale lżej oddycham nad morzem. Fala szeleści na brzegu pieszczotliwie, jak miętoszony jedwab; jeszcze się cieszę długimi różowymi wieczorami. Ale trzymam te tabliczki już po to tylko, żeby czymś zająć ręce, które się poruszają pomimo mojej woli. Posłałem po Antoninusa; goniec wyciągniętym kłusem ruszył do Rzymu. Stuk kopyt Borystenesa, galop Trackiego Jeźdźca... Garstka moich najbliższych otoczyła łóżko. Żal mi Chabriasa: łyzy nie pasują do starczych zmarszczek. Piękna twarz Celera jest jak zawsze dziwnie spokojna; starannie

pielęgnuje mnie, nie dając po sobie poznać nic, co by mogło choremu przysporzyć niepokoju czy zmęczenia. Ale Diotym szłocha, ukrywszy twarz w poduszkach. Zapewniłem mu przyszłość; nie lubi Italii; będzie mógł urzeczywistnić swoje marzenie, wrócić do Gadary i otworzyć tam, razem z przyjacielem, szkołę wymowy; nic na mojej śmierci nie straci. A jednak szczupłe plecy konwulsyjnie drgają pod fałdami tuniki; czuję pod palcami rozkoszne łyzy. Hadrian będzie aż do końca kochany po ludzku. Duszyczko, duszo wiotka i błędna, towarzysko mojego ciała, które było twoim gospodarzem, zejdziesz w te miejsca blade, twarde i nagie, gdzie będziesz się musiała wyrzec dawnych zabaw. Jeszcze chwilę, popatrzmy razem na znane brzegi, na przedmioty, których już zapewne nie zobaczymy... Starajmy się wejść w śmierć z otwartymi oczami...

BOSKIEMU HADRIANOWI AUGUSTOWI,
SYNOWI TRAJANA, ZWYCIĘZCY FARTÓW,
WNUKOWI NERWY,
ARCYKAPŁANOWI
DZIERŻĄCEMU PO RAZ XXII
WŁADZĘ TRYBUNA, TRZYKROTNEMU KONSULOWI, DWUKROTNEMU
TRIUMFATOROWI,
OJCU OJCZYZNY I JEGO BOSKIEJ MAŁŻONCE
SABINIE
ANTONINUS, ICH SYN.
LUCJUSZOWI ELIUSZOWI CEZAROWI,
SYNOWI BOSKIEGO HADRIANA,
DWUKROTNEMU KONSULOWI.

Zapiski do Pamiętników Hadriana

G. F. poświęcam

Zamysł napisania tej książki powstał w latach 1924-1929 i wtedy to, między dwudziestym i dwudziestym piątym rokiem życia, napisałam ją, w całości bądź we fragmentach, pod rozmaitymi postaciami. Wszystkie tamte rękopisy zostały zniszczone i zasługiwały na to.

W wielokrotnie, z wieloma podkreśleniami czytanej przeze mnie około roku 1927 korespondencji Flauberta znalazłam to niezapomniane zdanie: "W czasach od Cycerona do Marka Aureliusza, kiedy bogów nie było już, a Chrystusa nie było jeszcze, zamknęła się ta szczególna chwila, kiedy był tylko człowiek." Duża część mojego życia miała upłynąć na usiłowaniu zdefiniowania, później zaś odmalowania tego człowieka, który był sam sobie, a jednak powiązany ze wszystkim.

Praca rozpoczęta w 1934; długie poszukiwania; napisanych jakichś piętnaście stron, które uznałam za wersję ostateczną; kilkakrotne, między 1934 i 1937, zrzucanie tego projektu i powroty do niego.

Przez długi czas wyobrażałam sobie tę książkę jako ciąg dialogów, w których odzywałyby się wszystkie głosy tamtych czasów. Cokolwiek jednak napisałam, na plan pierwszy wybijały się szczegóły; części naruszały równowagę całości; głos Hadriana gubił się wśród tych wszystkich wrzasków. Nie potrafiłam zbudować świata widzianego i słyszanego przez jednego człowieka.

Jedyne zdanie, jakie pozostało z wersji z roku 1934: "Zaczyna mi majaczyć profil mojej śmierci." Jak malarz bezustannie przesuwający sztalugi to w lewo, to w prawo, wreszcie znalazłam punkt widzenia.

Wziąć czyjeś życie, które Historia (o ile to w ogóle możliwe) już poznała, ustaliła, zamknęła w jego kształcie ostatecznym, i zrobić to tak, aby za jednym spojrzeniem objąć cały łuk; więcej, wybrać taki moment, kiedy człowiek, który to życie przeżył, waży je w swoim ręku, bada, na chwilę staje się zdolny wydać o nim osąd. Zrobić to tak, żeby wobec swojego

życia zajął tę samą pozycję, co my.

Ranki w Villa Adriana; niezliczone wieczory w kawiarenkach wokół Olimpiejonu; nieprzerwane podróże w tę i z powrotem po morzach greckich; drogi Azji Mniejszej. Aby mogła spożytkować te wspomnienia - moje własne - musiały najpierw stać się dla mnie równie odległe, jak tamten II wiek.

Doświadczenia z czasem: osiemnaście dni, osiemnaście miesięcy, osiemnaście lat, osiemnaście wieków. Znieruchomiła nieśmiertelność posągów, które, jak głowa Antinousa Mondragone z Luwru, żyją nadal w obrębie czasu umarłego. Ujęcie tego samego problemu w kategoriach pokoleń; dwadzieścia cztery pary odartych z ciała dłoni ludzkich, jakichś dwudziestu pięciu kolejnych starców wystarczyłoby dla nieprzerwanej łączności między Hadrianem i nami.

W 1937, w czasie pierwszego pobytu w Stanach Zjednoczonych, zabrałam się w związku z tą książką do pewnych lektur w bibliotece uniwersyteckiej w Yale; napisałam wizytę u lekarza i fragment o wyrzeczeniu się ćwiczeń cielesnych. Te urywki weszły, przerobione, do wersji obecnej.

Tak czy owak byłam za młoda. Są książki, na które nie można sobie pozwolić przed czterdziestką. Istnieje ryzyko, że - wcześniej nie docenimy należycie istnienia wielkich granic naturalnych między ludźmi i między stuleciami, które to granice dzielą od siebie nieprzeliczone istnienia ludzkie, lub też, przeciwnie, będziemy przywiązywać nadmierną wagę do zwykłych podziałów administracyjnych, do urzędów celnych czy zbrojnych posterunków. Dopiero przekroczywszy czterdziestkę zdolna byłam dokładnie ustalić odległość między cesarzem i mną.

Między 1937 i 1939 przestaję pracować nad tą książką (wyjąwszy parę dni, w Paryżu).

Azja Mniejsza i wspomnienie o T. E. Lawrence, które przecina się tam dla mnie ze wspomnieniem o Hadrianie. Tyle, że za Hadrianem nie majaczy pustynia, tylko wzgórza Aten. Im więcej o tym rozmyślałam, tym bardziej dzieje człowieka, który odmawia (przede wszystkim odmawia siebie), skłaniały mnie, by za pośrednictwem Hadriana ukazać punkt widzenia człowieka, który się nie wyrzeka, a jeśli wyrzeka się jednego, to przyjmuje drugie.

Jasne zresztą, że ten ascetyzm i ten hedonizm pod wieloma względami są czymś wymiennym.

W październiku 1939 maszynopis z większością notatek został w Europie; wzięłam jednak ze sobą do Stanów parę streszczeń zrobionych niegdyś w Yale, mapę Cesarstwa rzymskiego z czasów śmierci Trajana, którą wozłam ze sobą od lat, i profil Antinousa z Muzeum Archeologicznego we Florencji, kupiony tam w roku 1926, młody, poważny i łagodny.

Między 1939 i 1948 zarzucam moje plany. Wracałam do nich czasem myślą, ale ze zniechęceniem, niemal z obojętnością, jak do czegoś niemożliwego. Jakby ze wstydem, że odważyłam się kiedyś porwać na coś podobnego.

Pisarz, który nie pisze, i jego coraz głębsza rozpacz.

W najcięższych godzinach upadku ducha i atonii wracałam, w pięknym muzeum w Hartfordzie (Connecticut) do rzymskiego płótna Canaletta, do brązowego i złocistego Panteonu odcinającego się na błękitnym niebie delikatnego popołudnia letniego. Za każdym razem odchodziłam stamtąd rozpogodzona i ogrzana.

Około 1941 odkryłam przypadkiem w Nowym Jorku, w sklepie z przyborami malarskimi, cztery ryciny Piranesiego i kupiliśmy je z G. Jedna z nich, nie znany mi dotąd widok Villi Hadriana, przedstawia kaplicę w Kanobos, z której wzięły się w XVII wieku Antinous w stylu egipskim i posągi bazaltowych kapłanek, które oglądamy dzisiaj w Watykanie. Okrągła budowla, rozłupana jak czaszka, i gąszcz roślinny opadający z niej, jak kosmyki włosów. Niemal mediumiczny geniusz Piranesiego wyczuł tam atmosferę halucynacji, długą rutynę wspomnień, tragiczną architekturę czyjegoś świata wewnętrznego. Przez wiele lat spoglądałam na tę rycinę niemal co dzień, ani przez chwilę nie potracając myślą o dawne moje zamierzenia, co do których byłam przekonana, że się ich wyrzekłam. Takie bywają meandry tego, co nazywamy zapomnieniem.

Wiosną 1947, porządkując papiery, spaliłam notatki z Yale: uznałam, że są już definitywnie bezużyteczne.

A jednak imię Hadriana pojawia się w eseju na temat mitu w Grecji, napisanym przeze

mnie w 1943 i zamieszczonym przez Caillois w "Lettres francaises" wychodzących w Buenos Aires. W 1945 wizerunek Antinousa pod wodą, unoszonego niejako prądem zapomnienia, znów wynurza się w nie opublikowanym dotąd szkicu Kantyczka duszy wolnej, napisanym w przededniu ciężkiej choroby.

Pamiętać nieustannie, że wszystko, co tu piszę, fałszuję przez to, o czym nie piszę; te zapiski są tylko obwodzeniem konturu pewnej luki. Nie ma tu mowy o tym, co robiłam przez te trudne lata ani o myślach, pracach, trwogach, radościach ani o olbrzymim echu, jakim odbijały się we mnie wydarzenia zewnętrzne, ani o nieustannym poddawaniu siebie próbie faktów. Pomijam tak samo milczeniem doświadczenie choroby i inne, bardziej sekretne doświadczenia, jakie przynoszą one ze sobą, a także nieustającą obecność albo poszukiwanie miłości.

Wszystko jedno: widać potrzebne było to postanowienie zachowania ciągłości, to pęknięcie, ta noc duszy, których tylu z nas doświadczyło w tamtych czasach, każdy po swojemu i jakże często w sposób o wiele bardziej tragiczny i definitywny niż ja, widać potrzebne to było, aby zmusić mnie do próby zniwelowania nie tylko odległości dzielącej mnie od Hadriana, ale przede wszystkim tej odległości, jaka dzieliła mnie ode mnie samej.

Korzystać ze wszystkiego, co robimy dla samych siebie, bez myśli o pożytku. Przez te lata oddalenia od dawnego życia i miejsc nie przerywałam lektury autorów starożytnych: czerwono- lub zielonoprawne tomy wydania Loeb-Hainemanna stały się dla mnie ojczyzną. Jeden z najlepszych sposobów odtworzenia myśli człowieka: odtworzyć jego bibliotekę. Przez lata, na zapas, nieświadomie zapełniałam na powrót półki biblioteczne w Tiburze. Pozostawało mi już tylko wyobrazić sobie obrzmiałe dłonie chorego na rozwiniętych manuskryptach.

Od wewnątrz dokonać tego, czego dziewiętnastowieczni archeologowie dokonali od zewnątrz.

W grudniu 1948 dostałam ze Szwajcarii, gdzie zdeponowałam ją na czas wojny, walizę pełną papierów rodzinnych i listów sprzed dziesięciu lat. Siadłam przy ogniu, żeby uporać się z tym, co przypominało okropny inwentarz pozgonny; spędziłam w ten sposób wiele samotnych wieczorów. Rozwiązywałam pliki listów; zanim poszedł w ogień,

przebiegałam wzrokiem ten stos korespondencji z ludźmi, o których zapomniałam i którzy o mnie zapomnieli, żyjącymi jeszcze i zmarłymi. Niektóre z listów pisane były przez osoby o pokolenie starsze ode mnie; natrafiałam na imiona nic mi nie mówiące. Ciskałam odruchowo w ogień te martwe myśli wymieniane z jakimiś Mariami, Franciszkami i Pawłami, którzy odeszli. Rozprostowałam parę stron pisanych na maszynie; papier był pożółkły. Przeczytałam nagłówek: "Mój drogi Marku...", Marku?... O jakiego przyjaciela, jakiego kochanka, jakiego dalekiego krewnego chodziło? Nie przypominałam sobie takiego imienia. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że ten Marek to miał być Marek Aureliusz i że trzymam w ręku urywek zaginionego rękopisu. Od tej chwili chodziło już tylko o to, by napisać tę książkę na nowo, coute que coute.

Tamtej nocy otworzyłam ponownie dwie książki z odzyskanych w nadesłanej walizce - szczątki rozproszonej biblioteki. Były to: Dion Kasjusz, w pięknym wydaniu Henri Estienne'a i tom Historia Augusta, w kiepskiej edycji, dwa główne źródła dziejów i życia Hadriana, kupione w czasach, kiedy zamierzałam napisać tę książkę. Wszystko to, co świat i ja przeszliśmy od tamtej pory, wzbogacało tę kronikę czasów minionych, rzucało nowe światło, nowe cienie na tamto życie cesarza. Kiedyś myślałam o nim przede wszystkim jako o człowieku światłym, podróżniku, poecie, kochanku; nic z tego wszystkiego się nie zatarło, ale po raz pierwszy z wielką wyrazistością rysowało się przede mną pośród tych wielu oblicz jego oblicze najbardziej oficjalne i zarazem najbardziej utajone, oblicze cesarza. Lata przeżyte w świecie, który się rozpadał, uświadomiły mi znaczenie władcy.

Z przyjemnością tworzyłam i odtwarzałam portret człowieka, który był niemal mędrcom.

Jedna tylko jeszcze postać historyczna kusila mnie z równą mocą: Omar Chajjam, poeta-astronom. Ale życie Chajjama jest samą tylko kontemplacją i samą tylko wzdargą: świat działania był mu zbyt obcy. A poza tym nie znam Persji ani języka.

Nie mogłam także postacią centralną uczynić kobiety, zbudować mojej powieści wokół, na przykład, Plotyny zamiast Hadriana. Życie kobiet ma zbyt szczupłe granice albo też jest zbyt utajone. Gdy tylko jakaś kobieta zaczyna mówić o sobie, pierwszym zarzutem, jaki ją spotyka, jest zarzut utraty kobiecości. A zresztą i tak wystarczająco trudno jest włożyć trochę prawdy w usta mężczyzny.

Wyjechałam do Taos w Nowym Meksyku. Wzięłam ze sobą trochę papieru do pisania: pływak, który rzuca się do wody nie wiedząc, czy dopłynie do drugiego brzegu. Do późna w nocy pracowałam na trasie Nowy Jork-Chicago, zamknięta w wagonie sypialnym, jak w hypogeum. Potem, przez cały następny dzień, w restauracji dworcowej w Chicago, gdzie musiałam czekać na pociąg unieruchomiony przez burzę śniegową. I jeszcze potem, aż do świtu, sama w przeszklonym wagonie widokowym ekspresu do Santa Fe, otoczona czarnymi grzbietami gór Colo-rado i odwiecznym deseniem gwiazd. Fragmenty o pożywieniu, miłości, śnie i poznaniu człowieka napisałam jednym tchem. Nie pamiętam w całym moim życiu dnia bardziej płomiennego ani nocy bardziej rozświetlonych od wewnątrz.

Przechodzę jak najszybciej nad trzyletnimi poszukiwaniami, które mogą interesować wyłącznie specjalistów, i nad wypracowanym przeze mnie metodycznym delirium, które mogłoby zainteresować wyłącznie szaleńców. Zresztą słowo "szalony" zbyt zabarwione jest romantyzmem: powiedzmy raczej, że chodziło tu o nieustanne i jak najbardziej przenikliwe współuczestniczenie w minionym.

Jedną nogą w erudycji, drugą w magii, czy - dokładniej i bez żadnej przerośni - w magii sympatycznej, której istotą jest wnikanie myślą w głąb drugiego człowieka.

Portret czyjegoś głosu. Jeśli postanowiłam pisać Pamiętniki Hadriana w pierwszej osobie, to dlatego że chciałam sprowadzić do minimum czyjekolwiek pośrednictwo, nawet moje własne. Hadrian mógł mówić o swoim życiu bardziej stanowczo i bardziej subtelnie niż ja.

Ci, którzy uważają powieść historyczną za osobną kategorię powieści, zapominają, że każdy powieściopisarz, za pomocą właściwych swoim czasom środków pisarskich, interpretuje po prostu pewną ilość faktów minionych, wspomnień świadomych czy nie, osobistych czy nie, utkanych z tej samej materii co historia. Dzieło Prousta jest rekonstrukcją utraconej przeszłości w tym samym stopniu co Wojna i pokój. Powieść historyczna z lat 1830 trąci melodramatem i "płaszczem i szpadą" w odcinkach, to prawda; ale wcale nie bardziej niż subtelna Księżna de Langeais czy zadziwiająca Dziewczyna o złotych oczach. Flaubert mozolnie odtwarza pałac Hamilkara przy pomocy tysiąca drobnych szczegółów; w ten sam sposób postępuje opisując Yonville. W naszych czasach powieść historyczna czy to, co dla wygody określamy tym mianem, musi zanurzać się w czasie odzyskanym, musi brać w

posiadanie czyjś świat wewnętrzny.

Czas nie ma tu nic do rzeczy. Zdziwiał mnie zawsze, że moi współcześni, którzy sądzą, że podbili i przekształcili przestrzeń, ignorują fakt, że można wedle woli kurczyć odległość między stuleciami.

Wszystko się nam wymyka i wszyscy, i my sami. Życie mojego ojca jest mi bardziej nie znane niż życie Hadriana. Gdybym miała opisywać własną egzystencję, tak samo musiałabym odtwarzać ją od zewnątrz, jak czyjaś inną; musiałabym sięgnąć do listów, do cudzych wspomnień, żeby ustalić jakoś jej zamazujące się kształty. Zawsze tylko gruzowiska, ciemności. Zrobić tak, żeby luki w tekstach odnośnie życia Hadriana pokrywały się z tym, o czym sam byłby zapomniał.

Co nie oznacza, jak twierdzi się zbyt często, że prawda historyczna jest zawsze i we wszystkim nieuchwytna. Jest z nią podobnie, jak z każdą inną prawdą: mylimy się mniej lub bardziej.

Reguły gry: ze wszystkim się zapoznać, wszystko przeczytać, wszystkiego się dowiadywać, a jednocześnie przyswoić sobie do własnych celów Ćwiczenia Ignacego Loyoli czy metodę hinduskiego ascety, który latami, za cenę wyniszczenia siebie, dąży do coraz dokładniejszej wizualizacji obrazu, który tworzy pod zamkniętymi powiekami. Nie tracić z oczu aktualności faktów, rozpisanych na tysiącach fiszek; dążyć do przywrócenia tym kamiennym twarzom ich plastyczności, ich żywej zmienności. Kiedy jakieś dwa teksty, dwa twierdzenia, dwie idee przeciwstawiają się sobie, starać się pogodzić je raczej, niż jedno drugim unicestwiać; dostrzegać w nich dwa odmienne aspekty, dwie kolejne postaci tego samego, rzeczywistość przekonywującą przez to, że jest złożona, ludzką, ponieważ jest wieloraka. Uczyc się odczytywać teksty z II wieku oczami, duszą, zmysłami z II wieku; nie pozbawiać ich tej macierzystej otoczki, jaką są fakty współczesne; odsunąć, jeśli się da, wszystkie idee, wszystkie uczucia, których kolejne warstwy nagromadziły się między tamtymi ludźmi i nami. Posługiwać się jednak - byle ostrożnie, jedynie tytułem studiów przygotowawczych - możliwością zestawień czy konfrontacji, nowymi perspektywami, wypracowanymi powoli przez tyle wieków czy wydarzeń dzielących nas od tamtych tekstów, faktów, ludzi; użytkować je jako swego rodzaju paliki na drodze wstecz, ku określonemu miejscu w czasie. Nie dopuszczać cieni rzuconych, nie pozwalać, by czyjś oddech mącił

powierzchnię lustra; to tylko, co najtrwalsze, najbardziej podstawowe w naszych doznaniach zmysłowych czy operacjach naszej myśli przyjmować jako punkt styczny między nami i tamtymi ludźmi, którzy tak samo jak my zajadali oliwki, pili wino, miewali palce lepkie od miodu, walczyli z dokuczliwym wiatrem i osłepiającym deszczem, latem szukali cienia pod platanami, •tak samo doznawali rozkoszy i myśleli, i starzeli się, i marli.

Parokrotnie zasięgałam opinii lekarzy odnośnie krótkich urywków z kronik relacjonujących chorobę Hadriana. W sumie biorąc nie różniły się wiele od klinicznych opisów śmierci Balzaka.

Spożytkować, dla lepszego zrozumienia, początki choroby serca.

Kim jest dla niego Hekuba? zastanawia się Hamlet patrząc na wędrownego aktora oplakującego Hekubę. I zmuszony jest uznać, że temu komediantowi wylewającemu prawdziwe łzy nad ową zmarłą sprzed lat trzech tysięcy udało się nawiązać z nią kontakt głębszy niż jemu z własnym ojcem, którego dopiero co pochował, ale którego nieszczęścia nie przeżywa na tyle mocno, by potrafił bezzwłocznie go pomścić.

Substancja, budowa człowieka nie zmienia się. Nic bardziej stałego niż krągłość kostki, umiejscowienie ścięgna czy kształt dużego palca u nogi. Są jednak epoki, w których obuwie mniej deformuje stopę. W stuleciu, o którym piszę, jesteśmy jeszcze bardzo blisko swobodnej prawdy stopy bosej.

Wkładając w usta Hadriana pewne poglądy na przyszłość, nie przekraczałam granic prawdopodobieństwa, z tym, że te prognozyki musiały pozostać mgliste. Bezstronny analityk spraw ludzkich zazwyczaj bardzo niewiele się myli co do późniejszego biegu wydarzeń; popełnia natomiast wiele omyłek co do samej ich drogi, szczegółów, zakrętów. Napoleon przepowiadał na Świętej Helenie, że w sto lat po jego śmierci Europa będzie rewolucyjna albo kozacka; sam problem stawiał bardzo prawidłowo, nie mógł jednak przewidzieć, że obie dane mogą nałożyć się na siebie. Z grubsza jednak biorąc jedynie przez pychę, jawną ignorancję i tchórzostwo powstrzymujemy się od dostrzegania w teraźniejszości zarysów przyszłych epok. Swobodni mędrcy czasów starożytnych podobnie jak my ujmowali świat w kategoriach fizyki czy fizjologii: przewidywali koniec człowieka i śmierć kuli ziemskiej. Plutarch i Marek Aureliusz wiedzieli, że bogowie i cywilizacje mijają i umierają. Nie my jedni spoglądamy w

twarz nieubłaganej przyszłości.

Przenikliwość spojrzenia, jaką obdarzyłam Hadriana, służyć miała zresztą przede wszystkim podkreśleniu faustowskiego niemal charakteru tej postaci, który ukazują nam na przykład Pieśni sybillińskie, pisma Eliusza Arystydesa czy wizerunek Hadriana postarzałego, nakreślony przez Frontona. Słusznie czy niesłusznie przypisywano temu umierającemu cnoty więcej niż ludzkie.

Gdyby ten człowiek nie był utrzymał pokoju świata i nie był odnowił gospodarki cesarstwa, jego szczęścia i jego cierpienia byłyby mnie interesowały mniej.

Nigdy dosyć tego pasjonującego zajęcia, jakim jest porównywanie tekstów. Poemat o łowach w Tespii, który Hadrian poświęcił Amorowi i Wenus Niebiańskiej „na wzgórzach Helikonu, nad brzegiem strumienia Narcyza”, pochodzi z jesieni roku 124; mniej więcej w tym samym czasie cesarz przebywał również w Mantinei, gdzie, jak dowiadujemy się od Pausaniasza, kazał przyozdobić grób Epaminondasa i umieścić na nim poemat, który ułożył. Inskrypcja z Mantinei nie zachowała się, ale gest Hadriana pełni swego znaczenia nabiera być może dopiero w zestawieniu z urywkiem z Moraliiów Plutarcha, który powiada nam, że Epaminondas został pochowany w tym miejscu między dwoma swoimi młodymi przyjaciółmi, którzy polegli razem z nim. Jeśli za datę spotkania Antinusa z cesarzem przyjąć pobyt tego ostatniego w Azji Mniejszej w latach 123-124, datę niewątpliwie najbardziej prawdopodobną i najpełniej uzasadnioną znaleźskimi ikonograficznymi, to te dwa poematy stanowiłyby część tego, co można by nazwać cyklem Antinusa; oba czerpią inspirację z tej samej Grecji, łaskawej dla kochanków i bohaterskiej, którą Arrian ewokował później, po śmierci cesarskiego ulubieńca, kiedy to porównał go do Patroklesa.

Parę osób, które miałabym chęć sportretować obszerniej: Plotyna, Sabina, Arrian, Swetoniusz. Ale Hadrian mógł je widzieć tylko pod pewnym kątem. Tak satho wrywkowo musi być potraktowana postać samego Antinusa, oglądanego we wspomnieniach Hadriana, to znaczy z namiętym przywiązaniem do drobnych szczegółów i z pewnymi omyłkami.

Wszystko, co można powiedzieć o temperamencie Antinusa, wypisane jest w każdym, nawet najmniejszym jego wizerunku. Eager and impassioned tenderness, sullen effeminacy: z zachwycającą prostotą poetów Shelley w sześciu słowach wyraża to, co

najistotniejsze, podczas gdy większość dziewiętnastowiecznych krytyków sztuki i historyków potrafiła jedynie rozplątać się w cnotliwych deklamacjach lub idealizowaniu równie fałszywym co mętnym.

Podobizny Antinusa: jest ich wiele, od wyśmienitych aż po mierne. Wszystkie, niezależnie od różnic wypływających z kunsztu artysty czy wieku modelu, niezależnie od zasadniczej różnicy, jaką jest fakt, czy były robione za jego życia, czy też ku czci zmarłego, bulwersują niesłychanym realizmem tej postaci, natychmiast dającej się rozpoznać mimo znacznej odmienności ujęcia, i tym, że stanowią jedyny w starożytności przykład uwiecznienia i powielania w kamieniu twarzy, która nie była ani twarzą męża stanu, ani filozofa tylko po prostu człowieka kochanego. Dwie najpiękniejsze z tych podobizn są najmniej znane: są to również jedyne, których nazwisko twórcy jest nam wiadome. Jedna to płaskorzeźba sygnowana przez Antonianusa z Afrodyzji i odnaleziona przed około pięćdziesięciu laty na terenie Instytutu Rolniczego, Fundi Rustici, którą umieszczono w sali rady administracyjnej tegoż Instytutu. Ponieważ żaden z przewodników po Rzymie nie wspomina o istnieniu tej płaskorzeźby w mieście i tak już kipiącym od pomników, turyści nic o niej nie wiedzą. Dzieło Antonianusa wykute zostało w marmurze włoskim; powstało więc z pewnością we Włoszech i zapewne w Rzymie, wykonane przez artystę osiadłego w Mieście lub przywiezionego przez Hadriana z jednej z jego podróży. Jest niezwykle delikatności. Ornament roślinny subtelną arabeską pędów winorośli obejmuje młodą twarz, melancholijną i pochyloną: nasuwa się nieodparcie myśl o winobranii tego krótkiego żywota, o pachnącym owocami jesiennym wieczorze. Rzeźba nosi ślady długich lat spędzonych w piwnicy w czasie ostatniej wojny: biel marmuru zniknęła pod ziemistymi plamami; trzy palce lewej ręki są obtłuczone. Oto jak bogowie cierpią na skutek szaleństw ludzkich.

[Powyższe słowa ukazały się po raz pierwszy przed sześciu laty; od tamtej pory płaskorzeźbę Antonianusa nabył bankier rzymski, Arturo Osio, postać nietuzinkowa, która zainteresowałaby Stendhala czy Balzaka. Osio otacza ten piękny przedmiot taką samą troską, jaką otacza zwierzęta żyjące na swobodzie w jego posiadłości o dwa kroki od Rzymu i drzewa, których setki posadził w swoich dobrach w Ortebello. Cnota rzadka: już Stendhal w 1828 powiedział, że "Włosi nie cierpią drzew", a cóż dopiero powiedziałby dzisiaj, kiedy spekulanci rzymscy zastrzykami z gorącej wody zabijają pinie zbyt piękne i zbyt z tej przyczyny strzeżone przepisami władz miejskich, tak iż są przeszkodą we wznoszeniu termitier? Luksus równie rzadki: jakże niewielu ludzi bogatych ożywia swoje lasy i łąki obecnością żyjących na swobodzie zwierząt nie dla przyjemności polowania na nie, ale dla

radości stwarzania jakby nowego Edenu? Równie niemal rzadka jest wśród zbieraczy, w naszych czasach gorączkowych i bez przyszłości, miłość do starożytnych posągów, tych dużych, spokojnych przedmiotów, jednocześnie trwałych i kruchych. Idąc za wskazaniem ekspertów, nowy właściciel płaskorzeźby Antonianusa poddał ją niezwykle delikatnym zabiegom oczyszczającym dokonanym wprawną ręką; powolne i lekkie pocieranie czubkami palców usunęło z marmuru naleciałości i pleśń i przywróciło kamieniowi jego łagodny połysk alabastru i kości słoniowej.]

Drugie z tych arcydzieł to słynny sardonyks, nazywany Gemmą Marlborough, jako że należał do tej dziś rozproszonej kolekcji; to piękne intaglio uważano za zaginione lub na powrót zeszło pod ziemię od lat ponad trzydziestu. Ponownie wyłoniło się na światło dzienne podczas wyprzedaży publicznej w Londynie w styczniu 1952 roku; dobry smak i rozeznanie wielkiego kolekcjonera Giorgio Sangiorgi sprowadziły je z powrotem do Rzymu. Łaskawości tego zbieracza zawdzięczam, że mogłam oglądać to arcydzieło i dotykać go. Niekompletna sygnatura, przypisywana, zapewne słusznie, Antonianusowi z Afrodyzji, widnieje na obrzeżu. Artysta z takim mistrzostwem zamknął ten doskonały profil w ciasnych ramach sardonyksu, że ten kawałek kamienia w równym stopniu jak posąg czy płaskorzeźba pozostaje świadectwem wielkiej, zaginionej sztuki. Proporcje dzieła każą zapomnieć o wymiarach przedmiotu. W czasach bizantyńskich spód tego arcydzieła powleczono najczystszy złotem. W tej postaci przechodziło od jednego nieznanego zbieracza do drugiego, aż zawędrowało do Wenecji, gdzie jego obecność sygnalizowana jest w wielkiej kolekcji z XVII wieku; Gavin Hamilton, słynny antykwariusz, kupił je i wywiózł do Anglii, skąd powraca dzisiaj do swego punktu wyjścia, jakim był Rzym. Ze wszystkich przedmiotów obecnych jeszcze dzisiaj na powierzchni ziemi jest to jedyny, o którym z niejaką pewnością można mniemać, iż często znajdował się w rękach Hadriana.

Dopiero w zakamarkach tematu odkrywamy rzeczy najprostsze i o szerszym oddźwięku literackim. Studiując pisma Flegona, sekretarza Hadriana, dowiedziałam się, że tej zapomnianej postaci zawdzięczamy pierwszą i jedną z najpiękniejszych opowieści o duchach, mroczną i namiętną Narzeczoną z Koryntu, którą inspirowali się Goethe i Anatol France w *Noces corinthiennes*. Tym samym piórem i z tym samym rozwichrzonym zaciekawieniem dla wszystkiego, co przekracza granice ludzkie, opisywał zresztą Flegon także i absurdalne historie o dwugłowych potworach i wydających potomstwo hermafrodytach. Takie bywały, przynajmniej czasami, tematy rozmów przy cesarskim stole.

Ci, co woleliby Dziennik Hadriana od Pamiętników Hadriana, zapominają, że człowiek czynu rzadko prowadzi dziennik: niemal zawsze dopiero później, z głębi swojej beczynności zaczyna wspominać, zapisuje i najczęściej się dziwi.

Założywszy całkowity brak jakichkolwiek innych dokumentów, list Arriana do cesarza Hadriana o podróży po Morzu Czarnym wystarczyły do nakreślenia z grubsza postaci cesarskiej: drobiazgowa dokładność zwierzchnika, który chce wiedzieć o wszystkim; zainteresowanie pracami dotyczącymi wojny i pokoju; upodobanie do posągów oddających podobieństwo i dobrze wykonanych; namiętne ukochanie dawnych poematów i legend. Wystarczyły też do odtworzenia tamtego świata, zawsze należącego do rzadkości, a po Marku Aureliuszu całkowicie zaginionego, w którym - niezależnie od subtelnych odcieni uszanowania i respektu - człowiek pióra i wysoki urzędnik cesarstwa zwracał się jeszcze do władcy, jak do przyjaciela. Mamy w tym liście wszystko: melancholijny nawrót do ideału dawnej Grecji; dyskretną aluzję do przypadłej miłości i mistycznych pociech, jakich szuka pozostały przy życiu; obsesję nieznanymi krajów i stron barbarzyńskich. Tak głęboko preromantyczna ewokacja pustych okolic zamieszkałych przez ptaki morskie przywodzi na myśl przepiękną wazę odnanioną w Yilla Adriana i umieszczoną teraz w muzeum w Termach - na jej marmurze, jak na śniegu, rozpościera skrzydła i w zupełnej samotności szykuje się do odlotu stado dzikich czapel.

Zapisek z 1949. Im bardziej staram się o podobieństwo wizerunku, tym bardziej oddalam się od książki i od człowieka, którzy mogliby się podobać. Tylko nieliczni znawcy doli ludzkiej pojmą.

Powieść pożera dzisiaj wszystkie inne formy; niemal nie sposób jej się wymknąć. Z tych rozważań nad losem człowieka, który nazywał się Hadrian, w XVII wieku powstałaby tragedia; w epoce Odrodzenia esej.

Ta książka jest kondensacją olbrzymiego dzieła, które ułożyłam dla siebie samej. Przyzwyczaiałam się spisywać co noc, w sposób niemal automatyczny, rezultaty długich, prowokowanych przeze mnie wizji, w trakcie których wzywałam się w inny czas. Każde najdrobniejsze słowo, gest, prawie niepochwytne drgnienia, wszystko zapisywałam; sceny, które w obecnej książce sprowadzają się do dwóch linii, opisywane były ze szczegółami i jakby w zwolnionym tempie. Gdyby te swego rodzaju sprawozdania zebrać w jeden tom,

byłoby tego parę tysięcy stron. Co rano paliłam jednak to, co napisałam w nocy. Było tam wiele bardzo zawikłanych rozważań i parę opisów dość obscenicznych.

Człowiek za wszelką cenę dążący do prawdy czy chociażby do szczelnego przylegania słów do rzeczy, najczęściej potrafi, jak Piłat, dostrzec, że nie ma prawdy czystej. Stąd, obok stwierdzeń bezpośrednich, wahania, cofnięcia, kluczenie, obce umysłom bardziej konwencjonalnym. W pewnych, rzadkich zresztą, chwilach zdarzało mi się wyczuwać, że cesarz kłamie. Musiałam mu wówczas na to pozwolić, jak każdemu z nas.

Gruboskórność tych, co twierdzą: "Hadrian to pani". Gruboskórność wcale może nie mniejsza tych, co się dziwią, jak można było obrać temat tak odległy i tak obcy. Czarownik, który przy wywoływaniu duchów nacina sobie palec, wie, że posłuchają jego wezwania tylko dlatego, iż będą mogły zlizać jego krew. Wie również, albo powinien wiedzieć, że głosy przemawiające do niego są mądrzejsze i bardziej godne niż jego własne krzyki.

Dość szybko zorientowałam się, że opisuję życie człowieka wielkiego. Stąd większy szacunek dla prawdy, więcej uwagi i, z mojej strony, więcej milczenia.

W jakimś sensie każdy opisywany żywot staje się przykładowy; piszemy przeciw albo w obronie jakiejś postaci świata, aby określić pewną metodę, która jest nam właściwa. Niemniej prawdą jest, że wszelkie idealizowanie czy też bezwzględna krytyka za każdą cenę, nadmierne podkreślanie pewnych szczegółów lub ostrożne ich pomijanie zawsze niemal dyskwalifikują biografę: postać skonstruowana zajmuje miejsce postaci zrozumianej. Nigdy nie tracić z oczu wykresu życia ludzkiego, który, wbrew przyjętym twierdzeniom, nie składa się z linii poziomej i dwóch pionowych, ale raczej z trzech linii falistych rozciągniętych w nieskończoność, bezustannie zbliżających i oddalających się od siebie: z tego, za kogo człowiek siebie uważał, tego, czym być pragnął, i tego, czym był.

Żebyśmy się nie wiem jak starali tego uniknąć, rekonstruujemy pomnik zawsze na własny sposób. I tak dobrze, jeśli używamy do tego wyłącznie autentycznego tworzywa.

Każda istota, której przyszło przeżyć dolę ludzką, jest mną.

Ten II wiek interesuje mnie dlatego, że na bardzo długo stał się ostatnim stuleciem

ludzi wolnych. Co do nas, bardzo już chyba oddaliliśmy się od tamtych czasów.

26 grudnia 1950, w lodowaty wieczór, nad brzegiem Atlantyku, w niemal polarnej ciszy wyspy Mount Desert, w Stanach Zjednoczonych usiłowałam wskrzesić upalny, duszny dzień lipcowy roku 138 w Bajach, ciężar pościeli na utrudzonych, znużonych nogach, prawie nieuchwytny szum tamtego morza bez przyływów i odpływów dobiegający chwilami uszu człowieka wsłuchanego we własną agonię. Staralam się przeżyć to wszystko aż do ostatniego łyku wody, ostatnich dolegliwości, ostatniego obrazu przed oczami. Cesarzowi pozostało już tylko umrzeć.

Tej książki nie dedykowałam nikomu. Powinnam była dedykować ją G. F. i byłabym to uczyniła, gdyby nie poczucie pewnej nieprzyzwoitości opatrywania osobistą dedykacją książki, z której akurat usiłowałam siebie usunąć. Każda jednak, nawet najdłuższa dedykacja byłaby i tak jedynie niepełną i banalną formą uczczenia przyjaźni tak rzadkiej próby. Gdy obejmuję myślą dobro, jakie od wielu lat jest moim udziałem, powiadam sobie, że taki przywilej, choćby nie wiem jak rzadki, nie mógł przecież przypaść tylko mnie jednej, że w dziejach tej czy innej z powodzeniem ukończonej książki, w tym czy innym szczęśliwym żywocie pisarskim tak samo musiał, choćby ukryty w cieniu, być jednak ktoś, kto nie przepuści niefortunnego czy kulawego zdania, które, znużeni, gotowi jesteśmy zostawić; kto, jeśli zajdzie potrzeba, po dwadzieścia razy będzie odczytywał z nami wątpliwą stronicę; kto zdejmie za nas z półek bibliotecznych grube tomy, w których może się znaleźć jakaś użyteczna wskazówka, i będzie wertował je z uporem, kiedy my odkładamy je już ze zmęczenia; ktoś, kto nas podtrzymuje, aprobejuje, czasem z nami walczy; kto z równym naszemu uniesieniem dzieli z nami radości, jakie dają sztuka i życie, i dzieli trudy, jakich one wymagają, nigdy nie nudne i nigdy nie lekkie; kto nie jest ani naszym cieniem, ani naszym odbiciem, ani nawet naszym uzupełnieniem, tylko sobą samym; kto pozostawia nam boską swobodę, a jednak zmusza nas, abyśmy w pełni byli tym, czym jesteśmy. *Hospes comesque.*

Wiadomość, w grudniu 1951, o stosunkowo niedawnej śmierci historyka niemieckiego Wilhelma Webera, a w kwietniu 1952 o śmierci uczonego Paula Graindor, którego prace oddały mi wielkie usługi. W tych dniach rozmowa z dwiema osobami, G. B. i J. F., które znały w Rzymie grafika Pierre Gusmana, w czasach kiedy ten pasjonował się rysowaniem widoków Yilli. Poczucie przynależności do czegoś w rodzaju *Gens Aelia*, jakby się było jednym z mnóstwa sekretarzy wielkiego człowieka i uczestniczyło w tej cesarskiej

zmianie warty, jaką trzymają humaniści i poeci wymieniający się na wzajem wokół tego wielkiego wspomnienia. W ten sposób (a tak samo dzieje się z pewnością w gronie specjalistów od Napoleona czy wielbicieli Dantego) tworzy się poprzez stulecia krąg umysłów o tych samych upodobaniach czy zatroskanych o te same sprawy.

Błazjuszowie czy Wadiuszowie nie są wymysłem, a ich gruby krewniak, Bazyli, miewa się dobrze. Raz, tylko jeden raz zdarzyło mi się zetknąć z taką mieszaniną zniewag i prostackich żartów, cytatów pokiereszowanych lub zniekształconych tak umiejętnie, że wynikały z nich głupstwa, których w tekście nie było, argumentów podchwytliwych, popartych twierdzeniami wystarczająco ogólnikowymi i wystarczająco pewnymi siebie, aby zostały przyjęte na słowo przez czytelnika żywiącego respekt dla ludzi o tytułach naukowych i nie mającego samemu czasu ani chęci, by sięgnąć dla sprawdzenia do źródeł. Wszystko to charakteryzuje pewien genre i pewien rodzaj krytyki, na szczęście bardzo rzadki. Ileż natomiast, w przeciwieństwie do niego, dobrej woli ze strony wielu uczonych, którzy, w naszej epoce szaleńczej specjalizacji, doskonale mogliby wzgardzić, en bñć, wszelkimi literackimi próbami wskrzeszenia przeszłości, które stanowią ryzyko naruszenia ich terenów zastrzeżonych... Tak wielu spośród nich zechciało trudzić się, aby sprostować jakąś moją omyłkę, potwierdzić jakiś szczegół, podtrzymać jakąś hipotezę, ułatwić dalsze poszukiwania, iż nie mogę nie wyrazić tutaj mojego serdecznego podziękowania wszystkim tym życzliwym i łaskawym czytelnikom. Każda wznawiana książka zawdzięcza coś uczciwym ludziom, którzy ją przeczytali.

Wkładać maksimum starania. Wracać i robić od nowa. Retuszować niepostrzeżenie i to, co już poprawione. "To siebie poprawiam, mawiał Veats, poprawiając moje książki."

Wczoraj, w Villi, rozmyślałam o tych tysiącach istnień cichych, ukradkowych jak życie zwierząt, bezrefleksyjnych jak życie roślin, o Cyganach z czasów Piraniesiego, rabusiach plądrujących ruiny, żebrakach, pasterzach, wieśniakach gnieźdzących się w zwaliskach, o wszystkich tych, którzy przewinęli się tutaj, między Hadrianem a nami. Na brzegu gaju oliwnego, w na pół odsłoniętym z gruzów antycznym korytarzu natknęliśmy się z G. na pasterskie legowisko z trzciny, przypadkowy wieszak na odzienie wetknięty w szczelinę rzymskiego muru, na ledwo ostygły popiół ogniska. Uczucie pokornego współistnienia, podobne do tego, jakiego doznajemy w Luwrze, już po zamknięciu, w porze kiedy strażnicy rozstawiają swoje łóżka polowe między posągami.

Żadnej konieczności wprowadzania w roku 1958 zmian do tego, co napisałam powyżej; jeśli już nie legowisko, to pasterski wieszak jest nadal, tam gdzie był. Znowu odwiedziłyśmy z G. dolinę Tempe, zieloną i zaslaną fiołkami, w tym świętym momencie roku, kiedy wszystko rozpoczyna się na nowo pomimo grózb, jakie człowiek naszych czasów ściąga wszędzie na swoją głowę. W Villi dokonały się jednak zdradzieckie przemiany. Nie całkowite, rzecz jasna; nie da się tak szybko zniekszałcić pewnej całości, którą całe stulecia powoli unicestwiałały i kształtowały. Przez omyłkę jednak, rzadką we Włoszech, oprócz koniecznych poszukiwań i umocnień doszło na terenie Villi również do niebezpiecznych "upiększeń". Wycięto drzewa oliwne, a na ich miejsce urządzono natrętny parking i postawiono kiosk z napojami, w stylu wystawowym, co zmienia szlachetną samotność Pojkile w widok skweru; przechodzień może napić się z betonowej fontanny, gdzie niepotrzebny gipsowy maskaron, z którego cieknie woda, pozuje na antyk; inny maskaron, jeszcze bardziej niepotrzebny, zdobi ściankę dużej sadzawki, po której, dla urozmaicenia, pływa teraz flotylla kaczek. Również w gipsie sporządzono kopie dosyć banalnych grecko-rzymskich posągów ogrodowych pozgarnianych tu i tam przy okazji niedawnych wykopalisk, posągów, które nie zasługiwały ani na taki nadmiar zaszczytu, ani na taką obelgę; te repliki wykonane w nieszlachetnym materiale, pełnym zgrubień i miękkiem, ustawione gdzie popadło, na piedestałach, nadają melancholijnemu Kanobos wygląd jakiegoś kąta w studio filmowym, gdzie kręci się film o życiu cesarów. Nic bardziej kruchego niż równowaga pięknych miejsc. Nasze fantazyjne interpretacje nie naruszają samych tekstów, którym udaje się przeżyć komentarze; najmniejsza jednak nieostrożność przy odnawianiu rzeczy kutych w kamieniu, najmniejsze położenie nawierzchni tam, gdzie od wieków rosła spokojnie trawa, przynosi szkody nie do powetowania. Piękno oddała się; autentyczność także.

Miejsca wybrane, aby w nich spędzić życie, niewidzialne rezydencje, które stworzyliśmy sobie z dala od czasu. Ja zamieszkałam w Tiburze i tam może umrę, jak Hadrian na wyspie Achillesea.

Nie. Raz jeszcze odwiedziłam Villę i jej pomieszczenia stworzone dla cichości i odpoczynku, obejrzałam ślady luksusu wolnego od zbytku, luksusu jak najmniej cesarskiego, tego luksusu, jakim otacza się bogaty amator, który chciałby połączyć rozkosze sztuki ze słodyczą życia wiejskiego; szukałam w Panteonie dokładnie tego miejsca, na które pewnego ranka w dniu 21 kwietnia słońce położyło swoją plamę; raz jeszcze odbyłam korytarzami mauzoleum żalobną drogę, którą tylekroć odbywali Chabrias, Celer i Diotym, przyjaciele z

ostatnich dni. Ale nie czułam już bezpośredniej obecności tamtych osób, tamtych wydarzeń: pozostają mi bliskie, ale odeszły, zupełnie tak, jak wspomnienia mojego własnego życia. Nasz kontakt z drugim człowiekiem ma czas sobie wyznaczony; kończy się, gdy już zostaliśmy nasyceni, nauczyliśmy się lekcji, oddaliśmy przysługę, dokonaliśmy dzieła. To, co potrafiłam powiedzieć, powiedziałam, czego się mogłam nauczyć, nauczyłam się. Pora już, na czas jakiś, na inne prace.

Przypisy

Rekonstrukcja z rodzaju tych, jaką oddajemy czytelnikowi, czyli pisana w pierwszej osobie i włożona w usta człowieka, którego natęży odmalować, styka się i z powieścią, i z poezją; mogłaby więc obyć się bez dowodów uwierzytelniających; jej wartość ludzka jest jednak spotęgowana wiernością wobec faktów. Czytelnik znajdzie poniżej spis najważniejszych źródeł, na jakich opierano się budując tę książkę. Dokumentowanie w taki sposób dzieła literackiego jest zresztą tylko zastosowaniem się do obyczaju Racine'a, który w przedmowach do swoich tragedij starannie wylicza swoje źródła. Ale najpierw, by odpowiedzieć na najbardziej natarczywe pytania, naśladując przykład tegoż Racine'a wskażmy te miejsca, dosyć nieliczne, w których coś do historii dodano albo ją ostrożnie przekształcono.

Postać Marullinusa jest historyczna, ale jego najważniejsza cecha charakterystyczna, dar przepowiadania przyszłości, jest zapożyczona od wuja, a nie od dziadka Hadriana; okoliczności jego śmierci są fikcyjne. Inskrypcja mówi nam, że sofista Isajos był jednym z nauczycieli młodego Hadriana, ale nie jest pewne, czy uczeń odbył, jak tutaj powiedziano, podróż do Aten. Gallus jest rzeczywisty, ale szczegół dotyczący ostatecznej porażki tej postaci znalazł się tu po to, żeby podkreślić jeden z najczęściej wymienianych rysów charakterystycznych Hadriana: zawziętość. Epizod o wtajemniczeniu w kult Mitry jest zmyślony; ten kult był już podówczas rozpowszechniony w armii; jest możliwe, ale zgoła nie dowiedzione, że Hadrian, jako młody oficer, zechciał spróbować tych inicjacji. Podobnie rzecz się ma oczywiście z taurobolium, któremu Antinous poddaje się w Palmirze: Meles Agryppa, Castoras i, w epizodzie poprzednim, Turbo to oczywiście postacie rzeczywiste; ich udział w obrzędach wtajemniczenia jest całkowicie zmyślony. W tych dwóch scenach trzymano się tradycji, podług której kąpiel z krwi należy zarówno do rytuału Mitry, jak i Bogini Syryjskiej, aczkolwiek niektórzy uczeni twierdzą, że jest to obrządek związany tylko z kultem tej ostatniej; takie zapożyczanie obrządków jest psychologicznie możliwe w tej epoce, kiedy to religie zbawienia "zarażały" się wzajemnie w atmosferze, znamiennej dla II wieku, ciekawości, sceptycyzmu i mistycznych porywów. Spotkanie Hadriana z gimnosofistą nie jest zanotowane przez historię; posłużono się źródłami z I i II wieku, które opisują podobnego rodzaju wydarzenia. Wszystkie szczegóły dotyczące Attianusa są historycznie ściśle, wyjąwszy kilka aluzji do jego życia i prywatnego, o którym nic nie wiemy. Rozdział o kochankach jest zbudowany w całości na dwóch liniijkach tekstu Spartianusa (XI, 7) na ten

temat; starano się - zmyślając, gdzie było trzeba - zachować najwłaściwszą chyba ogólnikowość.

Pompejusz Prokulus był rzeczywiście zarządcą Bitynii; nie jest pewne, czy był nim w latach 123-124 podczas pobytu tam cesarza. Straton z Sardes, autor erotyków i kompilator dwunastej księgi Antologii, żył prawdopodobnie za czasów Hadriana: nic nie dowodzi, by osobiście znał cesarza, ale zetknięcie ze sobą tych dwu ludzi wydało się autorce kuszące. Wizyta Lucjusza w Aleksandrii w roku 130 jest wywiedziona (jak to już czynił Gregorovius) z tekstu, którego autentyczności często zaprzeczano, z Listu Hadriana do Serwianusa, i ustęp dotyczący Lucjusza zgoła nie zmusza do takiej właśnie interpretacji. Fakt jego obecności w Egipcie jest więc bardziej niż niepewny; szczegóły dotyczące Lucjusza podczas tego okresu są natomiast niemal wszystkie zaczerpnięte z jego biografii pióra Spartianusa *Żywot Eliasza Cezara*. Historia ofiary Antinousa jest tradycyjna (Dion, LXIX, 11; Spartianus, XIV, 7); szczegół o czynnościach magicznych jest oparty na przepisach z egipskich papirusów magicznych, ale wydarzenia wieczoru w Kanobos są zmyślane. Epizod o dziecku, które spadło z balkonu podczas uczty, umieszczony tu w okresie pobytu Hadriana w Philaj, jest wydobyty z raportu zawartego w Papyrusach z Oxyrhynchus i w rzeczywistości zdarzył się w blisko czterdzieści lat po podróży Hadriana do Egiptu. Związanie wyroku śmierci na Apollodora ze spiskiem Serwianusa jest tylko hipotezą, może i dającą się obronić.

O Chabriasie, Celerze, Diotymie wspomina kilkakrotnie Marek Aureliusz, wymieniając wszakże tylko ich imiona i mówiąc o ich namiętnej wierności dla pamięci Hadriana. Ich osoby służą do oddania obrazu dworu w Tiburze w ostatnich latach panowania: Chabrias reprezentuje krąg filozofów platońskich i stoickich, którzy otaczali cesarza; Celer (którego oczywiście nie należy mieszać z Celerem wspomnianym przez Filostrata i Arystydesa, który był sekretarzem ab epistulis Graecis) - element wojskowy; zaś Diotym grupę cesarskich eromenoi. Te trzy historyczne nazwiska posłużyły więc za punkty wyjścia do częściowego wymyślenia tych trzech postaci. Lekarz Iolaos natomiast jest postacią historyczną, której imię do nas nie dotarło; nie wiemy też, czy rzeczywiście pochodził z Aleksandrii. Wyzwoleniec Onesimus istniał, ale nie wiemy, czy pełnił przy Hadrianie funkcję stręczyciela; nazwisko Crescensa, sekretarza Serwianusa, jest autentyczne, ale nie wiemy z historii, czy zdradził swojego pana. Kupiec Opramoas jest rzeczywisty, ale nie ma dowodów na to, by towarzyszył Hadrianowi w podróży nad Eufrat. Żona Arriana jest postacią historyczną, ale nie wiemy, czy była, jak to mówi Hadrian, "subtelna i dumna". Tylko niektóre postacie drugoplanowe, niewolnik Euforion, aktorzy, Olympos i Batyllos, lekarz Leotychides, młody trybun brytyjski i przewodnik Assar są całkowicie fikcyjne. Czarownica

z wyspy Brytanii i czarownica z Kanobos, postacie fikcyjne, reprezentują świat wróżbitów i wtajemniczonych w nauki okultystyczne, którymi chętnie się Hadrian otaczał. Imię Arete jest wzięte z autentycznego poematu Hadriana (*Inscriptiones Graecae*, XIV, 1089), ale nadano je samowolnie gospodyni Willi; imię gońca Menekratesa jest wzięte z Listu króla Fermesa do cesarza Hadriana, tekstu apokryficznego, którym historia naukowa nie mogłaby się posłużyć, ale który mógł przecież zaczerpnąć ten szczegół z innych, dziś zaginionych dokumentów. Imiona Benedykty i Teodyty, bladych, zakochanych widm, które się przewijają przez Rozmyślenia Marka Aureliusza, zostały ze względów stylistycznych zmienione na Weronikę i Teodorę. Wreszcie imiona greckie i łacińskie, wyryte na podstawie kolosa Memnona w Tebach, są po większej części zapożyczone z Letronne: *Recueil des Inscriptions grecques et latines de l'Egypte*, 1848; fikcyjne imię niejakiego Eumenesa, który był jakoby w tym miejscu na sześć wieków przed Hadrianem, ma służyć nam i Hadrianowi jako miara czasu, który upłynął między zjawieniem się w Egipcie pierwszych podróżników greckich, współczesnych Herodotowi, i Rzymianami spacerującymi tam rankiem w II wieku.

Krótki opis rodzinnego środowiska Antinousa nie jest historyczny, ale opiera się na znajomości warunków społecznych, najczęstszych w owym czasie w Bitynii. W pewnych punktach spornych; przyczyny odsunięcia Swetoniusza, pochodzenie wolne albo niewolnicze Antinousa, czynny udział Hadriana w wojnie w Palestynie, data apoteozy Sabiny i pochowania Eliusza Cezara w zamku Świętego Anioła - trzeba było wybrać między hipotezami historyków; starano się dokonać możliwie najslusznieszego wyboru. Co do innych wydarzeń: adopcji Hadriana przez Trajana, śmierci Antinousa, starano się je otoczyć atmosferą niepewności, jaka zapewne nie tylko towarzyszy im w dziejach, ale i przedtem otaczała je w życiu.

Odnotujmy pokrótce, że dwa najważniejsze źródła do zajmującego nas tematu to historyk grecki Dion Kasjusz, który napisał rozdział swoich *Dziejów rzymskich*, poświęcony Hadrianowi, w mniej więcej czterdzieści lat po śmierci cesarza, i kronikarz łaciński Spartianus, który w przeszło sto lat później spisał swoją *Vita Hadriani*, jeden z najwiarygodniejszych tekstów *Historia Augusta*, oraz *Vita Aelii Caesaris*, dziełko mniejsze, które daje bardzo wiarygodny wizerunek adoptowanego syna Hadriana, a powierzchowne zapewne dlatego, że taka była i opisywana postać. Ci dwaj autorzy opierają się na dokumentach później zaginionych, między innymi Pamiętnikach, ogłoszonych przez Hadriana pod nazwiskiem jego wyzwolenca Flegona, i listach cesarza, zebranych przez tegoż Flegona. Ani Dion, ani Spartianus nie są to historycy wielcy ani wielcy biografowie, ale właśnie ich nieporadność pisarska i pewna niesystematyczność sprawiają, że są oni

szczególnie bliscy faktom, jakie «ę w życiu zdarzyły, i nowożytne badania najczęściej, nieraz w zdumiewający sposób, potwierdzają ich relacje. Interpretacja, którą czytelnik ma w ręku, została oparta w dużej części na tym właśnie nagromadzeniu drobnych faktów. Wymieńmy również, nie próbując podać pełnej bibliografii, kilka szczegółów zebranych z Żywotów Antoninusa i Marka Aureliusza, spisanych przez Juliusza Kapitolinusa; i kilka zdań wybranych z Aureliusza Wiktora i autora Epitome, którzy ujmują życie Hadriana w sposób legendarny, ale wyróżniają się świetnością stylu. Historyczne zapiski ze Słownika Suidasa dały nam dwie mało znane wzmianki: o Konsolacji dedykowanej Hadrianowi przez Numeniosa i o muzyce żałobnej skomponowanej przez Mesomedesa z okazji śmierci Antinosa.

Po Hadrianie pozostała pewna ilość dzieł własnych, które zostały wykorzystane: korespondencja urzędowa, fragmenty mów i oficjalnych raportów, jak słynny Adres do Lambaesis, najczęściej powtarzający się w inskrypcjach; decyzje prawne, przekazane przez prawników; poematy, o których mówią współcześni autorzy, jak słynna Animula vagula, blandula, czy też odnalezione na budowach, gdzie figurują jako inskrypcje wotywno, jak poemat do Amora i do Afrodyty Niebiańskiej, wyrzyte na ścianach świątyni w Tespiach (Kaibel, Epigrammata Graeca, 811). Trzy listy Hadriana dotyczące jego życia prywatnego (List do Matidii, List do Serwianusa, List napisany przez umierającego cesarza do Antoninusa) są wątpliwej autentyczności; wszystkie trzy wszakże są w najwyższym stopniu znamienne dla człowieka, któremu się je przypisuje; niektóre wskazówki dostarczone przez te listy zostały wykorzystane w tej książce.

Przypomnijmy tu, że niezliczone wzmianki o Hadrianie albo jego otoczeniu, rozsiane u niemal wszystkich pisarzy z II i III wieku, kompletują wiadomości z kronik i uzupełniają ich luki. Tak więc, żeby choć kilka przykładów zacytować, epizod polowania w Libii pochodzi w całości z fragmentu poematu Pankratesa Łowy Hadriana i Antinosa, odnanzonego w Egipcie i opublikowanego w 1911 w kolekcji "Papyrasy z Oxyrhynchus"; że Atenajos, Aulus Gelliusz i Filostrat dostarczyli licznych szczegółów o sofistach i poetach z cesarskiego dworu; albo że Pliniusz Młodszy i Marcjalis dodają kilka charakterystycznych cech do nieco zatartych wizerunków Voconiusa czy Licyniusza Sury. Opis cierpienia Hadriana po śmierci Antinosa jest oparty na dziejopisach panowania, ale także i na niektórych ustępach z pism Ojców Kościoła, oczywiście potępiających go, ale często też i bardziej pod tym względem ludzkich i różniących się między sobą, niż się to mówić zwykło. Ustępy z Listu Arriana do cesarza Hadriana z okazji podróży po Morzu Czarnym, zawierające aluzje do tego tematu, zostały włączone w niniejszą książkę, której autorka przychyliła się do

zdania uczonych, na ogół przekonanych o autentyczności tego tekstu.

Panegyryk rzymski sofisty Eliusza Arystydesa, dzieło czysto hadriańskie w typie, dostarczył kilku linijek do opisu idealnego państwa, zrobionego tu przez cesarza. Kilka historycznych szczegółów z Talmudu i ogromny materiał legendarny uzupełniły, jeśli idzie o wojnę w Palestynie, Historię Kościoła Euze-biusza. Wzmianka o wygnaniu Favorinusa pochodzi z fragmentu tegoż dzieła, opublikowanego w 1931 przez Bibliotekę Watykańską (*Studi e Testi*, LIII); okrutny epizod o oślepionym sekretarzu jest zaczerpnięty z traktatu Galena, który był lekarzem Marka Aureliusza; obraz umierającego Hadriana opiera się na tragicznym portrecie postarzałego cesarza, opisanym przez Frontona.

Kiedy indziej zwracano się do zabytków i inskrypcji po szczegóły faktów nie zarejestrowanych przez starożytnych historyków. Niektóre szczegóły, podkreślające okrucieństwo wojen dackich i sarmackich, palenie żywcem jeńców, otrucie się w dzień kapitulacji doradców króla Decebala, pochodzą z płaskorzeźb na kolumnie Trajana (W. Froehner, *La Colonne Trajane*, 1865, 1. A. Richmond, *Trajan's Army on Trajan's Column*, 1935); duża część szczegółów w opisach podróży jest zapożyczona z monet z okresu panowania Hadriana. Poematy Julii Balbilli, wyryte na nodze kolosa Memnona, są punktem wyjścia do opisu wizyty w Tebach (Cagnat, *Inscriptiones Graecae ad res Romanas pertinentes*, 1186-7); dokładną datę urodzin Antinusa zawdzięczamy inskrypcji w kolegium rzemieślników i niewolników w Lanuvium, które w roku 133 obrało sobie Antinusa za opiekuna i patrona (*Corpus Inscriptionum Latinarum*, XIV, 2112); datę tę neguje Mommsen, ale później przyjęli ją uczeni mniej hiperkrytyczni; zdania, podane jako napisy na grobie ulubieńca, są wzięte z* wielkiego tekstu hieroglificznego na obelisku w Pincio, gdzie znajduje się opis jego pogrzebu i obrzędów związanych z jego kultem (A. Erman, *Obeliskenderdmischer Zeit*, 1896, O. Marucchi, *Gliobelischi egiziani di Roma*, 1898). Jeśli idzie o honory boskie oddawane Antinousowi, o jego charakterystykę psychologiczną i fizyczną, świadectwa z inskrypcji, zabytków i monet są o wiele liczniejsze niż świadectwa historii pisanej.

Nie ma w tej chwili dobrej biografii Hadriana, do której można by odesłać czytelnika; jedyne tego rodzaju dzieło zasługujące na wzmiankę, ale także najdawniejsze, dzieło Gregoroviusa opublikowane w 1851, nie pozbawione życia i barwności, ale słabe we wszystkim, co dotyczy Hadriana jako administratora i władcy, jest po większej części przestarzałe. Tak samo zestarzały się błyskotliwe szkice Gibbona czy Renana. Dzieło nowsze B. W. Hendersona, *The Life and Principate of the Emperor Hadrian* wydane w r. 1923, powierzchowne, aczkolwiek obszerne, daje bardzo niepełny obraz myśli Hadriana i problemów jego czasu i wykorzystuje źródła w zakresie bardzo niedostatecznym. Ale jeśli

pełna biografia Hadriana jeszcze zostaje do zrobienia, liczne są inteligentne ujęcia całościowe i solidne studia szczegółowe, i w wielu wypadkach nowoczesna nauka pokazała w nowym świetle dzieje panowania i rządów Hadriana. Żeby zacytować choć kilka prac nowych, albo rzekomo nowych, i ważnych, wymieńmy, w języku francuskim, rozdziały poświęcone Hadrianowi w *Le Haut-Empire Romain* Leona Homo, 1933 i w *UEmpire Romain* E. Albertiniego, 1936; analizę wojen partyjskich Trajana i pokojowej polityki Hadriana w *Histoire de l'Asie* René Grousseta, 1921, której trzymano się ściśle w opisie wojen partyjskich; studium o dziele literackim Hadriana w *Les Empereurs et les Lettres latines* Henri Bardona, 1944; prace Paul Graindora, *Athenes sous Hadrien*, 1934, Louis Perreta, *La Titulature imperiale d'Hadrien*, 1929, i Bernarda d'Orgeval, *UEmpereur Hadrien, son oeuvre législative et administrative*, 1950. Najbardziej wszakże dociekliwe prace o panowaniu i osobie Hadriana są dziełem szkoły niemieckiej: J. Durr, *Die Reisen des Kaisers Hadrianus*, Wiedeń 1881; J. Plew, *Quellenuntersuchungen zur Geschichte des Kaisers Hadrian*, Strasburg 1890; E. Kornemann, *Kaiser Hadrian und der letzte grosse Historiker von Rom*, Lipsk 1905, a przede wszystkim krótka i piękna praca Wilhelma Webera, *Untersuchungen zur Geschichte des Kaisers Hadrianus*, Lipsk 1907, oraz treściwy esej, łatwiejszy do zdobycia, ogłoszony przez niego w r. 1936 w zbiorze *Cambridge Ancient History*, vol. XI, *The Imperial Peace*, str. 294-324. Po angielsku - przede wszystkim ważny rozdział poświęcony reformom społecznym i finansowym Hadriana w wielkiej pracy M. Rostowcewa, *Social and Economic History of the Roman Empire*, 1926; cenne studia: R. H. Lacey, *The Equestrian Officials of Trajan and Hadrian: Their Careers, with Some Notes of Hadrian's Reform**, 1917; Paul Alexander, *Letters and Speeches of the Emperor Hadrian*, 1938; W. D. Gray, *A Study of the Life of Hadrian Prior to his Accession*, Northampton 1919; F. Pringsheim, *The Legal Policy and Reforms of Hadrian* w *"Journ. of Roman Studies"*, XXIV, 1934. Do pobytu Hadriana na wyspach brytyjskich i budowy muru na granicy Szkocji najwięcej materiałów daje klasyczna praca J. C. Bruce'a, *The Handbook to the Roman Wall*, wydanie poprawione przez R. G. Collingwooda, i tegoż Collingwooda, przy współpracy J. N. L. Myres'a, *Roman Britain and the English Settlements*, drugie wydanie, 1937.

Co do numizmatyki panowania (wyjąwszy monety Antinousa, omówione poniżej), patrz przede wszystkim prace stosunkowo nowe: H. Mattingly i E. A. Sydenham, *The Roman Imperial Coinage*, II, 1926, i P. L. Strack, *Untersuchungen zur römischer Reichsprägung des zweiten Jahrhunderts*, II, 1933.

O osobie Trajana i jego wojnach, patrz: R. Parobeni, *Optimus Princeps*, 1927; R. P. Longden, *Nerva and Trajan* i *The Wars of Trajan*, w *Cambridge Ancient History*, XI, 1936;

M. Durry, *Le Regne de Trajan ttapres les Monnaies*, "Revue Historique", LVII, 1932 i W. Weber, *Trajan und Hadrian*, 1923, o Eliuszu Cezarze, A. S. L. Farguharson, *On the names of Aelius Caesar*, *Classical Quar-terly*, II, 1908, i J. Carpocino, *L'Heredité dynastiae chez les Antonim*, 1950, którego hipotezy zostały poniechane, jako mało przekonywające, na korzyść dosłownej interpretacji źródeł. O sprawie czterech byłych konsulów patrz przede wszystkim: A. von Premerstein, *Das Attentat der Konsulare auf Hadrian im Jahre 118*, w "Klio", 1908; J. Carcopino, *Lusius Quietus, l'homme de Qwrnyn dans Istros*, 1934. O otoczeniu greckim Hadriana - przede wszystkim: A. von Premerstein, *C. Julius Quadratus Bassus*, w "Sitz Bayr. Akad. d. Wiss", 1934; P. Graindor, *Un Milliardaire Antique, Her ode Atticus et są familie*, Kair 1930; L. Boulanger, *Aelius Aristide et la Sophistique dans la Province d'Asie au II-e siècle de notre erę* w publikacjach "Bibliothèque des Écoles Françaises d'Athenes et de Rome", 1923; K. Horn, *Die Hymnen des Mesomedes*, Lipsk 1928; Marttelliotti, *Mesomede*, publikacje "Scuola di Filologia Classica", Rzym 1929; H.-C. Puech, *Numenius d'Apamee*, w "Melanges Bidez", Bruksela 1934; o wojnie żydowskiej, W. D. Gray, *The Founding of Aelia Capitolina and the Chronology of the Jewish War under Hadrian*, "American Journal of Semitic Language and Literature", 1923; A. L. Sachar, *A History of the Jews*, 1950; i S. Liebertaan, *Greek in Jewish Palestine*, 1942. Odkrycia archeologiczne porobione w Izraelu w ciągu ostatnich lat i dotyczące powstania Bar-Kochby wzbogaciły w pewnych względach naszą wiedzę o wojnie w Palestynie; większość z nich pochodzi z okresu po roku 1951 i nie mogła zostać w niniejszej pracy spożytkowana.

Ikonografia Antinusa i przy jej okazji dzieje tej postaci nie przestały interesować archeologów i estetyków, zwłaszcza w krajach germańskich, odkąd Winckelmann, w r. 1764, poświęcił tej ikonografii, a przynajmniej najważniejszym wizerunkom Antinusa, znanym w tamtych czasach, poczesne miejsce w swojej *Historii sztuki starożytnej*. Większość tych prac, pochodzących z końca wieku XVIII, a nawet i z XIX ma dla nas już tylko wartość ciekawostki; praca L. Dietrichsona, *Antinous*, Christiania 1884, aczkolwiek mgliście idealistyczna, jest jednak nadal godna uwagi dzięki staranności, z jaką autor zebrał niemal wszystkie wzmianki odnoszące się w starożytności do ulubieńca Hadriana; wartość ikonografii, opracowanej niemniej starannie, umniejsza stosowanie poglądów i metod dziś już przestarzałych. Mała książeczka F. Labana, *Der Gemutsausdruck des Antinous*, Berlin 1891, daje przegląd teorii estetycznych, modnych podówczas w Niemczech, ale w niczym nie wzbogaca właściwej ikonografii młodego Bityńczyka. Artykuł bardzo przenikliwy, choć nieco przestarzały przez styl, poświęcony Antinousowi przez J. A. Symonsona w jego *Sketches in Italy and Greece*, Londyn 1900, jest nadal bardzo cenny, a także i uwagi tegoż autora na ten

sam temat w jego cennym i arcyzadkim eseju o inwersji w starożytności, *A Problem in Greek Ethics* (dziesięć egzemplarzy poza obiegiem handlowym, 1883, przedrukowane w 100 egz. w 1901). Praca nowsza E. Holma: *Das Bildnis des Antinous*. Lipsk 1933, ma natomiast typowe wady akademickiej rozprawy czysto erudycyjnej, nie wnoszącej do tematu ani nowych poglądów, ani nowych wiadomości. Jeśli idzie o wizerunki Antinosa, wyjąwszy numizmatykę, najlepszym źródłem, stosunkowo świeżym, jest studium ogłoszone przez Pirro Marconi, *Antinoos. Saggio sull'Arte deli'Eta Adrianea* w tomie XXIX *Monumenti Antichi*, R. Accademia dei Lincei, Rzym 1923, studium zresztą mało dostępne dla szerszej publiczności, ponieważ liczne tomy tego zbioru znajdują się w komplecie tylko w bardzo niewielu wielkich bibliotekach.⁴ Esej Marconiego, dosyć przeciętny, jeśli idzie o interpretację estetyczną, wykazuje natomiast duży postęp w ikonografii - mimo wszystko jeszcze niezupełnej - tematu, i kładzie kres mglistym mrzonkom, jakie zostały wokół postaci Antinosa nagromadzone przez nawet i najlepszych krytyków romantycznych. Patrz także krótkie studia, poświęcone ikonografii Antinosa w pracach ogólnych, traktujących o sztuce greckiej albo grecko-rzymskiej, jak na przykład prace G. Rodenwaldta, *Pro-pytoen-Kunstgeschichte*, III, 2, 1930; E. Strong, *Art in Ancient Rome*, II wydanie, Londyn 1929; Robert West, *Romische Portrait-Plastik*, II, Monachium 1941; i C. Seltman, *Approach to Greek Art*, Londyn 1948. Należy wymienić także uwagi R. Lacianiego i C. L. Yiscontiego, *Bulletino Comunale di Roma*, 1886, szkice G. Rizzo, *Antinoos-Silvano w Ausonia*, 1908, S. Reinacha, *Lej Tetes des Medaillons de l'Arc de Constantin* w "Rev. Arch.", Seria IV, XV, 1910, P. Gauckera, *Le Sanctuaire syrien du Janicule*, 1912, H. Bulle *Ein Jagddenkmal des Kdisers Hadrian* w "Jahr, d.arch." Inst., XXXIV, 1919 i R. Bartoccini, *Le Terme Lepcis w Africa Italiana*, 1929 - o portretach Antinosa zidentyfikowanych albo odkrytych w końcu XIX wieku i w wieku XX i o okolicznościach, niekiedy ciekawych, tych odkryć.

Co się tyczy numizmatyki postaci, najlepszą pracą, jeśli wierzyć najbardziej wykwalifikowanym numizmatykom, którzy dziś się tym tematem zajmują, pozostaje nieodzowna *Numismatique d'Antinoos* w "Journ. Int. d'Archeologie Numismatique", XVI, str.

⁴ To samo stosuje się oczywiście do wielu wzmiankowanych tu prac. Nie można za często powtarzać, że książka rzadka, wyczerpana, którą znaleźć da się tylko na półkach nielicznych bibliotek, albo artykuł znajdujący się w jakimś starym numerze naukowego pisma są dla olbrzymiej większości czytelników zupełnie niedostępne. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto czytelnik, który chciałby się niektórych rzeczy dowiedzieć, ale nie ma czasu i znajomości techniki, niezawilej, lecz znanej tylko zawodowym naukowcom, jest niezależnie od swej chęci skazany na dzieła wulgaryzatorskie, wybierane na chybił trafił, z których najlepsze, też nie wznawiane, również stają się z kolei nie do dostania. To, co nazywamy naszą kulturą, jest bardziej, niż się sądzi, kulturą ściśle zamkniętych warsztatów.

33-70, 1914, przez G. Bluma, młodego uczonego, który zginął na wojnie w 1914 i pozostawił także kilka studiów ikonograficznych poświęconych ulubieńcowi Hadriana. Jeśli idzie o monety z wizerunkiem Antinusa bite w Azji Mniejszej, patrz przede wszystkim E. Babelon i T. Reinach, *Recueil General des Monnaies Grecques d'Asie-Mineure*, I-LV, 1904-1912 i L, drugie wydanie, 1925; jeśli idzie o monety z nim, bite w Aleksandrii, patrz J. Vogt, *Die Alexandrinischen Munzen*, 1924, zaś jeśli idzie o setki monet z nim, bitych w Grecji, C. Seltman, *Greek Sculpture and Some Festival Coins* w "Hesperia Journ. of Amer. School of Classical Studies at Athens", XVII, 1948.

Co do okoliczności, tak tajemniczych, śmierci Antinusa, patrz W. Weber, *Drei Untersuchungen zur aegyptisch-griechischen Religion*, Heidelberg 1911. Książka P. Graindora, już cytowana, *Athenes sous Hadrien* zawiera (str. 13) interesującą uwagę na ten sam temat. Problem ścisłego oznaczenia miejsca grobu Antinusa nigdy nie został rozstrzygnięty, wbrew argumentom C. Hulsen, *Das Grab des Antinous* w "Mitt. d. deutsch. arch. Inst.", Rom. Abt. XI, 1896 i w "Berl. Phil. Wochenschr." 15 marca 1919 i przeciwstawnym poglądom na ten temat H. Kahlera w jego pracy, wymienianej powyżej, o Willi Hadriana. Trzeba też zaznaczyć, że prześliczny traktat P. Festugiere, *La Yaleur Religieuse des Papyrus Magiques*, ogłoszony w r. 1932, a zwłaszcza jego analiza śmierci przez zalanie wodą i ubóstwienia, jakiego dostępuje w ten sposób poświęcający się, nie odnosząc się wprost do historii ulubieńca Hadriana, naświetla wszakże obrządki, jakie do tej pory znaliśmy tylko z martwej tradycji literackiej, pozwala wydobyć tę legendę z lamusa tragiczno-epickich akcesoriów i osadzić ją w ramach bardzo ścisłych pewnej tradycji magicznych praktyk.

Niemal wszystkie dzieła ogólne, traktujące o sztuce grecko-rzymskiej, uwzględniają szeroko sztukę okresu Hadriana; niektóre z nich zostały wymienione w paragrafach dotyczących wizerunków Antinusa; niemal kompletną ikonografię Hadriana, Trajana, księżniczek z ich rodziny i Eliusza Cezara zawiera już cytowana praca Roberta Westa, *Römische Portrat-Plastik*, mówią o tym także książki: P. Graindor, *Bustes et Statues, Portraits de FEgypte Romaine*. Kair b.d. i F. Poulsen, *Greek and Roman Portraits in English Country Houses*, Londyn 1923, w której umieszczono pewną ilość mniej znanych i rzadko reprodukowanych portretów Hadriana i jego otoczenia. W kwestii sztuki dekoracyjnej epoki Hadriana w ogóle, a zwłaszcza w kwestii związków między motywami używanymi przez złotników i rytowników i politycznymi oraz kulturalnymi dyrektywami panowania, zasługuje na osobną wzmiankę piękna praca Jocelyn Toynbee, *The Hadrianic School, Chapter in the History of Greek Art*, Cambridge 1934.

Wzmianki o dziełach sztuki zamawianych przez Hadriana albo należących do jego zbiorów zjawiają się w niniejszej książce po to tylko, by tym wyraźniej pokazać Hadriana jako zbieracza, miłośnika sztuki czy kochanka pragnącego uwiecznić ukochaną twarz. Opis wizerunków Antinouse, zrobiony przez cesarza, i sam obraz żyjącego ulubieńca, pokazywany kilkakrotnie w książce, są oczywiście oparte na podobiznach młodego Bityńczyka, znalezionych przeważnie w Yilla Adriana, które istnieją i dziś i które znamy pod nazwami nadanymi im przez wielkich kolekcjonerów włoskich z XVII i XVIII wieku; Hadrian ich tak oczywiście nie nazywał. Przypisanie autorstwa małej głowy, znajdującej się obecnie w Muzeum Narodowym w Rzymie, rzeźbiarzowi Aristeasowi jest hipotezą Pirro Marconiego, wysuniętą w cytowanym powyżej eseju; przypisanie Papiasowi, innemu rzeźbiarzowi z epoki Hadriana, Antinouse Farnese z Muzeum w Neapolu jest tylko domysłem autorki. Wreszcie hipoteza twierdząca, że wizerunek Antinouse, dziś niemożliwy do niewątpliwego zidentyfikowania, zdołał jakoby płaskorzeźby hadriańskie w teatrze Dionizosa w Atenach, jest zapożyczona z cytowanej już pracy P. Graindora. Jeśli idzie o rzecz drobną, pochodzenie kilku pięknych posągów grecko-rzymskich albo hellenistycznych, odnalezionych w Italice, rodzinnym mieście Hadriana, który je opuścił jako dziecko, w wieku, w którym jeszcze się człowiek sztuką nie interesuje, autorka podporządkowała się opinii twierdzącej, że dzieła te, z których co najmniej jedno pochodzi z pracowni aleksandryjskiej, marmury greckie datowane na koniec I albo początek II wieku, są darem samego cesarza dla rodzinnego miasta.

Te same uwagi ogólne dają się zastosować do wzmianek o budowlach wznoszonych przez Hadriana, których zbyt szczegółowy opis przekształciłby ten tom w ukryty podręcznik, szczególnie zaś do wzmianek o Villa Adriana. Cesarz, jako człowiek o dobrym smaku, nie może zmuszać czytelnika do obejścia wszystkich zakamarków swojego domu. Informacje o wielkich budowach Hadriana, tak w Rzymie, jak i w innych częściach cesarstwa, przekazane nam zostały za pośrednictwem jego biografa Spartianusa, w Opisie Grecji Pauzanasza, jeśli idzie o budowle wzniesione w Grecji, oraz przez kronikarzy późniejszych, jak Malalaś, który wymienia zwłaszcza budowle wzniesione albo odbudowane przez Hadriana w Azji Mniejszej. Od Prokopiusza wiemy, że szczyt Mauzoleum był ozdobiony niezliczonymi posągami, które służyły za pociski Rzymianom podczas oblężenia przez Alaryka; w krótkim opisie niemieckiego podróżnika z VIII wieku, Anonyme de Einsiedeln, zachował się obraz tego, czym było na początku średniowiecza Mauzoleum, już ufortyfikowane od czasów Aureliana, ale jeszcze nie przekształcone w Zamek Świętego Anioła. Do tych wzmianek i tej nomenklatury archeologowie i epigraficy dorzucili następnie swoje znaleziska. By dać tylko jeden przykład tych ostatnich, przypomnijmy, że stosunkowo całkiem niedawno temu, dzięki

znakom fabrycznym na ceglach, które służyły do budowy, zaszczyt wybudowania czy też całkowitej rekonstrukcji Panteonu został przywrócony Hadrianowi, którego długo uważano jedynie za jego restauratora. Jeśli idzie o architekturę okresu Hadriana, odeślijmy czytelnika do większości dzieł ogólnych o sztuce grecko-rzymskiej, cytowanych powyżej, zwłaszcza zaś do pracy E. Stronga, *Art in Ancient Rome*, a także C. Schultessa, *Bauten des Kaisers Hadrianus*, Hamburg 1898. Jeśli idzie o Panteon - G. Beetrani, *zz Panteone*, Rzym 1898 i G. Rosi, "Bollettino della co mm. arch. co m m." LIX, str. 227, 1931; jeśli idzie o Mauzoleum Hadriana, do M. Borgatti, *Castel S. Angelo*, Rzym 1890; S. R. Pierce, *The Mausoleum of Hadrian and Pons Aelius* w "Journ. of Rom. Stud." XV, 1925. O budowach Hadriana w Atenach, prócz kilkakrotnie wymienianego dzieła P. Graindora, *Atthenes sous Hadrien*, 1934, można także przeczytać w doskonałym rozdziale G. Fougères'a w jego *Athenes*, 1914, który, choć dawny i pod pewnymi względami uzupełniony przez najnowsze wykopaliska, nadal zawiera to, co najistotniejsze.

Czytelnikowi, który by się interesował bliżej tym jedynym swego rodzaju zabytkiem jakim jest *Villa Adriana*, nadmienimy, że nazwy jej rozmaitych części, wymienione przez Hadriana w niniejszej książce i używane jeszcze i dziś, pochodzą także z przekazów Spartianusa, które wykopaliska prowadzone w tym miejscu do tej pory raczej potwierdzają i uzupełniają niż obalają. Dodajmy, że nasza znajomość kolejnych faz tej pięknej ruiny między Hadrianem i nami pochodzi z całej serii dokumentów pisanych albo rytych, nagromadzonych od czasów Odrodzenia, z których najcenniejsze być może są: Raport architekta Ligorio dla Kardynała d'Este z r. 1538, cudowne plansze Piranesiego z roku około 1781 i, jeśli idzie o detale, rysunki Obywatela Ponce (*Arabesques antiques des bains de Livie et de la Villa Adriana*, Paryż 1789) zachowujące wzór stiuków, dziś zniszczonych. Nowsze prace Gastona Boisier w jego *Promenades Archeologiques*, 1880, H. Winnefelda, *Die Villa des Hadrian bei Tivoli*, Berlin 1895, i Pierre Gusmana, *La Villa Imperiale de Tibur*, 1904, są do tej pory bardzo cenne; patrz także bliższą nam pracę R. Paribeniego, *La Villa dell'Imperatore Adriana*, 1930, i ważne dzieło H. Kahlera, *Hadrian und seine Villa bei Tivoli*, 1950. Mozaiki na ścianach Willi, o których tu mówi Hadrian, są to mozaiki z sali audiencyjnej, ze ścian otaczających nisze nimf, częste w wiejskich willach pierwszego wieku, które zapewne zdobiły także i pawilony pałacu w Tiburze, mozaiki, które według licznych świadectw znajdowały się na skłonach sklepień (wiemy od Piranesiego, że skłony sklepień z Kanobos były białe), albo też "emblematy", mozaikowe obrazy, które zwykle wprawiano w ściany. W sprawie tego detalu i złoceń, jakie zdarzają się niekiedy na mozaikach, od epoki antonińskiej poczynając, patrz, oprócz już cytowanego Gusmana, artykuł P. Gaucklera w: *Da-remberg i Saglio, Dictionnaire*

des Antiquites Grecques et Romaines, 'III, 2, Musivum Opus.

Tym, których interesuje epizod założenia Antinoupolis, powiedzmy, że ruiny miasta założonego przez Hadriana na cześć jego ulubieńca jeszcze stały w początkach XIX wieku, kiedy Jomard rysował plansze monumentalnej Description de l'Égypte, rozpoczętej na rozkaz Napoleona, w której znaleźć można wzruszające widoki z tego zbiorowiska ruin, dziś zniszczonych. W połowie XIX wieku egipski przemysłowiec przerobił na wapno te szczątki i użył ich do budowy cukrowni w pobliżu. Archeolog francuski, Albert Gayet, pracował z zapalem, ale, zdaje się, niezbyt metodycznie, w tym splądrowanym miejscu i informacje zawarte w artykułach ogłaszanych przez niego w latach 1896-1914 są jeszcze, w braku lepszych, bardzo pożyteczne. Papirusy znalezione na miejscu Antinoupolis i Oxyrhynchus i opublikowane między rokiem 1901 i naszymi czasami nie dały żadnej nowej wiadomości o architekturze hadriańskiego miasta i kulcie ulubieńca, natomiast jeden z nich dał nam bardzo kompletny spis administracyjnych i religijnych podziałów miasta, najwidoczniej ustalonych przez samego Hadriana, które świadczą o silnym wpływie rytuału eleuzyńskiego na umysł ich autora. Patrz na ten temat cytowaną wyżej pracę Wilhelma Webera, Drei Untersuchungen zur aegyptisch-griechischen Religion, a także E. Kihna, Antinoupolis, Ein Beitrag zur Geschichte des Hellenismus im römischen Aegypten, Getynga 1913, i B. Kublera, Antinoupolis, Lipsk 1914. Krótki artykuł M. J. de Johnsona, Antinoe and Its Papyri w "Journ. of Egip. Arch", I, 1914, daje doskonałe streszczenie topografii miasta Hadriana.

Wiemy o istnieniu drogi zbudowanej przez Hadriana między Antinoupolis i Morzem Czerwonym ze starożytnej inskrypcji, znalezionej na miejscu (Inscr. Gr. adres. Rom. pert., I, 1142), ale nigdy nie odkryto, którądy była wytyczona, i odległości, wymienione przez Hadriana w niniejszej książce, są jedynie przybliżone. Wreszcie zdanie opisujące Antinoupolis, włożone tu w usta cesarza, jest zapożyczone z relacji Sieur Lucas, francuskiego podróżnika, który zwiedził Antinoupolis na początku wieku XVIII.